

LAUREATKA NAGRODY BOOKERA

MARGARET
ATWOOD

ORYKS I DERKACZ



Prószyński i S-ka

MARGARET
ATWOOD

ORYKS I DERKACZ

Przełożyła
Małgorzata Hesko-Kołodzińska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
ORYX AND CRAKE

Copyright © O.W. Toad, 2003

Projekt okładki
Wojtek Świerdzewski

Redaktor prowadzący
Joanna Maciuk

Redakcja
Maria Talar

Korekta
Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8097-868-3

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla mojej rodziny

Od tłumaczki

Red-necked crane (*Rallina tricolor*) to po polsku rudokurka ognistogłowa. Nick taki brzmiałby humorystycznie w odniesieniu do głównego bohatera i jego twórców, więc pozwoliłam sobie zamienić go na Derkacza (ang. *crake*, łac. *Crex crex*), innego ptaka z tej samej rodziny chruścieli.

Mógłbym, być może, na podobieństwo innych autorów zaskoczyć Cię nieprawdopodobnymi i przedziwnymi przygodami, lecz wolałem raczej zdać sprawę z rzeczy zwykłych, nakreśliwszy je najprostszym i najmniej ozdobnym stylem, gdyż głównym moim zamiarem było wzbogacenie Twojej wiedzy, a nie Twoja rozrywka.

Jonathan Swift

Podróże do wielu odległych narodów świata

(tłum. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1979)

Czy nie można uchronić się przed niebezpieczeństwem? Nauczyć się na pamięć mechanizmu świata? Czy nie ma żadnych wskazówek, żadnej ucieczki – tylko wszystko jest cudem i skokiem ze szczytu wieży w nieznane?

Virginia Woolf

Do latarni morskiej

(tłum. Krzysztof Klinger, Czytelnik, Warszawa 2000)

1

Mango

Yeti budzi się przed świtem. Leży bez ruchu, nasłuchuje nadciągającego przypływu, fali za falą przelewających się nad rozmaitymi barykadami, słabo, słabiutko, w rytmie bicia serca. Bardzo chciałby wierzyć, że nadal śpi.

Na wschodzie pojawia się szarawa mgła, teraz zabarwiona martwym różanym blaskiem. Dziwne, że ten kolor nadal wygląda delikatnie. Odcinają się od niego ciemne sylwetki przybrzeżnych wież, niesamowicie górując nad różem i błękitem laguny. Krzyki ptaków, które tam gniazdują, i odległy ryk oceanu na namiastce raf z zardzewiałych części samochodów, potłuczonych cegieł i innego gruzu niemal przypominają wakacyjny gwar.

Z przyzwyczajenia spogląda na zegarek – koperta z nierdzewnej stali, polerowana aluminiowa bransoleta; nadal łśni, choć już nie działa. Teraz nosi go tylko jako talizman. Zegarek pokazuje jedynie pustą tarczę: godzinę zero. To go przyprawia o dreszcz przerażenia, ten brak oficjalnego czasu. Nikt nigdzie nie wie, która godzina.

– Uspokój się – mówi do siebie. Bierze kilka głębokich wdechów, drapie rany po ukąszeniach, ale nie tam, gdzie najbardziej swędzi, nie chce zerwać strupów: posocznica to ostatnie, czego mu potrzeba. Potem przygląda się ziemi pod sobą w poszukiwaniu fauny: wszędzie spokój, żadnych łusek ani ogonów. Lewa ręka, prawa noga, prawa ręka, lewa noga, powoli schodzi z drzewa. Po strzepnięciu gałązek i kory owija się brudnym prześcieradłem niczym togą. Na noc zawiesił autentyczną replikę czapki baseballowej Red Soxów na gałęzi, dla bezpieczeństwa; zagląda do środka, wytrząsa pajaka, nakłada czapkę.

Idzie kilka metrów w lewo, sika w krzakach.

– Głowy do góry – mówi do koników polnych, które z terkotem odskakują przed moczem.

Później okrąża drzewo i z dala od swojego zwyczajowego urynału, po przeciwnej stronie, grzebie w schowku, który naprędce zbudował z kilku betonowych płyt i owinał drucianą siatką, by go zabezpieczyć przed myszami i szczurami. Ukrył tam parę mango w plastikowej torbie, puszkę Bezmięsnych Koktajlowych paróweczek Smukłana, cenne pół butelki szkockiej – nie, raczej jedną trzecią – oraz ofoliowany baton energetyczny o smaku czekoladowym, ściągnięty z osiedla mieszkalnych przyczep, miękki i lepki. Waha się, czy go zjeść – być może już żadnego nie znajdzie. Trzyma tu także otwieracz

do puszek i właściwie nie wiadomo po co szpikulec do lodu; jeszcze sześć butelek po piwie, ze względów sentymentalnych i jako pojemniki na świeżą wodę. A także okulary przeciwsłoneczne, nakłada je teraz. Brakuje jednego szkła, ale lepszy rydz niż nic.

Otwiera plastikową torbę: to już ostatnie mango. Dziwne, zapamiętał, że ma ich więcej. Do środka wcisnęły się mrówki, chociaż bardzo starannie związał torbę. Już biegają mu po ramionach, te czarne, a także te okropne, małe i żółte. Zdumiewające, jak dotkliwie potrafią kąsać, zwłaszcza żółte. Strząsa je.

– Ścisłe przestrzeganie codziennych rytuałów umożliwia utrzymanie wysokiego morale i zachowanie zdrowia psychicznego – mówi głośno.

Ma wrażenie, że to cytat z książki, jakaś zapomniana, napuszona wytyczna, którą napisano, by pomóc europejskim mieszkańcom kolonii w prowadzeniu takich czy innych plantacji. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek czytał coś podobnego, to jednak o niczym nie świadczy. W resztkach jego mózgu kryje się mnóstwo luk, tam gdzie niegdyś była pamięć. Plantacje kauczuku, plantacje kawy, plantacje juty. (Czym była juta?) Kazano im nosić hełmy tropikalne, przebierać się na kolację, nie gwałcić tubylców. Nie bratać się z miejscowymi kobietami. Czy też, ujmując to inaczej...

Zakład, że się bratali. Dziewięć razy na dziesięć.

– W świetle łagodzących – mówi.

Przyłapuje się na tym, że stoi z otwartymi ustami i próbuje sobie przypomnieć resztę zdania. Siada na ziemi i gryzie mango.

Szczątki

Po białej plaży, pełnej sproszkowanego koralu i połamanych kości, wędruje grupa dzieci. Pewnie pływały, nadal są mokre i lśniące. Powinny bardziej uważać – kto wie, od czego się roi na lagunie? Są jednak nieostrożne, w przeciwieństwie do Yeti, który nie zanurzy w wodzie palca nawet nocą, gdy słońce nie może go dopaść. Poprawka: zwłaszcza nocą.

Przygląda im się z zazdrością, a może to tęsknota? Niemożliwe, w dzieciństwie nigdy nie pływał w morzu, nigdy nie biegał nago po plaży. Dzieci badawczo lustrują okolice, podnoszą jakieś szczątki; po krótkiej debacie biorą jedne przedmioty, ciskają precz inne; ich skarby lądują w podartym worku. Prędzej czy później – bez pudła – odnajdą go tam, gdzie siedzi opatulony w stęchłe prześcieradło, obejmując łydki i ssąc mango, w cieniu drzewa ze względu na niemiłosierne słońce. Dla dzieci – gruboskórnych, odpornych na promienie ultrafioletowe – Yeti jest stworzeniem ciemności, mroku.

Już idą.

– Yeti, o Yeti – intonują.

Nigdy nie podchodzą zbyt blisko. Czy to z szacunku, czy też dlatego, że śmierdzi? (Faktycznie śmierdzi, dobrze o tym wie. Jest obrzydliwy, zalatuje, cuchnie jak mors – tłuszczem, solą, rybą – nie, żeby kiedykolwiek wachał takie stworzenie. Widział jednak zdjęcia).

Otwierając worek, dzieci pytają chórem:

– O Yeti, co znaleźliśmy?

Podnoszą przedmioty, wyciągają przed siebie, jakby oferowały je na sprzedaż: kołpak, klawisz pianina, kawałek bladozielonej butelki po napoju gazowanym, wypolerowany przez ocean. Plastikowy pojemnik po tabletkach BłogoPlus, kubek po kurczakiści, też pusty. Myszka komputerowa, albo raczej jej resztki, z długim drucianym ogonkiem.

Yeti ma ochotę wybuchnąć płaczem. Co może im powiedzieć? Nie zdoła wyjaśnić, czym są, lub raczej były, te tajemnicze przedmioty. Dzieci jednak na pewno odgadły, co powie, gdyż zawsze powtarza to samo.

– To przedmioty z dawnych czasów. – Stara się mówić łagodnie, lecz z dystansem. Krzyżówka pedagoga, proroka i życzliwego wujaszka. Takiego tonu powinien używać.

– Zranią nas? – Dzieci czasem znajdują puszki z olejem silnikowym, żrące

rozpuszczalniki, plastikowe butelki po wybielaczach. Minipułapki z przeszłości. Uważają go za specjalistę od potencjalnych wypadków: gorących płynów, szkodliwych oparów, trującego pyłu. Dziwnych bólów.

– Te nie – mówi. – Te są bezpieczne.

W tym momencie tracą zainteresowanie, worek dynda. Nie odchodzą jednak, stoją, gapią się. Przeszukiwanie plaży to tylko pretekst. Przed wszystkim chcą popatrzeć na niego, bo tak bardzo różni się od nich. Często proszą, żeby zdjął okulary i znowu je założył. Pragną zobaczyć, czy naprawdę ma dwoje oczu, czy też troje.

– Yeti, o Yeti – śpiewają bardziej do siebie niż do niego.

Dla nich jego imię to tylko dwie sylaby. Nie wiedzą, co to jest Yeti, nigdy nie widziały śniegu.

Jedna z zasad Derkacza głosiła, że nie wolno wybrać imienia, jeśli nie istnieje jego odpowiednik – choćby wypchany, choćby szkielet. Żadnych jednorożców, żadnych gryfów, żadnych mantykor ani bazylijszków. Te zasady nie mają już jednak zastosowania i Yeti z gorzkim zadowoleniem przyjął swoje imię. Yeti, Człowiek Śniegu – nie wiadomo, czy prawdziwy, mający gdzieś na obrzeżach śnieżycy, małpkształtny człowiek albo człekokształtna małpa, tajemniczy, nieuchwytny, znany jedynie z plotek i odbitych przodem do tyłu śladów stóp. Podobno górskie plemiona tropiły go i zabijały, gdy tylko nadarzyła się taka okazja. Krążyły plotki, że po ugotowaniu i upieczeniu podawano go na wystawnych ucztach; było to tym bardziej podniecające, jak przypuszcza Yeti, że balansowało na krawędzi kanibalizmu.

Dla swoich obecnych celów skrócił imię. Teraz jest tylko Yeti. Zatrzymał Człowieka Śniegu dla siebie, swoją własną tajemną włosiennicę.

Po chwilowym wahaniu dzieci kucają w półkolu, dziewczęta i chłopcy razem. Kilkoro młodszych brzdąców nadal przeżuwa śniadanie, zielony sok spływa im po brodach. To okropne, jak niechlujni stają się wszyscy, gdy brakuje luster. Mimo to, te dzieci są niezwykle atrakcyjne, każde nagie, każde doskonałe, każde o innym kolorze skóry – czekoladowym, różowym, beżowym, maślanym, kremowym, miodowym – i każde z zielonymi oczyma. Estetyka Derkacza.

Wpatrują się pytająco w Yeti. Pewnie mają nadzieję, że do nich przemówi, ale dzisiaj nie jest w nastroju. W najlepszym wypadku pozwoli im z bliska obejrzeć swoje okulary albo błyszczący zepsuty zegarek, albo czapkę baseballową. Podoba im się czapka, lecz nie rozumieją jej przeznaczenia – zdejmowane włosy to przecież nie włosy – a jeszcze nie wymyślił stosownej opowiastki.

Przez chwilę milczą, gapią się, zastanawiają. W końcu najstarsze zaczyna.

– O Yeti, powiedz nam, co za mech rośnie na twojej twarzy?

Inne dzieci intonują:

– Prosimy, powiedz, prosimy, powiedz! – Bez trącania się łokciami, bez chichotów. Pytanie jest poważne.

– Pióra – mówi.

Zadają to pytanie co najmniej raz w tygodniu. Zawsze udziela tej samej odpowiedzi. Nawet w tak krótkim czasie – ile, dwa miesiące, trzy? stracił rachubę – zdołali zgromadzić zbiór legend czy też przypuszczeń na jego temat: „Yeti był kiedyś ptakiem, ale zapomniał, jak się lata, i reszta jego piór wypadła, więc mu zimno i potrzebuje drugiej skóry, dlatego musi się owijać. Nie: jest mu zimno, bo jada ryby, a ryby są zimne. Nie: owija się, bo brakuje mu jego męskiej rzeczy, nie chce, żebyśmy to zobaczyli. Dlatego nie pływa. Yeti ma zmarszczki, bo kiedyś mieszkał pod wodą i pomarszczyła mu się skóra. Yeti jest smutny, bo jego rodacy wygnali go z morza i został całkiem sam”.

– Ja też chcę mieć skrzydła – mówi najmłodsze dziecko.

Próżna nadzieja: ludziom, Dzieciom Derkacza, nie rosną już brody. Sam Derkacz uważał brody za irracjonalne; irytowało go też golenie, usunął więc taką konieczność. Chociaż nie u Yeti, rzecz jasna: dla niego już za późno.

Teraz wszyscy mówią jednocześnie.

– Yeti, o Yeti, my też możemy mieć pióra?

– Nie – odpowiada.

– Dlaczego nie, dlaczego nie? – śpiewa dwoje najmniejszych.

– Chwileczkę, spytam Derkacza. – Wyciąga zegarek ku niebu, obraca go na przegubie, a następnie przykłada ucho do tarczy, jakby nasłuchiwał. Zafascynowane śledzą każdy jego ruch. – Nie. Derkacz się nie zgadza. Nie będzie skrzydeł. Wynocha, szczyle.

– Szczyle? Szczyle? – Spoglądają na siebie, a potem na niego. Popełnił błąd, powiedział coś, czego nie da się wytłumaczyć. Nie uważają szczania za nic zdrożnego.

– Co to znaczy szczyle?

– Odejdźcie!

Macha na nie prześcieradłem, więc się rozpraszają, biegną po plaży. Nadal nie wiedzą, czy się go bać, i do jakiego stopnia. Nic nie wiadomo o tym, żeby skrzywdził dziecko, ale nie do końca go rozumieją. Trudno przewidzieć, jak się zachowa.

Głos

– Teraz jestem całkiem sam – mówi głośno. – Sam pozostałem, sam, sam jeden na wielkim wód rozłogu!¹ – Następny fragment z płonącego albumu z wycinkami w jego głowie.

Poprawka: sam jeden na brzegu.

Bardzo chciałby usłyszeć ludzki głos, prawdziwy ludzki głos, jak jego własny. Czasem śmieje się jak hiena i ryczy jak lew – jak swoje wyobrażenie hieny, jak swoje wyobrażenie lwa. W dzieciństwie oglądał stare DVD z takimi stworzeniami: filmy przyrodnicze prezentujące kopulację, warczenie i wnetrzości, i matki liżące młode. Dlaczego tak go to krzepiło?

Albo chrząka i piszczy jak świniom, albo wyje jak wilkies. Auuu! Auuu! Czasem o zmroku biega po piasku, ciska kamieniami w ocean i wrzeszczy: „Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa!”. Po tym czuje się lepiej.

Wstaje i wyciąga ręce, żeby je rozprostować, prześcieradło opada. Z niesmakiem spogląda na swoje ciało: brudną pokąsaną przez owady skórę, popielate kępki włosów, zgrubiałe żółte paznokcie u stóp. Goły jak w dniu narodzin, chociaż akurat tego nie pamięta. Tyle ważnych spraw rozgrywa się za plecami ludzi, gdy nie mogą ich obserwować: na przykład narodziny i śmierć. I chwilowe zapomnienie w seksie.

– Nawet o tym nie myśl – mówi do siebie. Seks jest jak drink, nie należy o nim rozmyślać za dnia.

Kiedyś o sobie dbał – biegał, ćwiczył na siłowni. Teraz widzi własne żebra – niknie w oczach. Za mało zwierzęcego białka. W jego uchu rozlega się pieszczotliwy głos: „Ładne pośladki!”. To nie Oryks, tylko jakaś inna kobieta. Oryks nie jest już zbyt rozmowna.

– Powiedz coś – błaga ją. Ona słyszy, Yeti musi w to wierzyć, ale zbywa go milczeniem. – Co mam zrobić? – pyta ją. – Wiesz, że...

„Och, ładne muskuły”, przerywa mu szept. „Skarbie, połóż się”. Kto to? Jakaś dziwka, którą kiedyś kupił. Poprawka: specjalistka od usług seksualnych. Akrobatka, kobieta guma, z cekinami przylepionymi do skóry niczym łuski ryby. Yeti nienawidzi tego echa. Dawni święci je słyszeli, zwariowani zawszeni pustelnicy w jaskiniach i na pustyni. Wkrótce zaczną widywać kuszące demony o czerwonych sutkach i migoczących różowych językach, będą łaścić się do niego i oblizywać wargi. Z morza,

zza walących się wież, wyłonią się syreny, a on usłyszy ich piękny śpiew, popłynie ku nim i zjedzą go rekiny. Stworzenia o głowach i piersiach kobiet oraz szponach orłów zaatakują go z powietrza, on rozłoży ramiona i to będzie koniec. Mózgospiek.

Albo, co gorsza, jakaś dziewczyna, którą zna lub znał, przyjdzie do niego spośród drzew, ucieszona jego widokiem, ale okaże się tylko ułudą. Z radością powitałby choćby i to, brakuje mu towarzystwa.

Ośloniętym szkłem okiem uważnie wpatruje się w horyzont – nic. Morze ma barwę rozgrzanego metalu, niebo – wypłowiałego błękitu, poza dziurą wypaloną przez słońce. Wszystko jest takie puste. Woda, piasek, niebo, drzewa, fragmenty przeszłości. Nikt go nie słyszy.

– Derkacz! – wrzeszczy. – Dupku! Gówniany mózdzku!

Nasłuchuje. Słona woda znowu spływa mu po twarzy. To zawsze nadchodzi zniecka, Yeti nie potrafi tego powstrzymać. Oddycha z trudem, jakby olbrzymia ręka zaciskała się na jego klatce piersiowej – ucisk, ulga, ucisk. Bezsensowna panika.

– To przez ciebie! – krzyczy do oceanu.

Brak odpowiedzi, nic dziwnego. Tylko fale, słabo, słabiutko. Trze pięścią twarz, pociera brud i łzy, i smarki, i zmierzwiłone wąsy, i lepki sok z mango.

– Yeti, Yeti – mówi. – Weź się w garść.

¹ Samuel Taylor Coleridge, *Pieśń o starym żeglarzu*, w: *Poezje wybrane*, przeł. Zygmunt Kubiak, PIW, Warszawa 1987. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

2

Ognisko

Dawno, dawno temu Yeti nie był Yeti. Wtedy był Jimmym. Wtedy był grzecznym chłopcem.

Najwcześniejsze pełne wspomnienie Jimmy'ego to wielkie ognisko. Pewnie miał pięć, może sześć lat. Nosił czerwone kalosze z uśmiechniętym kaczym łbem na każdym bucie; pamięta, bo kiedy zobaczył ognisko, musiał przejść w tych kaloszach przez środek odkażający. Powiedzieli mu, że to trucizna i nie powinien jej rozchlapywać, a on nie chciał, żeby dostała się do oczu kaczek i im zaszkodziła. Słyszał, że te kaczki to tylko obrazki, że nie są prawdziwe i nie mają uczuć, ale nie bardzo w to wierzył.

Powiedzmy, że pięć i pół, myśli Yeti. Mniej więcej tyle.

Zapewne był październik, a może listopad; liście, pomarańczowe i czerwone, wtedy jeszcze zmieniały barwy. Czuł błoto pod stopami – chyba stał na polu – poza tym mżyło. Ognisko było olbrzymią stertą krów, owiec i świń. Wystawały z niej ich sztywne i wyprostowane nogi; zwierzęta oblano benzyną; płomienie strzelały w górę i na boki, żółte, białe, czerwone i pomarańczowe, smród palonego mięsa unosił się w powietrzu. Przypominało to grillowanie w ogrodzie, gdy jego ojciec przyrządzał jedzenie, ale zapach był o wiele silniejszy, zmieszany z wonią stacji benzynowej i smrodem palonych włosów.

Jimmy znał zapach spalonych włosów, bo kiedyś nożyczkami do manikiuru odciął sobie kosmyk i podpalił go zapalniczką matki. Włosy skwierczały, zwinęły się jak stadko maleńkich czarnych robaków, więc odciął jeszcze kępkę i znów podpalił. Kiedy go przyłapano, miał całkiem wystrzępioną grzywkę. Zaatakowany bronił się, twierdząc, że przeprowadzał eksperyment.

Jego ojciec wybuchnął śmiechem, ale matka nie. Przynajmniej (powiedział ojciec) Jimmy'emu wystarczyło rozumu, żeby odciąć włosy, zanim je podpalił. Według matki mieli szczęście, że nie puścił domu z dymem. Potem pokłócili się o zapalniczkę, której by tam nie było (powiedział ojciec), gdyby matka nie paliła. Matka odparła, że wszystkie dzieci to w głębi duszy podpalacze i gdyby Jimmy nie miał zapalniczki, użyłby zapalek.

Ulżyło mu, kiedy wybuchła sprzeczka, bo wiedział, że nie zostanie ukarany. Musiał

tylko milczeć, a oni lada chwila mieli zapomnieć, o co się w ogóle pokłócili. Dopadły go jednak wyrzuty sumienia, w końcu to on był przyczyną awantury. Wiedział, że zaraz trzasa drzwi. Garbił się coraz bardziej i bardziej na krześle, słowa ze świstem przelatywały mu nad głową, a w końcu rozległo się trzaśnięcie – tym razem to jego matka – aż poszedł podmuch. Niemal prosto w jego uszy – uff! – jak zawsze przy takich okazjach.

– Nieważne, staruszku – powiedział ojciec. – Kobiety mają gorącą krew. Ochłonie. Zjedzmy sobie lody.

I tak właśnie zrobili, zjedli malinowe lody w miseczkach śniadaniowych w niebieskie i czerwone ptaszki, ręcznie malowanych w Meksyku, więc nie można ich było myć w zmywarce, i Jimmy pochłonał wszystko, by udowodnić tacie, że nic mu nie jest.

Kobiety i gorąca krew. Żar i chłód, przychodzące i odchodzące w dziwnej, piźmowo-kwiatowej zmiennej krainie pod ich ubraniem – tajemniczej, ważnej, niekontrolowanej. Tak to widział jego ojciec. Nic się jednak nie mówiło o męskiej temperaturze ciała; nikt o tym nie wspominał, nawet gdy Jimmy był bardzo mały. Czasem tylko jego tata radził: „Ochłoń”. Dlaczego nie? Dlaczego ani słowa o gorącej krwi mężczyzny? Tej gorącej krwi, tętniącej pod ubraniem o gładkich, ostro zakończonych kołnierzykach, gdzie kryła się ciemna, ognista, pokryta szczecina skóra. Przydałoby mu się kilka teorii na ten temat.

Następnego dnia ojciec zabrał go do fryzjera, gdzie w oknie wisiało zdjęcie ładnej dziewczyny z wydętymi ustami, w czarnym T-shircie zsuniętym z jednego ramienia. Gapiła się spode łba mocno umalowanymi ciemnymi oczyma, a jej fryzura przypominała kolce. Wewnątrz na terakocie wszędzie leżały włosy, w kępkach i kosmykach; zamiatano je szczotką. Najpierw Jimmy dostał czarną pelerynę, podobną do niemowlęcego śliniaka, i to mu się nie podobało, bo było dziecinne. Fryzjer ze śmiechem powiedział, że to nie śliniak, no bo czy ktoś kiedykolwiek widział niemowlaka w czarnym śliniaku? Tak doszli do porozumienia. Potem fryzjer krótko ostrzygł Jimmy’ego, żeby wyrównać postrzępione kosmyki, i może właśnie o to przede wszystkim wcześniej chodziło Jimmy’emu – o krótsze włosy. Później posmarowano je mazią ze słoika, żeby sterczały. Mazidło pachniało jak skórka pomarańczowa. Uśmiechnął się do siebie w lustrze i zrobił groźną minę, ściągając brwi.

– Twardy facet – powiedział fryzjer, kiwając głową do ojca Jimmy’ego. – Co za tygrys.

Strzepnął obcięte włosy Jimmy’ego na podłogę, razem z innymi, a potem energicznie zdjął z niego czarną pelerynę i zsadził go z fotela.

Przy ognisku Jimmy niepokoił się o zwierzęta, bo płonęły i na pewno je to bolało. Nie, wyjaśnił mu ojciec. Zwierzęta były martwe, jak steki i kiełbaski, tylko ze skórą.

I głowami, pomyślał Jimmy. Steki nie mają łbów. Te głowy stanowiły istotną różnicę. Wydawało mu się, że zwierzęta z wyrzutem patrzą na niego płonącymi oczyma. W pewnym sensie to wszystko – ognisko, odór spalenizny, ale przede wszystkim cierpiące stworzenia w płomieniach – działo się z jego winy, palcem nie kiwnął, żeby im pomóc. Jednocześnie ognisko wydawało mu się piękne – oświetlone niczym bożonarodzeniowe drzewko, gorejące bożonarodzeniowe drzewko. Miał nadzieję na eksplozję, jak w telewizji.

Ojciec chłopca stał obok i ścisnął jego dłonie.

– Weź mnie na ręce – powiedział Jimmy.

Ojciec uznał, że syn pragnie pociechy, co było prawdą, więc podniósł go i przytulił. Ale Jimmy chciał też lepiej widzieć.

– I tak to się kończy – powiedział tata Jimmy’ego, nie do syna, ale do nieznanego obok. – Nie da się powstrzymać.

Ojciec Jimmy’ego wydawał się zły; podobnie mężczyzna, gdy odpowiedział:

– Mówią, że celowo to sprowadzono.

– Nie zdziwiłbym się – odparł ojciec Jimmy’ego.

– Mogę dostać krowi róg? – zapytał Jimmy. Szkoda by było zmarnować okazję. Chciał poprosić o dwa, ale bał się przesadzić.

– Nie – odparł jego ojciec. – Nie tym razem, stary. – Poklepał Jimmy’ego po nodze.

– Zawyżają ceny – odezwał się mężczyzna. – Dlatego wybijają swoje stada.

– Zabijają, to prawda – powiedział z niesmakiem ojciec Jimmy’ego. – Ale może to wariaci. Jakaś sekta, no wiesz.

– Dlaczego nie? – spytał Jimmy. Nikt przecież nie chciał rogów. Tym razem jednak ojciec go zignorował.

– Pytanie, jak to zrobili? – Zadumał się. – Myślałem, że nasi ludzie całkowicie odgradzili nas od świata.

– Ja też tak myślałem. Nieźle zarabiają. Co robili ci goście? Nie płaci się im za spanie.

– Może chodzi o łapówkę. – Ojciec Jimmy’ego westchnął. – Sprawdź przelewy bankowe, chociaż trzeba być idiotą, żeby upchnąć takie pieniądze w banku. Tak czy owak, polecą za to głowy.

– Nie obejdzie się bez szczegółowego dochodzenia. Nie chciałbym być na ich miejscu – powiedział nieznanemu. – Kto przyjeżdża z zewnątrz?

– Monterzy. Furgonetki dostawcze.

– To wszystko powinno być na miejscu.

– Słyszałem, że takie są plany – oznajmił ojciec Jimmy’ego. – Ale ten wirus to coś nowego. Znamy bioprint.

- Do tanga trzeba dwojga – zauważył mężczyzna.
- Do tego tanga trzeba dowolnej liczby ludzi – poprawił go ojciec Jimmy’ego.

– Dlaczego te krowy i owce się paliły? – spytał następnego dnia Jimmy.

Jedli śniadanie, wszyscy troje, więc zapewne była niedziela. Dzień, w którym matka i ojciec zasiadali razem do śniadania.

Ojciec Jimmy’ego popijał drugą kawę i robił notatki na kartce wypełnionej cyframi.

– Trzeba je było spalić – odparł – żeby to się nie rozprzestrzeniło.

Nie uniósł wzroku; bawił się kieszonkowym kalkulatorem, przyciskał klawisze ołówkiem.

– Co się nie rozprzestrzeniło?

– Choroba.

– Co to jest choroba?

– Choroba jest wtedy, kiedy kaszlesz – powiedziała jego matka.

– Jeśli będę kaszlał, to też mnie spalą?

– Najprawdopodobniej. – Ojciec przewrócił kartkę na drugą stronę.

Jimmy się przestraszył, bo kaszlał tydzień wcześniej. W każdej chwili znowu mógł zacząć się krztusić; już czuł, że coś drapie go w gardle. Oczyma duszy widział swoje włosy w ogniu, nie jeden czy dwa kosmyki na talerzyku, ale wszystkie, razem z głową. Nie chciał trafić na stos pełen krów i owiec. Wybuchnął płaczem.

– Ile razy mam ci powtarzać? – Matka westchnęła. – Jest za mały.

– Tatuś znowu udaje potwora – oznajmił ojciec Jimmy’ego. – To był żart, stary. No wiesz, żart. Ha, ha.

– On nie rozumie takich żartów.

– Na pewno rozumie. Prawda, Jimmy?

– Tak. – Jimmy pociągnął nosem.

– Daj tatusiowi spokój – mruknęła matka. – Tatuś myśli. Za to mu płacą. Nie ma teraz dla ciebie czasu.

Ojciec cisnął ołówkiem o blat.

– Rany, możesz to sobie darować?

Matka Jimmy’ego wrzuciła papierosa do na wpół opróżnionej filiżanki z kawą.

– Chodź, Jimmy, pójdziemy na spacer.

Pociągnęła syna za rękę i z przesadną starannością zamknęła za nimi drzwi. Nawet nie włożyli płaszczy. Ani płaszczy, ani czapek. Matka miała na sobie szlafrok i kapcie.

Niebo było szare, wiatr przenikliwy; szła z opuszczoną głową i rozwianymi włosami. Obeszli dom po przemoczonym trawniku, bardzo szybko, ramię w ramię. Jimmy miał wrażenie, że coś o żelaznym uścisku wlecze go przez morską otchłań. Czuł, że się miota, jakby lada moment wszystko wokół niego miało się rozpaść i odpłynąć. Jednocześnie czuł też podniecenie. Patrzył na kapcie matki – już były uwalane wilgotną

ziemią. Miałby poważne kłopoty, gdyby to on tak załatwił swoje kapcie.

Zwolnili, potem przystanęli. Matka mówiła do niego spokojnym głosem miłej pani z telewizji, co oznaczało, że się wściekła.

– Choroba – powiedziała – jest niewidzialna ze względu na swoje małe rozmiary. Może latać w powietrzu albo kryć się w wodzie, albo na brudnych palcach małych chłopców, i dlatego nie wolno wpychać palców do nosa, a potem do ust, i dlatego należy myć ręce po każdym pobycie w ubikacji, i dlatego nie wolno wycierać...

– Wiem – przerwał Jimmy. – Mogę wrócić do domu? Zmarzłem.

Matka zachowywała się tak, jakby nic do niej nie docierało.

– Choroba – ciągnęła tym spokojnym, pełnym napięcia głosem – wchodzi w człowieka i zmienia rzeczy w środku. Przesławia komórkę po komórce, a przez to komórki chorują. Człowiek składa się z małych komórek, współpracujących ze sobą, żeby utrzymać go przy życiu, i jeśli wiele tych komórek zachoruje, to...

– Mógłbym zacząć kaszleć – powiedział Jimmy. – Mógłbym zacząć kaszleć właśnie teraz. – Zademontrował kasznięcie.

– Och, nieważne – rzuciła jego matka. Często usiłowała wytłumaczyć mu pewne sprawy; szybko się zniechęcała. Były to najgorsze chwile dla nich obojga. Opierał się jej, udawał, że nie rozumie, nawet kiedy rozumiał, zachowywał się jak głupek, ale nie chciał, by machnęła na niego ręką. Chciał, żeby była dzielna, chciał, żeby robiła, co w jej mocy, żeby zburzyła mur, którym się otoczył, żeby nie rezygnowała.

– Chcę posłuchać o małych komórkach – odezwał się, jęcząc jak najgłośniej. – Chcę!

– Nie dzisiaj – powiedziała. – Wracajmy do domu.

Farmy OrganSA

Ojciec Jimmy'ego pracował dla Farm OrganSA. Był genografem, jednym z najlepszych w swojej dziedzinie. Najważniejsze badania nad mapowaniem proteomu przeprowadził jako doktorant, a następnie pomógł stworzyć Mysz Matuzalem w ramach Operacji Nieśmiertelność. W Farmach OrganSA był jednym z głównych twórców świniów, razem z zespołem specjalistów od transplantacji i mikrobiologów, którzy zajmowali się splicingiem² jako częścią walki z zakażeniami. Świnion było tylko zdrobnieniem, oficjalna nazwa brzmiała wieloorganownik. Wszyscy jednak mówili świniów. Czasem używali nazwy Chlewnia OrganSA, ale rzadziej. Tak naprawdę to wcale nie były chlewnie, nie takie jak na obrazkach.

Celem projektu świniów było wyhodowanie niezawodnych ludzkich organów w świni transgenicznej – organów, które będzie można łatwo transplantować bez ryzyka odrzutu i które zdołają odeprzeć atak mnożących się z roku na rok opornych mikrobów i wirusów. Świnionom dodano gen szybkiego dorostania, żeby nerki, wątroby i serca szybciej dojrzewały; teraz udoskonalano świnię o pięciu lub sześciu nerkach. Po usunięciu dodatkowych nerek takie stworzenie zamiast ginąć, mogło sobie żyć i wyhodować jeszcze więcej organów, na podobnej zasadzie, na jakiej homarowi odrasta para szczypiec w miejsce brakujących. W ten sposób mniej się marnowało – trzeba było mnóstwa pokarmu i starań, żeby wyhodować świnię. Farmy OrganSA pochłaniały ogromne fundusze inwestycyjne.

Wszystko to wytłumaczono Jimmy'emu, gdy był już wystarczająco duży.

Wystarczająco duży, myśli Yeti i drapie się dookoła, a nie bezpośrednio w ranę. Co za głupie określenie. Wystarczająco duży na co? Na picie, pieprzenie się, wymądrzanie? Co za dupek odpowiadał za takie decyzje? Na przykład sam Yeti nie jest wystarczająco duży na tę, tę... jak to nazwać? Tę sytuację. Nigdy nie będzie, żaden człowiek przy zdrowych zmysłach by nie był...

„Każdy z nas musi podążać swoją ścieżką”, mówi głos w jego głowie, tym razem męski głos, głos fałszywego guru, „a każda ścieżka jest inna. To nie charakter samej ścieżki powinien zajmować poszukującego, ale łaska, siła i cierpliwość, z którą każde z nas podąża za niekiedy trudnym...”.

– Wypchaj się – mówi Yeti. Jakiś tandetny poradnik samoświadomości, nirwana dla

półgłówków. Chociaż nęka go niepokojące uczucie, że sam mógł napisać tę perełkę.
W lepszych czasach, naturalnie. O wiele lepszych.

Organy świnionów można było tworzyć na zamówienie, wykorzystując komórki indywidualnych ludzkich dawców. Organy te mroziło się i wykorzystywało w razie potrzeby. Było to o wiele tańsze niż klonowanie samego siebie w celu uzyskania części zamiennych – trzeba tylko wyeliminować kilka trudności, jak mawiał tata Jimmy’ego – albo trzymanie na organy dziecka lub dwóch w nielegalnym dziecięcym sadzie. W reklamówkach i materiałach promocyjnych, błyszczących i starannie opracowanych, położono nacisk na skuteczność i korzyści dla zdrowia płynące z wykorzystania świnionów. Nieprzekonanych uspokajano twierdzeniem, że żadne z martwych stworzeń nie kończy jako bekon i kiełbaski – nikt nie chciałby jeść zwierząt, których część komórek nie różni się od jego własnych.

Czas mijał i przybrzeżne formacje wodonośne stały się słone, wieczny lód na północy zniknął, potężna tundra bulgotała metanem, na środkowokontynentalnych obszarach nizinnych szalały susze, azjatyckie stepy zamieniły się w piaskowe wydmy i coraz trudniej było zdobyć mięso, lecz mimo to niektórzy nadal mieli wątpliwości. W samych Farmach OrganSA kanapki z bekonem i szynką oraz paszтет wieprzowy pojawiały się w menu wyjątkowo często. Oficjalna nazwa lokalu brzmiała Bistro André, ale stali bywalcy nazywali go Korytem. Jimmy jadał tam lancz z ojcem w dniach, gdy mama czuła się udręczona. Kobiety i mężczyźni przy sąsiednich stolikach stroili sobie kiepskie żarty.

– Znowu paszтет ze świniona – mówili. – Naleśniki ze świniona, popcorn ze świniona. No już, Jimmy, jedz!

To przygnębiało Jimmy’ego; nie bardzo wiedział, co powinno się jadać. Nie chciał jeść świnionów, bo uważał je za istoty podobne do niego. Ani on, ani one nie miały wpływu na otaczającą ich rzeczywistość.

– Nie zwracaj na nich żadnej uwagi, skarbie – mówiła Ramona. – Tylko się z tobą drażnią, wiesz?

Ramona była jednym z techników laboratoryjnych ojca. Często jadała lancz z nimi oboma, z Jimmym i tatą. Była młoda, młodsza od ojca, nawet od matki; przypominała trochę dziewczynę ze zdjęcia w oknie fryzjera, miała podobnie wydęte wargi i duże oczy, duże i umalowane. Jednak często się uśmiechała i nie nosiła kolczastej fryzury. Jej włosy były miękkie i ciemne. Włosy matki Jimmy’ego miały odcień, który ona sama nazywała brudnym blondem. („Zbyt czystym”, mawiał ojciec. „Hej! To żart. Żart! Tylko mnie nie zabij!”).

Ramona zawsze zamawiała sałatkę.

– Jak tam Sharon? – pytała ojca Jimmy’ego, patrząc na niego szeroko otwartymi poważnymi oczyma. Sharon była matką Jimmy’ego.

- Nie najlepiej – odpowiadał.
- Niedobrze.
- To problem. Zaczynam się martwić.

Jimmy patrzył, jak jadła. Brała do ust bardzo małe kęsy i jakimś cudem nie chrupała, żując sałatę. Podobnie świeże marchewki. Było to zadziwiające, zupełnie jakby rozpuszczała to twarde, chrupkie jedzenie i wsysała je w siebie niczym kosmiczny komaropodobny stwór na DVD.

– Może powinna, no wiesz, zobaczyć się z kimś? – Ramona z troską uniosła brwi. Miała na powiekach fioletoworóżowy cień, nieco zbyt obficie nałożony; zbijał się w grudki. – Robią rozmaite rzeczy, istnieje tyle nowych tabletek...

Ramona podobno była genialnym technikiem, ale mówiła jak dziewczyny reklamujące żel do kąpieli. Tata Jimmy'ego twierdził, że nie jest głupia, tylko że nie chce wykorzystać mocy swoich neuronów do tworzenia długich zdań. W OrganSA było mnóstwo takich ludzi, nie tylko kobiety. Ojciec Jimmy'ego twierdził, że to ludzie liczb, nie słów. Jimmy już rozumiał, że on sam nie jest człowiekiem liczb.

– Nie myśl, że tego nie sugerowałem, przeprowadziłem rekonesans, znalazłem najlepszego specjalistę, umówiłem ją, ale nie poszła. – Ojciec Jimmy'ego wbił spojrzenie w stolik. – Ma własne zdanie.

- Co za szkoda, taka strata. Przecież była taka bystra.
- O, nadal jest bystra – odparł ojciec Jimmy'ego. – Bystrość aż wychodzi jej uszami.
- Ale była taka, no wiesz...

Widelec Ramony wysuwał się z jej palców i oboje wpatrywali się w siebie, jakby w poszukiwaniu idealnego przymiotnika do opisania matki Jimmy'ego w przeszłości. Po chwili zauważali, że Jimmy słucha, i bombardowali go swoją uwagą niczym promieniami kosmicznymi. O wiele za intensywnie.

- Jimmy, skarbie, co tam w szkole?
- Jedz, staruszk, zjadaj skórki, wyrosną ci włosy na piersi!
- Mogę iść popatrzeć na świniony? – pytał Jimmy.

Świniony były o wiele większe i tłustsze niż zwykłe śwynie, musiały pomieścić w sobie dodatkowe organy. Trzymano je w odizolowanych, pilnie strzeżonych budynkach; porwanie świniiona i jego starannie wyselekcjonowanego materiału genetycznego przez rywalizujący zespół badawczy oznaczałoby katastrofę. Kiedy Jimmy chodził odwiedzić świniony, musiał wkładać bioskafander, o wiele za duży, nosić maskę i myć ręce odkażającym mydłem. Najbardziej lubił małe świnionaki, dwanaście z jednej matki, ssące w rządkiem mleko. Były urocze. Dorosłe osobniki o wilgotnych ryjach i maleńkich oczach okolonych białymi rzęsami patrzyły na niego, jakby go widziały, naprawdę widziały, i wiązały z nim jakieś plany.

- Świniony, balony, świniony, balony – podśpiewywał, żeby je uspokoić,

przechylając się przez ogrodzenie kojca.

Tuż po myciu kojce nie śmierdziały aż tak strasznie. Cieszył się, że nie mieszka w kojcu, gdzie musiałyby leżeć w kupie i sikach. Świniony nie miały toalet i załatwiały się, gdzie popadnie – przez to odczuwał coś w rodzaju wstydu. Ale już od dawna nie moczył się w nocy, przynajmniej tak mu się wydawało.

– Nie wpadnij – upominał go ojciec. – Pożrą cię w mgnieniu oka.

– Nie pożrą – mówił Jimmy.

Bo jestem ich przyjacielem, myślał. Bo im śpiewam. Żałował, że nie ma długiego patyka, by je szturchać – nie chciał robić im krzywdy, tylko zmusić je do biegania. Spędzały o wiele za dużo czasu na nicnierobieniu.

Kiedy Jimmy był malutki, mieszkali w jednym z Modułów – w parterowym drewnianym domu typu kanadyjskiego. Zostały stamtąd zdjęcia Jimmy’ego w przenośnym kojcu na werandzie, z datą i tak dalej, matka włożyła je do albumu, gdy jej jeszcze zależało. Teraz żyli w obszernej późnogeorgiańskiej rezydencji z wewnętrznym basenem i niewielką siłownią. Meble nazywano kopiami. Jimmy był już całkiem duży, kiedy zdał sobie sprawę, co to oznacza – że gdzieś istnieje oryginał każdej kopii. Albo istniał. Czy coś w tym rodzaju.

Dom, basen, meble – wszystko należało do Kompleksu OrganSA, gdzie niegdyś mieszkała sama śmietanka. Ostatnio pojawiło się tu coraz więcej kierowników średniego szczebla i naukowców niższego szczebla. Ojciec Jimmy’ego twierdził, że tak jest lepiej, bo nikt nie musi dojeżdżać do pracy z Modułów. Mimo sterylnych korytarzy transportowych i szybkieżnych pociągów wyjazdu do miasta zawsze wiązały się z ryzykiem.

Jimmy nigdy nie był w mieście. Widział je w telewizji: nieprzeliczone korytarze, neony i rzędy budynków, wysokich i niskich; niekończące się zapuszczone ulice, liczne różnorodne pojazdy, niektórym z tyłu buchał dym; tysiące ludzi spieszących się, radosnych, zbuntowanych. Były też inne miasta, odległe i bliskie; w niektórych znajdują się lepsze rejony, mówił ojciec, niemal takie jak w Kompleksie, pełne domów otoczonych wysokim murem, ale te rzadko pokazywano w telewizji.

Mieszkańcy Kompleksu bez potrzeby nie jeździli do miasta, a już na pewno nie sami. Nazywali miasta plebsopoliami. Mimo daktyloskopijnych identyfikatorów noszonych przez mieszkańców, w plebsopoliach szwankował sektor bezpieczeństwa publicznego – krążyli tam ludzie, którzy mogli sfałszować wszystko i być każdym, a także wyrzutki: narkomani, uliczni bandyci, biedacy, szaleńcy. Dlatego najlepiej było, gdy pracownicy Farm OrganSA mieszkali w jednym, starannie strzeżonym miejscu.

Mury, bramy i reflektory OrganSA oddzielały ich od nieprzewidywalnego. Wewnątrz było tak, jak w dzieciństwie taty Jimmy’ego, zanim sprawy się pokomplikowały. Tak przynajmniej twierdził tata. Matka mówiła, że to wszystko jest sztuczne, że to park

rozrywki i nie sposób przywrócić dawnych czasów, ale ojciec pytał, dlaczego to niszczyć. Można spacerować bez strachu, prawda? Przejechać się na rowerze, usiąść w kawiarnianym ogródku, kupić lody w waflu? Jimmy wiedział, że ojciec ma rację, bo sam robił te wszystkie rzeczy.

Jednak KorpuSOKorp – ci, na których ojciec Jimmy’ego mówił „nasi ludzie” – musieli być w pogotowiu. Kiedy się ma tyle do stracenia, nie można przewidzieć, co zrobi druga strona. Druga strona czy też drugie strony: należało uważać na więcej niż jedną drugą stronę. Inne firmy, inne kraje, rozmaite frakcje i spiskowców. Wokół jest za dużo sprzętu, mawiał ojciec Jimmy’ego. Za dużo sprzętu, za dużo oprogramowania, za dużo wrogich bioform, za dużo broni rozmaitych rodzajów. Za dużo zazdrości, fanatyzmu i złej wiary.

– Dawno temu, w czasach rycerzy i smoków, królowie i książęta żyli w zamkach. Otaczały je wysokie mury, mosty zwodzone i otwory w wałach obronnych, i przez te otwory wylewało się gorącą smołę na wrogów – powiedział ojciec Jimmy’ego. –

Kompleksy są czymś w tym rodzaju. Zamki budowano po to, żebyś wraz ze swoimi przyjaciółmi nie czuł zagrożenia i żeby wszyscy inni trzymali się z dala od was.

– Jesteśmy królami i książętami? – spytał Jimmy.

– Zdecydowanie. – Ojciec wybuchnął śmiechem.

² Splicing – składanie RNA, czyli proces usuwania intronów z cząsteczki RNA i łączenia eksonów tak, by powstał funkcjonalny RNA.

Lancz

Dawniej Farmy OrganSA zatrudniały matkę Jimmy'ego. Tak poznała jego ojca: oboje pracowali w tym samym Kompleksie, nad tym samym projektem. Matka była mikrobiologiem – jej zadanie polegało na badaniu białek bioform niezdrowych dla świniaków i modyfikacji ich receptorów w taki sposób, żeby nie wiązały się z receptorami komórek świniaków, oraz na wynajdywaniu lekarstw, które zadziałają jako blokery.

– To bardzo proste – powiedziała Jimmy'emu, kiedy nasza ją rzadka ochota na wyjaśnienia. – Złe mikroby i wirusy chcą się dostać przez drzwi komórek i zjeść świniaki od środka. Mamusia musi pozamykać te drzwi.

Na ekranie komputera pokazywała Jimmy'emu zdjęcia komórek, zdjęcia mikrobów, zdjęcia mikrobów, które dostają się do organizmów, infekują je i rozrywają, zbliżenia białek, zdjęcia dawniej testowanych leków. Te fotografie wyglądały jak puszek z cukierkami w supermarkecie – czysta plastikowa puszka okrągłych cukierków, czysta plastikowa puszka żelków, czysta plastikowa puszka długich pałeczek lukrecji. Komórki były niczym czyste plastikowe puszki z wieczkami, które można podnosić.

– Dlaczego już nie robisz zamków do drzwi? – zapytał Jimmy.

– Bo chciałam zostać z tobą w domu – odparła.

Popatrzyła nad głowę syna i zaciągnęła się papierosem.

– A świniaki? – dopytywał się z niepokojem. – Czy mikroby w nie wejda?

Nie chciał, żeby jego przyjaciele wybuchali niczym zarżone komórki.

– Teraz inni nad tym pracują – wyjaśniła mu matka.

Chyba nic jej to nie obchodziło. Pozwoliła Jimmy'emu bawić się obrazkami na komputerze, a kiedy już potrafił obsługiwać programy, mógł rozpętywać wojny – komórki przeciw mikrobom. Powiedziała, że nic się nie stanie, jeśli utraci dane na komputerze, bo i tak są nieaktualne. Chociaż w pewne dni – kiedy wydawała się aktywna i zdeterminowana, skupiona i spokojna – sama miała ochotę pograć na komputerze. Lubił takie chwile. Wyglądało na to, że matka dobrze się wtedy bawi. I była przyjazna. Była jak prawdziwa matka, a on jak prawdziwe dziecko. Tyle że te jej nastroje nie trwały długo.

Kiedy rzuciła pracę w laboratorium? Jimmy właśnie rozpoczął naukę w szkole OrganSA, był w pierwszej klasie. Nie miało to sensu, bo skoro chciała zostać z synem,

dlaczego zrobiła to dopiero wtedy, gdy przestał siedzieć w domu? Nie potrafił odgadnąć powodów, a kiedy pierwszy raz usłyszał ten argument, był za mały, by nad tym rozmyślać. Wiedział jedynie, że odesłano Dolores, mieszkającą z nimi gosposię z Filipin, i bardzo za nią tęsknił. Mówiła na niego Jim-Jim, śmiała się i cieszyła, gotowała mu jajka tak, jak lubił, śpiewała piosenki i w ogóle go rozpuszczała. Dolores jednak odeszła, bo teraz prawdziwa mama Jimmy'ego miała siedzieć w domu przez cały czas – oznajmili mu to niczym dobrą nowinę – a nikt nie potrzebuje dwóch mam, prawda?

Owszem, potrzebuje, myśli Yeti. O tak, naprawdę potrzebuje.

Yeti dobrze pamięta swoją matkę – matkę Jimmy'ego – w szlafroku, przy kuchennym stole, kiedy wracał ze szkoły na lancz. Przed nią stała nietknięta filiżanka kawy; matka wyglądała przez okno i paliła. Szlafrok miał karmazynową barwę, która nadal wzbudza w nim niepokój. Z zasady lancz nigdy na niego nie czekał, Jimmy sam musiał go sobie przygotowywać, matka zaś monotonnym głosem udzielała mu wskazówek. („Mleko jest w lodówce. Po prawej. Nie, po prawej. Nie wiesz, która ręka jest prawa?”) Wydawała się strasznie zmęczona; może to on ją męczył. A może była chora.

– Jesteś zarażona? – zapytał ją pewnego dnia.

– Co masz na myśli, Jimmy?

– Jak komórki?

– Ach. Rozumiem. Nie, nie jestem – odparła. A po chwili dodała: – Może i tak.

Kiedy jednak jego twarz się pomarszczyła jak przed atakiem płaczu, zaczęła zaprzeczać.

Najbardziej na świecie Jimmy pragnął ją rozśmieszyć – sprawić, żeby była szczęśliwa, jak pewnego razu, który dobrze pamiętał. Opowiadał jej o śmiesznych rzeczach, które wydarzyły się w szkole, albo zwyczajnie zmyślał. („Carrie Johnson zrobiła kupę na podłogę”). Skacząc po pokoju, zezował i popiskiwał jak małpa. Ta sztuczka robiła wrażenie na niektórych małych dziewczynkach w klasie i na niemal wszystkich chłopcach. Paćkał nos masłem orzechowym i usiłował je zlizać. Te czynności zazwyczaj irytowały matkę: „To nie jest śmieszne, tylko obrzydliwe”. „Przestań, Jimmy, przez ciebie boli mnie głowa”. Czasem jednak uśmiechała się do niego albo była miłsza. Nigdy nie wiedział, jak zareaguje.

Z rzadka czekał na niego prawdziwy lancz, tak podany i ekstrawagancki, że go przerażał – z jakiej okazji? Nakrycie, papierowa serwetka – kolorowa papierowa serwetka niczym na przyjęciu – kanapka z masłem orzechowym i dżemem, jego ulubiony zestaw; tyle że kanapka była okrągła, wyglądała jak buzia z masła orzechowego przyozdobiona dżemowym uśmiechem. Matka była ładnie ubrana, a jej uszminkowany uśmiech przypominał dżemowy uśmiech kanapki, i z entuzjazmem słuchała syna i jego głupich historyjek, a jej oczy były niebieskie jak nigdy. W takich

chwilach przywodziła mu na myśl porcelanową umywalkę: czystą, lśniącą, twardą.

Wiedział, że chciała, by docenił jej wysiłki związane z przygotowaniem lanczu, więc się starał.

– O rany, moja ulubiona kanapka – mówił, przewracając oczyma, i pocierał brzuch; przesadne, karykaturalne gesty. Ale dostawał, co chciał, bo się śmiała.

Gdy urósł i zmądrzał, odkrył, że w dni, w które nie miał co liczyć na jej przychyłność, mógł przynajmniej ją prowokować. Wszystko było lepsze od tego monotonnego głosu, pustych oczu, bezmyślnego wyglądania przez okno.

– Mogę mieć kota? – zaczynał.

– Nie, Jimmy, nie możesz mieć kota. Już to przerabialiśmy. Koty roznoszą choroby, które mogłyby zaszkodzić świnionom.

– Przecież to cię nie obchodzi. – To chytrym głosem.

Westchnienie, kłęb dymu.

– Ale innych tak.

– A mogę mieć psa?

– Nie. Psa też nie. Nie masz nic do roboty w swoim pokoju?

– Mogę mieć papugę?

– Nie. Przestań. – Tak naprawdę nie słuchała.

– Mogę mieć nic?

– Nie.

– To dobrze. – Śmiał się. – Nie mogę mieć niczego! Muszę coś mieć! Co muszę mieć?

– Jimmy czasem strasznie mnie męczysz, wiesz?

– Mogę mieć siostrzyczkę?

– Nie!

– A braciszka? Proszę.

– Nie znaczy nie! Słyszałeś? Powiedziałam, że nie!

– Dlaczego nie?

To był gwóźdź programu, załatwiał sprawę. Mogła wybuchnąć płaczem, zerwać się i wybiec z pokoju, zatraskując za sobą drzwi, świst powietrza. Wybuchnąć płaczem i przytulić go. Rozbić filiżankę, wrzeszcząc:

– Co za dno, dno totalne, co za beznadzieja!

Mogła go nawet uderzyć, a po chwili przytulić i wybuchnąć płaczem. Mogła zrobić cokolwiek.

Albo po prostu płakać, z głową opartą na rękach. Trzęsąc się, walczyła o oddech, krztusiła się i szlochała. Wtedy nie wiedział, co robić. Tak bardzo ją kochał, gdy ją unieszczęśliwiał – czy też kiedy ona go unieszczęśliwiała, w takich chwilach nie wiedział, kto kogo. Poklepywał ją, trzymając się na dystans, jak w pobliżu nieznanych psów, wyciągał rękę i powtarzał:

– Przykro mi, przykro mi.

Było mu przykro, ale nie do końca. Triumfował, gratulował sobie, że zdołał ją doprowadzić do takiego stanu.

Poza tym się bał. Zawsze balansował na krawędzi: czy posunął się za daleko? A jeśli tak, co się zdarzy?

Sjesta

Południe jest najgorsze przez ten blask i wilgoć. Około jedenastej Yeti wraca do lasu, znika morzu z oczu, bo atakują go złe promienie odbite od wody, nawet gdy jest osłonięty przed słońcem na niebie, a wtedy czerwieni się i pokrywa pęcherzami. Przydałby mu się jakiś porządny filtr przeciwsłoneczny, tylko gdzie go szukać?

W pierwszym tygodniu, gdy miał więcej energii, zbudował sobie altanę z opadłych gałęzi, taśmy klejącej i plastikowego brezentu, który znalazł w bagażniku rozbitego auta. Wtedy jeszcze miał scyzoryk, ale zgubił go po tygodniu, a może po dwóch? Musi sprawniej kontrolować upływ czasu. To był kieszonkowy scyzoryk z dwoma ostrzami, szydłem, maleńką piłką, pilnikiem do paznokci i korkociągiem. I maleńkimi nożyczkami, którymi przycinał sobie paznokcie albo taśmę. Żał mu nożyczek.

Podobny scyzoryk dostał na dziewiąte urodziny od ojca. Ojciec zawsze dawał mu narzędzia, żeby wyrobić w nim zmysł praktyczności. W jego opinii Jimmy nie zdołałby nawet wkręcić żarówki. „Kto chciałby kręcić z żarówką?”, mówi głos w głowie Yeti, tym razem to głos estradowego komika. „Lepiej sobie znaleźć jakąś przyzwoitą panienkę”.

– Zamknij się – mówi Yeti.

– Dałeś ojcu dolara? – spytała Oryks, kiedy opowiedział jej o scyzoryku.

– Nie. Po co?

– Musisz zapłacić, jeśli ktoś obdarowuje cię nożem. Wtedy nóż nie przyniesie ci pecha. Nie chciałabym, żebyś miał pecha, Jimmy.

– Kto ci to powiedział?

– Ktoś – odparła Oryks. Ktoś odgrywał ważną rolę w jej życiu.

– Jaki ktoś?

Ten ktoś budził jego nienawiść – ktoś bez twarzy, bez oczu, pełen drwiny, złożony tylko z rąk i kutasa, pojedynczy, podwójny, wielokrotny – ale Oryks, chichocząc, szeptała mu do ucha: „och, taki jeden”, więc jak mógł się skoncentrować na tej głupiej, zapiekłej nienawiści?

W małej altanie spał na składanym łóżku polowym, które przywłókł tu z bungalowu położonego kilometr dalej, piankowym materacu na metalowej ramie ze sprężynowym rusztowaniem. Pierwszej nocy zaatakowały go mrówki, więc wypełnił wodą cztery

puszki i wstawił w nie nogi łóżka. To zniechęciło owady. Jednak gorące wilgotne powietrze pod brezentem było koszarne: w nocy, na ziemi, bez wiatru wilgotność zdawała się wynosić sto procent; oddech Yeti zaparowywał plastik.

Także szopunksy dawały mu się we znaki, ryły pośród liści i obwąchiwały jego stopy, węsząc wokół, jakby już zmienił się w odpadki; pewnego ranka po przebudzeniu ujrzał, że trzy świniomy gapią się na niego przez plastik. Jeden był samcem; mignął mu lśniący biały kieł. Świniom teoretycznie brakowało kłów, ale może znowu zdziaczały, w przyspieszonym tempie ze względu na geny szybkiego dojrzewania. Wrzasnął na nie i zamachał rękoma, a wtedy uciekły. Któż jednak mógł przewidzieć, co zrobią następnym razem? One albo wilksy; w końcu rozumieją, że Yeti już nie ma miotacza. Wyrzucił go, kiedy zabrakło wirtualnych pocisków. Głupio, że nie zwinął także ładowarki – taki sam błąd jak zbudowanie sobie kwatery na ziemi.

Przeniósł się zatem na drzewo. Tam nie było świniomy ani wilksów, niewiele szopunksów – wolały leśne podszycie. Wśród największych gałęzi z kawałków drewna i taśmy skonstruował prowizoryczną platformę. Nieźle mu poszło: lepiej sobie radził z majsterkowaniem, niż podejrzewał jego ojciec. Zaciągnął tam piankowy materac, ale musiał go wyrzucić, kiedy wypełnienie spleśniało i zaczęło zwodniczo zalatywać zupą pomidorową.

Plastikowy brezent podarł się podczas nietypowo gwałtownej burzy. Rama łóżka jednak wciąż tu jest; może ją wykorzystywać w południe. Odkrył, że kiedy wyciągnie się płasko na plecach, rozłoży ramiona i odrzuci prześcieradło, jak święty gotów do smażenia, lepiej mu niż na ziemi: przynajmniej powietrze dociera do ciała.

Nagle znikąd pojawia się słowo: mezozoiczny. Widzi to słowo, słyszy je, ale nie potrafi do niego dotrzeć. Nie umie niczego z nim skojarzyć. Ostatnio to się dzieje zbyt często, ten brak znaczenia, hasła na jego ukochanej liście słów odpływają w niebyt.

– To przez upał – powtarza sobie. – Będzie lepiej, kiedy spadnie deszcz.

Tak bardzo się poci, że niemal to słyszy; strużki potu spływają mu po ciele, tyle że czasem to nie pot, lecz owady. Najwyraźniej upodobały go sobie żuki. Żuki, muchy, pszczoły, jakby był padliną albo jednym z bardziej śmierdzących kwiatów.

W południe najlepsze jest to, że przynajmniej nie czuje głodu. Na samą myśl o jedzeniu jest mu niedobrze, jakby musiał jeść tort czekoladowy w łaźni. Żałuje, że nie może się ochłodzić, wywalając język.

Teraz słońce świeci z całej mocy; stoi w zenicie, tak to kiedyś nazywano. Yeti rozpląszcza się na rusztowaniu, w płynnym cieniu, poddaje upałowi. „Udawajmy, że to wakacje!”. Tym razem głosem nauczycielki, ożywionym, protekcyjnym. Pani Stratton „Mów mi Sally”, z wielkim tyłkiem. „Udawajmy to, udawajmy tamto”. Przez pierwsze trzy lata szkoły zmuszali człowieka do udawania, a potem go deprecjonowali, jeśli robił to samo. „Udawajmy, że jestem tu z tobą, wielki tyłek i cała reszta, gotowa

wyssać ci mózg przez fiuta”.

Czyżby coś drgnęło? Spogląda na siebie: nic. Sally Stratton znika, i dobrze. Musi znaleźć jakieś inne, lepsze sposoby spędzania swojego wolnego czasu. Swojego czasu, co za pomysł, zupełnie jakby dostał całe pudło czasu należącego wyłącznie do niego, pełne godzin i minut, z którymi Yeti może zrobić, co zechce. Problem w tym, że pudło jest dziurawe, czas ucieka, niezależnie od tego, co się z nim robi.

Mógłby coś wystrugać. Szachy, i grać sam ze sobą. Grywał w szachy z Derkaczem, ale przez komputer, nie prawdziwymi figurami. Zazwyczaj zwyciężał Derkacz. Gdzieś musi być inny nóż; jeśli się na to nastawi, zacznie szukać, przejrzy resztki, z całą pewnością coś znajdzie. Teraz, kiedy o tym myśli, zdumiewa go, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

Pozwala pamięci popłynąć do popołudnia z Derkaczem. Na początku to było takie niewinne. Grali w Wymaraton albo inną grę. Trójwymiarowe Waco, Atak Barbarzyńców, Szybkiego Osamę. We wszystkich wykorzystywano analogiczne strategie: musiałeś wiedzieć, dokąd się kierujesz, zanim tam dotarłeś, ale także dokąd zmierza ten drugi. Derkacz nieźle sobie radził w tych grach, gdyż był mistrzem uskoków. Jimmy czasem wygrywał w Szybkiego Osamę, gdy tylko Derkacz grał po stronie Niewiernych.

Nie zdołałby jednak wystrugać takiej gry. Musi zadowolić się szachami.

Mógłby też prowadzić dziennik, spisywać wrażenia. Na pewno wszędzie wala się mnóstwo papierów, w niespalonych wnętrzach, nadal hermetycznych, a także długopisy i ołówki. Widział je podczas swoich grabieży, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby któryś zabrać. Mógłby naśladować kapitanów statków z dawnych czasów: okręt tonie podczas sztormu, kapitan siedzi w swojej kabinie, skazany na śmierć, lecz nieustraszony, zapełnia dziennik pokładowy. Były takie filmy. Albo zachowywać się jak rozbitkowie na bezludnych wyspach, opisujący jeden nudny dzień za drugim. Lista zapasów, spostrzeżenia na temat pogody, drobne czynności – przyszywanie guzika, pożarcie małża.

On też jest swego rodzaju rozbitkiem. Mógłby sporządzać listy. Jego życie miałyby jakąś strukturę.

Ale nawet rozbitek zakłada istnienie przyszłego czytelnika, kogoś, kto w końcu się pojawi, znajdzie jego kości i księgę, pozna jego losy. Yeti nie może poczynić takich założeń – nie będzie miał czytelnika, Derkaczanie nie umieją czytać. Każdy czytelnik, którego mógłby sobie wyobrazić, należy do przeszłości.

Gąsienica opuszcza się na nitce, wirując powoli niczym cyrkowa artystka, coraz bliżej jego torsu. Jest soczyście, nierealnie zielona, jak żelek, pokryta drobnymi jaskrawymi włoskami. Przyglądając się jej, Yeti czuje nagły niewytłumaczalny przypływ czułości i radości. Unikatywne, myśli. Nigdy nie będzie drugiej takiej samej

gąsienicy. Nigdy już nie będzie takiej chwili, takiego zbiegu okoliczności jak ten.

Te myśli, przebłyski irracjonalnego szczęścia, przychodzą mu do głowy bez żadnego powodu. Zapewne przez niedobór witamin.

Gąsienica nieruchomieje, poruszając w powietrzu tępą głową. Jej wielkie, bezmyślne oczy wyglądają jak przednia część hełmu policjanta posłanego do tłumienia zamieszek. Może gąsienica wacha Yeti, wyczuwa jego chemiczną otoczkę.

– Nie po tośmy tutaj, by marzyć, by śnić – mówi jej. – Robota nas czeka, by błyszczeć, by lśnić.

Z jakiego zanikającego zasobnika nerwowego w jego mózgu to się wzięło? Z lekcji praktycznych umiejętności w gimnazjum. Nauczyciel był niezdarnym odrzutkiem z fascynujących czasów rozkwitu dotcomów, lata świetlne temu. Miał sprężysty ogonek ściągnięty z tyłu łysiejącej głowy i kurtkę ze sztucznej skóry; nosił złoty kolczyk w guzowatym, porowatym nosie i beznamiętnym tonem opowiadał o niezależności, indywidualizmie i podejmowaniu ryzyka, jakby sam w to wszystko nie wierzył. Co pewien czas wyskakiwał z jakąś dawną maksymą, podając ją z ciężką ironią, która w żaden sposób nie redukowała poziomu nudy; albo mówił: „Mogłem powalczyć”, po czym znacząco spoglądał na klasę, jakby kryło się w tym jakieś głębokie znaczenie, które powinni dostrzec.

Podwójne księgowanie komputerowe, praktyczna bankowość, prawidłowe korzystanie z kuchenki mikrofalowej z uniknięciem wysadzania jajek, wypełnianie podania o mieszkanie w tym czy innym Module lub pracę w tym czy innym Kompleksie, poszukiwanie drzewa genealogicznego, negocjowanie warunków ślubu i rozvodu, inteligentny genetyczny dobór płciowy, prawidłowe użycie prezerwatywy celem uniknięcia bioform przenoszonych drogą płciową – to właśnie były praktyczne umiejętności. Żadne z dzieci nie przykładano się do zajęć. Albo już wszystko potrafiły, albo wcale nie chciały. Traktowały tę lekcję jako przerwę.

Nie po tośmy tutaj, by marzyć, by śnić. Mamy nabyć praktyczne umiejętności.

– Wszystko jedno – mówi Yeti.

Skoro nie szachami ani nie dziennikiem, mógłby się zająć swoim otoczeniem. Tu przydałoby się trochę modyfikacji, więcej niż trochę. Na przykład liczniejsze źródła pożywienia. Dlaczego nigdy nie interesowały go korzenie, jagody ani pułapki na mniejszą zwierzynę, ani jedzenie węży? Czemu marnował tyle czasu?

„Kochanie, nie dręcz się tak!”, mówi ze smutkiem damski głos w jego uchu.

Gdyby tylko znalazł jaskinię, przyjemną jaskinię z wysokim stropem i dobrą wentylacją, i może świeżą wodą, byłoby dobrze. Co prawda, pół kilometra stąd jest strumień; w jednym miejscu zamienia się w sadzawkę. Kiedyś chodził tam dla ochłody, ale teraz już nie: Derkaczanie mogą się w niej chlapać albo odpoczywać na brzegu, dzieciaki męczyłyby go, żeby do nich dołączył, a nie chciał pokazywać się bez

prześcieradła. W porównaniu z nimi jest zbyt dziwny, przy nich czuje się zdeformowany. A jeśli nie ludzi, może tam zastać zwierzęta: wilksy, świniomy, kotrysie. Wodopoje przyciągają mięsożerne, które czają się w ukryciu. Ślinią. Atakują. Niezbyt to przyjemne.

Nadciągają chmury, ściemnia się. Yeti niewiele widzi wśród drzew, ale wyczuwa zmianę natężenia światła. Zapada w półsen i śni o Oryks pływającej na plecach w basenie, w kostiumie, który chyba jest uszyty z papierowych płatków. Otaczają ją, rozszerzają się i kurczą niczym zastawki meduzy. Basen pomalowano na jaskrawy róż. Oryks z uśmiechem delikatnie porusza rękoma, by utrzymać się na powierzchni, a on wie, że wielkie niebezpieczeństwo grozi im obojgu. Nagle słychać płaski, dudniący dźwięk, niczym trzaśnięcie drzwi prowadzących do olbrzymiej pieczary.

Ulewa

Budzi go grzmot i nagły wiatr; wisi nad nim popołudniowa burza. Yeti się gramoli, łapie prześcieradło. Te wichury nadchodzą bardzo szybko, a metalowa rama łóżka to nie najlepsza kryjówka. W lesie przygotował sobie schronienie z opon samochodowych; musi tylko na nich przykucnąć, by izolowały go od ziemi, i przeczekać burzę. Czasem pojawia się grad wielkości piłek golfowych, ale korony drzew spowalniają jego uderzenia.

Dociera do opon w chwili, gdy burza szaleje na dobre. Dziś to tylko deszcz, zwyczajowa ulewa, tak potężna, że w powietrzu pojawia się mgła. Woda spływa po nim w świetle błyskawic. Nad głową słyszy trzask gałęzi, strumienie wsiąkają w glebę. Już jest chłodniej; zapach mokrych liści i wilgotnej ziemi unosi się w powietrzu.

Wreszcie deszcz przechodzi w mżawkę i grzmoty cichną, a wówczas Yeti pełźnie do schowka z betonowych płyt, żeby wziąć puste butelki po piwie. Potem rusza ku wyszczerbionemu betonowemu przesłowi, które niegdyś stanowiło część mostu. Pod spodem widnieje trójkątny pomarańczowy znak z czarną sylwetką mężczyzny z łopatą. Roboty drogowe – to kiedyś oznaczał. Dziwnie się czuje na myśl o tej wiecznej harówce: pukaniu, waleniu młotem, rzeźbieniu, dźwiganiu, wierceniu, dzień po dniu, rok po roku, wiek po wieku; teraz to wieczny rozpad, tak jest zapewne wszędzie. Zamki na piasku.

Deszcz skapuje przez dziurę z boku betonu. Yeti stoi pod nią z otwartymi ustami, łykając wodę pełną żwiru, gałązek i innych rzeczy, o których woli nie myśleć: woda musiała przedostać się przez opuszczone domy i śmierdzące piwnice, i zapchane rowy, i kto wie, co jeszcze. Następnie się ochlapuje, wyżyma prześcieradło. Nie jest to zbyt skrupulatna kąpiel, ale przynajmniej zmywa z siebie wierzchnią warstwę brudu i osadu. Przydałaby się kostka mydła: ciągle zapomina, żeby wziąć je podczas wypadów po łupy.

W końcu napełnia butelki po piwie. Powinien sprawić sobie lepsze naczynie, termos albo wiadro: coś, w co można nabrać więcej wody. Butelki są niewygodne, śliskie i mało stabilne. Wydaje mu się, że wciąż wyczuwa w nich zapach piwa, choć to jedynie pobożne życzenie. „Udawajmy, że to piwo”.

Nie powinien o tym myśleć. Nie powinien się torturować. Nie powinien wyobrażać sobie niemożliwego, niczym jakieś uwięzione, zadrutowane zwierzątko laboratoryjne,

na którego mózgu przeprowadza się niepotrzebne i perwersyjne eksperymenty.

„Wypuście mnie!”, słyszy swoje myśli. Nie jest jednak zamknięty, nie siedzi w więzieniu. Czy mógłby być bardziej na wolności niż teraz?

– Nie zrobiłem tego specjalnie – mówi płaczącym głosem dziecka, jak zawsze w takich chwilach. – To się zdarza, nie miałem pojęcia, nie kontrolowałem tego! Co mogłem zrobić? Niech ktoś, ktokolwiek, mnie wysłucha!

Co za kiepskie przedstawienie. Nawet jego nie przekonało. Jednak znowu szłocha.

„Ważne”, przemawia książka w jego głowie, „żeby ignorować drobne przeszkody, unikać bezcelowych narzekań, skierować swoją psychiczną energię na aktualną rzeczywistość i zadania w zasięgu ręki”. Musiał to gdzieś wyczytać. Na pewno jego umysł nie wymyśliłby czegoś takiego jak „bezelowe narzekania”, nie sam z siebie.

Wyciera twarz rąbkiem prześcieradła.

– Bezelowe narzekania – mówi głośno. Jak zawsze czuje, że ma słuchacza: kogoś niewidocznego, kto skrywa się za parawanem liści i chytrze na niego spogląda.

4

Szopunks

Rzeczywiście ma słuchacza – to szopunks, młody. Teraz go widzi, jego lśniące oczy łąpią spod krzewu.

– Chodź, maluchu, chodź, maluchu – wabi go Yeti. Zwierzę wycofuje się pod krzak. Gdyby nad tym popracował, gdyby naprawdę się postarał, pewnie zdołałby oswoić takie stworzenie i miałby z kim rozmawiać. Miło mieć z kim rozmawiać, powtarzała mu kiedyś Oryks.

– Powinieneś kiedyś spróbować, Jimmy – powiedziała, całując go w ucho.

– Rozmawiam z tobą – zaprotestował.

Następny pocałunek.

– Naprawdę?

Kiedy Jimmy miał dziesięć lat, dostał od ojca małego szopunksa.

Jak wyglądał ojciec? Yeti nie może sobie przypomnieć. Matka ukazuje mu się wyraźnie, w kolorze, otoczona białą ramką niczym polaroidowe zdjęcie, ale z ojca pamięta jedynie fragmenty: drgające przy przełykaniu jabłko Adama, uszy na tle nieba za szybą, lewa ręka na stole, odcięta mankietem. Ojciec to coś w rodzaju pastiszu. Może Jimmy nigdy nie oddalił się od niego na tyle, żeby zobaczyć wszystkie części naraz.

Tego szopunksa musiał dostać na urodziny. Starał się nie pamiętać o swoich urodzinach, nie obchodzili ich w żaden szczególny sposób, nie po odejściu filipińskiej gosposi Dolores. Kiedy mieszkała z nimi, zawsze pamiętała o jego święcie – piekła tort, a może kupowała, wszystko jedno, prawda, skoro miał prawdziwy tort, z lukrem i świeczkami? Czepia się mocno istnienia tych tortów; zamyka oczy, wyobraza je sobie, wszystkie w rzędzie, z zapalonymi świeczkami, krzepiącym aromatem wanilii, zapachem samej Dolores.

Z kolei matka chyba nigdy nie mogła sobie skojarzyć, ile lat ma Jimmy ani którego dnia się urodził. Musiał jej przypominać przy śniadaniu; wtedy, przebudzona z transu, kupowała mu jakiś żenujący prezent – piżamę dla małych dzieci w kangurki albo misie, płytę, której nie słuchałby nikt poniżej czterdziestki, bieliznę z motywem wielorybów – i, owinięty bibułą, rzucała na stół przy kolacji, uśmiechając się coraz dziwniej, jakby ktoś wrzasnął: „Uśmiechnij się!”, i dźgnął ją widelcem.

Potem ojciec skazywał ich wszystkich na wysłuchiwanie swoich niezręcznych wymówek, dlaczego ta ważna, naprawdę ważna, istotna data jakoś wypadła mu z pamięci, i pytał Jimmy'ego, czy wszystko w porządku, i wysyłał mu mailem kartkę z życzeniami – standardową kartkę OrganSA z pięcioma skrzydlatymi świnionami tańczącymi kongę i napisem „Wszystkiego najlepszego, Jimmy, niech się spełnią wszystkie Twoje marzenia” – a następnego dnia przynosił mu prezent, a tak naprawdę nie prezent, tylko jakieś narzędzie albo edukacyjną grę, albo inne ukryte żądanie, któremu Jimmy powinien sprostać. Czemu jednak miał sprostać? Nie istniał żaden standard, a jeśli nawet, to tak nieokreślony i potężny, że nikt go nie dostrzegał, a już na pewno nie Jimmy. Nic z tego, co osiągnął, nie było właściwe ani satysfakcjonujące. Według obowiązujących w OrganSA ścisłych norm był zapewne nudnym przeciętniakiem. Może dlatego ojciec przestał mu powtarzać, że radziłby sobie o wiele lepiej, gdyby tylko się postarał, i zaczął udzielać mu podszytych rozczarowaniem pochwał, jakby Jimmy miał uszkodzony mózg.

Yeti zapomniał zatem o wszystkim, co miało związek z dziesiątymi urodzinami Jimmy'ego, poza szopunksem przyniesionym przez ojca w pojemniku. Było to maleńkie zwierzątko, najmniejsze z miotu zrodzonego z drugiego pokolenia szopunksów, potomstwo pierwszej pary, której składano RNA. Resztę miotu natychmiast rozdrapano. Ojciec Jimmy'ego twierdził, że musiał poświęcić mnóstwo czasu i bardzo się namęczyć, i pociągnąć za wiele sznurków, żeby zdobyć właśnie tego szopunksa, ale warto było, bo to naprawdę wyjątkowe, wyjątkowe święto, które jak zwykle wypadło akurat poprzedniego dnia.

Hodowla szopunksów zaczęła się po godzinach, jako hobby jednego z laboratoryjnych zapaleńców w OrganSA. Wtedy pozwalali sobie na bardzo wiele. Tworzenie zwierząt to świetna zabawa, mówili faceci, którzy nad tym pracowali; dzięki temu człowiek czuł się jak Bóg. Wiele eksperymentów niszczone, gdyż były zbyt niebezpieczne do hodowli – po co komu ropucha z chwytym ogonem jak u kameleona, która mogłaby się wśliznąć przez okno w łazience i kogoś oślepić, gdy mył zęby? Powstał także węzur, niefortunna krzyżówka węża i szczura; musieli się ich pozbyć. Ale szopunksy przyjęły się jako domowe zwierzątka w OrganSA. Nie pochodziły ze świata zewnętrznego – ze świata poza Kompleksem – nie miały zatem obcych mikrobów i nie mogły zaszkodzić świnionom. W dodatku były urocze.

Mały szopunks dał się wziąć na ręce Jimmy'emu. Był czarno-biały – czarna maska, biały pasek wzdłuż grzbietu, dwukolorowe obręcze na puszystym ogonie. Polizał palce Jimmy'ego, który natychmiast się w nim zakochał.

– Nie śmierdzi jak skunks – powiedział ojciec. – To czyste zwierzę, o łagodnym usposobieniu. Spokojne. Szopy nigdy nie nadawały się do domu, gdyż dorastając, robiły się niechlujne, roznosiły wszystko na strzępy. To podobno jest spokojniejsze. Zobaczmy, jak sobie poradzi. Prawda, Jimmy?

Ostatnio ojciec traktował syna w pełen skruchy sposób, jakby wymierzył mu niesprawiedliwą karę, a teraz miał wyrzuty sumienia. Trochę za często powtarzał: „Prawda, Jimmy?”. Jimmy za tym nie przepadał, nie lubił być kimś, kto decyduje. Nie podobało mu się też parę innych gestów ojca – łagodne kuksańce, targanie włosów, sposób, w jaki wymawiał słowo „syn” nieco niższym głosem. Ten serdeczny ton się nasilał, jakby ojciec starał się o rolę Taty, jednak bez specjalnego przekonania. Jimmy, sam nie lada kłamca, zazwyczaj wyczuwał fałsz u innych, ale milczał, głaszcząc małego szopunksa.

– Kto będzie to karmił i opróżniał kuwetę? – spytała matka Jimmy’ego. – Bo na pewno nie ja.

Nie powiedziała tego ze złością, tylko raczej obojętnym, rzeczowym tonem, jak obserwator, ktoś z boku; jakby Jimmy i obowiązek zajmowania się nim oraz jego rozczarującym ojcem, i potyczki między nimi, i coraz cięższy bagaż ich życia nie miały z nią nic wspólnego. Już nie wpadała w złość, nie wybiegała z domu w kapciach. Stała się spokojniejsza i rozważna.

– Jimmy cię o to nie prosił. Sam się tym zajmie. Prawda, Jimmy? – Ojciec spojrzał na niego.

– Jak go nazwiesz? – zapytała matka. Tak naprawdę pragnęła jedynie przeciągnąć Jimmy’ego na swoją stronę. Nie lubiła, gdy cieszył się z jakiegokolwiek prezentu od ojca. – Pewnie Bandyta.

Właśnie o tym imieniu myślał Jimmy, ze względu na czarną maskę.

– Nie – odparł. – Banał. Nazwę go Killer.

– Trafny wybór, synu.

– No cóż, jeśli Killer nasiusia na podłogę, nie zapomnij posprzątać – powiedziała matka.

Jimmy zabrał Killera do swojego pokoju, gdzie zwierzę ułożyło się na poduszce. Miało dość ostry zapach, dziwny, ale nie nieprzyjemny, jakby skórzany, niczym kosztowne męskie mydło. Jimmy spał z szopunksem w objęciach i nosem przytkniętym do jego małego noska.

Mniej więcej miesiąc po tamtych urodzinach ojciec Jimmy’ego zmienił pracę. Zwerbował go Nowoskór i zatrudnił na stanowisku jednego z wicedyrektorów – na poziomie zastępczym, jak nazwała to matka Jimmy’ego. Laborantka Ramona z OrganSA przeniosła się razem z nim; w ramach umowy, gdyż była nieoceniona, powiedział ojciec Jimmy’ego; była jego prawą ręką. („Żart”, dodał, by wyjaśnić, że Ramona nie jest tak naprawdę ręką. Jimmy i tak to wiedział). Jimmy nawet się cieszył, że nadal będzie widywał Ramonę przy lanczu – przynajmniej ją znał – mimo że posiłki z ojcem należały teraz do rzadkości.

Nowoskór był filią ZdrowoTechu, przenieśli się zatem do Kompleksu ZdrowoTech.

Ich nowy dom urządzono w stylu włoskiego renesansu, z łukowatym portykiem i mnóstwem glazurowanych ziemistych kafelków, i większym niż poprzednio przydomowym basenem. Matka Jimmy'ego nazywała dom „stodołą”. Narzekała na wzmocnioną ochronę przy bramach ZdrowoTechu: strażnicy byli bardziej obcesowi, podejrzliwi, lubili przeprowadzać rewizję osobistą, zwłaszcza kobiet. Mieli frajdę, mówiła.

Ojciec Jimmy'ego twierdził, że matka robi z igły widły. Powiedział, że poza tym kilka tygodni przed ich przeprowadzką zdarzył się wypadek – fanatyczka, kobieta z obcą bioformą ukrytą w lakierze do włosów. Jakimś mutantem wirusa Ebola albo wirusowej choroby marburskiej, jednym ze wzmocnionych wirusów gorączki krwotocznej. Zaatakowała strażnika, który ze względu na upał nierozsądnie zdjął maskę, wbrew rozkazom. Kobieta została błyskawicznie potraktowana miotaczem i zneutralizowana w kadzi z rozpuszczalnikiem, ale biednego strażnika zaciągnęli do przechowalni agresywnych bioform i wepchnęli do izolatki, gdzie zamienił się w niezidentyfikowaną breję. Nic wielkiego, ale trudno się dziwić, że strażnicy są nerwowi.

Matka Jimmy'ego oświadczyła, że to nie zmienia faktu, iż czuje się jak więźniarka. Ojciec Jimmy'ego odpowiedział, że nie zrozumiała powagi sytuacji. Czy nie chce być bezpieczna, nie chce, by jej syn był bezpieczny?

– A więc to dla mojego własnego dobra? – zapytała. Nie spiesząc się, kroiliła grzanek na równe kostki.

– Dla naszego dobra. Dla nas.

– Tak się składa, że mam inną opinię.

– Jak zawsze – zauważył ojciec Jimmy'ego.

Zdaniem matki ich telefony i maile były kontrolowane, a krzepkie, lakoniczne sprzątaczkę ZdrowoTechu, które przychodziły dwa razy w tygodniu, zawsze parami, szpiegowały. Ojciec Jimmy'ego oświadczył, że matka popada w paranoję, a poza tym nie mają nic do ukrycia, więc czym się tu przejmować?

Kompleks ZdrowoTech był nie tylko nowszy niż OrganSA, ale i większy. Zamiast jednego, znajdowały się w nim dwa centra handlowe, lepszy szpital, trzy kluby taneczne, nawet pole golfowe. Jimmy chodził do szkoły ZdrowoTechu, gdzie nikogo nie znał. Mimo początkowej samotności nie było mu tam źle. Właściwie było bardzo dobrze, mógł powielać stare zachowania i dowcipy, do których dzieciaki z OrganSA już przywykły. Zaczął od szympansa, potem przeszedł do symulacji wymiotów i dławienia się na śmierć – i jedno, i drugie okazało się bardzo popularne – oraz rysowania na swoim brzuchu nagiej dziewczyny z kroczem w miejscu jego pępka, i uprawiania jej w ruch.

Już nie wracał do domu na lancz. Rano podjeżdżał po niego szkolny hybrydoetanolosolarvan i odwoził go wieczorem. W szkole była jasna i pogodna

stołówka, serwująca zbilansowane posiłki, etniczne potrawy – pierogi, falafele – i opcję kosztowną oraz produkty z soi dla wegetarian. Jimmy tak bardzo się cieszył, że nie musi jeść lanczu z żadnym z rodziców, aż kręciło mu się w głowie. Nawet nieco przybrał na wadze i przestał być najchudszy uczniem w klasie. Jeśli zostawało mu trochę czasu na przerwę i nie miał nic innego do roboty, chodził do biblioteki i oglądał stare edukacyjne CD. Najbardziej lubił papugę Alexa, z *Klasyki zachowań zwierzęcych*. Podobała mu się ta część, w której Alex wymyśla nowe słowo – „głupina” na określenie migdała – a najbardziej ta, gdzie Alex nudzi się już ćwiczeniem z niebieskim trójkątem i żółtym kwadratem i mówi: „Teraz odfruwam. Nie, Alex, wracaj tutaj! Gdzie niebieski trójkąt – nie, niebieski?”. Ale Alexa już nie było. Pięć gwiazdek dla Alexa.

Pewnego dnia Jimmy’emu pozwolono przynieść do szkoły Killera, gdzie wzbudziła – bo to była samiczka – prawdziwą furorę.

– Och, Jimmy, ale masz szczęście – powiedziała Wakulla Price, pierwsza dziewczynka, w której się podkochiwał. Pogłaskała Killera po brązowej łapce, różowych pazurkach, a Jimmy zadrżał, jakby palce Wakulli dotknęły jego własnego ciała.

Ojciec Jimmy’ego spędzał coraz więcej czasu w pracy, jednak coraz mniej o niej mówił. W Nowoskórce były świniomy, jak w Farmach OrganSA, ale mniejsze, używano ich do rozwoju biotechnologii związanych ze skórą. Chodziło o to, by znaleźć metodę na zastąpienie starego naskórka nowym, nie za pomocą zabiegu laserem ani dermabrazji, lecz oryginalną nową skórą, wolną od zmarszczek i przebarwień. W tym celu należało wyhodować nową zdrową komórkę, wchłaniającą zużyte komórki w skórkach tych, którym się je wszczepi, i zastępującą je kopiami samej siebie, jak algi w stawie.

W wypadku sukcesu korzyści były niewyobrażalne, tłumaczył ojciec Jimmy’ego podczas jednej z tych męskich rozmów, które ostatnio zaczął przeprowadzać z synem. Która bogata, niegdyś młoda i piękna osoba, napędzana zastrzykami hormonalnymi i witaminami, lecz niszczona przez bezlitosne lustro, nie sprzeda domu, swojej strzeżonej willi, dzieci i duszy, żeby znowu stanąć do seksualnego wyścigu szczurów? Nowoskór Dla Starych Skór, głosiło zgryźliwe hasło. Nie wymyślono jednak jeszcze stuprocentowo skutecznej metody – mniej więcej tuzin zniszczonych, pełnych nadziei ludzi, którzy zgłosili się na ochotnika, nie płacąc za kurację, ale podpisując dokument odbierający im prawo do odszkodowania, skończył jako kosmiczne potwory o pełnej przebarwień, zielonkawobrazowej, odłóżającej płatami skórze.

Nowoskór zajmował się również innymi projektami. Pewnego wieczoru ojciec Jimmy’ego wrócił do domu późno i już lekko wstawiony, z butelką szampana. Jimmy tylko zerknął na niego i natychmiast zniknął. Wcześniej ukrył maleńki mikrofon za

pejzażem w salonie, i jeszcze jeden za kuchennym zegarem – tym, który co godzina zanosił się innym irytującym ptasim świergotem – mógł zatem podsłuchiwać to, co nie było jego sprawą. Złożył mikrofony na zajęciach geotechnologii w szkole; posłużył się standardowymi częściami wymontowanymi z minimikrofonów dyktafonu, które – po niewielkiej modyfikacji – świetnie sprawdzały się w roli sprzętu podsłuchowego.

– A to po co? – usłyszał głos matki. Miała na myśli szampana.

– Udało się nam. – To głos ojca Jimmy’ego. – Myślę, że zasłużyliśmy na małą uroczystość.

Szelest, może próbował ją pocałować.

– Co się udało?

Wystrzał korka z szampana.

– Chodź, przecież cię nie ugryzie. – Pauza, pewnie nalewał. Tak, brzęk szkła. – Za nas.

– Co się udało? Muszę wiedzieć, za co piję.

Znowu przerwa. Jimmy wyobraził sobie, jak ojciec przetyka, jak jego jabłko Adama wędruje do góry i w dół, tam i z powrotem.

– To projekt neuroregeneracyjny. Teraz w mózgach świniaków jest oryginalna kora nowa. Wreszcie, po tylu klapach! Pomyśl o możliwościach, o ofiarach udaru, o...

– Tego nam właśnie potrzeba – przerwała matka Jimmy’ego. – Jeszcze więcej ludzi z mózgami świń. Mało ich mamy?

– Nie możesz się ucieszyć? Choć raz? Ciągłe tylko to pesymistyczne gadanie: „to złe, tamto jeszcze gorsze”, twoim zdaniem nic nie jest wystarczająco dobre.

– Z czego mam się cieszyć? Że wymyśliliście jeszcze jeden sposób na oskubanie gromady desperatów? – odparła matka Jimmy’ego tym swoim nowym, powolnym, pozbawionym złości głosem.

– Boże, ale jesteś cyniczna!

– Nie, to ty jesteś cyniczny. Ty i ci twoi bystrzy partnerzy. To złe, cała ta organizacja jest zła, to moralne bagno i świetnie o tym wiesz.

– Dajemy ludziom nadzieję. To nie oskubywanie!

– Za ceny Nowoskóru owszem. Podbijacie stawki, zabieracie ludziom wszystkie pieniądze, a kiedy brakuje im gotówki, nie są już objęci leczeniem. Mogliby nawet zgnić i nic by was to nie obeszło. Nie pamiętasz, o czym kiedyś rozmawialiśmy, nie pamiętasz, o co nam chodziło? O ulepszenie ludzkiego życia – nie tylko życia bogaczy. Byłeś taki... Wtedy miałeś ideały.

– Jasne – powiedział ojciec Jimmy’ego zmęczonym głosem. – Nadal je mam. Po prostu nie stać mnie na nie.

Cisza. Matka Jimmy’ego musiała przetrwać te słowa.

– Tak czy owak... – zaczęła na znak, że tak łatwo się nie podda – są różne rodzaje badań. To, co ty robisz, te eksperymenty na mózgach świń... Wtrącasz się do

fundamentów życia. To niemoralne. To... świętokradztwo.

Bang, na stole. Nie ręką. Butelką.

– Nie wierzę, że to mówisz! Kogo się nasłuchiwałaś? Jesteś wykształconą kobietą, sama robiłaś te rzeczy! To tylko białka, dobrze o tym wiesz! Nie ma nic świętego w białkach i tkankach, to tylko...

– Znam teorię.

– Dzięki temu masz gdzie mieszkać i w co się ubrać, masz co podać na stół. Nie bardzo możesz sobie pozwolić na ton moralnej wyższości.

– Wiem – dobiegł Jimmy’ego głos matki. – Uwierz mi, naprawdę to wiem. Dlaczego nie zajmiesz się czymś uczciwym? Czymś prostym?

– Na przykład czym? Miałbym kopać rowy?

– Przynajmniej twoje sumienie byłoby czyste.

– Nie moje, tylko twoje. To ty masz neurotyczne poczucie winy. Może sama pokopiesz rowy, przynajmniej ruszyłabyś tyłek. I mogłabyś rzucić palenie: jesteś jednoosobową fabryką rozedmy płuc, poza tym osobiście wspierasz przemysł tytoniowy. Pomyśl o tym, skoro tyle w tobie etyki. To przecież oni uzależniają na całe życie sześciolatków, rozdając im darmowe próbki.

– Wiem to wszystko. – Milczenie. – Palę, bo jestem przygnębiona. Przemysł tytoniowy mnie przygnębia, ty mnie przygnębiasz, Jimmy mnie przygnębia, zamienia się w...

– To weź jakieś tabletki, skoro jesteś tak kurewsko przygnębiona!

– Nie musisz kłąć.

– Może muszę! – Wrzaski ojca nie były kompletną nowością, ale wrzaski plus przeklinanie przykuły uwagę Jimmy’ego. Może coś zacznie się dziać, szkło pójdzie w drobny mak. Bał się – wróciła zimna gula w żołądku – ale musiał słuchać. Jeśli miała nastąpić katastrofa, jakieś ostateczne załamanie, pragnął być jej świadkiem.

Nic z tego, rozległ się tylko odgłos kroków, ktoś wychodził z pomieszczenia. Które z nich? Ktokolwiek to był, poszedł na górę sprawdzić, czy Jimmy śpi i niczego nie słyszał. Potem mogli odhaczyć ten punkt na swojej prywatnej liście Wspaniałego Rodzicielstwa. To nie złe rzeczy, które robili, tak rozwścieczały Jimmy’ego, tylko dobre rzeczy. Rzeczy, które miały być dobre, czy też raczej dobre dla niego. Rzeczy, za które nagradzali się poklepywaniem po plecach. Nic o nim nie wiedzieli – co lubi, czego nienawidzi, za czym tęskni. Myśleli, że jest tylko tym, co mają przed oczyma. Miły chłopiec, ale trochę głupawy, trochę pajacowaty. Nie najbystrzejszy na świecie, nie człowiek liczb, ale nie można mieć wszystkiego, przynajmniej nie okazał się kompletnym niewypałem. Przynajmniej nie był pijakiem ani narkomanem jak wielu chłopców w jego wieku, więc lepiej odpukać w niemalowane drewno. Słyszał, jak ojciec mówi: „odpukać w niemalowane drewno”, tak jakby Jimmy był skazany na porażkę, zejście z właściwej drogi, ale na szczęście jeszcze do tego nie doszło. Nic nie

wiedzieli o innej, tajemniczej osobie, która żyła w jego ciele.

Wyłączył komputer, wyjął słuchawki, zgasił światła i położył się do łóżka, cicho i ostrożnie, bo Killer już tam leżała. W nogach, właśnie tam najbardziej lubiła; lizała mu stopy, bo były słone. Łaskotało go to; z głową pod kołdrą zatrzęsł się od niemego śmiechu.

Młotek

Minęło kilka lat. Musiało minąć, myśli Yeti. Niewiele z nich pamięta oprócz tego, że głos mu się łamał, a na ciele wyrosły włosy. Wtedy niezbyt go to ucieszyło, choć byłoby gorzej, gdyby do tego nie doszło. Zmęźniał, zaczął miewać erotyczne sny i cierpiał z powodu znużenia. Dużo myślał o dziewczynach, ogólnie o dziewczynach – o dziewczynach bez głów – i szczególnie o Wakulli Price, z głową, chociaż Wakulla nie chciała się z nim zadawać. Czy miał pryszczę? Czy to przez to? Nie przypominał sobie, chociaż, o ile pamiętał, twarze rywali były nimi obsypane.

„Ty głupino”, mówił do każdego, kto go wkurzył. Do każdego, kto nie był dziewczyną. Tylko on i papuga Alex wiedzieli, co oznacza głupina, było to zatem miażdżące wyzwisko. Na krótko stało się modne wśród dzieciaków w Kompleksie ZdrowoTech, więc Jimmy miał opinię równego gościa. „Hej, głupino!”

Jego najbliższym przyjacielem była Killer, co ukrywał. Żałosne, że jedynym stworzeniem, z którym naprawdę mógł pogadać, okazał się szopunks. Jimmy zazwyczaj unikał rodziców. Ojciec był głupiną, a matka nudziarą. Negatywna energia między nimi już go nie przerażała, tylko nudziła, albo tak sobie wmawiał.

W szkole prezentował wymierzoną przeciwko nim sztuczkę. Na kostkach obu palców wskazujących narysował oczy i upychał kciuki w dłoniach. Potem, ruszając kciukami naśladującymi otwierające się i zamykające usta, pokazywał, jak obie postaci z dłoni się kłóca. Jego prawa ręka była Niedobrym Tata, lewa zaś Szlachetną Mamą. Niedobry Tata przechwalał się, teoretyzował i pompatycznie bredził, a Szlachetna Mama narzekała i winiła go o wszystko. W świecie Szlachetnej Mamy Niedobry Tata odpowiadał za hemoroidy, kleptomanię, globalne konflikty, nieświeży oddech, uskoki tektoniczne, zatkanie rury oraz za migreny i bóle menstruacyjne. Te popisy na przerwie stały się hitem; zebrany tłum żądał: „Jimmy, Jimmy, pokaż Niedobrego Tatę”. Inne dzieciaki miały mnóstwo sugestii, czerpiąc natchnienie z prywatnego życia swoich rodzin. Niektóre też próbowały rysować oczy na kostkach, ale dialogi szły im znacznie gorzej niż jemu.

Czasem Jimmy miał poczucie winy, kiedy posuwał się za daleko. Nie powinien pokazywać Szlachetnej Mamy szlochającej w kuchni nad swoimi pękniętymi jajnikami; nie powinien przedstawiać seksu ze specjalnym poniedziałkowym paluszkiem rybnym, dwadzieścia procent prawdziwej ryby – Niedobry Tata skoczył na niego i rozerwał go

z żądz, bo Szlachetna Mama dąsała się w pustej paczce po twinkies i nie chciała wyjść. Te skeczki nie miały w sobie nic z godności, choć akurat to by go nie powstrzymało. Były za to zbyt bliskie nieprzyjemnej prawdy, nad którą nie chciał się zastanawiać. Jednak dzieciaki go nakłaniały i nie umiał się oprzeć oklaskom.

– Czy to było nie w porządku, Killer? – pytał. – Zbyt niegodziwe?

Ostatnio odkrył słowo „niegodziwe”; Szlachetna Mama często go używała.

Killer polizała go po nosie. Zawsze mógł na nią liczyć.

Pewnego dnia po powrocie ze szkoły Jimmy zauważył list na kuchennym stole. Od matki. Gdy tylko zobaczył nagłówek „Do Jimmy’ego” – podkreślony dwukrotnie na czarno – wiedział, co to będzie za wiadomość.

„Drogi Jimmy”, przeczytał. „Ple, ple, ple, zbyt długo cierpiałam z powodu wyrzutów sumienia, ple, ple, ple, już nie mogę żyć życiem, które nie tylko jest pozbawione sensu, ale także ple, ple, ple”. Wiedziała, że gdy Jimmy dorośnie na tyle, by zrozumieć implikacje ple, ple, zgodzi się z nią i zrozumie. Skontaktuje się z nim później, jeśli będzie miała taką możliwość. Ple, ple, będą poszukiwania, niewątpliwie; dlatego też musi się ukryć. Tę decyzję podjęła nie bez głębokich przemyśleń, wahania i bólu, ale ple, ple. Zawsze będzie go bardzo kochała.

Może i kochała Jimmy’ego, myśli Yeti. Na swój sposób. Wtedy jednak w to nie wierzył. A może wcale go nie kochała. Musiała jednak żywić do niego jakieś pozytywne uczucia. Przecież podobno matkę łączyła z dzieckiem specjalna więź?

„PS”, napisała. „Zabrałam ze sobą Killera, żeby ją uwolnić, gdyż wiem, że będzie szczęśliwsza na wolności w lesie”.

W to także nie uwierzył. I się wściekł. Co za bezczelność! Killer należała do niego! Była oswojonym zwierzątkiem, nie poradziłaby sobie sama, nie umiała o sobie zadbać, jakiś drapieżnik mógł ją pożreć w mgnieniu oka. Matka Jimmy’ego i jej podobni mieli chyba jednak rację, myśli Yeti. Killer i inne oswobodzone szopunki dobrze dawały sobie radę, bo niby skąd wzięłaby się w okolicy tak nieznośnie wielka populacja tych zwierząt?

Jimmy rozpaczał całymi tygodniami. Nie, miesiącami. Za czym tęsknił? Za matką czy zmutowanym skunksem?

Matka zostawiła jeszcze jedną wiadomość, a właściwie nie wiadomość, tylko informację bez słów. Zniszczyła komputer ojca Jimmy’ego, i nie tylko zawartość; rozwalila go młotkiem. Właściwie wykorzystwała każde narzędzie z należącego do ojca Jimmy’ego i rzadko używanego zestawu dla majsterkowicza, przede wszystkim jednak młotek. Swój komputer też załatwiła, nawet staranniej. Przez to ani ojciec Jimmy’ego, ani korpusowcy, którzy wkrótce pojawili się w mieszkaniu, nie mieli pojęcia, jakie

wiadomości mogła rozesłać ani co przegrała z komputera i wyniosła z domu.

Minęła punkty kontroli i bramy, bo powiedziała, że jedzie na leczenie kanałowe do dentysty w jednym z Modułów. Miała ze sobą papiery, niezbędne zezwolenia, historyjka była prawdziwa – specjalista od leczenia kanałowego w klinice stomatologicznej ZdrowoTechu miał atak serca, zastępstwo się nie pojawiło, pacjentów kierowano więc do innych dentystów. Faktycznie umówiła się ze stomatologiem w Module, lekarz obciążył tatę Jimmy’ego rachunkiem za zmarnowany czas (ojciec odmówił zapłaty, bo to nie on nie dotarł na wizytę, a potem wyklócał się z dentystą przez telefon). Nie wzięła bagażu, była na to zbyt sprytna. Zamówiła sobie korpusowca jako ochroniarza na czas przejazdu taksówką ze strzeżonego dworca przez krótki odcinek plebsopolii, który trzeba było minąć przed dotarciem do ogrodzenia Modułu. W sumie nic nadzwyczajnego. Nikt jej nie wypytywał, znali ją z widzenia, miała zlecenie, przepustkę i całą resztę. Nikt przy bramie Kompleksu nie zajrzał jej w usta, zresztą niewiele byłoby do oglądania – bólu nerwu nie widać.

Korpusowiec musiał być z nią w zмовie, inaczej by zginęła; w każdym razie nie wrócił, nigdy go nie znaleziono. Tak przynajmniej mówili. To naprawdę podgrzało atmosferę, bo oznaczało, że ktoś z nią współpracował. Ale kto konkretnie, jakie miał cele? Należy wyjaśnić te sprawy, powiedział korpusowiec, który wypytywał Jimmy’ego. Czy matka mówiła mu cokolwiek?

Zapytał, co oznacza „cokolwiek”. Pewne rozmowy podsłuchał w swoich minimikrofonach, ale nie zamierzał tego mówić. Czasem matka wywrzaskiwała coś o tym, jak wszystko uległo zniszczeniu i nigdy już nie będzie takie samo, jak na przykład domek plażowy, który należał do jej rodziny, kiedy była mała, ten, który zmyło z resztą plaży i całkiem pokaźną liczbą miast na Wschodnim Wybrzeżu; wtedy poziom morza gwałtownie wzrósł i przez wulkan na Wyspach Kanaryjskich pojawiła się tamta olbrzymia fala. (Uczyli się o tym w szkole, na lekcji geologii. Symulacja wideo bardzo przypadła Jimmy’emu do gustu). Pochlipywała też w związku z grejpfrutowym sadem swojego dziadka na Florydzie, wyschniętym jak olbrzymia rodzinna po nastaniu suszy, w tym samym roku, w którym jezioro Okeechobee zamieniło się w śmierdzącą błotnistą kałużę, a Everglades płonął przez trzy tygodnie z rzędu.

Tyle tylko że wszyscy rodzice narzekali na te rzeczy. „Pamiętasz, jak można było wszędzie jeździć? Pamiętasz, jak wszyscy mieszkali w plebsopoliach? Pamiętasz, jak latało się bez strachu w każdy zakątek świata? Pamiętasz bary szybkiej obsługi, prawdziwą wołowinę, budki z hot dogami? Pamiętasz, jak **Nowy** Nowy Jork był Nowym Jorkiem? Pamiętasz, jak wybory miały jeszcze znaczenie?”. To były standardowe odzywki palcowych postaci podczas przerwy na lancz. „Och, kiedyś było tak cudownie. Buaaaa. Idę sobie do opakowania po twinkies. Dziś nie będzie seksu!”.

Jego matka była zwykłą matką, powiedział mężczyźni z KorpuSOKorpu. Taką jak

inne matki. Dużo paliła.

– Należała do jakichś organizacji? Czy do domu przychodzili obcy ludzie? Dużo rozmawiała przez komórkę?

– Jeśli mógłbyś nam w czymś pomóc, będziemy ci wdzięczni, synu – powiedział drugi korpusowiec.

To „synu” przesądziło sprawę. Jimmy odparł, że wątpi.

Matka Jimmy’ego zostawiła mu trochę nowych ubrań, w rozmiarach, do których jej zdaniem miał wkrótce dorosnąć. Te rzeczy były okropne, jak wszystko, co kupowała, i za małe. Odłożył je do szuflady.

Jimmy widział, że ojciec był roztrzęsiony, poza tym się bał. Jego żona złamała każdą zasadę, wiodła podwójne życie, a on nie miał o tym pojęcia. Takie rzeczy źle świadczą o mężczyźnie. Twierdził, że nie trzymał żadnych istotnych informacji na domowym komputerze, który zniszczyła, ale było jasne, że musiał tak powiedzieć. Nie mogli udowodnić, że kłamał. Przez długi czas był przesłuchiwany. Może go torturowano, jak w starych filmach albo na niektórych nieprzyjemnych witrynach internetowych, za pomocą elektrod, pałek i rozżarzonych szczypiec. Jimmy się tym przejmował i miał złe samopoczucie. Dlaczego nic nie przewidział, niczemu nie zapobiegł, zamiast bawić się w niegodziwe brzuchomówstwo?

Pod nieobecność ojca Jimmy’ego w domu zamieszkały dwie sztywne kobiety z KorpuSOKorpu, by zająć się chłopcem, tak przynajmniej mówiono. Jedna uśmiechnięta, druga niewzruszona. Stale dzwoniły ze swoich komórek eterowych; oglądały albumy ze zdjęciami i szafki matki Jimmy’ego, a także usiłowały namówić go na zwierzenia. „Jest bardzo ładna. Myślisz, że miała chłopaka? Często jeździła do plebsopolii?”. „Po co miałyby tam jeździć?”, spytał Jimmy, a one odparły, że niektórzy ludzie to lubią. „Dlaczego?”, chciał wiedzieć, a ta z niewzruszoną twarzą oznajmiła, że niektórzy są pokręceni. Ta uśmiechnięta z rumieńcem na policzkach powiedziała, że można tam dostać rzeczy niedostępne tutaj. „Jakie rzeczy?”, zamierzał spytać Jimmy, ale tego nie zrobił, bo odpowiedź mogła wywołać lawinę pytań na temat tego, co lubiła matka albo czego pragnęła. I tak ją zdradzał w szkolnej stołówce, nie zamierzał robić tego w domu.

Obie smażyły okropne gumowate omlety, by osłabić czujność Jimmy’ego podczas posiłków. Kiedy to się nie udało, odgrzewały w kuchence mikrofalowej mrożone dania i zamawiały pizze. „Czy mama często chodziła do centrum handlowego? A na tańce? Na pewno?”. Jimmy miał ochotę je stłuc. Gdyby był dziewczyną, mógłby wybuchnąć płaczem i je wzruszyć, i w ten sposób zamknąć im usta.

Kiedy tata Jimmy’ego wrócił z miejsca, do którego go zabrano, poszedł na terapię.

Wyglądało na to, że jest mu potrzebna, miał zieloną twarz, czerwone i spuchnięte oczy. Jimmy też chodził na terapię, ale to była strata czasu.

– Pewnie jesteś nieszczęśliwy, że mama odeszła.

– Tak.

– Nie możesz obwiniać o to siebie, synu. To nie twoja wina, że odeszła.

– Jak to?

– W porządku, możesz wyrazić swoje emocje.

– Jakie emocje mam wyrazić?

– Nie musisz zachowywać się wrogo, Jimmy. Wiem, jak się czujesz.

– Skoro pan wie, to po co pan pyta?

I tak dalej.

Tata Jimmy’ego powiedział synowi, że teraz obaj, starzy kumple, muszą iść przed siebie. No to szli przed siebie. Szli i szli, rankami nalewali sobie sok pomarańczowy i wstawiali naczynia do zmywarki, gdy tylko sobie o tym przypomnieli, a po kilku dniach chodzenia przed siebie tata Jimmy’ego stracił zielonkawą barwę i znowu zaczął grywać w golfa.

Najwyraźniej w głębi duszy nie czuł się tak okropnie, teraz, gdy najgorsze już minęło. Gwizdał przy goleniu i częściej się golił. W stosownym czasie wprowadziła się do nich Ramona. Życie toczyło się nieco innym trybem, doszły wybuchy chichotliwego, jęśliwego seksu za drzwiami, które były zamknięte, lecz nie dźwiękoszczelne, więc Jimmy nastawiał głośno muzykę i usiłował nie słuchać. Mógł założyć podsłuch w ich pokoju, zaznajomić się z całym rytuałem, ale żywił do tego silną awersję. Szczerze mówiąc, sytuacja wydawała mu się żenująca. Kiedyś nastąpiło kłopotliwe spotkanie na korytarzu na piętrze – ojciec Jimmy’ego w ręczniku kąpielowym, z odstającymi uszami i twarzą zaróżowioną po niedawnej erotycznej przepychance, Jimmy czerwony ze wstydu, udający, że niczego nie zauważa. Dwa napędzane hormonami króliczki mogłyby mieć dość przyzwoitości, żeby robić to w garażu, a nie niemal na oczach Jimmy’ego. Przez nich czuł się niewidzialny. Ale wcale nie chciał czuć się inaczej.

Kiedy to się zaczęło?, zastanawia się teraz Yeti. Czy robili to za kojcami świniaków, w bioskafandrach i maskach chroniących przed zarazkami? Nie sądzi. Jego ojciec był durniem, ale nie świnią. Można, rzecz jasna, być jednym i drugim: durnowatą świnią, świńskim durniem. Jednak ojciec (przynajmniej tak sądzi) zbyt nieudolnie kłamał, żeby wdać się w romans i zdradę za plecami matki tak, żeby nie zauważyła.

Może zauważyła. Może właśnie dlatego uciekła, może częściowo dlatego. Nikt nie bierze młotka – nie mówiąc już o elektrycznym śrubokręcie i kluczu francuskim – żeby rozwalić cudzy komputer, jeśli nie czuje wściekłości.

Chociaż ona była wściekła ogólnie – jej wściekłość miała więcej przyczyn.

Im intensywniej Yeti o tym myślał, tym bardziej jest przekonany, że Ramona i jego ojciec wcześniej ze sobą nie romansowali. Padli sobie w ramiona, dopiero gdy matka Jimmy’ego zniknęła w rozsypce pikseli. Inaczej nie rzucaliby sobie takich tęsknych, niewinnych spojrzeń w Bistro André w OrganSA. Gdyby coś ich łączyło, publicznie traktowaliby się szorstko i oficjalnie, unikając swojego towarzystwa; chodziliby na szybkie numerki w zapuszczonych zaułkach, tarzaliby się z rozpiętymi guzikami i rozporkami po biurowych dywanach, ssaliby płatki swoich uszu na parkingach. Nie byłoby zabaw w te antyseptyczne lancze, kiedy ojciec wbijał wzrok w blat stolika, a Ramona rozpuszczała w ustach surowe marchewki. Nie śliniliby się do siebie nad zieleniną i pasztetem wieprzowym, wykorzystując małego Jimmy’ego jako ludzką tarczę.

Nie, żeby Yeti ich osądzał. Wie, jak jest, albo jak było. Teraz dorósł i ma o wiele gorsze rzeczy na sumieniu. Jak mógłby ich winić?

(Wini ich).

Ramona usiadła razem z Jimmym, popatrzyła na niego wielkimi uczernionymi oczyma pełnymi szczerości i powiedziała, że wie, jak mu ciężko, że to stres dla nich wszystkich, że jej także jest trudno, chociaż on pewnie tak nie myśli, i że choć ona nie zastąpi mu prawdziwej mamy, to ma nadzieję, że może uda im się zaprzyjaźnić? Jasne, czemu nie, odparł Jimmy, gdyż mimo związku Ramony z ojcem naprawdę ją lubił i chciał zrobić jej przyjemność.

Nie szczędziła wysiłków. Śmiała się z jego żartów, niekiedy z opóźnieniem – nie była człowiekiem słów, przypominał sobie – a niekiedy, pod nieobecność ojca Jimmy’ego, odgrzewała w kuchence mikrofalowej kolację dla siebie i Jimmy’ego, najchętniej lazanie i sałatkę cesarską. Czasem razem oglądali filmy na DVD, ona sadowiła się obok na kanapie, z przygotowaną wcześniej miską prażonej kukurydzy, polanej rozpuszczonym substytutem masła, ujmując ją w tłuste palce, które oblizywała w najbardziej przerażających momentach, podczas gdy Jimmy usiłował nie zerkać na jej piersi. Zapytała, czy chciałby cokolwiek wiedzieć, o, no wiesz. O niej i o swoim tacie, o tym, co się stało z małżeństwem rodziców. Zaprzeczył.

Nocami, w sekrecie, tęsknił za Killerem. A także – w jakimś zakątku, którego istnienia sobie nie uświadamiał – za swoją prawdziwą, dziwną, niepełną, nieszczęśliwą matką. Dokąd się udała, w jakim była niebezpieczeństwie? Bo to, że była w niebezpieczeństwie, nie ulegało wątpliwości. Wiedział, że będą jej szukali, i na jej miejscu nie chciałby dać się złapać.

Powiedziała jednak, że się z nim skontaktuje, więc dlaczego tego nie robiła? Po pewnym czasie dostał dwie pocztówki, jedną ze znaczkiem z Anglii, drugą z Argentyny. Podpisano je „Ciocia Monica”, ale Jimmy wiedział, że to wiadomość od niej. „Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku” – to był cały tekst. Na pewno się

domyśliła, że zanim dotrą do Jimmy'ego, przeczytają je setki tajniaków, i słusznie, bo po każdej pocztówce przychodzili korpusowcy z pytaniem, kim jest ciocia Monica. Jimmy powiedział, że nie wie. Wątpił, by matka przebywała w którymś z krajów, z których pochodziły znaczki – była na to zbyt sprytna. Musiała poprosić kogoś, żeby wysłał mu te pocztówki.

Nie ufała mu? Najwyraźniej nie. Czuł, że ją rozczarował, zawiódł w jakiś istotny sposób. Nigdy nie rozumiał, czego od niego chciał. Gdyby tylko dostał jeszcze jedną szansę, żeby ją uszczęśliwić.

– Nie jestem swoim dzieciństwem – mówi głośno Yeti. Nienawidzi tych wspomnień. Nie potrafi ich wyłączyć, nie potrafi zmienić tematu, nie potrafi tego zostawić. Potrzeba mu więcej wewnętrznej dyscypliny, mistycznej sylaby, którą mógłby powtarzać w kółko, żeby się wyciszyć. Jak to się nazywało? Mantry. Przerabiali je w szkole podstawowej. Religia tygodnia. „No dobrze, moi drodzy, bądźcie teraz cicho jak myszki, do ciebie mówię, Jimmy. Dziś udajemy, że mieszkamy w Indiach, będziemy powtarzali mantry. Ale fajnie, prawda? Wybierzmy teraz słowo, każdy inne, żeby mógł mieć swoją własną mantrę”.

– Trzymaj się słów – mówi do siebie. Dziwnych słów, starych, rzadkich. „Lambrekin. Pranordycki. Traf. Dudy. Lubieżny”. Jeśli te słowa znikną z jego głowy, znikną zewsząd, na zawsze. Jakby nigdy nie istniały.

Derkacz

Kilka miesięcy przed ucieczką matki Jimmy'ego pojawił się Derkacz. Dwie rzeczy zdarzyły się w tym samym roku. Czy coś je łączyło? Nie, poza tym, że oboje najwyraźniej dobrze się dogadywali. Derkacz należał do garstki kolegów Jimmy'ego, których matka lubiła. Zazwyczaj uważała kumpeli syna za młodocianych przestępców, kumpelki zaś za ptasie mózdzki albo puszczałskie. Nigdy nie użyła tych słów, ale to się rzucało w oczy.

Derkacz był jednak inny. Powiedziała, że bardziej dorosły; nawet bardziej dorosły niż sami dorośli. Można z nim było przeprowadzić obiektywną rozmowę, rozmowę, w której wydarzenia i hipotezy prowadziły do logicznych wniosków. Jimmy nigdy nie widział, żeby ucinali sobie pogawędki, ale musieli, bo przecież by tak nie mówiła. Często się zastanawiał, kiedy odbywały się te logiczne, dorosłe rozmowy.

– Twój przyjaciel jest intelektualnie uczciwy – podkreślała matka Jimmy'ego. – Nie okłamuje samego siebie.

Potem rzucała Jimmy'emu błękitne, rozczarowane spojrzenie, tak dobrze mu znane. Gdyby tylko on był właśnie taki – intelektualnie uczciwy. Kolejny zdumiewający punkt na zaszyfrowanej cenzurce, którą matka nosiła w jakimś zakamarku swojej psychiki, cenzurce, na której zawsze osiągał ledwie ocenę mierną. Jimmy radziłby sobie lepiej z intelektualną uczciwością, gdyby się do tego przyłożył. I gdyby miał, kurwa, jakieś pojęcie, co to, kurwa, znaczy.

– Nie muszę jeść kolacji – powtarzał jej. – Coś przekąszę.

Skoro chciała obnosić się z tą zboląłą miną, niech ją stroi do zegara w kuchni. Przetawiał go tak, że gil huknął hu hu, a sowa ćwierkała. Niech dla odmiany nimi się rozczaruje.

Powątpiewał w uczciwość Derkacza, intelektualną i inną. Wiedział o nim nieco więcej niż matka.

Derkacz niewiele mówił, kiedy matka Jimmy'ego zwała po tych hecach z młotkiem. Nie wydawał się zdumiony ani zaszokowany. Oświadczył tylko, że niektórzy potrzebują odmiany i muszą udać się po to gdzie indziej. Powiedział, że człowiek może pojawić się w czyimś życiu i z niego zniknąć i że Jimmy powinien poczytać stoików. To ostatnie było nieco irytujące – Derkacz czasem za bardzo pouczał i za często

szafował słowem „powinien”. Jimmy jednak doceniał jego spokój i brak wścibstwa.

Rzecz jasna, wtedy Derkacz nie był jeszcze Derkaczem – miał na imię Glenn. Dlaczego przez dwa „n”, a nie przez jedno, jak wszyscy?

– Mój tata lubił muzykę – brzmiało wyjaśnienie Derkacza, kiedy Jimmy w końcu odważył się go o to zapytać, czyli nieprędko. – Nazwał mnie tak na cześć zmarłego pianisty, jakiegoś młodego geniusza przez dwa „n”.

– Zmuszał cię do lekcji muzyki?

– Nie – odparł Derkacz. – Nigdy mnie do niczego nie zmuszał.

– No to po co?

– Co po co?

– Twoje imię. Dwa „n”.

– Jimmy, Jimmy – powiedział Derkacz. – Nie wszystko musi być po coś.

Yeti miał problemy z myśleniem o Derkaczu jako o Glennie, tak bardzo późniejszy Derkacz wyparł tego wcześniejszego. Jego derkacza natura musiała mu towarzyszyć od samego początku, myśli Yeti, nigdy nie było prawdziwego Glenna, Glenn stanowił jedynie przykrywkę. I tak we wspomnieniach Yeti Derkacz nigdy nie jest Glennem ani Glennem-alias-Derkaczem, ani Derkaczem/Glennem, ani Glennem, później Derkaczem. Zawsze jest Derkaczem, i już.

Przynajmniej dzięki Derkaczowi zyskuję na czasie, myśli Yeti. Po co łączniki, po co nawiasy, jeśli nie są absolutnie niezbędne?

Derkacz pojawił się w liceum ZdrowoTechu we wrześniu albo w październiku, a więc w jednym z tych miesięcy, które kiedyś nazywano jesiennymi. Był ciepły słoneczny dzień, identyczny jak inne. Derkacza przeniesiono w ramach zamiany jakiejś komórki rodzinnej – to się często zdarzało między Kompleksami. Dzieciaki przychodziły i odchodziły, biurka zapełniały się i pustoszały, przyjaźń zawsze była przypadkowa.

Jimmy niezbyt uważał, kiedy Melony Riley, nauczycielka od laboratoryki i ultratekstów, przedstawiała Derkacza uczniom. Nie miała na imię Melony – to przezwisko nadali kobiecie chłopcy z klasy – ale Yeti nie może sobie przypomnieć jej prawdziwego imienia. Nie powinna była tak się pochylać nad monitorem, jej duże, okrągłe piersi niemal dotykały jego ręki. Nie powinna wpychać podkoszulka z Nowoskóru w szorty z nogawkami na suwak: to zbyt rozpraszało. Kiedy zatem Melony ogłosiła, że Jimmy oprowadzi po szkole nowego ucznia Glenna, nastąpiła krótka przerwa, podczas której Jimmy usiłował rozszyfrować, co przed chwilą mówiła Melony.

– Jimmy, poprosiłam cię o coś – powiedziała Melony.

– Jasne, już. – Jimmy z lubieżnym uśmiechem przewrócił oczyma, ale nie szarżował. W klasie rozległy się śmiechki; nawet pani Riley obdarzyła go nieobecny, niechętnym

uśmiechem. Zazwyczaj zjednywał ją sobie, udając czarującego chłopca. Lubił sobie wyobrażać, że gdyby nie był uczniem, a ona nauczycielką, którą mogli oskarżyć o molestowanie, wdrapałaby się do jego sypialni, by zatopić niecierpliwe palce w jego młodym ciele.

Jimmy był wtedy bardzo pewny siebie, myśli Yeti pobłaźliwie i z odrobiną zazdrości. Rzecz jasna, był także nieszczęśliwy. Bez wątpienia. Wkładał w to mnóstwo energii.

Kiedy w końcu Jimmy skupił uwagę na Derkaczu, niezbyt się ucieszył. Derkacz był o jakieś pięć centymetrów wyższy od niego, a także szczuplejszy. Proste ciemnobrązowe włosy, śniada cera, zielone oczy, półuśmiech, zimne spojrzenie. Nosił ciemne ubrania bez logo, obrazków czy też pisemnych komentarzy – niemarkowy wygląd. Zapewne był starszy od reszty albo na takiego się zgrywał. Jimmy zastanawiał się, jakie sporty uprawia. Nie piłkę nożną, nic zbyt siłowego. Za niski na koszykówkę. Nie wydawał się Jimmy’emu graczem zespołowym ani takim, który głupio narażałby się na kontuzję. Może tenis (Jimmy grał w tenisa).

Podczas przerwy na lunch Jimmy zabrał Derkacza do stołówki po coś do jedzenia – Derkacz wziął dwa gigantyczne hot dogi sojowe i duży kawał ciasta o smaku kokosopodobnym, może usiłował przybrać na wadze. Potem chodzili po korytarzach, salach i laboratoriach, a Jimmy komentował: „To sala gimnastyczna, to biblioteka, to czytelnia, trzeba się zapisać przed południem, tu są pryszniczynie dziewczyn, podobno w ścianie jest dziura, ale ja jej nigdy nie znalazłem. Jeśli chcesz palić trawę, nie korzystaj z tego kibla, jest zapluskwiony; w przewodzie wentylacyjnym ochrona umieściła minikamerę, nie patrz tam, bo się domyślą, że wiesz”.

Derkacz przyglądał się wszystkiemu i milczał. Nie dostarczył żadnych informacji o sobie. Napomknął jedynie, że laboratorium chemiczne to nora.

Wypchaj się, pomyślał Jimmy. Skoro facet chce być dupkiem, bardzo proszę, droga wolna. Miliony przed nim dokonały identycznego życiowego wyboru. Był zły na siebie za kłapanie dziobem i wygłupy, podczas gdy Derkacz rzucał mu przelotne, obojętne spojrzenia i uśmiechał się krzywo, półgębkiem. Mimo to miał w sobie coś, spokojny luz, który zawsze imponował Jimmy’emu u innych – poczucie tłumionej energii, trzymanej w zanadrzu na coś ważniejszego niż obecne towarzystwo.

Jimmy marzył, żeby znaleźć słaby punkt w Derkaczu, wywołać reakcję; była to jedna z jego słabości – przejmował się tym, co inni o nim myślą. Dlatego po szkole spytał Derkacza, czy chce iść do centrum handlowego, poszwendać się, pogapić, może będą tam jakieś dziewczyny, a Derkacz przytaknął. W Kompleksie ZdrowoTech czy w innych Kompleksach dzieciaki w ich wieku nie miały wiele do roboty, żadnych grupowych rozrywek – inaczej niż w plebsopoliach. Krążyły plotki, że tam dzieciaki biegają w grupach, w hordach. Kiedy jakiś rodzic zniknął, od razu brały się do roboty –

łoczyły się w mieszkaniu, zatracały w głośnej muzyce, paleniu i piciu, pieprząc wszystko, co się rusza, łącznie z ulubionym kotem rodziny, i niszcząc meble. Ćpały, przedawkowały. Wspaniale, myślał Jimmy. Życie w Kompleksie było natomiast pod pełną kontrolą. Nocne patrole, godziny policyjne dla młodzieży, psy tropiące narkotyki. Raz poluzowali, wpuścili prawdziwy zespół – Męty Plebsopolii – ale wybuchły pseudozamieszki, więc to się nie powtórzyło. Nie musiał jednak przeproszać Derkacza. Derkacz też był dzieciakiem z Kompleksu, znał zasady.

Jimmy miał nadzieję, że w centrum handlowym uda mu się rzucić okiem na Wakullę Price. Nadal się w niej podkochał, ale po przemowie w stylu „Cenię-cię-jako-przyjaciela”, którą go załatwiła, spróbował z inną dziewczyną, później z jeszcze inną i niedawno wylądował u boku jasnowłosej LyndaLee. LyndaLee, wioślarka o muskularnych udach i imponujących mięśniach klatki piersiowej, wpuściła go do swojej sypialni przy więcej niż jednej okazji. Mogła się poszczycić ruchliwymi ustami i większym doświadczeniem niż Jimmy, i za każdym razem, kiedy z nią był, czuł się tak, jakby wessał go automat do gry w pachinko – migające światła, chaotyczna kotłowanina i kaskady łożysk kulkowych. Nie była w jego typie, ale musiał się jej trzymać, za nic nie chciał zniknąć z jej listy. Może zdołałby wpuścić Derkacza do kolejki, oddać mu przysługę, zaskarbić sobie jego wdzięczność. Był ciekaw, jakie dziewczyny lubi Derkacz. Na razie miał zero sygnałów.

W centrum nie spotkali ani Wakulli, ani LyndaLee. Jimmy usiłował się do niej dodzwonić, ale wyłączyła komórkę. Wobec tego zagrali parę rundek w Trójwymiarowe Waco w pasażu i pochłonęli sojamojaburgery – w tym miesiącu wołowiny brak, napisano kredą na tablicy – oraz mrożoną pychakawę i energatona, żeby dodać sobie energii i dostarczyć organizmowi trochę sterydów. Potem przy dźwiękach kąpielowej muzyki, którą zawsze tu grano, powlekli się zadaszonym korytarzem pełnym fontann i plastikowych paprotek. Derkacz nie był szczególnie gadatliwy i Jimmy już miał powiedzieć, że idzie do domu odrobić lekcje, kiedy przed nimi pojawiło się coś godnego uwagi – Melony Riley w towarzystwie mężczyzny zmierzała do jednego z klubów tanecznych tylko dla dorosłych. Zmieniła strój, teraz miała na sobie obcisłą czarną sukienkę, na niej luźną czerwoną marynarkę, a facet obejmował ją w talii, pod materiałem.

Jimmy trącił łokciem Derkacza.

– Myślisz, że trzyma rękę na jej dupie? – spytał.

– To problem geometryczny – odparł Derkacz. – Trzeba go rozpracować.

– Co? – zdumiał się Jimmy. I po chwili: – Jak?

– Użyj szarych komórek – poradził mu Derkacz. – Krok pierwszy: oceń długość ręki mężczyzny, wykorzystując do porównania tę widoczną. Założenie: obie ręce są mniej więcej tej samej długości. Krok drugi: oceń kąt, pod którym ręka zgina się w łokciu. Krok trzeci: oceń krzywiznę dupy. Z braku wiarygodnych danych przybliżenie może się

okazać konieczne. Krok czwarty: oceń rozmiar dłoni, wykorzystując tę widoczną, jak wyżej.

– Nie jestem człowiekiem liczb. – Jimmy się roześmiał, ale Derkacz ciągnął dalej:

– Trzeba rozważyć wszystkie możliwe pozycje dłoni. Talia odpada. Górna część prawego poślądka odpada. Drogą dedukcji dolna część prawego poślądka albo górna część uda wydają się najbardziej prawdopodobne. Ręka pomiędzy górnymi częściami ud także wchodzi w grę, ale to zaburzyłoby sposób chodzenia podejrzonej, a ta nie potyka się i nie kuleje.

Znakomicie naśladował ich nauczyciela chemii: uwaga o używaniu szarych komórek i ta sztywna, sucha mowa, przypominająca szczekanie, były niezłe, nawet bardzo dobre.

Jimmy od razu poczuł do niego większą sympatię. Może jednak mieli ze sobą coś wspólnego, przynajmniej nie sposób było odmówić gościowi poczucia humoru. Jimmy trochę się bał. Sam był dobrym imitatorem, potrafił naśladować niemal wszystkich nauczycieli. A jeśli Derkacz okaże się lepszy? Czuł, że mógłby go znienawidzić, równie łatwo jak polubić.

W następnych dniach Derkacz nie dawał jednak żadnych publicznych występów.

Już wtedy coś w sobie miał, myśli Yeti. Nie był szczególnie popularny, ale ludziom pochlebiało jego zainteresowanie. Nie tylko dzieciakom, nauczycielom również. Patrzył na nich, jakby naprawdę ich słuchał, jakby to, co mówili, było warte jego uwagi, chociaż nigdy nic takiego nie powiedział. Budził respekt – nie zapierający dech w piersiach respekt, a jednak. Miał w sobie możliwości, ale jakie? Nikt tego nie wiedział, więc ludzie się go obawiali. I do tego te ciemne ascetyczne ubrania.

Mózgospiek

Wakulla Price była partnerką laboratoryjną Jimmy'ego na zajęciach biochemii nanotechnologicznej, ale jej ojca podkupił Komplex w drugiej części kontynentu, więc wsiadła do szybkiego pociągu i słuch po niej zaginął. Jimmy rozpaczał przez tydzień po zniknięciu Wakulli i nawet drgawki nieprzyzwoitych ust LindaLee nie mogły go pocieszyć.

Wolne miejsce przy stole laboratoryjnym zajął Derkacz, którego przeniesiono z samotnego stanowiska z tyłu sali. Był bardzo bystry – nawet w świecie liceum ZdrowoTechu, z nadmiarem prawie geniuszy i polimatematyków, nie miał problemu z wdrapaniem się na szczyt. Okazał się znakomity na zajęciach z biochemii nanotechnologicznej, razem z Jimmym pracował nad projektem splicingu warstw jednocząsteczkowych i zdołali w końcu stworzyć fioletowego nicienia – wykorzystując sekwencję kodującą ubarwienie – przed czasem i bez niepokojących wariacji.

Jimmy i Derkacz wspólnie spędzali przerwy na lancy, a później – nie codziennie, nie byli przecież gejami, ale co najmniej dwa razy w tygodniu – wolny czas po szkole. Początkowo grywali w tenisa na korcie za domem Derkacza, ale Derkacz łączył metodę z myśleniem lateralnym i nienawidził przegrywać, Jimmy zaś był porywczy i brakowało mu finezji, wobec czego niespecjalnie im szło i wkrótce to zarzucili. Nie raz, udając, że odrabiają lekcje, które zresztą czasem faktycznie odrabiali, w pokoju Derkacza grali na komputerze w szachy albo trójwymiarowe gry, albo Szybkiego Osamę, losując stronę Niewiernych. Derkacz miał dwa komputery, mogli więc siedzieć osobno, odwróceny do siebie plecami.

– Dlaczego nie używamy prawdziwej planszy? – spytał pewnego dnia Jimmy podczas gry w szachy. – Takiej starego typu. Z plastikowymi figurami.

Wydawało się dziwne, że siedzą w tym samym pokoju tyłem do siebie i grają na komputerach.

– A po co? – zapytał Derkacz. – Zresztą to też jest prawdziwa plansza.

– Nieprawda.

– Niech ci będzie, ale plastikowe figury też nie są prawdziwe.

– Co?

– Prawdziwa gra jest w twojej głowie.

– Farmazony! – wrzasnął Jimmy. Było to dobre słowo, znalazł je na starych DVD;

używali go, by karać się nawzajem za zbytne zadęcie. – Strasznie farmazońskie!
Derkacz wybuchnął śmiechem.

Derkacz koncentrował się na grze, chciał w nią grać i doskonalić atak, dopóki nie był pewien, że wygra, przynajmniej dziewięć razy na dziesięć. Przez cały miesiąc musieli grywać w Atak Barbarzyńców (Sprawdź, czy zmienisz historię!). Jedna strona miała miasta i bogactwa, druga zaś hordy i – zazwyczaj, choć nie zawsze – była bardziej niegodziwa. Albo barbarzyńcy najeżdżali miasta, albo to ich najeżdżano, ale należało zacząć od historycznych podziałów. Rzym kontra Wizygoci, starożytny Egipt kontra Hyksosi, Aztekowie kontra Hiszpanie. To był fajny wariant, bo Aztekowie reprezentowali cywilizację, Hiszpanie zaś barbarzyńskie hordy. Można było modyfikować grę, pod warunkiem że wykorzystywało się prawdziwe społeczeństwa lub plemiona, i przez jakiś czas Derkacz i Jimmy rywalizowali ze sobą o to, kto wymyśli najbardziej dziwaczne zestawienie.

– Pieczyngowie kontra Bizancjum – oznajmił Jimmy pewnego pamiętnego dnia.

– Kim są, kurwa, Pieczyngowie? Wymyśliłeś to – oskarżył go Derkacz.

Jimmy znalazł ich w *Encyklopedii Britannica*, w wydaniu z 1957 roku, z jakiegoś niewiadomego powodu zachowanym na CD w szkolnej bibliotece. Pamiętał rozdział i wers.

– Mateusz z Edessy opisywał ich jako niegodziwe, krwiożercze bestie – mógł oznajmić z wielką pewnością siebie. – Byli niezwykle bezlitośni i nie mieli żadnych zalet.

Losowali zatem strony, Jimmy’emu dostali się Pieczyngowie i wygrał. Mieszkańców Bizancjum zaszlachtowano, bo tak postępowali Pieczyngowie, wyjaśnił. Wszystkich od razu szlachtowali, albo przynajmniej mężczyzn. Po pewnym czasie pod nóż trafiały też kobiety.

Derkacz źle przyjął przegraną swoich graczy, trochę się dąsał. Po jakimś czasie jego przychylność zyskała Krew i Róże. Twierdził, że to bardziej uniwersalna gra: pole bitwy było większe zarówno pod względem rozpiętości czasowej, jak i przestrzeni.

Krew i Róże było grą handlową, podobna do Monopoly. Strona Krwi grała ludzkim okrucieństwem, okrucieństwem na wielką skalę: incydentalne gwałty i morderstwa się nie liczyły, trzeba było zmieść z powierzchni ziemi większą liczbę ludzi. Masakry, ludobójstwo, tego typu rzeczy. Strona Róż wygrywała dokonaniem ludzkości. Miała dzieła sztuki i wielkiej architektury, odkrycia naukowe, przydatne wynalazki. Pomniki triumfu ducha, tak je nazywano w grze. Były też dodatkowe guziki, więc jeśli nie wiedziałeś, co to jest *Zbrodnia i kara*, teoria względności, *Szlak Łez*, *Pani Bovary*, wojna stuletnia czy *Ucieczka do Egiptu*, wystarczyło kliknąć myszką i obejrzeć obrazkowy skrót, w dwóch wersjach: D dla dzieci, PON dla dorosłych: profanacja, obsceniczość, nagość. O to chodzi w historii, powtarzał Derkacz – było tam pod

dostatkiem wszystkich trzech.

Po rzucie wirtualnymi kośćmi wyskakiwał przedmiot należący do Róż albo Krwi. Jeśli do Krwi, gracz Róż miał szansę nie dopuścić do okrucieństwa, ale w zamian musiał oddać przedmiot należący do Róż. Wtedy okrucieństwo zniknęło z historii, przynajmniej z tej historii na ekranie. Gracz Krwi mógł dostać własność Róż, ale tylko oddając jakąś okropność, czyli pozbawiając się w ten sposób amunicji i uzbrajając gracza Róż. Jeśli był bystry, mógł zaatakować gracza Róż za pomocą okrucieństw, którymi dysponował przeciwnik, złupić ludzkie osiągnięcia i przenieść je na swoją stronę planszy. Gracz, który zdołał zgromadzić jak najwięcej ludzkich osiągnięć przed pojawieniem się napisu „Czas minął”, zwyciężał. Rzecz jasna, tracił punkty za osiągnięcia zniszczone z powodu jego błędów, szaleństwa i kretyńskiej strategii.

Sugerowano kursy wymiany – *Mona Lisa* za Bergen-Belsen, ludobójstwo w Armenii za *Dziwiątą Symfonię* plus trzy piramidy – ale można się było targować. Do tego jednak należało znać liczby – ogólną liczbę trupów po masakrach, ostatnie wolnorynkowe ceny za dzieła sztuki albo, jeśli dzieła sztuki skradziono, sumy wypłacane przez towarzystwa ubezpieczeniowe. Była to paskudna gra.

– Homer – mówi Yeti, przedzierając się przez ociekającą wodą roślinność. – *Boska komedia*. Greckie rzeźby. Akwedukty. *Raj utracony*. Muzyka Mozarta. Szekspir, dzieła zebrane. Siostry Brontë. Tolstoj. Meczet Perłowy. Katedra w Chartres. Bach. Rembrandt. Verdi. Joyce. Penicylina. Keats. Turner. Przeszczepy serca. Szczepionka przeciwko polio. Berlioz. Baudelaire. Bartók. Yeats. Woolf.

Musiało być tego więcej. Było więcej.

„Oblężenie Troi”, odzywa się głos w jego uchu. „Zniszczenie Kartaginy. Wikingowie. Krucjaty. Czyngis-chan. Hun Attyła. Masakra Katarów. Palenie czarownic. Wybicie Azteków. Majów. Inków. Inkwizycja. Krwawy Vlad. Masakra hugenotów. Cromwell w Irlandii. Rewolucja francuska. Wojny napoleońskie. Głód w Irlandii. Niewolnictwo na amerykańskim Południu. Król Leopold w Kongo. Rewolucja radziecka. Stalin. Hitler. Hiroszima. Mao. Pol Pot. Idi Amin. Sri Lanka. Wschodni Timor. Saddam Husajn”.

– Przestań – mówi Yeti.

„Przepraszam, skarbie. Chciałam tylko pomóc”.

Na tym właśnie polegał problem z Krwią i Różami – łatwiej zapamiętywało się stronę Krwi. Innym problemem było to, że gracz Krwi zazwyczaj wygrywał, ale wygrana oznaczała zdobycie ziemi jałowej. O to właśnie chodzi w tej grze, tłumaczył Derkacz, gdy Jimmy narzekał, a Jimmy odpowiadał, że jeśli o to chodzi, to nie chodzi o nic. Nie chciał mówić Derkaczowi, że w nocy miewa przerażające koszmary –

z jakiegoś powodu najgorszy był ten z Partenonem przystrojonym ściętymi głowami.

Na mocy milczącego porozumienia zrezygnowali z Krwi i Róż, a Derkacz nie miał nic przeciwko temu, bo zainteresował się czymś nowym – Wymaratonem, interaktywną grą koncepcyjną dla zapaleńców o ogromnej wiedzy, znalezionej w internecie. „Wymaraton, nadzorowany przez MaddAddama, Adam nazwał wszystkie żywe zwierzęta, MaddAddam nazywa martwe. Chcesz zagrać?”, taki napis ukazywał się po zalogowaniu. Następnie należało kliknąć na „tak”, podać nick i wybrać jeden z chatroomów – Królestwo Zwierząt albo Królestwo Roślin. Następnie pojawiał się przeciwnik z własnym nickiem – Komodo, Nosorożec, Manat, Pławikonik Sargassowy – i proponował grę. „Zaczniemy od liczby nóg, co to będzie?”. To musiała być bioforma, która wyginęła w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat – żadnych tyranozaurów rexów, żadnych ptaków-roków, żadnych dodo, i ujemne punkty za pomylenie czasu. Potem trzeba było zawęzić poszukiwania poprzez typ, podtyp, gromadę, rząd, rodzinę, gatunek, następnie środowisko oraz kiedy ostatnio widziano tę bioformę i co ją załatwiło. (Zanieczyszczenie, zniszczenie środowiska, naiwni kretyni, którzy uważali, że zjedzenie rogu owego zwierzęcia zapewni im erekcję). Im dłużej zawodnik wytrzymał, tym więcej punktów zdobywał, ale można też było wygrać wielkie premie za szybkość. Przydawał się wydruk MaddAddama przedstawiający każdy wymarły gatunek, ale widniały na nim jedynie łacińskie nazwy, poza tym było to kilkaset stron drobną czcionką, pełnych nieznanymi owadów, chwastów i żab, o których nikt nigdy nie słyszał. Nikt poza, jak się wydawało, mistrzami Wymaratonu, których mózgi przypominały wyszukiwarki.

Człowiek zawsze wiedział, kiedy gra, gdyż na ekranie pojawiała się ikonka z latimerią. „Latimeria. Prehistoryczna ryba trzonopłetwa długości kilku metrów, przez długi czas uważana za wymarłą, ale pojawiająca się sporadycznie w połowie dwudziestego wieku. Obecny status: nieznanym”. Wymaraton był niesłychanie dydaktyczny. Zdaniem Jimmy’ego przypominał nudnego pedanta, z którym utkwilo się w drodze do szkoły i który nie chciał się zamknąć.

– Dlaczego tak to lubisz? – spytał pewnego dnia Jimmy, nachylając się nad zgarbionym Derkaczem.

– Bo jestem w tym dobry – odparł Derkacz. Jimmy podejrzewał, że Derkacz pragnie zostać mistrzem, nie dlatego, że to cokolwiek znaczyło, ale dlatego, że istniała taka możliwość.

Derkacz wymyślił ich nicki. Jimmy został Głuptakiem. Jimmy podejrzewał, że Derkaczowi podobała się ta nazwa w zestawieniu z Jimmym. Nick Derkacza brzmiał Derkacz, na cześć derkacza zwyczajnego, innego wymarłego ptaka – niezbyt, jak twierdził Derkacz, popularnego. Przez jakiś czas mówili do siebie Derkacz i Głuptak, w ramach prywatnego żartu. Kiedy Derkacz uświadomił sobie, że Jimmy nie ma serca do gry i przestali w nią grać, Głuptak zniknął. Derkacz jednak pozostał.

Czasem zamiast grać, surfowali w sieci – oglądając ulubione witryny, sprawdzając nowości. Przyglądali się operacji na otwartym sercu w czasie rzeczywistym albo Nagim Faktom, co było zabawne przez parę minut, gdy ludzie usiłowali udawać, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego i starannie omijali spojrzeniem genitalia rozmówcy.

Wchodzili też na witryny, na których mordowano zwierzęta, *Przecier z Żab Felicji* i temu podobne, ale szybko się im znudziło: jedna rozdeptana żaba, jeden rozerwany ręcznie kot, wszystko było bardzo do siebie podobne. Zaglądali na skarpetowebrudasy.com, aktualne widowisko pacynkowe dotyczące czołowych polityków świata. Derkacz twierdził, że dzięki cyfrowej genalteracji nie da się powiedzieć, czy ci wszyscy generałowie i inni jeszcze istnieją, a jeśli nawet, czy faktycznie mówili to, co się słyszało. Tak czy owak, obalano ich i zastępowano z taką szybkością, że nie miało to większego znaczenia.

Albo oglądali dekapitacja.com, na której leciały transmisje z egzekucji w Azji. Można było zobaczyć wrogów ludu ścinanych mieczami w miejscu, które wyglądało na Chiny, i wiwaty tysięcy widzów. Albo alibubu.com, pełną rozmaitych rzekomych złodziei, którym odcinano ręce, wielbicielek szminek i cudzołożnic kamienowanych na śmierć przez wyjące tłumy w zakurzonych enklawach, położonych jakoby w fundamentalistycznych krajach Bliskiego Wschodu. Transmisje na tej witrynie były zazwyczaj kiepskiej jakości: filmowania zabroniono, jakiś zdesperowany biedak z minikamerą wideo ryzykował zatem życie dla brudnej forsy z Zachodu. Najczęściej widzieli tylko plecy i głowy widzów. Przypominało to niewolę w wielkiej klatce z ubrań, aż do chwili, w której łapano faceta z kamerą, wtedy pokazywało się morze rąk i tkanin, obraz się zaciemniał. Derkacz twierdził, że te krwawe widowiska nagrywano gdzieś w małym studiu w Kalifornii, a udział w nich brała gromada ściągniętych z ulicy statystów.

Lepsze były amerykańskie witryny, z niemal sportowym komentarzem: „Już idzie! Tak! To Joe »Koło zapadkowe« Ricardo, wybrany przez widzów!”. Następnie podsumowanie zbrodni, makabryczne zdjęcia ofiar. Na tych witrynach wyskakiwały reklamy takich towarów, jak akumulatory samochodowe i środki uspokajające, oraz loga wymalowane jaskrawą żółcią na ścianach w tle. Amerykanie przynajmniej nadali temu jakiś styl, twierdził Derkacz.

Krotkiespiecie.com, mozgospiek.com i celasmierci.com były najlepsze; pokazywały egzekucje na krześle elektrycznym i śmiertelne zastrzyki. Kiedy zalegalizowano bezpośrednie transmisje, więźniowie z wyrokiem śmierci zaczęli się pchać przed kamery. Zazwyczaj mężczyźni, co jakiś czas kobieta, ale Jimmy nie lubił oglądać kobiet – taka egzekucja była poważnym, łzawym wydarzeniem, ludzie gromadzili się z zapalonymi świeczkami i zdjęciami dzieci albo odczytywali wiersze swojego autorstwa. Faceci jednak byli niezli. Stroili miny, pokazywali strażnikom środkowy palec, robili sobie jaja, co jakiś czas wyrywali się i trzeba było ich ścigać po sali,

kiedy wlekli za sobą krępujące ich pasy i rzucali mięsem.

Derkacz twierdził, że te incydenty to farmazony. Uważał, że tym mężczyznom, a raczej ich rodzinom, za to płacą. Sponsorzy żądali efektownego widowiska, bo inaczej ludzie szybko się nudzili, co owocowało zmianą witryny. Owszem, widzowie chcieli oglądać egzekucje, ale po pewnym czasie nieuchronnie przychodziła monotonia, trzeba więc było dodać ostatnią walkę albo element zaskoczenia. Dwa do jednego, że wcześniej to przygotowywano.

Jimmy doszedł do wniosku, że to osobliwa teoria. „Osobliwe” było kolejnym starym słowem, jak „farmazony”, które wyciągnął z archiwów DVD.

- Myślisz, że naprawdę ich zabijają? – spytał. – Sporo z tego wygląda na symulację.
- Nigdy nie wiadomo – odparł Derkacz.
- Czego nie wiadomo?
- Czym jest rzeczywistość?
- Farmazony!

Była także witryna wspomaganego samobójstwa – slodkichsnow.com, tak ją nazywano – na której znajdował się dział „takie było twoje życie”: zdjęcia rodzinne, wywiady z krewnymi, grupki dzielnych przyjaciół z boku i samobójstwo przy dźwiękach muzyki organowej. Gdy smutnooki lekarz deklarował, że ustały czynności życiowe, puszczano nagrane wcześniej wyjaśnienia samobójcy na temat powodów odejścia. Po uruchomieniu tej witryny statystyki wspomaganego samobójstwa gwałtownie podskoczyły. Podobno w kolejce czekało wiele osób gotowych sporo zapłacić za pojawienie się na witrynie i odejście w chwale, dlatego uczestników losowano.

Derkacz często się uśmiechał podczas oglądania witryny. Z jakiegoś powodu uważał ją za przezabawną, w przeciwieństwie do Jimmy’ego, który nie potrafił sobie wyobrazić, jak można zrobić coś takiego. Derkacz jednak twierdził, że trzeba mieć klasę, by wiedzieć, kiedy ze sobą skończyć. Czy niechęć Jimmy’ego oznaczała, że jest tchórzem, czy też po prostu nie lubił muzyki organowej?

Te zaplanowane odejścia budziły w nim niepokój – przypominały mu papugę Alexa mówiącą: „Teraz odfruwam”. Papugę Alexa, wspomagane samobójstwa, matkę Jimmy’ego i jej list do syna łączyła cienka linia. We wszystkich trzech wypadkach bohaterowie znikali po udzieleniu informacji o swoich zamiarach.

Czasem oglądali *W Domu z Anną K.* Anna K. była samozwańczą performerką z wielkim biustem, która okablowała całe swoje mieszkanie, żeby podglądacze mogli obserwować na żywo każdą chwilę jej życia. Po wejściu na witrynę pojawiał się napis: „Oto Anna K., wciąż myśli o moim szczęściu i nieszczęściu”. Później można było obserwować, jak wyrywa sobie brwi, depiluje linię bikini, pierze bieliznę. Czasem czytała na głos fragmenty starych sztuk i odgrywała wszystkie role, siedząc na

sedesie z opuszczonymi do kostek dżinsami biodrówkami w stylu retro. Tak właśnie Jimmy po raz pierwszy zapoznał się z Szekspirem – dzięki interpretacji *Makbeta* w wykonaniu Anny K.

*Ciągle to jutro, jutro i znów jutro
Wije się w ciasnym kółku od dnia do dnia
Aż do ostatniej głoski czasokresu;
A wszystkie wczoraj to były pochodnie,
Które głupocie naszej przyświecały
W drodze do śmierci.*³

przeczytała Anna K. Była koszmarną aktorką, ale Yeti zawsze czuł do niej wdzięczność, bo stanowiła swoisty katalizator. I pomyśleć, że gdyby nie ona, mógłby nie dowiedzieć się tylu rzeczy. Te wszystkie słowa. Na przykład zwiędnięty. Albo karmazynowy.

– Co za gówno? – spytał Derkacz. – Zmiana kanału!

– Nie, czekaj, czekaj – powiedział Jimmy, którego zafascynowało... Co? Coś, co chciał usłyszeć. I Derkacz czekał, bo czasem lubił sprawiać Jimmy'emu przyjemność.

Albo oglądali *Połykaczy*, widowisko, w którym organizowano zawody polegające na jedzeniu na czas żywych zwierząt i ptaków, z nagrodami w postaci trudnych do zdobycia smakołyków. Zdziwiający, co potrafili zrobić ludzie za kotlety jagnięce albo kawałek oryginalnego sera brie.

Albo oglądali filmy pornograficzne. Tych było sporo.

Kiedy ciało po raz pierwszy wyruszyło na wyprawę?, zastanawia się Yeti. Opuściło swoich towarzyszy podróży, umysł i duszę, które długo uważały je za nieczyste naczynie albo kukiełkę odgrywającą ich własne dramaty, albo za złego towarzysza, prowadzącego pozostałych na manowce. Pewnie znudziły je ciągłe zrządzenie i narzekania duszy oraz pełne niepokoju intelektualne przytyki umysłu, rozprasające ciało za każdym razem, gdy zatopiło zęby w czymś soczystym albo dotknęło czegoś dobrego. Zostawiwszy zatem tych dwoje w jakimś wilgotnym sanktuarium lub dusznej sali wykładowej, ruszyło szlakiem barów topless, a wraz ze swoimi towarzyszami porzuciło kulturę: muzykę, malarstwo, poezję i sztukę. Sublimacja, tylko tyle; nic poza sublimacją, zdaniem ciała. Czemu z tym nie skończyć?

Jednak ciało miało własne odpowiedniki kultury. Miało własną sztukę. Egzekucje były jego tragediami, pornografia jego romanssem.

By wejść na te obrzydliwsze i zakazane witryny – te, gdzie trzeba mieć powyżej

osiemnastu lat i specjalne hasło dostępu – Derkacz posługiwał się kodem swojego wujka Pete’a, za pomocą skomplikowanej metody, którą nazywał labiryntem liścia lilii. Stworzył w sieci zawiłą ścieżkę, podłączając się w przypadkowej kolejności do rozmaitych ogólnodostępnych witryn handlowych i skacząc po nich, by zatrzeć ślady. Właśnie dlatego wujek Pete nie potrafił ustalić, kto tak strasznie nabija mu rachunek.

Derkacz zlokalizował także zapas należącej do wujka Pete’a wysokiej jakości trawy, przechowywanej w puszkach po soku pomarańczowym w zamrażalniku. Wyjął jakieś ćwierć puszki, po czym nasypał do niej niskooktanowe zmiotki, dostępne w szkolnym sklepiku po pięćdziesiąt dolców za działkę. Powiedział, że wujek Pete się nie zorientuje, bo pali tylko wtedy, kiedy ma ochotę na seks z matką Derkacza, czyli – sądząc po liczbie puszek i tempie, w jakim zużywał ich zawartość – niezbyt często. Derkacz twierdził, że wujek Pete tak naprawdę podnieca się w biurze, pomiatając ludźmi i redukując ich niewolnicze pensje. Kiedyś był naukowcem, ale został grubą rybą w zarządzie ZdrowoTechu, gdzie miał do czynienia z finansami.

Zwijali kilka skrętów i palili je, oglądając egzekucje i pornosy – członki poruszające się po ekranie w zwolnionym tempie, podwodny balet ciała i krwi pod napięciem, twarde i miękkie łączenie i rozdzielanie, jęki i krzyki, zbliżenia zaciśniętych powiek i zaciśniętych zębów, wytryski tego lub tamtego. Na szybkim podglądzie wszystko wyglądało tak samo. Czasem oglądali jedno i drugie naraz, na obu ekranach.

Te sesje w większości przebiegały w milczeniu, poza efektami dźwiękowymi. To Derkacz decydował, co oglądać i kiedy przestać. Miał prawo, komputery należały do niego. Czasem pytał: „Kończymy?”, zanim zmieniał witrynę. Najwyraźniej nic, na co patrzył, nie robiło na nim wrażenia, chyba że uznał coś za zabawne. I nigdy nie nawalał się trawą. Jimmy podejrzewał, że Derkacz się nie zaciąga.

Jimmy z kolei wracał do domu oszołomiony trawą i z poczuciem, że uczestniczył w orgii, na której w ogóle nie kontrolował, co się z nim dzieje – czy raczej co mu zrobiono. Czuł się bardzo lekki, jakby zrobiony z powietrza; rzadkiego, oszałamiającego powietrza na szczycie jakiegoś zaśmieconego Mount Everestu. W domowej bazie członkowie jego podstawowej komórki społecznej – zakładając, że byli na miejscu, na dole – nigdy niczego nie zauważali.

– Najadłeś się? – czasem pytała Ramona. Brała jego mamrotanie za potwierdzenie.

³ William Shakespeare, *Makbet*, przeł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1974.

Seksolatki

Najczęściej robili to wszystko późnymi popołudniami. Nikt im nie przeszkadzał. Matki Derkacza zazwyczaj nie było albo właśnie wychodziła w pośpiechu; pracowała jako diagnosta w szpitalu. Była energiczną ciemnowłosą kobietą o kwadratowej szczęce i niedużym biuście. Niewiele mówiła przy tych rzadkich okazjach, gdy Jimmy przebywał u Derkacza w tym samym czasie co ona. Szperała w kuchennych szafkach w poszukiwaniu czegoś, co nada się na przekąskę dla „was, chłopaki”. Czasem zamierała podczas przygotowań – rzucania zeschniętych bułek na talerzyk, krojenia gumowatych pomarańczowobiałych plastrów wyrobu seropodobnego – i stała całkiem nieruchomo, jakby dostrzegła w pomieszczeniu kogoś jeszcze. Jimmy miał wrażenie, że nie pamiętała jego imienia; co więcej, nie pamiętała również imienia własnego syna. Czasem pytała go, czy posprzątał w pokoju, ale nigdy tam nie wchodziła.

– Wierzy w poszanowanie prywatności dziecka – wyjaśnił z poważną miną Derkacz.

– Założę się, że to przez twoje śmierdzące skarpety – oznajmił Jimmy. – Wszystkie wonie Arabii nie odejmą tego zapachu z tych małych skarpet⁴. – Ostatnio odkrył radość cytowania.

– Od tego mam odświeżacz powietrza – powiedział Derkacz.

Wujek Pete rzadko wracał do domu przed siódmą. ZdrowoTech rozszerzał się niczym hel, w związku z czym wujek miał mnóstwo nowych obowiązków. Nie był prawdziwym wujkiem Derkacza, tylko drugim mężem jego matki. Został nim, kiedy Derkacz miał dwanaście lat, czyli o kilka za dużo, by traktować etykietkę wujka bez pogardy. Mimo to zaakceptował istniejący stan rzeczy, tak się przynajmniej wydawało. Uśmiechał się, mówiąc: „Jasne, wujku” i: „Pewnie, wujku”, kiedy ten był w pobliżu, chociaż Jimmy wiedział, że Derkacz go nie lubi.

Pewnego popołudnia – kiedy? Na pewno w marcu, bo było gorąco jak diabli – obaj oglądali pornosy w pokoju Derkacza. Już przypominało to powrót do przeszłości, już podszyte było melancholią, jak coś, na co byli za dojrzały, niczym faceci w średnim wieku krążący po klubach dla nastolatków w plebsopoliach. Mimo to posłusznie zapalili skręta, na koszt wujka Pete’a przedarli się przez nowy labirynt i zaczęli surfować. Weszli na Smakołyk Dnia, oferujący wyrafinowane ciasta w zwykłych dziurach, potem na Superpołykaczki, później na rosyjską witrynę, na której

występowały byłe akrobatki, baletnice i kontorsjonistki.

– Kto powiedział, że facet sam sobie nie może possać? – brzmiał komentarz Derkacza. Sztuczka na linie z sześcioma zapalonymi pochodniami była niezła, ale już wcześniej widywali takie rzeczy.

Później powędrowali na Seksolatki, światową witrynę turystyki seksualnej. „Oglądanie prawie tak dobre jak przeżywanie” – głosiło hasło reklamowe. Podobno pokazywali prawdziwych seksualnych turystów, sfilmowanych podczas robienia rzeczy, za które w swoim ojczystym kraju trafiliby do więzienia. Ich twarze pozostawały w ukryciu, nazwisk nie wymieniano, ale możliwości szantażu musiały być nieograniczone, uświadamia sobie teraz Yeti. Podobno kręcono to w krajach, gdzie życie było tanie, a dzieciaki liczne, i gdzie człowiek mógł kupić co dusza zapragnie.

Właśnie tam po raz pierwszy ujrzeli Oryks. Miała tylko osiem lat albo wyglądała na osiem. Nigdy się nie dowiedzieli, w jakim wtedy była wieku. Nie miała na imię Oryks, w ogóle nie miała imienia. Była zwykłą małą dziewczynką z pornowitryny.

Żadna z tych dziewczynek nigdy nie wydawała się Jimmy’emu prawdziwa – zawsze uważał je za cyfrowe klony – ale z jakiegoś powodu Oryks od samego początku była trójwymiarowa. Miała drobną budowę ciała, była piękna i naga jak pozostałe. Jej strój składał się jedynie z wieńca kwiatów i różowej wstążki do włosów, popularnych rekwizytów na pornograficznych witrynach z dziećmi. Klęczała między dwiema innymi dziewczynkami, przed standardowym gargantuicznym męskim torsem wyglądającym jak Guliwer wśród liliputów – mężczyzna naturalnej wielkości wyrzucony po katastrofie statku na wyspę prześlicznych karzełków lub też porwany i oczarowany, zmuszony do doznawania agonalnych rozkoszy z trójką bezdusznych skrzatów. Znaki szczególne faceta ukryto za pomocą torby z otworami na oczy na głowie i plastra na tatuażach i bliznach. Raczej niewielu z tych typów chętnie pokazałoby się swoim ziomkom, chociaż niebezpieczeństwo zdemaskowania zapewne musiało dodatkowo ich podniecać.

Zabawa polegała na energicznym zlizywaniu bitej śmietany. Efekt był jednocześnie niewinny i obsceniczny: wszystkie trzy dziewczynki obrabiały faceta swoimi kocimi języczkami i małymi dłońmi, dając mu prawdziwy wycisk przy wtórze jęków i chichotów. Chichoty najprawdopodobniej nagrano, bo dziewczynki się nie śmiały – wszystkie wyglądały na przestraszone, a jedna płakała.

Jimmy znał zasady. Muszą tak wyglądać, pomyślał; gdyby któraś przerwała zabawę, pojawiłaby się karcąca laska, jak zawsze na tej witrynie. Istniały co najmniej trzy warstwy sprzecznych iluzji, jedna na drugiej. Chcę, nie chcę, chcę.

Oryks przerwała lizanie. Z hardym uśmiechem, przez który wyglądała na znacznie starszą, otarła bitą śmietaną z ust. Następnie obejrzała się przez ramię i popatrzyła prosto w oczy widza: w oczy Jimmy’ego, w oczy ukrytej w nim osoby. „Widzę cię”, mówiło to spojrzeń. „Widzę, jak patrzysz. Znam cię. Wiem, czego pragniesz”.

Derkacz wcisnął przewijanie, później stopklatkę, a po chwili pobieranie. Często ściągał obrazki, miał ich całe archiwum. Czasem drukował je i dawał odbitkę Jimmy'emu. To było niebezpieczne – zostawiał ślady, ktoś mógłby zapragnąć odnaleźć drogę przez labirynt – ale Derkacz i tak to robił. Teraz też zachował jedną chwilę, chwilę, w której patrzyła Oryks.

Jimmy czuł się wypalony przez to spojrzenie, przeżarty niczym kwasem. Tak bardzo nim pogardzała. Skręt w jego ustach musiał być wypełniony trawą z ogródka, bo po czymś mocniejszym Jimmy z pewnością zdołałby zdławić poczucie winy. Po raz pierwszy poczuł, że robią coś złego. Wcześniej zawsze uważał to za rozrywkę albo za coś poza swoją kontrolą, teraz miał wyrzuty sumienia. Jednocześnie dostał obsesji – gdyby zaproponowano mu natychmiastową teleportację do miejsca, w którym przebywała Oryks, zgodziłby się bez wahania. Błagałby, żeby go tam przenieść. To wszystko było zbyt skomplikowane.

– Zatrzymujemy? – spytał Derkacz. – Chcesz?

– Tak – ledwie zdołał wykrztusić Jimmy. Miał nadzieję, że zabrzmiało to zwyczajnie.

I tak Derkacz wydrukował zdjęcie spoglądającej Oryks, a Yeti ukrywał je przez bardzo długi czas. Wiele lat później pokazał je Oryks.

– Wątpię, czy to ja. – Tak brzmiał jej pierwszy komentarz.

– Na pewno! – krzyknął Jimmy. – Popatrz! To twoje oczy!

– Mnóstwo dziewczynek ma oczy – odparła. – Mnóstwo dziewczynek robiło te rzeczy. Bardzo wiele. – Po chwili, widząc jego rozczarowanie, dodała: – Być może to ja. Być może. Czułbyś się szczęśliwszy, Jimmy?

– Nie – odparł. Czy kłamał?

– Dlaczego to trzymałeś?

– O czym wtedy myślałaś? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Inna kobieta na jej miejscu zgniotłaby zdjęcie, oskarżyła go o przestępstwo, z płaczem powiedziała, że nic nie wie o jej życiu, urządziła wielką scenę. Oryks jednak tylko dotknęła palcami miękkiej, surowej twarzy dziecka na odbitce, twarzy, która – na pewno – kiedyś należała do niej.

– Uważasz, że myślałam? – zapytała. – Och, Jimmy! Zawsze myślisz, że wszyscy inni myślą. Może nie myślałam.

– Wiem, że myślałaś – upierał się.

– Chcesz, żebym udawała? Chcesz, żebym coś wymyśliła?

– Nie. Po prostu mi powiedz.

– Po co?

Jimmy musiał się nad tym zastanowić. Pamiętał, że patrzył. Jak mógł jej to zrobić? A jednak jej nie skrzywdził, prawda?

– Bo tego chcę. – Nie był to szczególnie przekonujący powód, ale nic innego nie

przyszło mu do głowy.

Westchnęła.

– Myślałam – odparła, zataczając palcem małe kółko na jego skórze – że gdybym miała wybór, na pewno nie ja bym tam klęczała.

– Czyli ktoś inny? – Chciał wiedzieć Jimmy. – Kto? Kto inny?

– Zawsze musisz wszystko wiedzieć – powiedziała Oryks.

⁴ Aluzja do *Makbeta* Williama Shakespeare'a, op. cit.

Tost

Yeti w podartym prześcieradle siedzi zgarbiony na skraju lasu, tam, gdzie trawa, wyka i kokoloba zlewają się z piaskiem. Teraz, gdy jest chłodniej, nie czuje już takiego przygnębienia. Poza tym zgłodniał. Głód ma jedną zaletę: dzięki niemu człowiek wie, że żyje.

Bryza porusza liśćmi nad jego głową; owady chrypią i ćwierkają; czerwony blask zachodzącego słońca pada na wieżowce w wodzie, podświetlając tę czy inną ocalałą szybę, zupełnie jakby włączono kilka lamp. Na niektórych budynkach były niegdyś ogrody na dachu, teraz porosły je krzaki. Setki ptaków zmierzają po niebie w ich kierunku, ku swoim gniazdom. Ibisy? Czaple? Czarne to kormorany, tyle wie na pewno. Gnieźdzą się w ciemniejącym poszyciu, chrypiąc i jazgocząc. Jeśli będzie potrzebował guana, wie, gdzie je znaleźć.

Przez polanę na południu biegnie królik, kica, nasłuchuje, przystaje, by poskubać trawę gigantycznymi zębami. Świeci w półmroku zielonkawym blaskiem ściągniętym z irydełka w jakimś dawnym eksperymencie. W półmroku królik wydaje się miękki i niemal przezroczysty, jak rachatek, jakby można było wyssać jego futerko niczym kostkę cukru. Lśniące zielone króliki istniały już w dzieciństwie Yeti, chociaż nie były takie wielkie i jeszcze wtedy nie uciekły z klatek, by krzyżować się ze zwierzętami na wolności i rozrabiać.

Ten osobnik wcale się go nie boi, choć wywołuje w Yeti mięsożerne popędy: Yeti pragnie zabić go kamieniem, rozerwać gołymi rękoma, a potem wepchnąć sobie w usta, razem z futrem i resztą. Ale króliki są dziećmi Oryks, świętością, poza tym obrażanie kobiet to głupi pomysł.

Sam jest sobie winien. Pewnie zalał się w pestkę, kiedy ustanawiał prawa. Powinien ogłosić króliki pokarmem, przynajmniej dla samego siebie, teraz jednak trudno to zmienić. Niemal słyszy Oryks, która śmieje się z niego z pełną pobłażania, niemal niegodziwą radością.

Dzieci Oryks, Dzieci Derkacza. Musi coś wymyślić. Opowiadać wprost, jasno i przejrzysto, bez wahania: kiedyś takie światłe rady dawali adwokaci kryminalistom przed ławą przysięgłych. „Derkacz stworzył kości Dzieci Derkacza z koralu na plaży, a ich ciała z mango. Jednak Dzieci Oryks wykluły się z jaja, gigantycznego jaja złożonego przez samą Oryks. Właściwie złożyła dwa jaja: jedno pełne zwierząt,

ptaków i ryb, drugie pełne słów. Jajo pełne słów wykluło się pierwsze, a wtedy już istniały Dzieci Derkacza i zjadły wszystkie słowa, bo były bardzo głodne, więc nie zostały żadne słowa, gdy pękło drugie jajo. Dlatego zwierzęta nie mówią”.

Najważniejsza jest wewnętrzna spójność. Yeti przekonał się o tym wcześniej w życiu, gdy kłamstwa wymagały od niego większej finezji. Teraz nawet przyłapany na drobnej niekonsekwencji potrafił z niej wybrnąć, bo ci ludzie mu ufają. Jest ostatnim, który osobiście znał Derkacza, miał z nim najbliższy kontakt. Nad jego głową powiewa niewidzialny sztandar Królestwa Derkacza, Derkaczostwa czy Derkaczowa, uświęcając wszystkie czyny Yeti.

Na niebie pojawia się pierwsza gwiazda.

– Gwiazdko świecąca, gwiazdko błyszcząca – mówi. Jakaś nauczycielka ze szkoły podstawowej. Sally z wielkim tyłkiem. „Teraz zamknijcie oczy. Mocniej! Naprawdę mocno! Widzicie gwiazdę? Z całej siły życcie sobie czegoś, o czym marzycie najbardziej na świecie. Ale cichutko: nikomu nie mówcie, bo życzenie się nie spełni!”.

Yeti z całych sił zaciska powieki, zasłania je pięściami, wykrzywia usta. Ta gwiazdka spełnia życzenia – jest niebieska.

– Tak chciałbym mieć, tak chciałbym mieć – mówi. – Spełnij życzenie me w tę noc. Nic z tego.

– O Yeti, czemu mówisz do nikogo? – odzywa się jakiś głos.

Yeti otwiera oczy: trójka starszych dzieci stoi nieco poza zasięgiem jego rąk i przygląda mu się z zainteresowaniem. Pewnie podpełzły tu w półmroku.

– Rozmawiam z Derkaczem – odpowiada.

– Przecież rozmawiasz z Derkaczem przez tę srebrną rzecz! Popsuła się?

Yeti unosi lewą rękę, wyciąga zegarek.

– To służy do słuchania Derkacza. Mówienie do niego to zupełnie inna sprawa.

– Dlaczego mówisz mu o gwiazdach? O czym rozmawiasz z Derkaczem, o Yeti?

No właśnie, o czym?, myśli Yeti. „Mając do czynienia z ludami tubylczymi”, odzywa się książka w jego głowie – bardziej współczesna, z końca dwudziestego wieku, przemawia głosem pewnej siebie kobiety – „musisz szanować ich tradycje i ograniczyć swoje wyjaśnienia do prostych pojęć, które ludy zrozumieją w kontekście swojego systemu wiary”. Jakaś gorliwa wolontariuszka w maskującym stroju khaki z siatką pod pachami i setką kieszeni. Protekcyjna świętoszkowata krowa, wydaje się jej, że zjadła wszystkie rozumy. Znał takie dziewczyny na studiach. Gdyby tu była, musiałyby zupełnie inaczej spojrzeć na słowo „tubylec”.

– Mówiłem mu, że zadajecie zbyt wiele pytań – powiada Yeti. Przykłada zegarek do ucha. – A on mi mówi, że jeśli nie przestaniecie, zostaną z was tosty.

– Powiedz, o Yeti, co to są tosty?

Znowu błąd, myśli Yeti. Powinien unikać tego rodzaju porównań.

– Tost to coś bardzo, bardzo złego – wyjaśnia. – Jest tak zły, że nawet nie potrafię go opisać. Pora spać. Idźcie sobie.

– Co to jest tost? – mówi do siebie Yeti, kiedy dzieciaki już zniknęły. „Żeby zrobić tost, weź kromkę chleba – co to jest chleb? Żeby zrobić chleb, weź mąkę – co to jest mąka? Opuśćmy tę część, jest zbyt skomplikowana. Chleb się je, ma kształt kamienia i zrobiony jest z pewnej rośliny. Piecze się go... Powiedz, dlaczego się go piecze? Dlaczego nie je się rośliny? Wszystko jedno – słuchajcie uważnie. Piecze się go, kroi na kawałki, a taki kawałek wkłada do tosterza, metalowej skrzynki pełnej elektryczności – co to jest elektryczność? To nieważne. Kiedy kromka jest w tosterze, wyjmujecie masło – masło to żółty tłuszcz zrobiony z wydzieliny gruczołów mlecznych... – zapomnijcie o maśle. Toster opala kromkę chleba na czarno, po obu stronach, wydobywa się dym, i wtedy toster wyrzuca kromkę w powietrze, ona spada na podłogę...”.

– Zapomnij – mówi Yeti. – Jeszcze raz.

„Tost był bezsensownym wynalazkiem z wczesnego średniowiecza. Tost był narzędziem tortur, które zmuszało wszystkich torturowanych do wyrzucania z siebie grzechów i popełnionych zbrodni. Tost był rytualnym przedmiotem pożerany przez fetyszystów w nadziei, że zwiększy ich siły kinetyczne i seksualne. Nie da się wytłumaczyć tosta w żaden racjonalny sposób.

Tost to ja.

Zostanie ze mnie tost”.

Ryba

Niebo zmienia kolor z ultramaryny na indygo. Niech Bóg błogosławi tych, którzy nadali nazwy farbom olejnym i luksusowej damskiej bieliźnie, myśli Yeti. Czerwień płatków róży, karmazynowe jezioro, przejrzysta mgiełka, sjena palona, dojrzała śliwka, indygo, ultramaryna – fantazje same w sobie, takie słowa i zwroty. Krzepiąca myśl, że *Homo sapiens sapiens* był niegdyś tak pomysłowy w kwestii języka, i nie tylko języka. Pomysłowy pod każdym względem.

Małpie mózdzki, tak uważał Derkacz. Małpie łapy, małpia ciekawość, pragnienie, by wszystko rozerwać na strzępy, wywrócić do góry nogami, powąchać, popieścić, zmierzyć, naprawić, odrzucić, wywalić – wszystko podłączone do małego mózgu, zaawansowanego modelu mózgu, niemniej jednak małego. Derkacz nie miał zbyt dobrej opinii o ludzkiej pomysłowości, mimo własnych sporych jej zasobów.

Od strony wioski dobiegają głosy, czy raczej od strony tego, co byłoby wioską, gdyby stały tam domy. O zwykłej porze przychodzą mężczyźni z pochodniami, a za nimi kobiety.

Za każdym razem widok kobiet na nowo zdumiewa Yeti. Występują we wszystkich możliwych kolorach, od najczarniejszej czerni do najbielszej bieli, są różnego wzrostu, każda ma idealne proporcje, piękne zęby, gładką skórę. Żadnych oponek z tłuszczu wokół talii, żadnych wybrzuszeń, żadnego cellulitu na udach. Żadnych włosów na ciele, żadnego gąszczu. Wyglądają jak wyretuszowane zdjęcia prezentujące modę albo reklamy kosztownego sprzętu do ćwiczeń.

Może właśnie dlatego te kobiety nie wzbudzają w Yeti nawet cienia pożądania. To ślady ludzkiej niedoskonałości go kiedyś podniecały, rysy na idealne: krzywy uśmiech, brodawka obok pępka, myszka, siniak. Te miejsca wyróżniał, dotykał ich wargami. Czy robił to z myślą o niesieniu pociechy, całując ranę, by szybciej się zagoiła? W seksie zawsze krył się jakiś element melancholii. Po bezkrytycznym okresie dojrzewania Jimmy zaczął gustować w smutnych kobietach, delikatnych i kruchych, kobietach, które były pokręcone i go potrzebowały. Lubił je pocieszać, delikatnie głaszcząc, pokrzepiając. Uszczęśliwiać je, choćby na chwilę, i siebie także. To była jego zapłata. Wdzięczna kobieta nie szczędziła trudu.

Te kobiety jednak nie są ani pokręcone, ani smutne. Są spokojne niczym ożywione

pomniki. Przyprawiają go o zimny dreszcz.

Kobiety niosą jego cotygodniową rybę, upieczoną tak, jak je nauczył, i owiniętą liśćmi. Czuje jej zapach, zaczyna się ślinić. Wyciągają rybę i kładą ją na ziemi, tuż przed nim. To ryba przybrzeżna, zbyt marna i całkiem bez smaku, by stać się przedmiotem pożądanego handlu, a potem wyginąć; zwykły mułozerca, pełen toksyn, ale Yeti jest wszystko jedno, zjadłby cokolwiek.

– Oto twoja ryba, o Yeti – mówi jeden z mężczyzn, ten o imieniu Abraham. Abraham na cześć Lincolna; Derkacz miał uciechę przy nadawaniu Derkaczanom imion sławnych postaci historycznych. Wtedy wydawało się to całkiem niewinne.

– To ryba wybrana dla ciebie na dzisiejszy wieczór – mówi kobieta, która ją trzymała; cesarzowa Józefina, Madame Curie albo Sojourner Truth, stoi w cieniu, więc Yeti nie jest pewien. – Oto ryba od Oryks.

Znakomicie, myśli Yeti. Połów dnia.

Każdego tygodnia, zgodnie z fazami księżyca (nów, pierwsza kwarta, pełnia, druga kwarta) kobiety stają w basenach pływowych i wylawiają nieszczęsną rybę – krzyczą tylko „rybo!”, nic bardziej konkretnego. Potem pokazują rybę, a mężczyźni zabijają ją za pomocą kamieni i patyków. Dzięki temu ten nieprzyjemny obowiązek rozkłada się na wszystkich, nie ma jednej osoby odpowiedzialnej za przelew rybiej krwi.

Gdyby wszystko poszło zgodnie z wolą Derkacza, nie byłoby takiego zabijania – dość ludzkich łowów – ale Derkacz nie wziął pod uwagę krwiożerczości Yeti. Yeti nie umie żywić się tylko koniczyną. Ci ludzie nigdy nie zjedliby ryby, ale muszą przynosić mu jedną w tygodniu, gdyż powiedział im, że tak zarządził Derkacz. Pogodzili się z bestialstwem Yeti, od początku wiedzieli, że jest stworzeniem innego rodzaju, więc szczególnie ich to nie zdziwiło.

Idiota, myśli. Trzeba było kazać im przynosić trzy dziennie. Odwija ciepłą rybę z liści, próbując powstrzymać drżenie rąk. Nie powinien tak się tym ekscytować. Zawsze jednak jest tak samo.

Ludzie trzymają się na dystans i odwracają wzrok, gdy Yeti wpycha garście rybiego mięsa do ust, wybałusza oczy i nadyma policzki, jęcząc z rozkoszy. Może to przypomina ryki obżerającego się lwa w ogrodzie zoologicznym, gdy jeszcze istniały ogrody zoologiczne, gdy jeszcze istniały lwy – rozszarpywanie i miażdżenie, głośne żucie i przełykanie – i, podobnie jak od dawna martwi goście zoo, Derkaczanie nie mogą powstrzymać się od zerkania. Ten pokaz zepsucia interesuje nawet ich, oczyszczonych przez chlorofil.

Kiedy Yeti kończy, oblizuje palce i wyciera je o prześcieradło, układa ości w liściach, by z powrotem trafiły do morza. Powiedział ludziom, że Oryks tego pragnie – potrzebuje kości swoich dzieci, by stworzyć nowych potomków. Zaakceptowali ten obowiązek bez pytania, jak wszystko, co Yeti mówi o Oryks. Tak naprawdę to jeden

z jego lepszych pomysłów – po co zaśmiecać okolicę, wabić szopunksy, wilksy, świniony i inne drapieżniki.

Ludzie podchodzą bliżej, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, zbijają się w grupkę, ich zielone oczy lśnią w półmroku niczym oczy tamtego królika: to ten sam meduzi gen. Siadają w gromadzie, pachnąc jak skrzynia pełna cytrusów – dodatkowy pomysł Derkacza, który uznał, że chemikalia odstraszą komary. Może i miał rację, bo wszystkie komary w okolicy najwyraźniej gryzą wyłącznie Yeti. Z trudem powstrzymuje się od ich zabijania, świeża krew tylko je podnieca. Przesuwa się na lewo, by spowijał go dym z pochodni.

– Yeti, prosimy, opowiedz nam o czynach Derkacza.

Pragną opowieści za każdą zamordowaną rybę. Cóż, jestem im to winien, myśli Yeti. Bożku Bredni, tylko mnie nie zawieź.

– Co chcielibyście dzisiaj usłyszeć? – pyta.

– Na początku – słyszy czyjś głos. Bardzo lubią powtórki, uczą się na pamięć.

– Na początku był chaos – mówi.

– Pokaż nam obraz chaosu, pokaż, o Yeti!

Najpierw mieli problemy z obrazami – kwiaty na zaśmiecających plażę butelkach po olejku do opalania, owoce na puszkach po sokach. „To prawdziwe? Nie, nie jest prawdziwe. A co to jest to nieprawdziwe? Nieprawdziwe opowie nam o prawdziwym”. I tak dalej. W końcu chyba jednak zrozumieli.

– Tak! Tak! Obraz chaosu! – nalegają.

Yeti oczekiwał tego żądania – wszystkie opowieści zaczynają się od chaosu – i jest na nie przygotowany. Zza betonowego schowka przynosi jedno ze swoich znalezisk – wiaderko z plastiku, niegdyś pomarańczowe, teraz wyblakłe do różu, ale nie zniszczone. Nie chce myśleć o tym, co stało się z dzieckiem, do którego zapewne kiedyś należało.

– Przynieście wody – mówi, podając wiaderko.

Szelest wokół kręgu pochodni: wyciągnięte ręce, nogi tupiące w ciemności.

– W chaosie wszystko się mieszało – mówi. – Było zbyt wielu ludzi, przemieszali się więc z ziemią. – Wiaderko wraca, wylewa się z niego woda, trafia do kręgu światła. Yeti wsypuje garść ziemi, miesza patykiem. – Proszę bardzo – oznajmia. – Chaos. Nie sposób go wypić...

– Nie! – Chór.

– Nie sposób go zjeść.

– Nie, nie sposób go zjeść! – Śmiech.

– Nie sposób w nim pływać, nie sposób na nim stanąć...

– Nie! Nie! – Uwielbiają ten fragment.

– Ludzie w chaosie sami byli pełni chaosu, chaos sprawiał, że robili złe rzeczy. Przez

cały czas zabijali innych ludzi. Zjadali wszystkie Dzieci Oryks, wbrew nakazom Oryks i Derkacza. Codziennie je zjadali. Ciągłe je zabijali i ciągle zjadali. Nawet wtedy, gdy nie byli głodni.

Przyspieszone oddechy, rozszerzone źrenice – to zawsze dramatyczna chwila. Co za niegodziwość! Yeti ciągnie:

– Oryks miała tylko jedno życzenie: chciała, by ludzie byli szczęśliwi, spokojni, przestali zjadać jej dzieci. Powiedziała zatem do Derkacza: „Pozbądźmy się chaosu”. Wtedy Derkacz wziął chaos i go wylał. – Yeti to demonstruje, wylewając błoto z wiadra, a potem stawiając naczynie do góry dnem. – Proszę bardzo. Puste. Tak Derkacz zrobił Wielkie Przetasowanie i Wielką Pustkę. Oczyszczył Ziemię, zrobił miejsce dla...

– Swoich dzieci! Dla Dzieci Derkacza!

– Tak jest. I dla...

– Dla Dzieci Oryks!

– Tak jest – potakuje Yeti. Czy jego bezwstydnym wymysłom nie mają końca? Zbiera mu się na płacz.

– Derkacz zrobił Wielką Pustkę... – mówią mężczyźni.

– Dla nas! Dla nas – mówią kobiety. To już niemal liturgia. – O, dobry, miłosierny Derkaczu!

Te pochlebstwa rozwścieczają Yeti, mimo że sam za nie odpowiada. Derkacz, do którego się modlą, to jego wymysł, wymysł powstały częściowo ze złośliwości – Derkacz był przeciwny koncepcji Boga, bogów wszelkiego rodzaju; z pewnością ten pokaz jego narastającej boskości wzbudziłby w nim obrzydzenie.

Gdyby tu był. Ale nie ma go tu i dlatego całe to bezsensowne bałwochwalstwo irytuje Yeti. Dlaczego nie wysławiają jego? Dobrego, miłosiernego Yeti, który bardziej – o wiele bardziej – zasłużył na gloryfikację, no bo kto ich wyzwolił, kto ich tu sprowadził, kto przez cały czas ich strzeże? Tak jakby strzeże. Z pewnością nie Derkacz, do cholery. Dlaczego Yeti nie mógł skorygować mitologii? „Podziękujcie mnie, nie jemu! Połechczcie moje ego!”.

Teraz jednak musi przełknąć gorzką pigułkę.

– Tak – mówi. – Dobry, miłosierny Derkacz.

Wykrzywia usta w, jak ma nadzieję, łaskawym, dobrotliwym uśmiechu.

Na początku improwizował, ale teraz żądają dogmatów – mógł odejść od ortodoksji na własne ryzyko. Może nie straciłby życia – ci ludzie nie są brutalni, nie mają też skłonności do krwawej zemsty, przynajmniej jeszcze nie – ale straciłby słuchaczy. Odwróciliby się do niego plecami i odeszli. Teraz jest prorokiem Derkacza, czy mu się to podoba, czy nie, a także prorokiem Oryks. Albo to, albo nic, a nie zniósłby niczego, świadomości, że jest niczym. Potrzebuje słuchaczy, ktoś musi go usłyszeć. Potrzebuje przynajmniej złudzenia, że ktokolwiek go rozumie.

– O Yeti, opowiedz nam, kiedy urodził się Derkacz – mówi jedna z kobiet.

To całkiem nowa prośba. Nie jest na nią gotowy, chociaż mógł się jej spodziewać – te kobiety bardzo interesują się dziećmi. Kiedy już wymyśli im matkę, narodziny i maleńkiego Derkacza, zechcą poznać szczegóły. Zaczną wypytywać, kiedy Derkaczowi wyrznął się pierwszy ząbek, kiedy Derkacz powiedział pierwsze słowo i zjadł pierwszy korzeń, i o inne banały.

– Derkacz nigdy się nie urodził – mówi Yeti. – Zstąpił z nieba niczym grzmot. A teraz odejdźcie, proszę, jestem zmęczony.

Potem zastanowi się nad tą bajką. Może wyposaży Derkacza w rogi, w płomienne skrzydła i dorzuci mu jeszcze ogon.

Butelka

Kiedy Dzieci Derkacza odchodzą ze swoimi pochodniami, Yeti wchodzi na drzewo i usiłuje zasnąć. Otacza go hałas: siorbanie fal, cykanie i trzepot owadów, gwizd ptaków, rechot płazów, szelest liści. Ma omamy słuchowe – wydaje mu się, że słyszy trąbkę jazzową, a poza nią rytmiczne dudnienie jakby z odległego nocnego klubu. Gdzieś z odległego brzegu dolatuje huk, może ryk. Co to takiego? Nie przychodzi mu do głowy żadne zwierzę, które tak hałasuje. Może to krokodyl, uciekinier z nieczynnej kubańskiej fabryki damskich torebek, zmierza wybrzeżem na północ. Kiepska wiadomość dla pluskających się dzieciaków. Znowu nasłuchuje, ale dźwięk już umilkł.

Z wioski dobiega odległy, spokojny szmer – ludzkie głosy. Jeśli można nazwać ich ludźmi. Można, dopóki nie zaczną śpiewać. Ich śpiew nie przypomina niczego, co słyszał w swoim już nie istniejącym życiu – jest poza ludzkim poziomem albo pod nim. Brzmi jak śpiew kryształów; nie, to także nie to. Raczej jak szelest paproci – starych, skamieniałych, ale jednocześnie nowo narodzonych, świeżych, o barwie soczystej zieleni. To go hamuje, budzi w nim zbyt wiele niechcianych emocji. Yeti czuje się wykluczony, jak z przyjęcia, na które nigdy go nie zaproszono. Musiałby tylko zrobić krok do przodu, ku światłu, i nagle ujrzałby wokół siebie krąg obojętnych twarzy. Zapadłaby cisza, jak w tragediach z dawnych czasów, gdy pojawiał się skazany na potępienie protagonista, owinięty w szatę zaraźliwie złych wiadomości. Na jakimś nieświadomym poziomie Yeti przypomina o czymś tym ludziom, o czymś nieprzyjemnym; jest tym, czym oni niegdyś byli. „Jestem waszą przeszłością”, mógłby wyrecytować. „Jestem waszym przodkiem, przybywam z krainy umarłych. Zgubiłem się, nie mogę powrócić, utkwilem tutaj, jestem całkiem sam. Wypuście mnie!”.

„O Yeti, jak moglibyśmy ci pomóc?”. Łagodne uśmiechy, uprzejme zdumienie, zaintrygowana życzliwość.

„Dajcie spokój”, odpowiedziałyby. Nie mogą mu pomóc, tak naprawdę nie.

Wieje chłodna bryza, prześcieradło jest wilgotne, Yeti drży. Gdyby tylko miał termostat. Może zdołałby jakoś rozpalić małe ognisko, tutaj, wysoko na drzewie.

– Idź spać – nakazuje sobie. Bez skutku. Długo się rzuca, przekręca z boku na bok i drapie, a potem schodzi na ziemię, by poszukać butelki szkockiej w schowku. Gwiazdy świecą tak jasno, że może tam trafić. W przeszłości wiele razy chadzał tą

drogą; przez pierwsze półtora miesiąca, kiedy już wiedział, że może względnie bezpiecznie stracić czujność, każdej nocy upijał się do nieprzytomności. Fakt, nie było to zbyt mądre ani dojrzałe, ale na co mu teraz mądrość i dojrzałość?

Tak oto każdej nocy urządzał imprezę, jednoosobową imprezę. Czy też raczej każdej nocy się na nią szykował, gdy tylko udało mu się zlokalizować zapas alkoholu w jednym z okolicznych opuszczonych budynków plebsopolii. Najpierw sprawdzał pobliskie bary, potem restauracje, potem domy i przyczepy. Wypijał syropy na kaszel, płyny po goleniu, spirytus do wcierania; za drzewem zgromadził pokaźny stos pustych butelek. Co jakiś czas natrafiał na porcję zioła i nim też się raczył, chociaż często było zapleśniałe; mimo to bywał po nim na haju. Zostało też trochę tabletek. Żadnej kokainy, cracka ani heroiny – to zużyto wcześniej, trafiło do żył i nosów w ostatnim wybuchu *carpe diem* i pozwoliło w zaistniałych okolicznościach zrobić sobie wolne od rzeczywistości,. Wszędzie walały się puste pojemniki po tabletkach BłogoPlusu, wszystko, czego potrzeba do nieprzerwanej orgii. Imprezowicze nie zdołali jednak zużyć całego alkoholu, choć na swoich polowaniach i wyprawach Yeti często odkrywał, że inni dotarli tu przed nim i pozostawili po sobie tylko porozbijane szkło. Musiały tam wybuchać niewyobrażalnie gwałtowne zamieszki, aż nie ocalał nikt, kto mógłby to ciągnąć.

Na dole jest ciemno choć oko wykol. Przydałaby się latarka, jedna z tych nakręcanych. Powinien uważać. Potyka się, wlecze we właściwym kierunku, ze wzrokiem wbitym w ziemię w poszukiwaniu niegodziwych białych krabów lądowych, które wychodzą z nor i drobią nocami po okolicy – potrafią boleśnie ukąsić – i po krótkim błędzeniu w kępie krzaków lokalizuje swoją cementową kryjówkę, tłukąc w nią palcem u nogi. Miele w ustach przekleństwo: nie wiadomo, co jeszcze może się szwendać po nocy. Otwiera schowek, grzebie w nim po omacku, wyciąga jedną trzecią szkockiej.

Opierał się pokusie, oszczędzał alkohol, traktował go jak amulet: dopóki wiedział, że go ma, łatwiej było mu walczyć z czasem. Może to jego ostatni trunek. Jest pewien, że obszukał każde miejsce w promieniu jednodniowej wycieczki od drzewa. Mimo to ogarnia go beztroska. Po co trzymać to na później, po co czekać? Ile warte jest jego życie, kogo obchodzi? Zgaśnij, wątłe światło!⁵. Spełnił już swoje ewolucyjne zadanie, jak to przewidział pieprzony Derkacz. Ocalił dzieci.

– Pieprzony Derkacz! – Nie może się powstrzymać.

Ściskając butelkę, wolną dłonią po omacku szuka drogi i w końcu dociera do drzewa. Potrzebuje obu rąk, by się wspiać, więc zawiązuje butelkę w prześcieradło. Siada na platformie, popija szkocką i wyje do gwiazd – Auuu! Auuu! – aż odpowiada mu chór z prawej strony drzewa.

Czy to błysk oczu? Słyszy dyszenie.

– Witajcie, kochane futrzaki! – woła do nich. – Kto chce zostać najlepszym

przyjacielem człowieka?

W odpowiedzi słyszy błagalne skomlenie. To jest właśnie najgorsze w wilksach: ciągle wyglądają jak psy, ciągle się zachowują jak psy, nadstawiają uszu, podskakują radośnie, machają ogonami. Oszukują człowieka, by go dopaść. Niewiele wysiłku trzeba było, żeby odwrócić pięćdziesiąt lat koegzystencji człowieka i psa. Prawdziwe psy nie miały takiej szansy – wilksy po prostu zabiły i zjadły wszystkie osobniki, które wykazywały oznaki udomowienia. Sam widział, jak wilkies podszedł do ujadającego pekińczyka, przyjaźnie obwąchał mu tyłek, a następnie rzucił się do gardła pieska, potrząsnął nim jak mopem i odtruchtał z bezwładnym truchłem.

Przez pewien czas po okolicy wałęsały się nieliczne domowe zwierzęta, chude i utykające, pokryte rzadkim matowym futrem, błagając przerażonymi ślepami, żeby ktoś je wziął, ktokolwiek. Dzieci Derkacza im nie pasowały pewnie przez ten dziwny zapach, aromat chodzących owoców, zwłaszcza po zmierzchu, gdy uruchamiał się odstraszacz komarów, a poza tym nie wykazywały żadnego zainteresowania perspektywą posiadania psa, dlatego włóczęgi skupiły uwagę na Yeti. Parę razy prawie uległ, trudno mu było się oprzeć ich przymilnemu skowytaniu, ale nie mógł sobie pozwolić na ich żywienie. Tak czy owak, były dla niego bezużyteczne.

– Wóz albo przewóz – mówił im. – Wybacz, stary.

Odpędzał je kamieniami, czując się jak najgorsza łajza. Ostatnio przestały przychodzić.

Ależ był głupi. Zmarnował okazję. Powinien je zjeść albo wziąć jednego i nauczyć go łapać króliki. Stróżować. Wszystko jedno.

Wilksy nie potrafią wspinać się na drzewa, i dobrze. Jeśli zbyt szybko się rozmnożą i rozzuchwala, będzie musiał przeskakiwać z drzewa na drzewo po lianach jak Tarzan. To zabawne i Yeti wybucha śmiechem.

– Chcecie tylko mojego ciała! – wrzeszczy do nich, a potem opróżnia butelkę i ją wyrzuca. Słyszą skowyt, szelest kroków; amunicja wciąż budzi ich szacunek. Jak długo jednak to potrwa? Są bystre; wkrótce wyczują jego bezbronność, zaczną na niego polować. Wtedy nie będzie mógł nigdzie iść, nie tam, gdzie brakuje drzew. Wystarczy, że wilksy wypędzą go na otwartą przestrzeń i otoczą, by zabić. Niewiele da się zdziałać za pomocą kamieni i dzid. Naprawdę powinien poszukać nowego miotacza.

Po zniknięciu wilksów leży na plecach na platformie i wśród łagodnie trzepoczących liści wypatruje gwiazd. Wydają się takie bliskie, te gwiazdy, ale są tak daleko, ich światło przeterminowane o miliony, miliardy lat. Wiadomość bez odbiorcy.

Czas mija. Yeti chce zaśpiewać piosenkę, ale żadna nie przychodzi mu do głowy. Wzbiera w nim dawna muzyka, niknie, słyszy tylko perkusję. Może zdołałby wystrugać flet z jakiejś gałązki, łodygi czy czegoś, gdyby tylko znalazł nóż.

– Gwiazdko świecąca, gwiazdko błyszcząca – mówi. Co dalej? Wyleciało mu

z głowy.

Nie ma księżycy, jest w nowiu, choć nadal świeci i teraz pewnie rośnie, wielka, niewidzialna kula ze skały, gigantyczna bryła grawitacji, martwa, lecz potężna, przyciągająca do siebie morze. Wszystkie płyny. „Ciało człowieka w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach składa się z wody”, mówi książka w głowie Yeti. Tym razem to męski głos, głos encyklopedyczny; nie zna go ani nie znał. „Pozostałe dwa procent to minerały, przede wszystkim żelazo we krwi i wapń, z którego składają się zęby i szkielet”.

– A kogo to obchodzi? – mówi Yeti. W dupie ma żelazo w swojej krwi i wapń w szkielecie. Męczy go bycie sobą, chciałby być kimś innym. Poprzestawiać swoje komórki, zrobić sobie transplantację chromosomów, oddać głowę za cudzą głowę, taką, w której będą lepsze rzeczy. Na przykład palce na jego ciele, drobne palce o migdałowych paznokciach pomalowanych na kolor śliwki albo purpury, albo różu. „Tak chciałbym mieć, tak chciałbym móc, spełnij życzenie me w tę noc”. Palce, usta. U podstawy jego kręgosłupa rośnie tępy i ciężki ból.

– Oryks – mówi. – Wiem, że tu jesteś.

Powtarza jej imię. To nawet nie jest jej prawdziwe imię, tego nigdy nie poznał. To tylko słowo. To mantra.

Czasem potrafi ją wyczarować. Początkowo jest blada i lekko przezroczysta, ale jeśli Yeti nie przestanie powtarzać jej imienia, może wślizgnie się w niego i będzie obecna przy nim w jego ciele, i jego dłoń na jego skórze stanie się jej dłonią. Zawsze jednak była ulotna, nigdy nie dało się jej przyszpilić. Dziś nie chce się zmaterializować i Yeti zostaje sam, idiotycznie popiskuje, masturbując się w ciemności.

6

Oryks

Yeti budzi się gwałtownie. Czyżby ktoś go dotknął? Nie widzi jednak nikogo ani niczego.

Jest całkiem ciemno, nie ma gwiazd. Pewnie pojawiły się chmury.

Przewraca się na bok, nakrywa prześcieradłem. Trzęsie się, to przez nocną bryzę. Najprawdopodobniej nadal jest pijany; czasem trudno mu się połapać. Patrzy w ciemność i zastanawia się, kiedy nadejdzie ranek. Ma nadzieję, że zdoła jeszcze zasnąć.

Gdzieś pohukuje sowa. Gwałtowna wibracja, jednocześnie bliska i daleka, jak najniższy dźwięk wygrywany na peruwiańskim flecie. Może sowa poluje. Na co?

Czuje, że Oryks leci ku niemu na miękkich, pierzastych skrzydłach. Już wylądowała, jest bardzo blisko Yeti, mości się, kładzie na boku, przywiera do niego. Cudownie tu pasuje, mimo że platforma nie jest duża. Gdyby miał świeczkę albo latarkę, mógłby zobaczyć smukły zarys jej ciała, delikatny blask w ciemności. Gdyby wyciągnął dłoń, zdołałby jej dotknąć; wtedy jednak by zniknęła.

– Nie chodziło o seks – mówi do niej. Oryks nie odpowiada, ale Yeti wyczuwa jej niedowierzanie. Zasmuca ją, bo odbiera jej część wiedzy, część mocy. – Nie chodziło tylko o seks. – Mroczny uśmiech: tak już lepiej. – Wiesz, że cię Kocham. Tylko Ciebie. – Nie jest pierwszą kobietą, której to mówi. Nie powinien używać tych słów wcześniej, nie powinien ich traktować jak narzędzia, wytrychu, klucza do otwierania kobiet. Kiedy w końcu naprawdę tak myślał, zabrzmiały kłamliwie, wstydził się je wypowiedzieć. – Naprawdę – mówi do Oryks.

Brak odpowiedzi, brak reakcji. Nawet w najlepszych chwilach nie była zbyt rozmowna.

– Powiedz mi jedno – mawiał w czasach, gdy jeszcze był Jimmym.

– Zadaj mi pytanie – odpowiadała.

Zadawał więc, a ona odpowiadała:

– Nie wiem. Zapomniałam.

Albo:

– Nie chcę ci tego mówić.

Kiedyś oświadczyła:

– Masz w głowie mnóstwo obrazów, Jimmy. Skąd się biorą? Dlaczego uważasz, że to moje obrazy?

Myślał, że rozumie jej ogólnikowość, jej uniki.

– W porządku – mówił, głaszcząc ją po głowie. – Tamte rzeczy to nie twoja wina.

– Jakie rzeczy, Jimmy?

Jak długo musiał ją składać z fragmentów, które zbierał i tak pieczołowicie hołubił? Derkacz miał swoją wersję Oryks, Jimmy swoją, bardziej romantyczną. Ona też miała swoją wersję, różną od obu poprzednich i całkiem prozaiczną. Yeti przegląda wszystkie te trzy wersje w swojej głowie. Musiały istnieć także inne wersje: jej matki, mężczyzny, który ją kupił, także mężczyzny, który ją kupił po tym wszystkim, i wersja trzeciego mężczyzny – najgorszego ze wszystkich, tego z San Francisco, pobożnego gównianego artysty; tych jednak nigdy nie usłyszał.

Oryks była niezwykle delikatna. Filigranowa, tak uważał, wyobrażając sobie jej kości w drobnym ciele. Miała trójkątną twarz – wielkie oczy, drobna szczęka – twarz błonkoskrzydłych, modliszki, syjamskiej kotki. Bladożółty odcień skóry, gładkiej i przezroczystej niczym stara, kosztowna porcelana. Patrząc na nią, wiedziało się od razu, że kobieta tak piękna, efemeryczna i niegdyś biedna musiała mieć trudne życie, ale że nie sprowadzało się ono do szorowania podłóg.

– Szorowałaś kiedyś podłogi? – zapytał ją raz Jimmy.

– Podłogi? – zastanawiała się przez chwilę. – Nie mieliśmy podłóg. Kiedy pojawiły się podłogi, nie ja je szorowałam.

Jedna uwaga na temat tych dawnych czasów, powiedziała, tych bez podłóg: codziennie zamiatano klepisko. Podczas jedzenia siedzieli na nim, a także spali, więc było to ważne. Nikt nie chciał brudzić się jedzeniem. Nikt nie chciał pcheł.

Oryks przyszła na świat, kiedy Jimmy miał siedem, osiem albo dziewięć lat. Gdzie? Trudno powiedzieć. W jakimś odległym, zagranicznym miejscu.

Oryks powiedziała, że była to wioska. Wioska pełna drzew, obok pola uprawne, może poletka ryżowe. Chaty miały dachy z czegoś w rodzaju słomy – liści palmowych? – chociaż najlepsze domy szczyły się dachami z blachy. Wioska w Indonezji albo Mjanmie? Nie, odparła Oryks, chociaż nie miała pewności. I nie były to Indie. Wietnam?, zastanawiał się Jimmy. Kambodża? Oryks patrzyła na swoje ręce, przyglądała się paznokciom. To bez znaczenia.

Zapomniała języka, którym posługiwała się w dzieciństwie. Była za mała, by go zapamiętać, ten najwcześniejszy język – wszystkie słowa wytrąsnięto z jej głowy. Nie był to jednak ten sam język co język miasta, do którego trafiła na początku, ani ten sam dialekt, bo musiała nauczyć się innego sposobu artykulacji. To zapadło jej w pamięć:

niezręczność słów w ustach, wrażenie, że oniemiała.

W wiosce wszyscy byli biedni i mieli wiele dzieci, mówiła Oryks. Sprzedano ją we wczesnym dzieciństwie. Matka urodziła kilkoro dzieci, w tym dwóch starszych od Oryks synów, którzy wkrótce mogli zacząć pracować na polach, i dobrze, bo ich ojciec był chory. Ciągłe kaszlał; to kasłanie przesywało jej najwcześniejsze wspomnienia.

Pewnie jakaś choroba płuc, wywnioskował Jimmy. Rzecz jasna, wszyscy palili jak wariaci, gdy tylko dorwali się do papierosów – palenie rozmywało ostrość (pogratulował sobie tego spostrzeżenia). Mieszkańcy wioski winą za kiepski stan zdrowia ojca obarczali złą wodę, zły los, złe duchy. W chorobie krył się element wstydu; nikt nie chciał się zarazić tym czy owym. Wieśniacy okazywali litość ojcu Oryks, lecz także winili go i unikali. Żona troszczyła się o niego z niemą niechęcią.

Jednak bito w dzwony. Odmawiano modlitwy. Palono małe obrazki w ogniu. Na próżno, ojciec umarł. Wszyscy w wiosce wiedzieli, co się teraz stanie, nie było mężczyzny do pracy w polu i przy ryżu, środki do życia musiały przyjść z innego źródła.

Oryks była młodszym dzieckiem, często lekceważonym, ale nagle zrobiła się ważna, lepiej ją karmiono i dostała niebieską kurtkę, gdyż inne kobiety w wiosce pomogły rodzinie, chciały, żeby dziewczynka wyglądała ładnie i zdrowo. Dzieci brzydkie lub zdeformowane, niezbyt bystre albo milczki – za takie dzieci płacono mniej, czasem w ogóle nie dało się ich sprzedać. Kobiety z wioski same mogły kiedyś stanąć w obliczu podobnej konieczności; wiedziały, że jeśli pomogą, mają prawo liczyć na ewentualne wsparcie.

Tej transakcji nie nazywano w wiosce sprzedażą, tylko praktyką. Dzieci uczyły się zarabiać na swoje utrzymanie w szerokim świecie – tak to przedstawiano. Poza tym gdyby zostały w wiosce, co mogłyby robić? Zwłaszcza dziewczęta, mówiła Oryks. Jedyne wyjść za mąż i płodzić więcej dzieci, które też trzeba będzie sprzedać. Sprzedać albo wrzucić do rzeki, żeby popłynęły do morza; w okolicy brakowało jedzenia.

Pewnego dnia do wioski przybył mężczyzna, ten sam co zawsze. Zazwyczaj przyjeżdżał autem, podskakując na ubitej drodze, tym razem jednak bardzo padało, droga okazała się zbyt błotnista. Każda wioska miała własnego mężczyznę, który w nieregularnych odstępach czasu wyruszał w taką niebezpieczną podróż z miasta, a i tak zawsze wszyscy wiedzieli, kiedy jest w drodze.

– Z jakiego miasta? – spytał Jimmy.

Oryks tylko się uśmiechnęła. Oznajmiła, że zgłodniała przez rozmowę na ten temat. Może słodki Jimmy zadzwoniłby po pizzę? Z pieczarkami, sercami karczochów, anchois, bez pepperoni.

– Też chcesz? – spytała.

– Nie – odparł Jimmy. – Czemu mi nie powiesz?

– A co cię to obchodzi? – odpowiedziała pytaniem. – Mnie nic. Nigdy o tym nie myślę. Minęło tyle czasu.

– Ten człowiek – mówiła Oryks, wpatrzona w pizzę jak w puzzle, zdejmując pieczarki, które lubiła zjadać na początku – przywiózł ze sobą dwóch innych mężczyzn, swoich służących, ze strzelbami do odpędzania bandytów. Miał na sobie kosztowne ubranie, a poza błotem i kurzem – wszystko błociło się i okrywało kurzem na drodze do wioski – był czysty i schludny. Nosił zegarek, błyszczący złoty zegarek, z którym się często konsultował, podciągając rękaw, by go zademonstrować; ten zegarek krzepił, świadczył o jakości. Może zrobiono go z prawdziwego złota. Niektórzy tak twierdzili.

Tego mężczyzny w żadnym wypadku nie uważano za przestępcę, lecz za szlachetnego biznesmena, który nie oszukuje, w każdym razie niewiele, i płaci gotówką. Okazywano mu szacunek i gościnność, gdyż nikt w wiosce nie chciał znaleźć się po niewłaściwej stronie. A gdyby przestał przyjeżdżać? A gdyby jakaś rodzina musiała sprzedać dziecko, a on nie chciał go kupić, bo obrażono go podczas poprzedniej wizyty? Był bankiem wieśniaków, ich polisą ubezpieczeniową, ich bogatym wujaszkiem, ich jedynym amuletem przeciwko pechowi. Coraz częściej go potrzebowali, bo pogoda tak zdziwaczała, że nie dało się jej przewidzieć – za dużo deszczu lub za mało, za silny wiatr, zbyt dotkliwy upał – i to odbijało się na zbiorach.

Mężczyzna dużo się uśmiechał, mówił wielu mieszkańcom wioski po imieniu. Zawsze wygłaszał krótką mowę, za każdym razem taką samą. Twierdził, że pragnie ogólnego dobra. Czy nie wychodził dla nich ze skóry, zabierał nieokrzesane, głupie dzieciaki, które były mu ciężarem, by wyświadczyć im przysługę? Jeśli nie odpowiada im sposób, w jaki załatwia sprawy, powinni mu to powiedzieć. Nigdy go nie krytykowano, choć słyhać było pomruki za jego plecami – mówiono, że nie zapłaci więcej, niż musi. Budził jednak podziw; świadczyło to o tym, że zna się na swojej robocie i że dzieci trafiają w dobre ręce.

Wyjeżdżając z wioski, mężczyzna ze złotym zegarkiem zabierał ze sobą kilkoro dzieci, by sprzedawały kwiaty turystom na ulicach. Zapewniał matki, że praca jest łatwa i że dobrze potraktuje dzieci. Nie był jakimś prymitywnym opryskiem ani kłamcą, nie był alfonsem. Dostaną dobre jedzenie i bezpieczne miejsce do spania, a także ochronę i pewną sumę pieniędzy, którą – jeśli zechcą – wyślą rodzinie albo nie wyślą, wolna wola. Ta suma będzie stanowiła pewien procent ich zarobków minus wydatki na kwaterę i wyżywienie. (Żadne pieniądze nigdy nie trafiły do wioski. Już nikt tego nie oczekiwał). Za dziecięcą praktykę ojcowie albo owdowiałe matki otrzymają sowitą zapłatę, czy też to, co jego zdaniem stanowi sowitą zapłatę; była ona przyzwoita, zważywszy na to, do czego przywykli. Z takimi pieniędzmi matki, które sprzedawały swoje dzieci, mogły zapewnić pozostałemu potomstwu lepszy start w życiu.

Tak przynajmniej mówiły między sobą.

Jimmy się wściekł, kiedy usłyszał tę historię po raz pierwszy. Było to w czasach jego wściekłości. W czasach, kiedy robił z siebie głupca we wszystkich sprawach dotyczących Oryks.

– Nie rozumiesz – oświadczyła. Nadal jadła pizzę w łóżku; do tego piła colę i pochłaniała frytki. Po grzybach zabrała się do serc karczochów. Nigdy nie zjadła ciasta. Mówiła, że czuje się bardzo bogata, wyrzucając jedzenie.

– Wielu ludzi tak robiło. To był taki zwyczaj.

– Zwyczaj dup wołowych – zauważył Jimmy.

Siedział na krześle obok łóżka, obserwując jej różowy koci język, kiedy oblizywała palce.

– Jimmy, jesteś niedobry, nie klij. Chcesz pepperoni? Nie zamówiłeś, ale i tak nałożyli. Chyba źle cię zrozumieli.

– Dupa to nie przekleństwo, tylko opis graficzny.

– No cóż, chyba nie powinieneś tak mówić. – Teraz wzięła się do anchois, zawsze zostawiała je na sam koniec.

– Chciałbym zabić tego faceta.

– Którego faceta? Chcesz coli? Nie skończę.

– Faceta, o którym mi właśnie opowiedziałaś.

– Och, Jimmy, wolałbyś, żebyśmy wszyscy pomarli z głodu? – spytała Oryks z tym swoim gardłowym śmieszkiem. Tego śmiechu obawiał się w niej najbardziej, gdyż maskowała nim rozbawioną pogardę. Przenikał go na wskroś: chłodny wiatr na oświetlonym księżycem jeziorze.

Rzecz jasna, jego złość skrupiła się na Derkaczu. Rozwalił kilka mebli – były to czasy rozwalania mebli. Derkacz powiedział mu, co następuje:

– Jimmy, spójrz na to realistycznie. Nie możesz bez końca godzić malejącego dostępu do żywności z rozrastającą się populacją. *Homo sapiens* najwyraźniej nie potrafi się oderwać od źródła zaopatrzenia. To jeden z niewielu gatunków, które nie ograniczają rozmnażania w obliczu topniejących zapasów. Innymi słowy – do pewnego stopnia, oczywiście – im mniej jemy, tym więcej się pieprzymy.

– Jak to wyjaśnisz? – spytał Jimmy.

– Wyobraźnia – odparł Derkacz. – Ludzie potrafią sobie wyobrazić własną śmierć, zobaczyć, jak nadciąga, i sama myśl o tym działa na nich jak afrodyzjak. Ani pies, ani królik tak się nie zachowują. Weźmy ptaki: w kiepskim sezonie ograniczają liczbę jajek albo w ogóle nie odbywają godów. Ludzie jednak mają nadzieję, że zdołają przenieść swoją duszę na kogoś innego, na jakąś inną wersję samych siebie, i będą żyli wiecznie.

- Czyli jako gatunek jesteśmy skazani na zagładę przez nadzieję?
- Można to nazwać nadzieją. Albo desperacją.
- Ale bez nadziei też jesteśmy skazani na zagładę – zauważył Jimmy.
- Tylko jako jednostki – oznajmił radośnie Derkacz.
- Cóż, do dupy.
- Jimmy, dorośnij.

Derkacz nie był pierwszym człowiekiem, który powiedział to Jimmy’emu.

Człowiek z zegarkiem nocował w wiosce wraz z dwoma uzbrojonymi służącymi, jadł i pił w towarzystwie mężczyzn. Rozdawał papierosy, całymi kartonami, w złotych i srebrnych paczkach z celofanem. Rankiem oglądał oferowane dzieci i wypytywał o nie – czy chorowały, czy są posłuszne? Sprawdzał ich uzębienie. Musiały mieć dobre zęby, bo oczekiwano od nich uśmiechów. Potem dokonywał wyboru, pieniądze zmieniały właściciela, żegnał się, czemu towarzyszyło przyjazne kiwanie głowami i ukłony. Zabierał ze sobą trójkę albo czwórkę dzieci, nigdy więcej; tylko z taką liczbą dawał sobie radę. To oznaczało, że mógł wybrać najlepsze sztuki. To samo robił w innych wioskach na swoim terytorium. Słyszał z dobrego gustu i fachowej oceny.

Oryks mówiła, że dziecko, które nie zostało wybrane, czekał marny los. Mieszkańcy wioski gorzej je traktowali, traciło na wartości, dostawało mniej jedzenia. Ją wybrano na samym początku.

Czasami matki płakały, czasem także dzieci, ale matki mówiły im, że to, co robią, jest dobre, że pomagają rodzinie, że powinny iść z mężczyzną i wykonywać wszystkie jego polecenia. Matki twierdziły, że kiedy dzieci trochę popracują w mieście i sytuacja się poprawi, będą mogły powrócić do wioski. (Żadne dziecko nigdy nie wróciło).

Wszystko było zrozumiałe, a jeśli nawet nie akceptowane, to przynajmniej wybaczone. Mimo to po odjeździe mężczyzny matki, które sprzedały swoje dzieci, czuły się puste i smutne. Zupełnie jakby ten uczynek – ich własna decyzja (nikt ich nie zmuszał, nikt im nie groził) – nie wynikał z własnej woli. Do tego czuły się oszukane, jakby zapłata była zbyt skąpa. Dlaczego nie zażądały więcej? A jednak, mówiły raz za razem, nie miały wyboru.

Matka Oryks sprzedała jednocześnie dwoje dzieci, nie tylko ze względu na ciężką sytuację rodziny. Doszła do wniosku, że dwójka dotrzyma sobie towarzystwa, zadba o siebie. Drugie dziecko było chłopcem, o rok starszym od Oryks. Sprzedawano znacznie mniej chłopców niż dziewczynek, ale mimo to wcale nie osiągnęli większej wartości.

(Oryks potraktowała tę wiążaną transakcję jako dowód miłości matki. Nie potrafiła podać żadnych przykładów tego uczucia, przytoczyć żadnych opowieści. Było to raczej

domniemanie niż wspomnienie).

Mężczyzna powiedział, że oddaje matce Oryks wyjątkową przysługę, bo chłopcy to większy kłopot i nie chcą słuchać, i częściej uciekają, i kto mu wtedy zapłaci za przykrości? Poza tym ten chłopak nie miał właściwego nastawienia, to było widać na pierwszy rzut oka, a na dodatek poczerniała jedyńka nadawała mu wygląd kryminalisty. Mężczyzna wiedział jednak, że matka Oryks potrzebuje pieniędzy, więc postanowił być hojny i zabrać od niej syna.

Ptasi śpiew

Oryks twierdziła, że nie pamięta podróży z wioski do miasta, ale nie zapomniała kilku rzeczy, które wydarzyły się po drodze. To przypominało obrazki na pustej ścianie. Przypominało zagłądanie w cudze okna. Przypominało sny.

Mężczyzna z zegarkiem powiedział, że nazywa się wuj En i że muszą tak na niego mówić, bo inaczej znajdą się w poważnych tarapatach.

– Czy En to było nazwisko, czy pierwsza litera? – spytał Jimmy.

– Nie wiem – odparła Oryks.

– Widziałaś je kiedyś na piśmie?

– Nikt w naszej wiosce nie potrafił czytać – wyjaśniła mu Oryks. – Proszę, Jimmy. Otwórz buzię. Dam ci ostatni kawałek.

Na to wspomnienie Yeti niemal poczuł tamten smak. Pizzy, a potem Oryks w ustach.

Puszka z colą spadła na podłogę. Później była radość, miazdząca jego całe ciało niczym uścisk boa dusiciela.

Och, kradzione sekretne pikniki. Och, słodka rozkoszy, och, jasne wspomnienie, och, czysty ból. Och, niekończąca się noc.

– Ten mężczyzna – ciągnęła Oryks tej samej nocy, a może następnej – ten mężczyzna powiedział, że od tej chwili jest naszym wujem. – Teraz, gdy pozostawili wioskę za sobą, nie uśmiechał się tak często. Oznajmił, że muszą iść bardzo szybko, bo las wokół nich jest pełen dzikich zwierząt o czerwonych oczach i długich ostrych zębach, i jeśli będą biegli między drzewami lub szli zbyt wolno, bestie podejną i rozszarpią ich na strzępy.

Przerażona Oryks chciała wziąć brata za rękę, ale nie było to możliwe.

– Chodziło o tygrysy? – spytał Jimmy.

Oryks przecząco pokręciła głową. Nie o tygrysy.

– Co to były za zwierzęta? – chciał wiedzieć Jimmy. Pomyślał, że dzięki temu zyska jakąś wskazówkę co do lokalizacji tamtego miejsca. Zerknąłby w opisy habitatów, to mogłoby pomóc.

– Nie miały nazwy – odparła Oryks – ale wiedziałam, co to za zwierzęta.

Początkowo szli rządkiem po błotnistej drodze, z wyższej strony, i uważali na węże. Przodem kroczył mężczyzna ze strzelbą, potem wuj En, brat Oryks, dwójka innych

dzieci, które także sprzedano – dwie dziewczynki, obie starsze – a następnie Oryks. Pochód zamykał drugi uzbrojony mężczyzna. Zatrzymali się na posiłek w południe – zimny ryż, który zapakowali dla nich wieśniacy – i znowu wyruszyli w drogę. Gdy doszli do rzeki, jeden z mężczyzn z bronią przeniósł Oryks przez wodę. Powiedział, że jest taka ciężka, że mógłby ją upuścić i wtedy zjadłyby ją ryby, ale to był żart. Pachniał potem i tytoniem, i jakimiś perfumami albo mazidłem, które miał we włosach. Woda sięgała mu do kolan.

Potem słońce zbliżyło się ku linii horyzontu i ją oślepiało – musieli zmierzać na zachód, pomyślał Jimmy – a ona była bardzo zmęczona.

Słońce schodziło coraz niżej i niżej, a wówczas ptaki, niewidzialne, ukryte w gałęziach i pnączach w lesie, rozpoczęły trele i nawoływania: hałaśliwe rechoty i gwizdy, i cztery czyste dźwięki z rzędu niczym dzwon. Te ptaki zawsze tak wołały o zmierzchu i o świcie, tuż przed wschodem słońca, i te odgłosy pokrzepiły Oryks. Ptasie śpiewy były jej bliskie, stanowiły część tego, co знаła. Wyobraziła sobie, że jeden z nich – ten, którego śpiew przypominał bicie dzwonu – to duch jej matki, wysłany tu pod postacią ptaka, by nad nią czuwał, i że powtarza: „Wróćisz”.

Powiedziała Jimmy’emu, że w jej wiosce niektórzy ludzie potrafili w taki sposób wysłać swojego ducha jeszcze przed śmiercią. Każdy to wiedział. Można było opanować tę umiejętność, stare kobiety tego uczyły, a potem polecieć wszędzie, zobaczyć, co się dopiero zdarzy, wysłać wiadomości i pojawiać się w snach innych ludzi.

Ptak wciąż nawoływał, po czym nagle zamilkł. Słońce gwałtownie zaszło i zapadły ciemności. Tej nocy spali w szopie. Pewnie była to szopa dla zwierząt, tak pachniała. Musieli siusiać w krzakach, wszyscy razem w rzędki, a jeden z uzbrojonych służących ich pilnował. Mężczyźni rozpalili ogień przed szopą i gadali, wybuchając głośnym śmiechem, dym wlatywał do środka, ale Oryks to nie przeszkadzało, bo zasnęła. Czy spali na ziemi, w hamakach czy na pryczach?, dopytywał się Jimmy, ale ona twierdziła, że to nieważne. Obok spał jej brat. Wcześniej nie zwracał na nią specjalnej uwagi, ale teraz chciał być blisko niej.

Następnego ranka znowu wędrowali i dotarli do miejsca, w którym wuj En zostawił samochód pod opieką kilku osób z małej wioski, mniejszej i bardziej zapuszczonej niż rodzinna wioska dzieci. Kobiety i ich potomstwo zerkały na nich z progu swoich domów, bez uśmiechu. Jedna wieśniaczka zrobiła znak, jakby opędzała się od złego.

Wuj En upewnił się, że nic nie zginęło, a następnie zapłacił mężczyznom i kazał dzieciom wsiadać do samochodu. Oryks dotychczas nigdy nie siedziała w aucie, nie odpowiadał jej jego zapach. Nie był to pojazd na baterie słoneczne, tylko na benzynę, w dodatku stary. Prowadził jeden ze służących, wuj En siedział obok niego, drugi mężczyzna z tyłu, wraz z czwórką stłoczonych dzieci. Wuj En miał zły humor i zabronił dzieciom pytać o cokolwiek. Droga była wyboista, auto rozgrzane. Oryks mdliło,

myślała, że zwymiotuje, ale zapadła w drzemkę.

Musieli długo jechać; gdy się zatrzymali, znowu była noc. Wuj En i kierowca weszli do niskiego budynku, czegoś w rodzaju gospody; drugi strażnik wyciągnął się na przednim siedzeniu i wkrótce zaczął chrapać. Dzieci usiłowały spać z tyłu. Drzwi zamknięto – dzieci nie mogłyby wyjść z samochodu, nie depcząc po mężczyźnie, a tego się obawiały, żeby nie pomyślał, że chcą zbiec. Ktoś zsiusiał się tej nocy w spodnie, Oryks to czuła, ale wiedziała, że to nie ona. Rankiem zapędzono dzieci na tyły budynku, gdzie stała latryna bez drzwi. Świnia po drugiej stronie patrzyła na nie, kiedy kuczały.

Po kilku godzinach podróży po wybojach zatrzymali się przy bramie na drodze. Stali tam dwaj żołnierze. Wuj En powiedział, że dzieci to jego siostrzenice i siostrzeniec; ich matka umarła, a on zabiera je do siebie, by zamieszkały z jego rodziną. Znowu się uśmiechał.

– Masz mnóstwo siostrzeńców – zauważył jeden z żołnierzy, szczerząc zęby.

– Na swoje nieszczęście – odparł wuj En.

– Matki wciąż im umierają.

– Smutna rzeczywistość.

– Nie jesteśmy pewni, czy powinniśmy ci wierzyć – dodał drugi żołnierz, także z uśmiechem.

– Proszę bardzo. – Wuj En wyciągnął Oryks z auta. – Jak się nazywam? – spytał dziewczynkę, pochylając nad nią radosne oblicze.

– Wuj En – odpowiedziała. Obaj żołnierze się roześmiali, wuj En także. Poklepał Oryks po plecach i kazał jej wsiąść z powrotem do auta, uścisnął dłonie żołnierzy, najpierw włożywszy rękę do kieszeni. Potem żołnierze otworzyli bramę na oścież. Kiedy samochód znowu jechał drogą, wuj En dał Oryks cukierka w kształcie małej cytryny. Ssała go przez jakiś czas, a następnie wyjęła, żeby zachować na później. Brakowało jej kieszeni, więc trzymała go w lepkich palcach. Tej nocy pocieszała się lizaniem własnej ręki.

Dzieci płakały w nocy, niezbyt głośno. Kwiliły cichutko. Czuły strach, nie wiedziały, dokąd jadą, zabrano je od tego, co znane. Poza tym, dodała Oryks, odebrano im miłość, zakładając, że w ogóle kiedykolwiek ją miały. Zostały jednak wycenione na pewną sumę, ktoś czerpał z nich zysk. Musiały to wyczuć – wyczuć, że przedstawiają sobą jakąś wartość.

Rzecz jasna (powiedziała Oryks), wartość materialna nie była substytutem miłości. Każde dziecko powinno mieć miłość, każdy człowiek. Osobiście wolałaby raczej miłość matki – miłość, w którą nie przestała wierzyć; miłość, która towarzyszyła jej w dżungli w formie ptaka, żeby Oryks nie czuła się zbyt przestraszona ani samotna – ale miłość od niczego nie zależała, przychodziła i odchodziła, więc dobrze było mieć jakąś wartość materialną, bo przynajmniej ci, którzy zamierzali na tobie zarobić, pilnowali, żebyś nie chodziła głodna i żeby cię zbytnio nie zniszczono. Poza tym wielu

ludzi nie miało ani miłości, ani wartości materialnej, a lepiej mieć cokolwiek niż nic.

Róże

Miasto było chaosem, pełnym ludzi, aut, hałasu, brzydkich woni i trudnego do zrozumienia języka. Na początku czwórka nowych dzieci czuła się zaszokowana, jakby wpadła do kotła z wrzątkiem; miasto sprawiało im wręcz fizyczny ból. Wuj En miał jednak doświadczenie – traktował nowe dzieci jak koty, dał im czas, by oswoiły się z otoczeniem. Umieścił je w małym pokoju w dwupiętrowym budynku, na ostatnim piętrze, z okratowanym oknem, przez które mogły wyrzeć, ale nie wyjść, a następnie stopniowo je wypuszczał, najpierw na niewielką odległość i tylko na godzinę. W tym pokoju przebywało już pięcioro innych dzieci, więc panował tłok. Mieściły się tam jednak cienkie materace dla każdego dziecka, zwijane za dnia i rozkładane na noc, kiedy to całą podłogę pokrywały materace i dzieci. Te pośłania były zużyte i poplamione, śmierdziały moczem; to właśnie ich starannego składania musieli się najpierw nauczyć nowi przybysze.

Więcej nauczyli się od innych, bardziej obytych dzieciaków. Po pierwsze, wuj En zawsze cię obserwuje, nawet jeśli ci się wydaje, że zostajesz w mieście sama. Zawsze wie, gdzie jesteś; musi jedynie przytknąć lśniący zegarek do ucha, a on mu to mówi, bo w środku jest cienki głosik, który wie wszystko. To pokrzepiające, gdyż nikt obcy cię nie skrzywdzi. Po drugie, wuj En zobaczy, jeśli nie będziesz wystarczająco ciężko pracować albo spróbujesz uciec, albo jeśli zatrzymasz dla siebie jakieś pieniądze od turystów. Wtedy cię ukarze. Wuj En zbije cię i będziesz miała siniaki. Może też będziesz przypalana. Niektóre dzieci twierdziły, że doświadczyły tych kar, były z nich dumne: zostały im blizny. Jeśli te zabronione rzeczy – lenistwo, kradzieże, ucieczki – będą ci się zdarzać zbyt często, trafisz do kogoś znacznie gorszego – podobno – niż wuj En. Albo zginiesz i wylądujesz na wysypisku śmieci, i nikogo to nie obejdzie, bo nikt nie wie, kim naprawdę jesteś.

Oryks twierdziła, że wuj En wiedział, co robi, bo w kwestii kar dzieci chętniej wierzą rówieśnikom niż dorosłym. Dorośli straszili, że coś zrobią, i na tym koniec, ale dzieci mówiły, co się stanie. Albo czego się obawiają. Albo co już się stało im lub innym znajomym dzieciom.

W tygodniu po przybyciu Oryks i jej brata do pokoju materaców zabrano trójkę starszych dzieci. Wuj En powiedział, że jadą do innego kraju. Ten kraj nosił nazwę San Francisco. Czy były niegrzeczne? Nie, wyjaśnił wuj En, to nagroda za dobre

sprawowanie. Wszyscy posłuszni i pracowici pewnego dnia mogą tam trafić. Oryks nigdzie nie chciała jechać, z wyjątkiem domu, ale „dom” zacierał się w jej pamięci. Nadal słyszała ducha swojej matki wołającego: „Wróćisz”, ale głos był coraz słabszy i niewyraźny. Już nie brzmiał jak dzwon, lecz jak szept. Teraz bardziej przypominał pytanie niż oświadczenie; pytanie bez odpowiedzi.

Oryks, jej brat i dwie pozostałe dziewczynki towarzyszyli bardziej doświadczonym dzieciom sprzedającym kwiaty. Były to róże, czerwone, białe i różowe; kupowane rankiem na targu kwiatowym. Pozbawiano je kolców, żeby przekazywać kwiaty z rąk do rąk, nikogo przy tym nie kłując. Trzeba było się włączyć obok wejść do najlepszych hoteli – banki wymieniające zagraniczną walutę i drogie sklepy też były niezłe – i uważać na policjantów. Jeśli policjant podchodził albo patrzył na ciebie ponuro, należało szybko odejść w inną stronę. Sprzedawanie kwiatów turystom bez specjalnego zezwolenia było zabronione, a takie zezwolenia słono kosztowały. Nie ma się czego obawiać, powiedział wuj En; policja o wszystkim wie, musi tylko udawać, że nie ma o niczym pojęcia.

Na widok cudzoziemca, zwłaszcza w towarzystwie cudzoziemki, należało podejść i z uśmiechem wyciągnąć róże. Nie wolno się było gapić ani śmiać z ich dziwnych cudzoziemskich włosów i oczu barwy wody. Jeśli brali kwiat i pytali o cenę, z jeszcze szerszym uśmiechem wyciągałaś rękę. Jeśli coś mówili, zadawali pytania, udawało się całkowite niezrozumienie. To było łatwe. Zawsze dawali więcej – czasem znacznie więcej – niż kwiaty były warte.

Pieniądże wkładało się do torebeczki ukrytej pod ubraniem. Była to forma ochrony przed złodziejaskami i ulicznymi łobuzami, tymi, którzy nie mieli tyle szczęścia, by trafić pod opiekę wuja Ena. Jeśli ktoś – zwłaszcza mężczyzna – próbował wziąć cię za rękę i gdzieś prowadzić, trzeba było natychmiast się wyszarpnąć. Jeśli trzymał zbyt mocno, to się siadało. Na ten sygnał podchodził jeden z ludzi wuja Ena albo sam wuj En. Nie wolno było chodzić do samochodu ani do hotelu. Jeśli jakiś mężczyzna o to prosił, należało jak najszybciej poinformować wuja Ena.

Oryks dostała od wuja Ena nowe imię. Wszystkie dzieci otrzymały od niego nowe imiona. Kazano im zapomnieć o starych, i tak się wkrótce stało. Oryks została SuSu. Dobrze sobie radziła ze sprzedażą róż. Była drobna i krucha, miała wyraziste, przyjemne dla oka rysy, a w za dużej sukience wyglądała jak aniołek. Inne dzieci ją rozpieszczały, bo była najmłodsza. Na zmianę sypiały obok niej w nocy; przechodziła z rąk do rąk.

Kto mógłby się jej oprzeć? Niewielu cudzoziemców. Miała idealny uśmiech – nie bezczelny ani nie agresywny, lecz pełen wahania, nieśmiały, niepewny. W tym uśmiechu nie było grama złej woli: żadnej niechęci, zawiści, tylko obietnica płynącej z głębi serca wdzięczności. „Urocza”, mruzczały cudzoziemskie damy, a towarzyszący

im mężczyźni kupowali różę, by ofiarować ją partnerce, dzięki czemu i oni stawali się uroczy. Oryks wsuwała monety do torebki pod sukienką i czuła się bezpieczna przez jeszcze jeden dzień, bo sprzedawała swój przydział.

W przeciwieństwie do brata. Miał pecha. Nie chciał sprzedawać kwiatów jak dziewczyna i nienawidził się uśmiechać; kiedy jednak to robił, efekt był kiepski, ze względu na poczerniały ząb. Oryks zatem próbowała sprzedawać róże brata. Wuj En na początku nie miał nic przeciwko temu – pieniądze to pieniądze – ale potem doszedł do wniosku, że Oryks nie powinna pojawiać się zbyt często w tych samych miejscach, bo zmęczy ludzi swoim widokiem.

Trzeba było znaleźć coś innego dla jej brata – jakieś nowe zajęcie. Musiał trafić w inne miejsce. Starsze dzieci w pokoju kręciły głowami: sprzedadzą go alfonsovi, twierdziły; alfonsovi z towarem dla owłosionych białych mężczyzn albo brodatych brązowych mężczyzn, albo tłustych żółtych mężczyzn, dla wszystkich tych, którzy lubią małych chłopców. Dzieci opisały ze szczegółami, co zrobią ci mężczyźni; śmieszyło je to. Będzie chłopcem z melonowym tyłkiem, mówiły; tak nazywano tych chłopaków. Twardy i okrągły z zewnątrz, miękki i słodki w środku; ładny melonowy tyłek, dla każdego, kto zapłaci. Albo zostanie posłańcem, będzie biegał z ulicy na ulicę z posyłkami dla hazardzistów, a to ciężka praca i bardzo niebezpieczna, bo konkurencyjni hazardziści mogą cię zabić. Albo będzie jednym i drugim. Najprawdopodobniej.

Oryks widziała, jak twarz jej brata chmurzy się i zasępia, i nie czuła zdziwienia, kiedy uciekł. Nie wiedziała, czy go kiedykolwiek złapano i ukarano. Nawet nie pytała, gdyż wypytywanie – już zdążyła się zorientować – nie przynosiło nic dobrego.

Pewnego dnia jakiś mężczyzna wziął Oryks za rękę i powiedział, że powinna iść z nim do hotelu. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało, popatrzyła w bok i bez słowa wyrwała rękę, a potem opowiedziała o wszystkim wujowi Enowi. Wtedy wuj En oznajmił coś zdumiewającego. Powiedział, że jeśli mężczyzna poprosi o to raz jeszcze, ma z nim iść do hotelu. Będzie chciał ją zabrać do swojego pokoju i ona musi z nim pójść. Powinna robić wszystko o co poprosi ją nieznajomy, ale bez obaw, wuj En będzie to obserwował i przyjdzie po nią. Nie stanie się jej nic złego.

– Czy będę melonem? – zapytała. – Dziewczynką z melonowym tyłkiem?

Wuj En wybuchnął śmiechem i zaczął się zastanawiać, skąd Oryks zna ten zwrot. Nie, odparł. Na pewno nie.

Następnego dnia mężczyzna zapytał Oryks, czy chciałaby dostać trochę pieniędzy, o wiele więcej, niż można zarobić na sprzedaży róż. To był wysoki, biały, owłosiony mężczyzna, mówiący z twardym akcentem, ale wszystko rozumiała. Tym razem Oryks z nim poszła. Trzymał ją za rękę i wsiedli do windy – było to straszne, małe pomieszczenie z zamykającymi się drzwiami. Po otwarciu drzwi trafiałaś w inne

miejsce; wuj En jej nie uprzedził. Czuła, jak wali jej serce.

– Nie bój się – powiedział mężczyzna, myśląc, że Oryks czuje strach przed nim.

Było jednak na odwrót, to on bał się jej, bo drżała mu ręka. Otworzył drzwi kluczem i weszli, a potem zamknął je za nimi i znaleźli się w złocisto-fioletowym pokoju z gigantycznym łóżem, łóżem dla olbrzymów, i mężczyzna poprosił Oryks, żeby zdjęła sukienkę.

Oryks zrobiła, co jej kazał. Mniej więcej wiedziała, czego może pragnąć mężczyzna – inne dzieci znały się na takich rzeczach i rozmawiały o nich bez skrępowania, śmiejąc się z tego. Ludzie płacili mnóstwo pieniędzy za to, czego chciał ten człowiek, i w mieście znajdowały się specjalne miejsca, do których tacy jak on mogli się udać. Niektórzy nie lubili tam chodzić, bo te miejsca były zbyt publiczne, a oni czuli wstyd i głupio pragnęli załatwiać wszystko na własną rękę; ten facet był właśnie taki. Więc Oryks wiedziała, że mężczyzna teraz zdejmie ubranie, choćby częściowo, i tak zrobił, i wydawał się zadowolony, kiedy popatrzyła na jego penis, równie długi i włochaty jak on sam, ze zgięciem, jakby małym łokciem. Wtedy mężczyzna uklęknął, tak że jego twarz znalazła się na poziomie jej twarzy.

Jak wyglądała ta twarz? Oryks nie mogła sobie przypomnieć. Pamiętała niezwykłość jego penisa, ale nie niezwykłość twarzy.

– W ogóle nie przypominała twarzy – powiedziała. – Była całkiem miękka, jak kluska. I sterczał z niej wielki nos, marchewkowy nos. Długi, biały, penisowy nos. – Roześmiała się i zakryła dłońmi usta. – Nie taki jak twój, Jimmy – dodała, na wypadek gdyby poczuł się niepewnie. – Ty masz piękny nos. Słodki, wierz mi.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedział mężczyzna. Miał tak idiotyczny akcent, że Oryks prawie zachichotała. Czuła jednak, że byłoby to niewłaściwe. Uśmiechnęła się nieśmiało, a mężczyzna ujął jej dłoń i położył na sobie. Zrobił to bardzo delikatnie, ale jednocześnie wydawał się zły. Zły i jakby zniecierpliwiony.

Właśnie w tej chwili do pokoju nagle wpadł wuj En – jak? Na pewno miał klucz, na pewno dostał go od kogoś w hotelu. Złapał Oryks, uściśnął ją i nazwał swoim małym skarbem, nakrzyczał na mężczyznę. Nieznajomy wyglądał na bardzo przestraszonego i usiłował się ubrać. Zaplątany w spodnie, skakał dookoła na jednej nodze, próbując coś wytłumaczyć tym swoim kiepskim akcentem, i Oryks było go żal. Potem mężczyzna dał pieniądze wujowi Enowi, mnóstwo pieniędzy, wszystkie pieniądze z portfela, i wuj En wyszedł z pokoju, niosąc Oryks niczym cenną wazę, mamrocząc i marszcząc brwi. Jednak na ulicy wybuchnął śmiechem i drwił z mężczyzny skaczącego w spodniach, i powiedział Oryks, że jest grzeczną dziewczynką, i spytał, czy zechce jeszcze się pobawić w tę grę?

Tak oto miała swoją grę. Trochę żałowała tych mężczyzn, choć wuj En twierdził, że dostali, na co zasługują, i mają szczęście, że nie wzywał policji, ale i tak było jej

przykro. Jednocześnie sprawiało jej to przyjemność. Czuła się silna dzięki świadomości, że ci mężczyźni uważają ją za bezradną, podczas gdy ona wcale taka nie jest. To oni byli bezradni, oni wkrótce mieli bąkać przeprosiny tym swoim głupim akcentem i skakać na jednej nodze w luksusowych pokojach hotelowych, zaplątani we własne nogawki, świecąc gołymi tyłkami, gładkimi lub owłosionymi, tyłkami w różnych rozmiarach i barwach, podczas gdy wuj En się na nich darł. Od czasu do czasu płakali. Co do zapłaty, opróżniali kieszenie, rzucając wszystkie pieniądze wujowi Enowi, dziękując mu, że je przyjmuje. Nie chcieli trafić do więzienia, nie w tym mieście, gdzie więzienia nie były hotelami, a zanim wniesiono oskarżenie i rozpoczął się proces, mijało mnóstwo czasu. Chcieli wsiąść do taksówki, jak najszybciej, wejść do wielkich samolotów i odlecieć w niebo.

– Mała SuSu – mówił wuj En, kiedy wyprowadzał Oryks na ulicę przed hotelem. – Bystra z ciebie dziewczynka! Szkoda, że nie mogę się z tobą ożenić! Chciałabyś tego?

Było to najbliższe miłości, co mogła wtedy dostać Oryks, więc czuła się szczęśliwa. Jak jednak brzmiała prawidłowa odpowiedź, tak czy nie? Wiedziała, że nie pytał poważnie, lecz żartem – miała tylko pięć, sześć albo siedem lat, nie mogła wyjść za mąż. Poza tym inne dzieci twierdziły, że wuj En ma dorosłą żonę, która mieszka w jakimś innym domu, i własne dzieci. Swoje prawdziwe dzieci. Chodziły do szkoły.

– Mogę posłuchać twojego zegarka? – pytała Oryks ze wstydliwym uśmiechem. Zamiast, to miała na myśli. „Zamiast wyjść za ciebie, zamiast odpowiadać na twoje pytanie, zamiast być twoim prawdziwym dzieckiem”. A on śmiał się jeszcze głośniejsze i pozwalał jej słuchać zegarka, lecz z wewnątrz nie dobiegał żaden cienki głosik.

Urwisownia jazz

Pewnego dnia pojawił się inny mężczyzna, którego dotychczas nie widzieli – wysoki i szczupły, wyższy od wuja Ena, w niedopasowanym ubraniu i ze śladami trądziku na twarzy – i powiedział, że wszyscy mają iść za nim. Wuj En sprzedał swój kwiatowy interes, oświadczył ten mężczyzna: kwiaty, kwiaciarki i całą resztę. Wyjechał, przeniósł się do innego miasta. Teraz szefem został ten wysoki.

Mniej więcej rok później Oryks usłyszała – od dziewczyny, która mieszkała z nią w tamtym pierwszym tygodniu w pokoju z materacami i pojawiła się znowu w jej nowym życiu, życiu kręcenia filmów – że to kłamstwo. Tak naprawdę wuja Ena z podejrzanym gardłem znaleziono w jednym z kanałów w mieście.

Ta dziewczynka go widziała. Nie, niezupełnie – nie widziała go, ale знаła kogoś, kto go widział. Bez wątpienia. Mimo brzucha nabrzmiałego jak poduszka i opuchniętej twarzy z pewnością był to wuj En. Nie miał na sobie ubrania, pewnie ktoś je zabrał. Może ktoś inny, nie ten, który poderznął mu gardło, a może i ten sam, no bo po co trupowi takie dobre ubranie? Zegarka też nie miał.

– Ani pieniędzy – powiedziała dziewczynka i wybuchnęła śmiechem. – Nie ma kieszeni, nie ma pieniędzy!

– Tam były kanały? – spytał Jimmy. Pomyślał, że może dzięki temu odgadnie, co to za miasto. W tamtych dniach chciał wiedzieć jak najwięcej o Oryks, o wszystkich miejscach, w których była. Chciał wyśledzić i dopaść każdego, kto ją skrzywdził albo unieszczęśliwił. Torturował się tą bolesną wiedzą: upychał sobie pod paznokcie każdy rozpalony do białości domniemany fakt, który zebrał. Im bardziej bolało, tym bardziej – o tym był przekonany – ją kochał.

– O tak, były – przytaknęła Oryks. – Farmerzy i hodowcy kwiatów płynęli nimi na targi. Po przycumowaniu łodzi sprzedawali, co mieli, na miejscu, na przystaniach. Z daleka był to ładny widok. Tyle kwiatów. – Popatrzyła na niego; często potrafiła odgadnąć, o czym myślał. – Ale wiele miast ma kanały – stwierdziła. – I rzeki. Rzeki bardzo się przydają, na śmieci i trupy, i niechciane dzieci, i całe gówno. – Chociaż nie lubiła, gdy on kłął, czasem sama chętnie posługiwała się złymi słowami, jak je nazywała, bo to go szokowało. Kiedy już się rozpędziła, zużywała całkiem spory zapas złych słów. – Nie przejmuj się tak bardzo, Jimmy – dodała łagodniej. – To było dawno

temu.

Bardzo często jej zachowanie świadczyło o tym, że Oryks chce go uchronić przed tym wyobrażeniem – wyobrażeniem jej w przeszłości. Pokazywała mu tylko swoją słoneczną stronę. Lubiła błyszczeć.

Wuj En skończył zatem w kanale. Miał pecha. Nie zapłacił właściwym ludziom albo też zapłacił im za mało. A może usiłowali kupić jego interes, cena była zbyt niska i nie chciał jej zaakceptować? A może jego ludzie go wystawili? Kto wie, co mu się przytrafiło. Może zresztą niczego nie zaplanowano – może był to zwykły wypadek, przypadkowe zabójstwo, prymitywny złodziej. Wuj En bywał lekkomyślny, samotnie wypuszczał się w miasto. Choć nie był lekkomyślny z natury.

– Płakałam na wieść o tym – powiedziała Oryks. – Biedny wuj En.

– Dlaczego go bronisz? – spytał Jimmy. – To był szkodnik, pasożyt!

– Lubił mnie.

– Lubił pieniądze!

– Oczywiście, Jimmy – przytaknęła Oryks. – Wszyscy je lubią. Ale mógł mi zrobić dużo gorsze rzeczy, a ich nie zrobił. Płakałam na wieść o jego śmierci. Nie mogłam przestać.

– Jakie gorsze rzeczy? Jakże dużo gorsze?

– Jimmy, za bardzo się przejmujesz.

Wyprowadzono ich z pokoju z szarymi materacami i Oryks nigdy więcej już go nie zobaczyła. Podobnie jak większości dzieci. Zostały rozdzielone, jedno trafiło tu, drugie gdzie indziej. Oryks sprzedano człowiekowi, który kręcił filmy. Była jedyną, która trafiła do filmowca. Powiedział, że jest śliczną dziewczynką, i zapytał, ile ma lat, ale ona nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Zapytał, czy chciałaby zagrać w filmie. Nigdy nie oglądała żadnego filmu, nie wiedziała, czy tego chce; brzmiało to jednak jak korzystna oferta, więc przytaknęła. Wtedy już wyczuwała, kiedy oczekują od niej twierdzącej odpowiedzi.

Mężczyzna wiozł ją samochodem z jakimiś innymi dziewczynkami, trzema albo czterema, których nie znała. Zatrzymali się na noc w domu, wielkim domu. Była to siedziba bogaczy, otoczona wysokim murem z tłuczonym szkłem i drutem kolczastym na szczycie. Minęli bramę i wjechali na teren posiadłości. Pachniało tam bogactwem.

– Jak to: bogactwem? – spytał Jimmy, ale Oryks nie potrafiła tego wyjaśnić.

Bogactwo było czymś, co dawało się odróżnić dopiero z czasem. Dom pachniał lepszymi hotelami, w których bywała; czuła woń rozmaitych potraw, drewnianych mebli, pasty i mydła, mieszanek tych zapachów. Na podłogach leżały dywany, ale dzieci po nich nie chodziły; dywany rozłożono w dużym pokoju, one zaś jedynie

przeszły obok otwartych drzwi, zajrzały i je zobaczyły. Dywany były niebiesko-różowo-czerwone i bardzo piękne.

Dziewczynki umieszczono obok kuchni, w schowku albo pomieszczeniu niegdyś służącym za schowek; pachniało tam ryżem i workami, w które go pakowano. Teraz nie było tam ryżu. Nakarmiono je – lepiej niż zwykle, mówiła Oryks, dostały kurczaka w potrawce – i kazano im siedzieć cicho. Potem zostały zamknięte. Domu strzegły psy, z podwórza dochodziło ich warczenie.

Następnego dnia część dzieci pojechała ciężarówką, na budzie. Było tam jeszcze dwoje innych dzieci, dwie dziewczynki, obie małe jak Oryks. Jedna dopiero przybyła z wioski i tęskniła za swoimi rodakami, i dużo płakała, po cichu, kryjąc twarz. Wsadzono je na budę ciężarówki i zamknięto, było tam ciemno i gorąco, czuły pragnienie, a siusiac musiały w aucie, bo nie zorganizowano postojów. Przez małe okienko do środka wpadało trochę powietrza.

Podróż trwała tylko dwie godziny, ale z powodu upału i ciemności bardzo się dłużyła. Po dotarciu na miejsce przekazano dziewczynki innemu mężczyźnie, a ciężarówka odjechała.

– Były na niej jakieś napisy? Na ciężarówce? – spytał Jimmy niczym detektyw.

– Tak. Czerwony napis.

– Dokładniej?

– Skąd mam wiedzieć? – spytała z wyrzutem.

Poczuł się jak głupiec.

– A jakiś obrazek?

– Tak. Był obrazek – odparła po chwili Oryks.

– Co przedstawiał?

Oryks zastanawiała się przez moment.

– Papugę. Czerwoną papugę.

– W locie czy stojącą?

– Jimmy, dziwny jesteś.

Jimmy się tego uczeplił, tej czerwonej papugi. Pamiętał o niej. Czasem wracał do niej myślami, do pełnego tajemnicy i ukrytego znaczenia symbolu pozbawionego wszelkich kontekstów. To musiała być nazwa marki, logo. Przeszukał internet, sprawdził Papugę, markę Papuga, Papugę z o.o., Czerwoną Papugę. Znalazł Alexa, papugę – głupinę, która mówiła: „Teraz odfruwam”, ale nic mu to nie dało, bo Alex miał niewłaściwy kolor. Chciał, by czerwona papuga stała się pomostem między historią opowiedzianą mu przez Oryks a tak zwanym światem rzeczywistym. Chciał, idąc ulicą lub surfując po sieci, eureka, tam na nią natrafić, na czerwoną papugę, na szyfr, hasło, bo wtedy wiele spraw by się wyjaśniło.

Budynek, w którym kręcono film, znajdował się w innym mieście, a może w innej

części tego samego miasta, gdyż, jak twierdziła Oryks, było ono bardzo wielkie. Wraz z innymi dziewczynkami zamieszkała w pokoju w tym budynku. Niemal nigdy nie wychodziły, chyba że na płaski dach, kiedy tam rozgrywała się akcja filmu. Niektórzy z mężczyzn przychodzących do budynku chcieli być na zewnątrz podczas kręcenia. Zależało im, by ich widziano, ale jednocześnie pragnęli pozostać w ukryciu – dach był otoczony murem.

– Może chcieli, by widział ich Bóg – powiedziała Oryks. – Jak myślisz, Jimmy? Popisywali się przed Bogiem? Tak sędzę.

Wszyscy ci mężczyźni mieli własne koncepcje tego, co powinno znaleźć się w ich filmie. Chcieli pewnych rzeczy w tle, krzesel albo drzew, żądali sznurów i krzyku albo butów. Czasem mówili „Rób to, za to ci płacę” lub coś podobnego, bo wszystko w tych filmach miało swoją cenę. Każda kokarda do włosów, każdy kwiat, każdy przedmiot, każdy gest. Ilekroć mężczyźni wymyślali coś nowego, wybuchała dyskusja nad tym, ile owa nowość ma kosztować.

– I tak nauczyłam się życia – powiedziała Oryks.

– Czego się nauczyłaś? – spytał Jimmy. Nie powinien jeść pizzy, a potem palić trawy. Było mu trochę niedobrze.

– Że wszystko ma swoją cenę.

– Nie wszystko. To nieprawda. Nie można kupić czasu. Nie da się kupić... – Chciał powiedzieć „miłości”, ale się zawahał. To było zbyt ckiwe.

– Nie da się go kupić, ale ma swoją cenę – oznajmiła Oryks. – Wszystko ma swoją cenę.

– Ja nie – usiłował zażartować Jimmy. – Ja nie mam swojej ceny.

Jak zwykle był w błędzie.

Oryks twierdziła, że gra w filmach polegała na wykonywaniu poleceń. Jeśli chcieli, żebyś się uśmiechała, to się uśmiechałaś; jeśli zażądali, abys wybuchnęła płaczem, musiałaś to zrobić. Cokolwiek wymyślili, spełniałaś ich zachcianki, bo bałaś się sprzeciwić. Robiłaś, co trzeba było robić z nieznajomymi, czasem oni robili coś z tobą. To były filmy.

– Co robili? – spytał Yeti.

– Przecież wiesz – powiedziała Oryks. – Widziałeś. Masz zdjęcie.

– Widziałem tylko jeden – powiedział Yeti. – Tylko ten jeden z tobą.

– Założę się, że wdziałeś więcej filmów ze mną. Nie pamiętasz. Mogłam wyglądać inaczej, mogłam nosić inne ubrania i peruki, mogłam być kimś innym, robić inne rzeczy.

– Jakie inne rzeczy? Jakie inne rzeczy kazali ci robić?

– Wszystkie te filmy były takie same – powiedziała Oryks.

Umyła ręce, teraz malowała paznokcie, swoje delikatne paznokcie o doskonałym kształcie migdała. Na brzoskwiniowo, żeby pasowały do kwiecistej szaty, którą

włożyła. Żadnej skazy. Później miała się zająć paznokciami u stóp.

Dzieci mniej się nudziły podczas kręcenia filmów, niż robiąc to, co robiły przez resztę czasu, czyli niewiele. Oglądały animowane produkcje na starych DVD w jednym z pokojów, myszy i ptaki ściągane przez inne zwierzęta, które nigdy nie mogły ich dopaść; czesały i zaplatały włosy, jadły i spały. Czasem przychodzili jacyś ludzie, żeby wykorzystać studio do nakręcenia innych filmów. Pojawiły się dorosłe kobiety, kobiety z piersiami, i dorośli mężczyźni. Dzieci mogły się przyglądać, jak kręcą filmy, jeśli nie wchodziły w drogę. Czasem aktorzy protestowali, bo dziewczynki chichotały na widok penisów – takich wielkich, i nagle, zniecka, takich malutkich – a wtedy dzieci odsyłano do ich pokoju.

Często się myły – to było ważne. Za pomocą wiadra urządzały sobie prysznice. Miały wyglądać świeżo. W kiepskie dni, kiedy interes nie szedł najlepiej, były zmęczone i niespokojne, kłóciły się i tłukły między sobą. Czasem dostawały sztacha trawy albo drinka na uspokojenie – na przykład piwo – ale żadnych twardych narkotyków, te by je wysuszyły; nie wolno im też było palić. Mężczyzna, który tu rządził – duży mężczyzna, nie ten z kamerą – powiedział, że nie mogą palić, bo pożółkną im zęby. Czasem i tak paliły, bo człowiek z kamerą dawał im papierosa do podziału.

Człowiek z kamerą, Jack, był biały. Jego widywały najczęściej. Miał włosy jak postrzępione sznurki i czuć go było mięsem. Jadł bardzo dużo mięsa. Nie lubił ryb. Nie lubił też ryżu, ale lubił kluski. Kluski i mnóstwo mięsa.

Jack powiedział, że tam, skąd pochodzi, filmy są większe i lepsze, najlepsze na świecie. Ciągłe powtarzał, że chce wrócić do domu. Powiedział, że ma cholerne szczęście, że jeszcze żyje – że ten pieprzony kraj nie wykończył go swoim obrzydliwym żarciem. Powiedział, że prawie umarł od jakiejś choroby, która wzięła się z wody, a ocaliło go jedynie to, że potężnie się nachlał, a alkohol zabija zarazki. Dziewczynki śmiały się z zarazków, bo w nie nie wierzyły, wierzyły jednak w chorobę, już miały z nią do czynienia. To duchy sprowadzają choroby, wszyscy to wiedzieli. Duchy i pech. Jack nie odmówił odpowiednich modlitw.

Jack powiedział, że od tego zgniłego żarcia i wody rozchorowałby się jeszcze bardziej, ale ma naprawdę mocny żołądek. Powiedział, że w tym biznesie trzeba mieć mocny żołądek. Powiedział, że wideokamera to przedpotopowy śmieć z objazdowego kina, a oświetlenie jest tak kiepskie, że wszystko wygląda jak tanie gówno. Powiedział, że chciałby mieć milion dolarów, ale że rozpieprzył swoje pieniądze. Powiedział, że forsa się go nie trzyma, że spływa po nim jak woda po natłuszczonej kurwie.

– Nie bądźcie takie jak ja, kiedy doroście – powtarzał im.

A dziewczynki się śmiały, bo cokolwiek by je spotkało, nigdy nie mogłyby być takie jak on, ten wielki klaun o sznurkowych włosach, z kutasem jak pomarszczona stara marchewka.

Oryks przyznała, że miała wiele okazji, aby przyjrzeć się tej starej marchewce z bliska, gdyż Jack chciał z nią robić filmowe rzeczy, nawet kiedy nie kręcili filmów. Potem smutniał i powtarzał jej, że bardzo mu przykro. To dawało do myślenia.

– Robiłaś to za darmo? – spytał Jimmy. – Przecież twierdziłaś, że wszystko ma swoją cenę.

Czuł, że nie wygrał tamtej sprzeczki o pieniądze, zapragnął następnej szansy.

Oryks zamilkła, podniosła pilnik do paznokci. Popatrzyła na swoją rękę.

– Zahandlowałam z nim – powiedziała.

– Czym? – chciał wiedzieć Jimmy. – Co ten żaloszny kutas miał do zaoferowania?

– Dlaczego uważasz, że był zły? – Westchnęła. – Nigdy nie zrobił mi niczego, czego ty nie robisz. Nawet o wiele mniej!

– Nie robię nic wbrew twojej woli – oświadczył Jimmy. – Tak czy owak, jesteś już dorosła.

– A jaka jest moja wola? – Oryks wybuchnęła śmiechem. Chyba dostrzegła jego urażoną minę, bo spoważniała. – Nauczył mnie czytać – wyjaśniła spokojnie. – Mówić po angielsku, czytać angielskie słowa. Najpierw mówić, potem czytać, na początku niezbyt dobrze, i nadal nie mówię najlepiej, ale od czegoś trzeba zacząć, nie sądzisz, Jimmy?

– Mówisz doskonale – oświadczył Jimmy.

– Nie musisz kłamać. Właśnie tak. Zajęło mi to dużo czasu, ale Jack był bardzo szczęśliwy. Miał taką książkę, nie wiem, skąd ją wziął, książkę dla dzieci. W środku była dziewczynka z długimi warkoczami i w pończochach – trudne słowo, pończochy – która skakała i robiła, co jej się podobało. To czytaliśmy. To była przyzwoita wymiana, bo, Jimmy, gdybym tego nie robiła, nie mogłabym teraz z tobą rozmawiać, prawda?

– Czego nie robiła? – spytał Jimmy. Nie mógł tego znieść. Gdyby dorwał tego Jacka, tego śmiecia, w tym pokoju, skreśliłby mu kark, tak jak się wyżyma starą skarpetę. – Co mu zrobiłaś? Obciągałaś mu?

– Derkacz ma rację – stwierdziła zimno Oryks. – Brak ci eleganckiego umysłu.

Zwrot „elegancki umysł” był zwykłym bełkotem, protekcyjnym żargonem komputerowych maniaków, ale ta uwaga i tak zaboląła Jimmy’ego. Nie. Zaboląła go myśl o tym, że Oryks i Derkacz rozmawiają o nim w ten sposób, za jego plecami.

– Przepraszam – powiedział.

Powinien mieć więcej oleju w głowie i nie mówić do niej prosto z mostu.

– Teraz może bym tego nie robiła, ale wtedy byłam dzieckiem – dodała łagodnie Oryks. – Dlaczego jesteś taki zły?

– Nie kupuję tego – odparł Jimmy. Gdzie była jej wściekłość? Jak głęboko ją ukryła? Co powinien zrobić, by ją odkopać?

– Czego nie kupujesz?

- Tej całej pieprzonej historii. Tej całej słodyczy, akceptacji i tych bzdetów.
- Skoro nie chcesz kupić tej historii, Jimmy – Oryks popatrzyła na niego z czułością co kupisz zamiast niej?

Jack miał swoją nazwę na budynek, w którym kręcili filmy. Nazywał go Urwisownia. Żadne z dzieci nie wiedziało, co to znaczy – Urwisownia – to było angielskie słowo i angielski pomysł, a Jack nie potrafił tego wytłumaczyć.

– No dobra, urwisy, wstawać i do roboty – mawiał. – Pora na łakocie! – Często wał je czasem cukierkami. – Cukiereczka, cukiereczku? – pytał.

To także był żart, ale one go nie rozumiały.

Jeśli miał odpowiedni nastrój albo się narkotyzował, pozwalał im oglądać filmy, w których wystąpiły. Wiedziały, kiedy robił sobie zastrzyki lub coś wdychał, bo był wtedy szczęśliwszy. Lubił puszczać sobie muzykę przy pracy, coś z kopem. Z biglem, tak to nazywał. Elvisa Presleya, tego typu rzeczy. Twierdził, że lubi złote przeboje z czasów, gdy piosenki miały jeszcze słowa.

– Możecie mnie nazywać sentymentalnym głupcem – mawiał, budząc zdumienie.

Lubił też Franka Sinatrę i Doris Day. Oryks znała wszystkie słowa *Love Me or Leave Me*, zanim zrozumiała, co one znaczą.

– Zaśpiewaj nam Urwisownię jazz – mawiał Jack i wtedy Oryks śpiewała. Zawsze był zadowolony.

– Jak się nazywał ten facet? – spytał Jimmy. Co za palant, ten Jack. Jack palant, Jack kretyn. Wyzwiska pomagają, pomyślał. Chętnie urwałby facetowi łeb.

– Jack. Mówiłam ci. Powiedział nam o tym wierszyk. „Jack to spryciarz, cwaniak stary, Jack ma w spodniach metr fujary”.

– Chodzi mi o jego nazwisko.

– Nie miał nazwiska.

Praca, tak Jack mówił na to, czym się zajmowały. Pracujące dziewczyny, tak je nazywał. Mawiał, gwizdź, kiedy pracujesz. Mawiał, przyłóż się do pracy. Mawiał, włóż w to trochę pary. Mawiał, zachowuj się, jakby ci zależało, a może chcesz oberwać? Mawiał, no już, seksowne karzelki, więcej wysiłku. Mawiał, tylko raz jest się młodym.

– I tyle – powiedziała Oryks.

– Jak to: i tyle?

– To wszystko – powtórzyła. – I tyle.

– A czy oni kiedykolwiek...

– Co oni kiedykolwiek?

– Nie mogli. Byłaś za mała. Nie mogliby.

– Proszę, Jimmy, powiedz mi, o co pytasz. – Bardzo spokojnie. Miał ochotę nią potrząsnąć.

– Czy cię zgwałcili? – Ledwie to z siebie wydusił. Jakiej odpowiedzi oczekiwał, czego pragnął?

– Dlaczego chcesz rozmawiać o brudach? – zapytała. Miała srebrzysty głosik, jak pozytywka. Pomachała ręką w powietrzu, żeby osuszyć paznokcie. – Powinniśmy jak najwięcej myśleć o pięknych rzeczach. Na świecie jest tyle piękna, wystarczy się rozejrzeć. A ty szukasz tylko brudów pod stopami, Jimmy. To niezdrowo.

– Nie zamierzała mu powiedzieć. Dlaczego doprowadzało go to do szaleństwa?

– To nie był prawdziwy seks, prawda? – zapytał. – W filmach. To była tylko gra. Prawda?

– Jimmy, sam powinieneś wiedzieć. Każdy seks jest prawdziwy.

7

Smuklana

Yeti otwiera oczy, zamyka je, znowu otwiera, trzyma otwarte. Miał okropną noc. Nie wie, co gorsze: przeszłość, której nie może odzyskać, czy teraźniejszość, która go zniszczy, jeśli będzie się jej zbyt uważnie przypatrywał. Pozostaje jeszcze przyszłość. Istny zawrót głowy.

Słońce wznosi się nad horyzontem, miarowo, jakby na podnośniku; płaskie chmury, różowe i fioletowe na górze, złociste pod spodem, trwają nieruchome wokół niego. Fale unoszą się, w górę, w dół, w górę, w dół. Na myśl o nich chwytają go mdłości. Ma okropne pragnienie, boli go głowa, czuje, że jest jak z waty. Dopiero po kilku chwilach uświadamia sobie, że to kac.

– To twoja wina – mówi do siebie. Wczoraj zachował się głupio; złopał, bełkotał, darł się, zajmował bezcelowymi narzekaniami. Kiedyś nie dostałby kaca po tak niewielkiej ilości alkoholu, ale wyszedł z wprawy, i z formy.

Przynajmniej nie spadł z drzewa.

– Jutro będzie nowy dzień – oświadcza różowym i fioletowym chmurom. Ale skoro jutro będzie nowy dzień, co jest dzisiaj? Taki sam stary dzień jak zawsze, poza tym, że Yeti czuje się, jakby całe jego ciało pokrył nalot z języka.

Długi sznur ptaków zrywa się do lotu z pustych wież – mewy, czaple białe, zwykłe czaple zmierzają na przybrzeżne łowy. Jakieś półtora kilometra na południe, na dawnym składowisku odpadów, upstrzonym na wpół zanurzonymi w wodzie willami, tworzą się słone moczary. Tam właśnie zmierzają wszystkie ptaki – do miasta ryb. Yeti obserwuje je z niechęcią. Nic im nie jest, nic ich nie obchodzi. Jedzą, pieprzą się, srają, skrzeczą, nie robią nic innego. W dawnym życiu mógłby podkraść się do nich, zdumiewać ich gracją, oglądać je przez lornetkę. Nie, nigdy by tego nie zrobił, to nie było w jego stylu. Jakaś nauczycielka ze szkoły podstawowej, miłośniczka natury –

Sally Jakjejtam? – zapędziała ich na tak zwane wycieczki w plener. Ich terenem myśliwskim było pole golfowe Kompleksu i stawy pełne lilii wodnych. „Patrzcie! Widzicie te śliczne kaczki? Nazywają się krzyżówki!”. Nawet wtedy Yeti uważał ptaki za nudne, ale nie chciał robić im krzywdy. Teraz jednak marzy o wielkiej procy.

Schodzi z drzewa, ostrożniej niż zazwyczaj, nadal trochę kręci mu się w głowie. Sprawdza czapkę baseballową, wyrzuca z niej motyla – zwabionego przez sól, bez

wątpienia – i sika na koniki polne, jak zawsze. Oto moja codzienna rutyna, myśli. Rutyna jest dobra. Cała jego głowa staje się jednym wielkim schowkiem pełnym staroświeckich magnesów na lodówkę.

Potem otwiera cementowy schowek, wkłada na nos okulary przeciwsłoneczne z jednym szkłem, wypija wodę z butelki po piwie. Gdyby tylko miał prawdziwe piwo albo aspirynę, albo jeszcze trochę szkockiej.

– Klin klinem – mówi do butelki. Nie może pić zbyt wiele wody na raz, bo zwymiotuje. Wylewa resztę płynu na głowę, bierze drugą butelkę i siada oparty plecami o drzewo, czekając, aż żołądek się uspokoi. Żałuje, że nie ma nic do czytania. Do czytania, oglądania, słuchania, badania, zbierania. W jego głowie pływają strzępy języka: marazm, metronom, meritum, miazmaty, makimono.

– Kiedyś byłem erudyta – mówi głośno.

Erudyta. Beznadziejne słowo. Gdzie są wszystkie te rzeczy, które, jak sądził, niegdyś znał, gdzie one zniknęły?

Po chwili odkrywa, że jest głodny. Co masz w schowku, głodomorze? Czyżby mango? Nie, było tam wczoraj. Została tylko lepka, pokryta mrówkami plastikowa torba. Kryje czekoladowy baton energetyczny Energaton, ale Yeti nie ma na niego ochoty, więc zardzewiałym otwieraczem rozcina puszkę Bezmięsnych Paróweczek Koktajlowych Smuklana. Mógł zabrać lepsze. Te są dietetyczne, beżowe i nieprzyjemnie miękkie – niemowlęce kupy, myśli – ale jakoś daje radę je przełknąć. Smuklany zawsze smakuje lepiej, kiedy się nie patrzy.

To białko, ale zbyt mało dla niego. Za mało kalorii. Wypija ciepły, mdły sos po parówkach, który – jak sobie wmawia – na pewno zawiera witaminy. Albo przynajmniej minerały. Albo coś tam. Kiedyś wiedział. Co się stało z jego umysłem? Oczyma duszy widzi swoją szyję, otwór ziejący pod głową jak odpływ w zlewie. Wpadają weń fragmenty słów, w szarym płynie, który, jak się orientuje, jest jego rozpuszczonym mózgiem.

Czas stawić czoło rzeczywistości. Mówiąc brutalnie, powoli głodzi się na śmierć. Może liczyć tylko na jedną rybę tygodniowo, ci ludzie traktują wszystko dosłownie. Czasem jest to ryba przyzwoitych rozmiarów, czasem bardzo mała, same kolce i ości. Wie, że nie zrównoważy białek skrobią ani tym drugim – węglowodanami, a może to to samo co skrobia? – i zacznie spalać własny tłuszcz, czy też jego resztki, a potem mięśnie. Serce to mięsień. Wyobraża sobie swoje serce skurczone do rozmiarów fistaszka.

Początkowo zjadał owoce, nie tylko z puszek, które zdołał zwędzić, ale także z opuszczonego arboretum, godzinę drogi na północ. Wiedział, jak je znaleźć, wtedy miał mapę, ale już dawno zginęła, uniesiona wiatrem podczas burzy. Zmierzał do części „Owoce świata”. W dziale „Tropikalne” dojrzewały banany i inne owoce,

okrągłe, zielone i guzkowate, których nie chciał jeść, bo mogły być trujące. W „Strefie umiarkowanej” rosło kilka winorośli na treliżu. W cieplarni nadal działała klimatyzacja napędzana energią słoneczną, chociaż jedno z okien wybito. Były tam także brzoskwinie rozpięte przy ścianie; pozostało ich zaledwie kilka, zbrązowiły w miejscach, gdzie zaatakowały je osy, i już gniły. I tak je pożarł, podobnie jak kilka cytryn. Były bardzo kwaśne, ale zmusił się do wypicia soku: ze starych filmów o marynarzach wiedział, co to skorbut. Krwawiące dziąsła, wypadające garściami zęby. To go jeszcze nie spotkało.

„Owoce świata” już się skończyły. Ile czasu minie, zanim pojawią się nowe i dojrzeją? Nie miał pojęcia. Gdzieś powinny rosnąć jakieś dzikie jagody. Zapyta o to dzieciaki, kiedy następnym razem przyjdą węszyć; znają się na jagodach. Mimo że słyszał dzieci w oddali na plaży, roześmiane i nawołujące się nawzajem, chyba dzisiaj nie zamierzały składać mu wizyty. Może je znudził, może zmęczyły się nagabywaniem go o odpowiedzi, których im nie udzielał albo których nie rozumiały. Może jest już rupieciem, przeżytkiem, starą zabawką. Może stracił charyzmę jak jakaś mierna, łysiejąca i niemodna gwiazda pop. Powinien z radością powitać perspektywę samotności, ale czuje tylko niechęć.

Gdyby miał łódź, popłynąłby do wieżowców, wspiął się na nie, okradł gniazda, zabrał parę jajek; potrzebowałby drabiny. Nie, kiepski pomysł. Wieżowce są zbyt niestabilne; odkąd tu przebywa, kilka się zawaliło. Mógłby pójść tam, gdzie są bungalowy i przyczepy, zapolować na szczury, upiec je na rozżarzonych węglach. Trzeba by to przemyśleć. Mógłby też spróbować dotrzeć do najbliższego Modułu, zdobyłby więcej niż w przyczepach, gdyż było tam więcej dóbr. Albo do jednej z kolonii emeryckich, ogrodzonych społeczności, czegoś w tym rodzaju. Nie ma już jednak żadnych map, nie może ryzykować, wędrując po zmroku bez kryjówki i odpowiedniego drzewa. Z pewnością wytropiłby go wilksy.

Mógłby złapać w pułapkę świnię, zatłuc go na śmierć i potajemnie zaszlachtować. Musiałby potem posprzątać: ma wrażenie, że widok krwi i jelit byłby zbyt wielkim wstrząsem dla Dzieci Derkacza. Jednak świnię ucztą dobrze by mu zrobiła. Świniony są tłuste, tłuszcz to węglowodan. Czy na pewno? Szpera w umyśle, by odnaleźć jakąś lekcję albo dawno zaginioną tabelę, która mu na to odpowie; kiedyś to wiedział, ale teraz nie ma to sensu, segregatory są puste.

– Przynies do domu bekon – mówi.

Niemal go czuje, ten bekon, usmażony na patelni, z jajkiem, serwowany z tostem i filiżanką kawy... „Śmietanki?”, szepce damski głos. Jakaś niegrzeczna bezimienna kelnerka z pornograficznej farsy pełnej białych fartuszków i miotełek do kurzu. Yeti uświadamia sobie, że się ślini.

Tłuszcz to nie węglowodan. Tłuszcz to tłuszcz. Uderzywszy się w czoło, unosi ramiona i rozkłada ręce.

– No, mądralo – mówi. – Następne pytanie?

„Nie przegap istotnego źródła pożywienia, które może znajdować się pod twoimi stopami”, mówi inny głos, irytującym, przemądrzałym tonem. Yeti rozpoznaje go z podręcznika survivalu, który kiedyś przeglądał w cudzej łazience. Skacząc z mostu, zaciśnij pośladki, żeby woda nie wlała ci się do odbytu. Tonąc w piasku, weź kijek do nart. Wyborna rada! Ten sam facet twierdził, że można złapać aligatora na dzidę. Ten, który polecał robaki i larwy. Można je opiec, jeśli się ma ochotę.

Yeti oczyma duszy widzi siebie, jak zagląda pod gałęzie. Jeszcze nie teraz. Najpierw zrobi coś innego: wróci po swoich krokach do Kompleksu OdmłodNowa. To długa droga, dłuższa niż dotychczasowe, ale warta wysiłku, jeśli zdoła trafić na miejsce. Na pewno sporo tam zostało: nie tylko puszkowana żywność, ale i alkohol. Kiedy mieszkańcy Kompleksu zrozumieli, co się dzieje, porzucili wszystko i uciekli. Nawet nie zdążyli wykupić towarów z supermarketów.

Tak naprawdę potrzeba mu miotacza – mógłby nim zabijać świniony, odstraszać wilksy i – eureka! żarówka nad głową! – nagle wie, gdzie go znaleźć. W kopule Derkacza jest cały arsenał, nadal powinien tam być. WyRaj, tak nazwali to miejsce. Yeti był jednym z aniołów strzegących jego bram, można by powiedzieć, więc się orientuje, gdzie co znaleźć, zabierze niezbędne przedmioty. Szybkie wejście i wypad, porwać i wyrwać. Będzie wyposażony jak należy.

„Ale ty nie chcesz tam wracać, prawda?”, szepce łagodny głos w jego głowie.

– Niespecjalnie.

„Bo?”.

– Bo pstro.

„No już, powiedz”.

– Zapomniałem.

„Nie, nie zapomniałeś. Niczego nie zapomniałeś”.

– Jestem chorym człowiekiem – błaga. Umieram na skorbut! Odejdź.

Musi się skoncentrować. Ustanowić hierarchię ważności. Sprowadzić wszystko do ważnych spraw. A najważniejsze przykazanie brzmi: „Jeśli nie będziesz jadł, umrzesz”. Nie ma nic ważniejszego.

Kompleks OdmłodNowa leży zbyt daleko na zwykłą wycieczkę; to prawdziwa wyprawa. Będzie musiał zatrzymać się na noc. Niezbyt miła myśl – gdzie się prześpi? – ale jeśli zachowa ostrożność, wszystko będzie dobrze.

Z paróweczkami z puszek w brzuchu i celem w zasięgu wzroku Yeti zaczyna się czuć niemal normalnie. Ma misję: nawet go to cieszy. Mógłby zdobyć rozmaite rzeczy. Wiśnie w brandy; prażone fistaszki; cenną puszkę erzacu mielony, jeśli dopisze mu szczęście. Ciężarówkę alkoholu. W Kompleksach niczego nie brakowało, oferowały rozmaite towary i usługi, gdy wszędzie indziej występowały niedobory.

Wstaje, przeciąga się, drapie dookoła starych strupów na plecach – w dotyku przypominają paznokcie u stóp – a potem wędruje ścieżką za drzewem, podnosząc pustą butelkę po szkockiej, którą poprzedniej nocy cisnął w wilksy. Wącha ją z tęsknotą, rzuca butelkę i puszkę po parówkach Smuklany na stos pustych pojemników, gdzie zabawia się cały tłum rozpasanych pcheł. Nocami zdarza mu się słyszeć szopunksy grzebiące na jego prywatnym wysypisku w poszukiwaniu darmowego posiłku wśród pozostałości po katastrofie, podobnie jak on sam to czasem robił i znowu będzie.

Po chwili rozpoczyna przygotowania. Wiąże prześcieradło, mocuje je na ramionach, a wystający fragment materiału przeciąga między nogami i zatyka za pasem na brzuchu, wsuwając w róg ostatni wysokokaloryczny baton czekoladowy. Znajduje sobie kij, długi i w miarę prosty. Postanawia zabrać tylko jedną butelkę z wodą: najprawdopodobniej po drodze jej nie zabraknie. A jeśli nawet, zawsze może nałapać resztek po południowej burzy.

Będzie musiał poinformować Dzieci Derkacza o wyprawie. Nie chce, by odkryły jego zniknięcie i wszczęły poszukiwania. Mógłby wpaść w tarapaty albo się zgubić. Mimo swoich irytujących cech – do których zalicza ich naiwny optymizm, przyjacielską otwartość, spokój, ograniczone słownictwo – przejawia w stosunku do nich uczucia opiekuńcze. Świadomie czy nie, ci ludzie pozostali pod jego opieką i zwyczajnie nie mają o niczym pojęcia. Chociażby o tym, jak nieodpowiednia jest tak naprawdę ta opieka.

Z kijem w ręce, powtarzając przygotowaną dla nich opowieść, idzie ścieżką do obozowiska. Nazywają tę drogę Rybną Ścieżką Yeti, bo co tydzień niosą mu tędy ryby. Biegnie ona skrajem plaży, ale w cieniu; tak czy owak, dla niego jest zbyt jasno, Yeti nasuwa czapkę baseballową na czoło, żeby osłonić twarz przed promieniami słońca. Pogwizduje, idąc w kierunku obozowiska, jak zawsze, żeby się zorientowali, że nadchodzi. Nie chce ich niepokoić, nadużywać ich uprzejmości, naruszać granic bez zaproszenia – wyskakiwać na nich znieścaka zza krzaków, jak jakiś groteskowy ekshibicjonista obnażający się przed dziećmi.

Jego gwizd jest niczym dzwoneczek trędownatego – wszyscy ci, którym przeszkadzają kaleki, mogą zejść mu z drogi. Chociaż on nie zaraża: nie złapią tego, na co cierpi. Są na niego uodpornieni.

Mruczenie

Mężczyźni odprawiają swój poranny rytuał, stojąc w odległości prawie dwóch metrów od siebie, w długim rzędzie skręcającym ku drzewom. Stoją twarzami na zewnątrz, jak pizmowoły na zdjęciach, sikają wzdłuż niewidzialnej linii, która wyznacza ich terytorium. Mają skupione miny, odpowiednie do powagi zadania. Przypominają Yeti jego ojca wychodzącego rano z teczką w dłoni, z niespokojnym, zdeterminowanym, srogim wyrazem twarzy.

Mężczyźni robią to dwa razy dziennie, jak ich nauczono: należy utrzymywać odpowiednią objętość moczu w glebie, odświeżać odór. Derkacz wzorował się na psowatych i łasicowatych, i kilku innych rodzinach oraz gatunkach. Oznaczenie zapachem jest zakrojonym na szeroką skalę leitmotywem ssaków, powiedział, zresztą nie tylko ssaków. Pewne gatunki gadów, rozmaite jaszczurki...

– Zapomnij o jaszczurkach – przerwał Jimmy.

Zdaniem Derkacza – a Yeti nie może się z nim nie zgodzić – chemikalia zakodowane w moczu mężczyzn skutecznie odstraszały wilksy i szopunksy i, w mniejszym stopniu, kotrysie i świniomy. Wilksy i kotrysie reagowały na zapach własnego rodzaju i musiały wyobrażać sobie olbrzymiego wilksa albo kotryś, od którego należy się trzymać z daleka. Szopunksy i świniomy wyobrażały sobie wielkie drapieżniki. Przynajmniej w teorii.

Derkacz obdarzył tym wyjątkowym przywilejem tylko mężczyzn; uznał, że potrzebują czegoś, co nie ma nic wspólnego z rodzeniem dzieci, lecz jest równie ważne, by nie czuli się wyobcowani. Ciesielka, polowania, finanse, wojny i golf nie wchodzi już w rachubę, żartował sobie.

Ten plan w praktyce ma swoje słabe strony – granica z moczu śmierdzi jak rzadko sprzątane zoo – ale krąg jest na tyle duży, że w środku pozostaje całkiem sporo miejsca wolnego od smrodu. Zresztą Yeti już do niego przywykł.

Czeka grzecznie, aż mężczyźni skończą. Nie proszą, by się przyłączył, już wiedzą, że jego siki są bezużyteczne. Poza tym zawsze milczą podczas wypełniania swojego obowiązku: muszą się skoncentrować, upewnić, że uryna trafi we właściwe miejsce. Każdy ma własny metr granicy, własny teren, za który odpowiada. To dopiero widok: podobnie jak kobiety, ci mężczyźni – o gładkiej skórze, umięśnieni – wyglądają niczym

posągi, a w tym szpalerze przypominają barokową fontannę. Kilka syrenek, delfinów i cherubów, i scenka gotowa. W głowie Yeti pojawia się obraz nagich mechaników samochodowych, każdego z kluczem francuskim w dłoni. Cała ekipa panów Złotych Rączek. Rozkładówka czasopisma dla gejów. Obserwując ich zsynchronizowaną rutynę, niemal spodziewa się, że zaraz zaintonują jakąś gejowską pieśń z bardziej dekadentkich nocnych klubów.

Mężczyźni otrząsają penisy, wychodzą z kręgu, z uśmiechem patrzą na Yeti identycznymi oczyma o barwie zieleni. Zawsze są tacy cholernie przyjaźni.

– Witaj, o Yeti – mówi ten nazywany Abrahamem Lincolnem. – Przyłączysz się do nas w naszym domu? – Powoli zaczyna stawać się kimś w rodzaju przywódcy. „Uważaj na przywódców”, mawiał Derkacz. „Najpierw przywódcy i poddani, potem tyrania i niewolnictwo, na końcu masakry. Tak jest zawsze”.

Yeti mija wilgotną granicę, idzie powoli wraz z mężczyznami. Właśnie przyszedł mu do głowy genialny pomysł – może wzięłyby trochę tej wilgotnej ziemi ze sobą w podróż, jako zabezpieczenie? Mógłby odstraszyć wilksy. Jednak, jeśli się nad tym zastanowić, mężczyźni znajdą wyrwę w swoich zasiekach i zorientują się, kto to zrobił. Taki uczynek mógłby zostać błędnie zinterpretowany – nie chciał, by podejrzewali go o osłabianie ich fortecy, o narażanie młodych na niebezpieczeństwo.

Będzie musiał wymyślić nowe rozporządzenie Derkacza i przedstawić im później. „Derkacz powiedział mi, że musicie ofiarować dar ze swojego zapachu”. Każe im nasikać do puszki. Opryska ich moczem teren wokół drzewa. Zrobi magiczny krąg. Narysuje własną linię na piasku.

Docierają do otwartej przestrzeni w środku oznaczonego terytorium. Po jednej stronie trzy kobiety i mężczyzna zajmują się chłopcem, który chyba odniósł jakieś obrażenie. Ci ludzie nie są niezniszczalni – dzieci się przewracają albo tłuką głowami o drzewa, kobiety doznają oparzeń podczas doglądania ogniska, rozcięcia i otarcia nie należą do rzadkości – ale dotychczas były to drobiazgi, łatwo leczone dzięki mruczeniu.

Derkacz latami pracował nad mruczeniem. Kiedy już odkrył, że częstotliwość mrużenia kotów jest taka sama jak ultradźwięków wykorzystywanych przy wspomaganie zrostania się złamanych kości i uszkodzonej skóry, dzięki czemu zwierzęta te posiadają mechanizmy samouzdrawiania, wychodził z siebie, próbując wykorzystać tę cechę. Sztuczka polegała na takim operacyjnym zmodyfikowaniu kości gnykowej i dostosowaniu unerwienia, a także adaptacji układów korowych, by nie spowodować upośledzenia mowy i artykulacji. O ile Yeti pamiętał, przeprowadzono kilka spartaczonych eksperymentów. Pewne dziecko w grupie próbnej wykazywało tendencję do porostania długimi wąsami i darcia zasłon; dwójka innych miała wadę wymowy; jedno z nich ograniczało się do rzeczowników, czasowników i porykiwania.

A jednak Derkacz odniósł sukces, myśli Yeti. Dokonał tego. Wystarczyło popatrzeć na tę czwórkę pochyloną nad dzieckiem, mrużącą jak kocie silniczki.

– Co mu się stało? – pyta.

– Został ugryziony – wyjaśnia Abraham. – Ugryzło go jedno z Dzieci Oryks.

To coś nowego.

– Które?

– Kotryś. Bez powodu.

– To było poza naszym kręgiem, w lesie – dodaje jedna z kobiet. Eleanor Roosevelt? Cesarzowa Józefina? Yeti nie zawsze pamięta imiona.

– Musieli rzucać w niego kamieniami, żeby go odgonić – mówi Leonardo da Vinci, mężczyzna z mrużącego kwartetu.

A więc kotrysie teraz polują na dzieciaki, myśli Yeti. Może robią się głodne – tak głodne jak on sam. Mają jednak mnóstwo królików do wyboru, więc chyba nie chodzi o zwykły głód. Może uważają Dzieci Derkacza, przynajmniej te mniejsze, za łatwiejszy do złapania rodzaj królików.

– Dziś wieczorem przeprosimy Oryks – mówi jedna z kobiet, Sacajawea – za te kamienie. I będziemy ją błagać, żeby zabroniła swoim dzieciom nas gryźć.

Nigdy nie widział, jak kobiety to robią – jak obcuja z Oryks – choć często o tym mówią. Jaką formę to przybiera? Bo na pewno odprawiają modły albo inwokacje, gdyż chyba nie wierzą, że Oryks objawia się im we własnej osobie. Może wpadają w trans. Derkacz myślał, że poradził sobie z tym wszystkim, wyeliminował to, co nazywał punktem G mózgu. „Bóg to zlepek neuronów”, utrzymywał. Był to jednak skomplikowany problem – usunąć z mózgu zbyt wiele, a zostanie ci zombie albo psychopata. Jednak ci ludzie tacy nie są.

Coś knują, coś, czego nie przewidział Derkacz – rozmawiają z niewidzialnym, oddają mu cześć. I dobrze, myśli Yeti. Cieszy go możliwość, że Derkacz się mylił. Mimo to do tej pory jeszcze nie stworzyli żadnych bożków.

– Czy dziecko wyzdrowieje? – pyta.

– Tak – odpowiada łagodnie kobieta. – Rany po kłach już się goją. Widzisz?

Reszta kobiet robi to co zazwyczaj rankami. Niektóre pilnują najważniejszego ogniska, inne kucają wokół niego, by się rozgrzać. Ich termostaty nastawione są na warunki tropikalne, więc czasem kobiety marzną, zanim słońce znajdzie się wysoko na niebie. W ogniu lądują martwe gałązki i gałęzie, ale przede wszystkim nawóz uklepany w placki wielkości i kształtu hamburgera, wysuszone w południowym słońcu. Dzieci Derkacza to wegetarianie, żywią się przede wszystkim trawą, liśćmi i korzonkami, więc ten materiał dobrze płonie. Z tego, co widzi Yeti, opieka nad ogniem to chyba jedyny obowiązek kobiet, który można by zakwalifikować jako pracę – poza pomocą przy łapaniu jego cotygodniowej ryby i gotowaniem jej dla niego. Z własnej woli nigdy

nie zajmują się gotowaniem.

– Witaj, o Yeti – mówi następna kobieta, do której podchodzi. Ma zielone usta od przeżuwanego śniadania. Karmi piersią rocznego chłopca, który spogląda na Yeti, wypuszcza brodawkę z ust i wybucha płaczem. – To tylko Yeti! – mówi mu matka. – Nie zrobi ci krzywdy.

Yeti jeszcze nie zdążył przywyknąć do tempa wzrostu tych dzieci. Maluch wygląda jak pięciolatek. W wieku czterech lat będzie nastolatkiem. Derkacz mawiał, że na wychowanie dzieci trwoni się zbyt wiele czasu. Na wychowanie dzieci i na bycie dzieckiem. Żaden inny gatunek nie marnował na to aż szesnastu lat.

Niektóre ze starszych dzieci już go zauważyły; podchodzą bliżej, intonując: „Yeti, Yeti!”. Zatem nie stracił jeszcze swojego czaru. Teraz już wszyscy spoglądają na niego z zaciekawieniem. Nigdy nie pojawia się bez przyczyny. Podczas pierwszych wizyt Yeti myśleli, wnioskując z jego wyglądu, że jest głodny, i zaproponowali mu jedzenie – kilka garści rozmaitych liści, korzonków i trawy, i kilka cekotrofów, które trzymali specjalnie dla niego. Musiał im ostrożnie wyjaśnić, że ich jedzenie nie nadaje się dla niego.

Cekotrofy go brzydzą, gdyż składają się z częściowo przetrawionych roślin, które Derkaczanie defekują i ponownie połykają dwa lub trzy razy w tygodniu. To jeszcze jeden genialny pomysł dorastającego Derkacza. Wykorzystał wyrostek robaczkowy jako bazę, żeby stworzyć niezbędny organ, rozumując, że na wcześniejszym etapie ewolucji, kiedy dieta naszych przodków była bogata w nietrawione części pożywienia, wyrostek robaczkowy musiał pełnić taką funkcję. Jednak to konkretne rozwiązanie podpatrzył u *Leporidae*, zajęcy i królików, które raczej wykorzystują cekotrofy niż kilka żołądków jak przeżuwacze. Może właśnie dlatego kotrysie zaczęły polować na młodych Derkaczy, myśli Yeti; pod cytrusową powłoką potrafią wyczuć króliczy zapach cekotrofów.

Jimmy pokłócił się z Derkaczem o tę cechę. Jakkolwiek na to patrzeć, mówił, wszystko sprowadza się do jedzenia własnego gówna. Derkacz jednak odpowiedział mu śmiechem. Zauważył, że zwierzętom, których dieta składa się przede wszystkim z nieprzetworzonej surowizny, taki mechanizm jest niezbędny, by rozłożyć celulozę, a bez tego ludzie umrą. Poza tym, podobnie jak u *Leporidae*, cekotrofy były bogatsze w witaminę B1 oraz inne witaminy i minerały cztery czy pięć razy bardziej niż zwykłe odpadki. Stanowiły element procesu odżywiania się i trawienia, sposób na maksymalne wykorzystanie dostępnych substancji odżywczych. Jakkolwiek sprzeciw wobec tego procesu mógł mieć wyłącznie podłoże estetyczne.

O to właśnie chodzi, przytaknęła Jimmy.

Derkacz oświadczył, że to kiepski powód.

Krąg zainteresowanych ludzi otacza Yeti.

– Witajcie, Dzieci Derkacza – mówi on. – Przybyłem, aby wam powiedzieć, że udaję się w podróż.

Dorośli już na pewno sami na to wpadli, widząc jego długi kij i związane prześcieradło. Już wcześniej udawał się w podróż, jak nazywał swoje łupieżcze wypadki na osiedla przyczep mieszkalnych czy do pobliskich plebsopolii.

– Zobaczysz się z Derkaczem? – pyta jedno z dzieci.

– Tak – potakuje Yeti. – Postaram się z nim spotkać, jeśli tam będzie.

– Po co? – pyta któreś ze starszych dzieci.

– Muszę go spytać o kilka spraw – odpowiada wymijająco Yeti.

– Musisz powiedzieć mu o kotrysiu – mówi cesarzowa Józefina. – O tym, który gryzł.

– To sprawa Oryks – wtrąca Madame Curie. – Nie Derkacza.

Inne kobiety potakują.

– Też chcemy się spotkać z Derkaczem – zaczyna któreś z dzieci. – My też, my też! Też chcemy się spotkać z Derkaczem.

To jeden z ich ulubionych pomysłów: spotkanie z Derkaczem. Yeti wini za to siebie, nie powinien im opowiadać takich fascynujących kłamstw. Zrobił z Derkacza kogoś w rodzaju świętego Mikołaja.

– Nie męczcie Yeti – upomina łagodnie Eleanor Roosevelt. – Z pewnością udaje się na wyprawę, aby nam pomóc. Musimy mu podziękować.

– Derkacz nie jest dla dzieci – mówi Yeti, przybierając jak najsurowszą minę.

– Pozwól nam iść z sobą! Chcemy zobaczyć Derkacza!

– Tylko Yeti może oglądać Derkacza – cicho mówi Abraham Lincoln.

To najwyraźniej załatwia sprawę.

– Podróż będzie trochę dłuższa – zauważa Yeti. – Dłuższa od innych. Może nie wrócę przez dwa dni. – Wyciąga dwa palce. – Albo trzy – dodaje. – Nie powinniście się martwić. Kiedy mnie nie będzie, zostańcie jednak tutaj, u siebie, i róbcie wszystko tak, jak nauczyli was Derkacz i Oryks.

Chór potwierzeń, potakiwanie. Yeti nie wspomina o tym, że może mu grozić niebezpieczeństwo. Nigdy się nad tym nie zastanawiają, on również nie porusza tego tematu – im bardziej wydaje się im niepokonany, tym lepiej.

– Pójdziemy z tobą – mówi Abraham Lincoln.

Kilku innych mężczyzn spogląda na niego, a potem kiwa głowami.

– Nie! – sprzeciwia się zdumiony Yeti. – To znaczy, nie możecie zobaczyć Derkacza, to niedozwolone.

Nie chce, żeby się za nim wlekli, za nic! Nie chce, żeby byli świadkami jego słabości albo porażek. Poza tym pewne widoki po drodze mogłyby źle wpłynąć na stan ich umysłów. Z pewnością zasypaliby go pytaniami, a na dodatek w ich towarzystwie nudziłby się jak mops.

„Przecież nie ma już mopsów”, mówi głos w jego głowie, tym razem dziecinny,

smutny głosik dziecka. „Żart! Żart! Tylko mnie nie zabij!”.

Błagam, nie teraz, myśli Yeti. Nie w towarzystwie. W towarzystwie nie może odpowiadać.

– Pójdziemy z tobą, by cię strzec – oznajmia Benjamin Franklin, spoglądając na kij Yeti. – Przed kotrysiami, które gryzą, przed wilksami.

– Masz raczej słaby zapach – dodaje Napoleon.

Yeti traktuje to jako obraźliwą przechwałkę. I częściowo eufemistyczną – wszyscy wiedzą, że ma bardzo mocny zapach, tylko nieodpowiedni.

– Nic mi nie będzie – zapewnia ich. – Zostańcie tutaj.

Mężczyźni chyba mają wątpliwości, ale Yeti sądzi, że się podporządkują. By umocnić swój autorytet, przykłada do ucha zegarek.

– Derkacz mówi, że się wami zaopiekuje – oznajmia. – Że będzie was strzegł.

„Strzegł i strzygł”, znów słyszy dziecięcy głos. „To żart, głupino”.

– Derkacz strzeże nas za dnia, Oryks strzeże nas w nocy – posłusznie recytuje Abraham Lincoln.

Nie wydaje się przekonany.

– Derkacz zawsze nas strzeże – pogodnie oświadcza Simone de Beauvoir, żółtobrazowa kobieta, która przypomina Yeti Dolores, jego utraconą filipińską nianię

Czasem ledwie się powstrzymuje, by nie paść na kolana i nie objąć jej w pasie.

– Dobrze o nas dba – dodaje Madame Curie. – Powiedz mu koniecznie, jacy jesteśmy wdzięczni.

Yeti wraca Rybną Ścieżką. Rozczulił się; nic go tak nie przygnębia jak wspaniałomyślność tych ludzi, ich chęć niesienia pomocy. I wdzięczność Derkaczowi. To takie wzruszające, takie niewłaściwe.

– Derkacz, ty kutasie – mówi. Zbiera mu się na płacz. Następnie słyszy głos – własny! – mówiący „buuuu”; widzi to niczym słowo wydrukowane w komiksowym dymku. Woda ścieka mu po twarzy.

– Nie znowu – mówi. Co to za uczucie? Raczej nie gniew; to udreka. Stare słowo, ale przydatne. Udreka dotyczy nie tylko Derkacza, bo właściwie dlaczego zwalać wszystko na niego?

Może zwyczajnie zazdrości, znowu zazdrości. Też chciałby być niewidzialny i uwielbiany. Też chciałby znaleźć się gdzie indziej. Nie ma na to szans: tkwi po uszy tu i teraz.

Zwalnia, potem nieruchomieje. Och, buuuu! Dlaczego nie potrafi nad sobą zapanować? Ale przecież czym się tu martwić, skoro nikt nie patrzy? Jednak odgłosy, które z siebie wydaje, przypominają mu wycie klauna – nieszczęście symulowane po to, by zasłużyć na oklaski.

„Przestań się mazać, synu”, mówi głos jego ojca. „Weź się w garść. Teraz jesteś

mężczyzną”.

– Jasne! – wrzeszczy Yeti. – A co konkretnie masz na myśli? Bo przecież byłeś wzorem do naśladowania!

Jednak drzewa nie rozumieją ironii. Yeti wyciera nos wierzchem dłoni i idzie dalej.

Lazur

Kiedy Yeti schodzi z Rybnej Ścieżki i rusza w głąb lądu, na słonecznym zegarze dochodzi dziewiąta rano. Gdy Yeti nie czuje już morskiej bryzy, pojawia się wilgoć, a on zwabia stadko małych zielonych i gryzących muszek. Idzie boso, jego buty rozpadły się już jakiś czas temu, zresztą i tak były zbyt grube i wilgotne, ale teraz ich nie potrzebuje, bo podeszwy stóp stwardniały mu niczym stara guma. Tak czy owak, stąpa ostrożnie: kto wie, gdzie leży szkło albo kawałek metalu. Może też natrafić na węże czy inne stworzenia, które kęsa, a on nie ma żadnej broni poza kijem.

Najpierw wędruje pod drzewami, niegdyś parkowymi. Gdzieś w oddali słyszy warkliwe pokasywanie kotrysia. To sygnał ostrzegawczy: może samiec napotkał innego samca. Wywiąże się walka, zwycięzca weźmie wszystko – wszystkie samice na tym terytorium – i pozbędzie się ich młodych, jeśli zdoła, żeby zrobić miejsce dla własnej puli genów.

Ten gatunek powstał jako narzędzie kontroli, gdy duże zielone króliki zmieniły się w wyjątkowo płodne i odporne szkodniki. Mniejsze niż ryś, mniej agresywne – tak brzmiała oficjalna definicja kotrysiów. Miały wyeliminować dzikie koty i dzięki temu zwiększyć liczebność niemal nie istniejącej populacji ptaków śpiewających. Kotrysiom, przynajmniej w teorii, brakowało lekkości i zwinności do schwywania ptaków, więc nieszczerze się nimi interesowały.

Wszystko poszło jak trzeba, tyle tylko, że kotrysie szybko wymknęły się spod kontroli. Z podwórzy znikwały małe psy, z wózków niemowlęta, ucierpeli też niscy amatorzy joggingu. Nie na terenie Kompleksów, rzecz jasna, i bardzo rzadko w Modułach, ale mieszkańcy plebsopolii mieli powody do narzekań. Powinien się rozglądać i uważać na zwisające gałęzie: nie chciałby, żeby jedno z tych stworzeń wylądowało mu na głowie.

I tak musiał się przejmować wilksami. Jednak wilksy to nocni myśliwi: w upalne dni wolą spać, jak większość porośniętych futrem stworzeń.

Co pewien czas pojawia się otwarta przestrzeń – pozostałości pól namiotowych, z piknikowym stołem i ogródkowymi grillami, niezbyt popularnymi, odkąd się znacznie ociepliło i padało każdego popołudnia. Teraz podchodzi do jednego z tych miejsc, na gnijącym stole rośnie grzyb, grill zarastają chwasty.

Gdzieś z boku, z polany, na której stawiano namioty i przyczepy, słyszy śmiech i śpiewy, okrzyki podziwu i zachęty. To rzadkie wydarzenie wśród ludzi, czyli gody – Derkacz wyeliminował ich częstotliwość i zarządził, że raz na trzy lata dla każdej kobiety to aż nadto.

Z pewnością jest tam standardowy kwintet, czterech mężczyzn i kobieta w rui. Ruję poznawało się po jaskrawoniebieskiej barwie pośladków i brzucha kobiety – zapożyczona od pawianów sztuczka ze zróżnicowaną pigmentacją plus wkład w postaci rozszerzalnych chromoforów ośmiornicy. Jak mawiał Derkacz: „Pomyśl o adaptacji, jakiegokolwiek adaptacji, i bądź pewien, że jakieś zwierzę pomyślało o niej wcześniej”.

Ponieważ jedynie niebieska tkanka i emitowane przez nią feromony stymulują mężczyzn, obecnie nie ma już niechcianej miłości, nie ma niepotrzebnego pożądania; koniec z udręką między pragnieniem i spełnieniem. Zaloty zaczynają się od pierwszej najdelikatniejszej woni, pierwszego najśłabszego odcienia lazuru, samce wręczają samicom kwiaty – tak jak samce pingwinów krągłe kamyki, a samce rybików spermatofor. Jednocześnie zaczynają muzykować niczym ptaki śpiewające. Ich penisy robią się jaskrawoniebieskie jak brzuchy samic i mężczyźni odprawiają coś w rodzaju tańca z lazurowym kutasem, wymachują jednocześnie sztywnymi członkami w rytm ruchów stóp i śpiewów. Te tańce Derkacz podpatrzył u sygnalizujących gotowość seksualną krabów. Ze wszystkich kwiatnych darów kobieta wybiera cztery kwiaty, a seksualny zapach odrzuconych kandydatów natychmiast znika, bez żadnej urazy. Potem, gdy niebieska barwa brzucha przybiera wyjątkowo intensywny odcień, samica wraz ze swoim kwartetem wybiera odludne miejsce i odprawiają tam gody, aż kobieta zachodzi w ciążę i lazur znika. To tyle.

Przynajmniej żadnych „Nie znaczy tak”, myśli Yeti. Koniec z prostytutką, z seksualnym wykorzystywaniem dzieci, koniec targów o cenę, koniec z alfonsami, seksualnymi niewolnicami. Koniec gwałtów. Ta piątka będzie się zabawiała przez wiele godzin, trzech mężczyzn stanie na straży, śpiewając i pokrzykując, a czwarty będzie kopulował; potem nastąpi zmiana. Derkacz wyposażył kobiety w wyjątkowo mocne sromy – dodatkowa warstwa skóry, dodatkowe mięśnie – żeby znosiły te seksualne maratony. Nie ma znaczenia, kto będzie ojcem dziecka, które się z pewnością urodzi, gdyż zniknęły już dziedziczna własność oraz lojalność związku ojciec–syn, niezbędne do wybuchu wojny. Seks przestał być tajemniczym rytuałem, traktowanym ambiwalentnie lub wręcz zniechęconym, który odprawiało się w ciemności i który inspirował samobójstwa oraz morderstwa. Teraz to raczej pokaz sprawności, beztroskie igraszki.

Może Derkacz miał rację, myśli Yeti. Dawniej seksualne zawody były nieopanowane i okrutne – na każdą parę szczęśliwych kochanków przypadał jeden przygnębiony widz, wykluczony z gry. Miłość przypominała bańkę mydlaną – widziało się parę w środku,

ale nie sposób było do niej dołączyć.

Przybierała też łagodniejsze formy: mężczyzny w oknie, chlejącego do nieprzytomności przy żałośliwych dźwiękach tanga. To jednak mogło przerodzić się w przemoc. Skrajne emocje bywały śmiertelnie niebezpieczne. „Skoro ja nie mogę cię mieć, nikt nie będzie cię miał” i tak dalej. Co mogło prowadzić do śmierci.

– Ile nieszczęścia – powiedział podczas jednego z lanczów Derkacz. Musieli być wtedy tuż po dwudziestce, Derkacz już pracował w Instytucie Watsona-Cricka. – Ile niepotrzebnej rozpaczki spowodowała seria biologicznych niedopasowań, niedobrane hormony i feromony? W rezultacie ktoś, kogo namiętnie kochasz, nie chce albo nie może odwzajemnić tego uczucia. Pod tym względem jako gatunek jesteśmy żałośni: niedoskonale monogamiczni. Gdybyśmy tylko potrafili łączyć się na całe życie jak gibony albo przestawić na zupełnie beztroski promiskuityzm, nastąpiłby kres seksualnych rozterek. Lepszy plan: zrobić z tego nieuchronny cykl, jak u innych ssaków. Nigdy nie zechcesz kogoś, kogo nie możesz mieć.

– To prawda – odparł Jimmy. Czy też Jim, jak się teraz kazał nazywać, bez skutku; nadal wszyscy mówili do niego Jimmy. – Ale pomyśl o tym, z czego musielibyśmy zrezygnować.

– Na przykład?

– Z rytuału zalotów. W twoim planie wszyscy stalibyśmy się robotami sterowanymi przez hormony. – Jimmy uznał, że powinien posługiwać się terminologią Derkacza, dlatego powiedział „rytuał zalotów”. Miał na myśli wyzwanie, podniecenie, pogoń. – Nie byłoby wolnego wyboru.

– Uwzględniłem rytuał zalotów w swoim planie – powiedział Derkacz – tyle że zawsze uwieńczony sukcesem. I tak jesteśmy robotami sterowanymi przez hormony, tylko wadliwymi.

– A co ze sztuką? – spytał z lekką rozpaczą Jimmy. W końcu był studentem Akademii imienia Marthy Graham, więc czuł się zobowiązany do obrony koncepcji sztuki i tworzenia.

– No, co z nią? – Derkacz uśmiechnął się łagodnie, jak zawsze.

– Całe to niedopasowanie, o którym mówisz. To była inspiracja, czy jak to tam nazwać. Pomyśl o poezji: o Petrarce, o Johnie Donnie, o *Vita nova*, o...

– Sztuka – przerwał Derkacz. – Pewnie sporo o tym gładzą tam, gdzie teraz jesteś. Jak to powiedział Byron? „Kto by pisał, gdyby mógł robić coś innego?”. Coś w tym rodzaju.

– O to mi chodzi – oznajmił Jimmy.

Zaniepokoiła go ta wzmianka o Byronie. Derkacz nie miał prawa kłusować po jego skromnym terytorium. Derkacz powinien trzymać się nauki i zostawić biednego Byrona Jimmy'emu.

– O co ci chodzi? – spytał Derkacz, jakby udzielał korepetycji jąkale.
– Chodzi mi o to, że jeśli nie możesz robić nic innego, możesz...
– Nie wolałbyś raczej pieprzyć? – przerwał mu Derkacz. Nie uwzględniał siebie w tym pytaniu: mówił obojętnym tonem, bez szczególnego zainteresowania, jakby przeprowadzał badanie niezbyt atrakcyjnych ludzkich nawyków, takich jak dłubanie w nosie.

Jimmy poczuł, że im bardziej się czerwieni i piszczy, tym bardziej niemożliwy jest Derkacz. Nie cierpiał tego.

– Kiedy cywilizacja obraca się w proch – powiedział – pozostaje tylko sztuka. Obrazy, słowa, muzyka. Twórcze konstrukcje. Określają znaczenie, ludzkie znaczenie. Musisz to przyznać.

– Nie tylko to pozostaje – odparł Derkacz. – Archeolodzy są obecnie tak samo zainteresowani obgryzionymi kośćmi, starymi cegłami i skamieniałym gównem. Czasem nawet bardziej. Uważają, że także i te rzeczy określają ludzkie znaczenie.

Jimmy chciałby zapytać: „Dlaczego zawsze mnie gasisz?”, ale bał się potencjalnych odpowiedzi, na przykład: „Bo to takie proste”.

– Co masz przeciwko temu? – spytał zamiast tego.

– Przeciwko czemu? Skamieniałemu gównu?

– Sztuce.

– Nic – oznajmił leniwie Derkacz. – Ludzie mogą organizować sobie dowolne rozrywki. Jeśli chcą się zabawiać ze sobą publicznie, masturbować się gryzmołami, bazgrołami i bzdetami, ich sprawa. Cokolwiek, byleby to miało swoje biologiczne uzasadnienie.

– Na przykład? – Jimmy wiedział, że wszystko zależy od tego, czy zachowa spokój. Te sprzeczki należało traktować jak grę; jeśli straci cierpliwość, Derkacz zwycięży.

– Podczas godów samiec żaby robi bardzo dużo hałasu – wyjaśnił Derkacz. – Samice ciągną do samca z najgrubszym, najgłębszym głosem, bo sugeruje on silniejszego osobnika, lepsze geny właściciela. Według udokumentowanych badań małe samce odkryły, że jeśli usadowią się w pustych rurach odpływowych, rura zadziała jak wzmacniacz i mała żaba wyda się o wiele większa.

– No i?

– No i tym jest właśnie sztuka, dla artystów – odparł Derkacz. – Pustą rurą odpływową. Wzmacniaczem. Środkiem, by kogoś przelecieć.

– Twoja analogia nie ma odniesienia do artystek – oświadczył Jimmy. – Nie robią tego, żeby kogoś przelecieć. Nie czerpią żadnych biologicznych korzyści ze wzmacniania siebie, bo to by raczej zniechęciło potencjalnych partnerów. Mężczyźni to nie żaby, nie chcą kobiet dziesięć razy większych od siebie.

– Artystki są biologicznie pokręcone – powiedział Derkacz. – Na pewno już zdążyłeś to zauważyć.

Była to uszczypliwa aluzja do obecnego, tkwiącego w martwym punkcie romansu Jimmy'ego z kruczowłosą poetką, która kazała mówić na siebie Morgana i odmówiła podania prawdziwego imienia i która obecnie przestrzegąca dwudziestośmiodniowego postu od seksu na cześć Wielkiej Bogini Księżyca Estry, patronki nasion soi i królików. Cóż, właśnie takie dziewczęta ciągnęły do Marthy Graham. Popełnił błąd, zwierając się z tego związku Derkaczowi.

Biedna Morgana, myśli Yeti. Ciekawe, co się z nią stało. Nigdy się nie dowie, jak mi się przydała, ona i jej bzdety. Trochę mu nieswojo, że wcisnął brednie Morgany w kosmogonię Derkaczan. Chyba jednak są szczęśliwi.

Yeti opiera się o drzewo, nasłuchując hałasów z boku. Miła ma jest jak niebieska, niebieska róża. Zdejmij spodnie, zbieraj plon. A więc Derkacz zrobił to po swojemu. Brawo Derkacz. Nie ma już zazdrości, nie ma mężów szlachtujących żony, nie ma trucicielek małżonków. Wszystko jest zadziwiająco dobroduszne: żadnych przepychanek ani popychania, rytuał raczej przypomina baraszkowanie bogów z chętnymi nimfami na fryzie ze złotego wieku.

Dlaczego zatem czuje się przybity, wykluczony? Bo nie rozumie takich zachowań? Bo to go przerasta? Bo nie może do nich dołączyć?

Co by się stało, gdyby spróbował? Gdyby w brudnym podartym prześcieradle wypadł z krzaków, śmierdzący, zarośnięty, zapuchnięty, obleśny satyr o capich jajach i rozszczepionych kopytach albo pirat z przepaską na oku z jakiegoś starego filmu o korsarzach – jo-ho-ho i butelkę rumu! – i usiłował dołączyć do miłosnych niebieskopośladowych igraszek? Może sobie wyobrazić ich konsternację – jakby orangutan wpadł na oficjalny bal i zaczął obłapiać brylującą na nim delikatną księżniczkę. Może też sobie wyobrazić własną konsternację. Jakie ma prawo narzucać swoją krostowatą, zdeprawowaną jaźń i duszę tym niewinnym stworzeniom?

– Derkacz! – jęczy. – Dlaczego jestem na tej ziemi? Dlaczego jestem sam? Gdzie moja narzeczona Frankensteina?

Musi się otrząsnąć z tych niezdrowych myśli, uciec od tej zniechęcającej sceny. „Och, skarbie”, szepce damski głos, „Rozchmurz się! Popatrz na jasną stronę życia! Trzeba myśleć pozytywnie!”.

Wlecze się przed siebie, mamrocząc coś pod nosem. Las tłumi jego głos, słowa wychodzące z niego w formie łańcucha bezbarwnych i bezdźwięcznych baniek, jak powietrze z ust tonących. Śmiech i śpiewy cichną. Wkrótce Yeti w ogóle przestanie je słyszeć.

MniamMniam

Jimmy i Derkacz skończyli liceum ZdrowoTechu w ciepły wilgotny dzień na początku lutego. Dawniej uroczystość odbywała się w czerwcu; wtedy świeciło łagodne słońce. Teraz jednak czerwiec był porą deszczową na całym Wschodnim Wybrzeżu, burze uniemożliwiłyby zorganizowanie ceremonii na świeżym powietrzu. Nawet początek lutego nie był najlepszym terminem – zaledwie dzień później zaatakował huragan.

ZdrowoTech lubił organizować imprezy w starym stylu, pełne dużych namiotów, markiz, matek w kwiecistych kapeluszach i ojców w panamach, i z owocowym ponczem – alkoholowym lub bezalkoholowym, psychakawą, i małymi plastikowymi tubkami lodów MniamMniam, marki własnej ZdrowoTechu, o smaku czekoladowej soi, mango soi i soi z prażonym słonecznikiem i zieloną herbatą.

Derkacz był najlepszy w klasie. Konkurencyjne EduKompleksy błyskawicznie wystawiły go na studenckiej aukcji i został zakupiony za wysoką cenę przez Instytut Watsona-Cricka. Każdy student miał zapewnioną przyszłość. Uczelnia była równie prestiżowa jak Harvard, zanim zatonął.

Jimmy z kolei okazał się przeciętnym uczniem, dobrze radził sobie ze słowami, ale bardzo średnio z liczbami. Nawet te nieciekawe oceny z matematyki zdobywał przy pomocy Derkacza, który uczył Jimmy’ego w weekendy, kosztem własnych egzaminów. Inna sprawa, że nie musiał dodatkowo wkuwać, był kimś w rodzaju mutanta, potrafił we śnie wyrecytować równania różniczkowe.

– Dlaczego to robisz? – spytał Jimmy w środku jednej z tych wyczerpujących sesji. („Musisz spojrzeć na to inaczej. Musisz dostrzec w tym piękno. To jak szachy. Masz – spróbuj tego. Widzisz ten wzór? Teraz wszystko staje się jasne”. Ale Jimmy nie widział i nic nie stało się jasne). – Dlaczego mi pomagasz?

– Bo jestem sadystą – odparł Derkacz. – Lubię patrzeć, jak się męczysz.

– Tak czy owak, doceniam to.

I faktycznie doceniał z kilku powodów, z których najważniejszym był ten, że wszyscy wiedzieli o tych korepetycjach, więc ojciec Jimmy’ego nie mógł się czepiać.

Gdyby Jimmy chodził do szkoły w Modułach albo – jeszcze lepiej – do jednego z tych śmietników, które nadal nazywali „systemem publicznym”, lśniłby niczym brylant wśród odpadków. Jednak szkoły w Kompleksie były pełne znakomitych genów, których on nie odziedziczył po swoich głupich rodzicach bez serca, więc jego talenty

w porównaniu z innymi wypadały blado. Tak samo nie dostawał dodatkowych punktów za to, że był zabawny. Zresztą teraz nie był już taki zabawny – stracił zainteresowanie publicznością.

Po upokarzającym oczekiwaniu, kiedy najlepsze EduKompleksy były się o mózgowców i oferty średniaków mogły jedynie liczyć na ostrą selekcję, odrzucenie, zalanie kawą i upadek na podłogę, Jimmy w końcu trafił do Akademii imienia Marthy Graham, a i to po długiej, beznamietnej licytacji. W grę wchodził zapewne szantaż – jak podejrzewał Jimmy – ze strony taty, który poznał rektora Marthy Graham na od dawna nieorganizowanym letnim obozie i chyba miał na niego haka. Pieprzenie małych chłopców, czarny rynek farmaceutyków. Może były to jedynie podejrzania Jimmy’ego, wywołane zniecierpliwieniem rektora i silnym uściskiem dłoni przy powitaniu.

– Witaj w Marcie Graham, synu – powiedział rektor z fałszywym uśmiechem, jak sprzedawca preparatów witaminowych.

Kiedy przestanę być synem?, zadumał się Jimmy.

Jeszcze nie. O nie.

– Dobry chłopiec, Jimmy – powiedział jego ojciec na przyjęciu po ceremonii, trącając go łokciem.

Miał ślad po czekoladowej soi na kretańskim krawacie w latające świnię. Tylko mnie nie ściskaj, modlił się w duchu Jimmy.

– Skarbie, jesteśmy z ciebie bardzo dumni – powiedziała Ramona, która wystroiła się jak abażur w burdelu, w sukienkę z dekoltem i różowymi koronkami. Jimmy widział kiedyś coś podobnego na Seksolatkach, tyle że na ośmioletniej dziewczynce. Wypchnięta biustonoszem Wonderbra górna część piersi Ramony pokryta była piegami od zbyt częstego opalania się, nie, żeby Jimmy jeszcze się nimi interesował. Już znał tektonikę wspornikowych konstrukcji podtrzymujących gruczoły mleczne, a poza tym to nowe, matczyne oblicze Ramony go odstraszało. Po obu stronach jej ust wykwitły drobne zmarszczki, mimo zastrzyków z kolagenu; tykał jej zegar biologiczny, co chętnie podkreślała. Wkrótce zdecyduje się na specjalność Nowoskóru, Zabieg BeauToxique – trwały paraliż zmarszczek, dla pracowników za pół ceny – plus, za jakieś pięć lat, Pełną Kąpiel w Fontannie Młodości, czyli zdarcie całego naskórka. Pocałowała go obok nosa, zostawiając ślad wiśniowej szminki; czuł, że przylepił mu się do policzka niczym smar z roweru.

Wolno jej było mówić „my” i go całować, bo teraz oficjalnie została macochą Jimmy’ego. Ojciec rozwiódł się z matką *in absentio* i wkrótce celebrował, jeśli można posłużyć się tym słowem, swój farmazoński ślub. Jimmy uznał, że jego prawdziwa matka i tak miałyby to w dupie. Nic by jej to nie obeszło. Przeżywała własne niezwykle przygody, z dala od bolesnych uroczystości. Od wielu miesięcy nie dostał od niej żadnej pocztówki; na ostatniej widniał smok z Komodo i malezyjski znaczek, czym ściągnęła mu na głowę KorpuSOKorp.

Na weselu Jimmy urząnął się do nieprzytomności. Oparty o ścianę, z głupkowatym uśmiechem obserwował, jak młoda para kroi cukrowy tort, z naturalnych składników, podkreślała Ramona. Mnóstwo cmokania nad świeżymi jajkami. Lada chwila Ramona planowała dziecko, bardziej satysfakcjonujące niż Jimmy dawniej czy teraz.

– Kogo to obchodzi, kogo to obchodzi – szeptał do siebie.

I tak nie chciał mieć ojca ani być ojcem, ani mieć syna, ani być synem. Chciał być sobą, samotnym, unikatowym, stworzonym przez samego siebie i samowystarczalnym. Od teraz zamierzał być beztroski, robić, co mu się podoba, zrywać dojrzałe jabłka z drzew życia, ugryźć kawałek, wyssać sok, odrzucić skórki.

To Derkacz kazał mu wracać do pokoju. Wtedy Jimmy już popadł w przygnębienie i ledwie chodził.

– Prześpij się – powiedział Derkacz przyjaznym tonem. – Zadzwoń rano.

Teraz Derkacz był na przyjęciu z okazji rozdania świadectw, brylował wśród tłumu, błyszczał od swoich osiągnięć. Nie, nieprawda, poprawia się Yeti. To mu trzeba przyznać. Nigdy nie triumfował.

– Gratulacje – wykrztusił Jimmy.

Było mu łatwiej, gdyż jedyny w tym gronie znał Derkacza od dawna. Wujek Pete był jego opiekunem, ale on się nie liczył. Poza tym trzymał się najdalej od Derkacza. Może w końcu wydedukował, kto mu podbija rachunek za internet. Co do matki Derkacza, zmarła miesiąc wcześniej.

To był wypadek, tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja. (Nikt nie chciał użyć słowa „sabotaż”, niesłychanie szkodliło interesom). Musiała się skaleczyć w szpitalu – chociaż, jak twierdził Derkacz, jej praca nie miała nic wspólnego ze skalpelem – albo się zadrapała, a może nieostrożnie zdjęła lateksowe rękawiczki i dotknął jej jakiś pacjent-nosiciel. Było to możliwe: obgryzała paznokcie, mogła mieć to, co nazywają infekcją międzydziąsłową. Tak czy owak, złapała nieznaną bioformę, która wgryzła się w nią jak kosiarka. To był transgeniczny gronkowiec, powiedział jeden z laborantów, plus gen jakiegoś pleśniaka. Kiedy zdołali zidentyfikować chorobę i zaczęli pracę nad tym, co – jak liczyli – okaże się skuteczną terapią, matka Derkacza trafiła do izolatki i gwałtownie podupała na zdrowiu. Derkacz nie mógł jej odwiedzić, rzecz jasna – nikt nie mógł, wszystko robiły automatyczne wysięgniki, takie, jakich używano do manipulowania materiałami rozszczepialnymi – ale obserwował ją przez szybę.

– Byłem pod wrażeniem – powiedział Jimmy’emu. – Toczyła pianę z ust.

– Pianę?

– Posypałeś kiedyś solą ślimaka?

Jimmy zaprzeczył.

– Jasne. Taką pianę jak przy myciu zębów.

Matka miała powiedzieć do niego swoje ostatnie słowa przez mikrofon, jak twierdził

Derkacz, ale coś się zepsuło; widział jej ruchome usta, ale nie słyszał, co mówiła.

– Innymi słowy, jak w życiu – powiedział Derkacz.

Dodał, że wiele nie stracił, bo na tym etapie już bełkotała.

Jimmy nie rozumiał, jak może być tak obojętny – to było straszne, myśl o Derkaczu przyglądającym się rozpadowi swojej matki. On nie potrafiłby tak reagować. Pewnie Derkacz tylko udawał. Chciał zachować godność, gdyż w przeciwnym razie całkiem by mu odbiło.

PychaKawa

Na wakacje po rozdaniu świadectw Jimmy został zaproszony do Ośrodka Wakacyjnego ZdrowoTechu w Moosonee na zachodnim brzegu Zatoki Hudsona, gdzie śmietanka ZdrowoTechu chroniła się przed upałem. Wujek Pete miał tam „miłe schronienie”, tak je nazywał. W rzeczywistości stanowiło ono krzyżówkę mauzoleum i kryjówek na grzeszny weekend – mnóstwo kamieniarki, wodne łóżko królewskich rozmiarów, bidety w każdej łazience – choć trudno było podejrzewać wujka Pete’a o jakieś zdżone uczynki w tym miejscu. Jimmy był pewien, że zaproszono go po to, by Pete nie musiał zostawać sam na sam z Derkaczem. Wujek spędzał większość czasu na polu golfowym, resztę w saunie, a Jimmy i Derkacz mogli robić, co im się żywnie podobało.

Pewnie w ramach relaksu po egzaminach wróciliby do interaktywnych gier, sponsorowanego przez państwa mordowania w sieci i pornosów, ale tego lata trwały wojny o genetycznie modyfikowaną kawę, więc skoncentrowali się na tym. Wojny dotyczyły ziaren roślin uprawianych przez PychaKawę, filię ZdrowoTechu. Wcześniej ziarna kawy na każdym krzaku osiągały dojrzałość o innej porze, trzeba je było zrywać ręcznie, przetwarzać i wysyłać w małych ilościach, ale na krzakach pychakawy wszystkie ziarna dojrzewały jednocześnie. Kawa rosła na olbrzymich plantacjach, maszyny zrywały ziarna. To wyeliminowało drobnych hodowców, sprowadziło ich oraz ich pracowników do poziomu biedoty.

Ruch oporu był globalny. Wybuchwały zamieszki, palono zbiory, płądrowano kawiarnie PychaKawy, personel PychaKawy ginął od bomb pod samochodami lub z broni snajperów, był porywany albo padał ofiarą linczu tłumu. Z drugiej strony armia masakrowała wieśniaków. Czy też raczej armie, rozmaite armie; w wojnę zaangażowało się wiele krajów. Jednak żołnierze i nieżywi wieśniacy wyglądali podobnie. Wydawali się zakurzeni. Zdumiewające, ile kurzu unosiło się podczas takich zamieszek.

- Powinno się pozabijać tych facetów – powiedział Derkacz.
- Których? Wieśniaków? Czy facetów, którzy ich zabijają?
- Tych drugich. Nie z powodu martwych wieśniaków, zawsze są martwi wieśniacy. Ale oni niszczą lasy deszczowe, żeby zasadzić te rośliny.
- Wieśniacy robiliby to samo, gdyby mieli taką szansę.

- Pewnie, ale nie mają.
- Trzymasz czyjąś stronę?
- Nie ma stron jako takich.

Trudno było z tym polemizować. Jimmy zastanawiał się, czy nie wykrzyknąć „farmazon!” , ale uznał, że to słowo nie pasuje. Tak czy owak, już się zużyło.

- Zmieńmy kanał – zaproponował.

Okazało się jednak, że gdziekolwiek się człowiek obrócił, wszędzie trafiał na materiały o PychaKawie. Na protesty i demonstracje, pełne gazu łzawiącego, wrzasków i tłuczenia pałkami; potem na więcej protestów, więcej demonstracji, więcej gazu łzawiącego, więcej wrzasków, więcej tłuczenia pałkami. I tak dzień po dniu. Nic podobnego nie działo się od pierwszej dekady wieku. Derkacz oświadczył, że na ich oczach rozgrywa się historia.

„Koniec kupowania krwi!”, głosiły plakaty. Związek zawodowy dokerów w Australii (gdzie jeszcze istniały związki) nie chciał rozładowywać ładunków pychakawy, w Stanach Zjednoczonych odbyła się Kawka Bostońska. Pokazano wyreżyserowane zamieszki, nudne, bo zabrakło przemocy – tylko łysiejący faceci ze staromodnymi tatuażami bądź białymi plamami w miejscach, skąd je usunięto, i poważne kobiety z obwisłym biustem oraz kilku otyłych lub smukłych członków marginalnych, gorliwych sekt religijnych, w podkoszulkach z uśmiechniętymi aniołami latającymi w towarzystwie ptaków albo z Jezusem trzymającym się za ręce z wieśniakiem, albo z napisem „Bóg jest zielony”. Filmowano ich, jak wyrzucali produkty PychaKawy w porcie, ale żadna ze skrzyń nie zatoneła. I tak oto logo PychaKawa, mnóstwo skrzyń z tym logo, podskakiwało na ekranie. To mogła być reklama.

- Przez to chce mi się pić – powiedział Jimmy.
- Gówno dla mózgu – zauważył Derkacz. – Zapomnieli dodać skały.

Z reguły oglądali rozwój wypadków w Nagich Faktach, w sieci, ale dla odmiany czasem patrzyli na ubranych prezenterów na wielkim jak ściana plazmowym ekranie w obitym skóropodobną tkaniną pokoju telewizyjnym wujka Pete’a. Garnitury, koszule i krawaty zadziwiały Jimmy’ego, zwłaszcza kiedy się lekko upalił. Dziwnie było wyobrazić sobie, jak wszystkie te poważne gadające głowy wyglądałyby bez ubrań, całkiem nago, na Nagich Faktach.

Wujek Pete też czasem oglądał telewizję, wieczorami, po powrocie z pola golfowego. Nalewał sobie drinka, następnie komentował na bieżąco.

- Zamieszki jak zwykle – mówił. – Zmęczą się i uspokoją. Wszyscy chcą tańszej kawy, z tym nie sposób walczyć.
- Nie sposób – potwierdzał Derkacz.

Wujek Pete miał udziały w PychaKawie, i to niemałe, w swoim portfelu.

- Co za dno – mawiał Derkacz, kiedy przeglądał udziały wujka Pete’a na komputerze.

– Mógłbyś nimi zahandlować – proponował Jimmy. – Sprzedać PychaKawę, kupić coś, czego nienawidzi. Elektrownie wiatrowe. Albo lepiej coś, na czym udupi. Kup mu opcje terminowe na południowoamerykańskie bydło.

– Nie – powiedział Derkacz. – Nie zaryzykuję z labiryntem. Zauważy. Domyśli się, że jestem w to zamieszany.

Sytuacja uległa pogorszeniu, kiedy oddział walniętych i fanatycznych przeciwników PychaKawy zbombardował Lincoln Memorial, zabijając pięcioro japońskich uczniów, uczestników Zjazdu Demokratycznego. „Dość chipokryzji”, napisano na kartce pozostawionej w bezpiecznej odległości.

– To żałosne – mruknął Jimmy. – Nawet nie znają ortografii.

– Ale pokazali, o co im chodzi – powiedział Derkacz.

– Mam nadzieję, że się usmażą – dodał wuj Pete.

Jimmy nie odpowiedział, bo teraz spoglądali na blokadę głównego biura PychaKawy w Marylandzie. Tam w rozwrzeszczanym tłumie, ściskając tablicę, na której napisano „Pychaccino oddać świniom”, z ustami i nosem zakrytymi zieloną bandaną stała – naprawdę? – jego zaginiona matka. Na moment bandana się osunęła i Jimmy ujrzał jej twarz – ściągnięte brwi, szczere błękitne oczy, zdecydowane usta. Przeszyła go miłość, nagła i bolesna, a po chwili zastąpił ją gniew. Poczł się tak, jakby ktoś go kopnął; na pewno jęknął. Później pojawił się oddział KorpuSOKorpu. Chmura gazu łzawiącego i pogłos czegoś, co przypominało serię z broni maszynowej. Kiedy Jimmy znowu spojrzł na ekran, matka już zniknęła.

– Zatrzymaj obraz! – powiedział. – Cofnij!

Chciał się upewnić. Jak mogła podejmować takie ryzyko? Gdyby ją złapali, naprawdę by zniknęła, tym razem na zawsze. Derkacz, rzuciwszy mu szybkie spojrzenie, zmienił jednak kanał.

Nie powinienem się odzywać, pomyślał Jimmy. Nie powinienem ściągać na siebie uwagi. Teraz aż zdrętwiał ze strachu. A jeśli wujek Pete coś skojarzy i zadzwoni po korpusowców? Trafiają na jej ślad, załatwią ją.

Ale wujek Pete najwyraźniej niczego nie zauważył. Nalewał sobie kolejną szkocką.

– Powinni załatwić miotaczem całą tę bandę – oświadczył. – Przecież rozbili kamery. Kto to w ogóle filmował? Czasem człowiek się zastanawia, kto tym wszystkim trzęsie.

– O co poszło? – spytał Derkacz, kiedy zostali sami.

– O nic – odparł Jimmy.

– Zatrzymałem to – powiedział Derkacz. – Nagrałem całą scenę.

– Lepiej ją wykasuj – zasugerował Jimmy.

Już się nie bał, teraz był totalnie przygnębiony. Na pewno właśnie w tej chwili wujek

Pete wyciągał telefon komórkowy i wystukiwał numer; za parę godzin znowu rozpocznie się przesłuchanie KorpuSOKorpu. Matka to, matka tamto. Będzie musiał jakoś przez to przebrnąć.

– W porządku – oświadczył Derkacz, co Jimmy zrozumiał jako „Możesz mi ufać”. I dodał: – Niech zgadnę. Typ strunowce, podtyp kręgowce, gromada ssaki, rząd naczelné, rodzina człowiekowate, gatunek *Homo sapiens*, podgatunek twoja matka.

– Brawo – powiedział bezbarwnie Jimmy.

– Bez pudła – dodał Derkacz. – Od razu ją zauważyłem, te niebieskie oczy. Albo to była ona, albo jej klon.

Jeśli Derkacz ją rozpoznał, to kto jeszcze? Wszystkim w Kompleksie ZdrowoTech bez wątpienia pokazano zdjęcie: „Widzieliście tę kobietę?”. Historia anormalnej matki wlokła się za Jimmym jak bezpański pies i zapewne częściowo odpowiadała za jego kiepskie wyniki na studenckiej aukcji. Nie można było na nim polegać, stanowił zagrożenie, miał skazę.

– Mój ojciec był taki sam – oznajmił Derkacz. – On też uciekł.

– Myślałem, że umarł – powiedział Jimmy.

Dotychczas tylko tyle wyciągnął z Derkacza: tata umarł, kropka, zmieniamy temat. Derkacz nie chciał o tym mówić.

– O to mi właśnie chodzi. Zjechał z estakady w plebsopolii. Były godziny szczytu. Zanim go znaleźli, zamienił się w pokarm dla kotów.

– Skoczył czy co? – chciał wiedzieć Jimmy. Derkacz nie wydawał się specjalnie przejęty, więc Jimmy uznał, że może o to pytać.

– Tak powszechnie sądzono – odparł Derkacz. – Był jednym z czołowych naukowców w Zachodnim ZdrowoTechu, wyprawili mu zatem ładny pogrzeb. Zdumiewający takt. Nikt nie użył słowa „samobójstwo”. Powiedzieli: „Twój ojciec miał wypadek”.

– Przykro mi – bąknął Jimmy.

– Przez cały czas wujek Pete siedział u nas w domu. Matka powiedziała, że był bardzo pomocny. – Powiedział „pomocny”, jakby coś cytował. – Twierdziła, że nie tylko był szefem i najlepszym kumplem taty, okazał się również dobrym przyjacielem rodziny, chociaż wcześniej niezbyt często go widywałem. Chciał, by pewne rzeczy się wyjaśniły, mówił, że mu na tym zależy. Usiłował prowadzić ze mną tak zwane szczere rozmowy: opowiedzieć mi o tym, że mój ojciec miał problemy.

– Czyli że twojemu ojcu odbiło – powiedział Jimmy.

Derkacz spojrzał na niego skośnymi zielonymi oczyma.

– Tak. Ale nie był... Pod koniec wydawał się przejęty, ale nie miał problemów. Nie planował niczego w tym rodzaju. Nie planował skoku. Wiedziałbym o tym.

– Myślisz, że spadł?

– Spadł?

– Z estakady? – Jimmy chciał spytać, co przede wszystkim robił na estakadzie w plebsopolii, ale uznał, że to nieodpowiedni moment. – A poręcz?

– Był trochę nieskoordynowany – powiedział Derkacz, dziwnie się uśmiechając. – Nie zawsze patrzył, dokąd idzie. Miał głowę w chmurach. Wierzył, że może się przyczynić do poprawy kondycji ludzkiej rasy.

– Dogadywałeś się z nim?

Derkacz przez chwilę milczał.

– Nauczył mnie grać w szachy. Zanim to się stało.

– No pewnie, że nie po – powiedział Jimmy, chcąc oczyścić atmosferę, bo zaczął żałować Derkacza i wcale mu się to nie podobało.

Jak mogłem tego nie zauważyć?, myśli Yeti. Przecież mi to mówił. Jak mogłem być tak głupi?

Nie, nie głupi. Nie potrafi opisać siebie, tego, jaki był. Nie bez skazy – wydarzenia go skaziły, miał własne blizny, ponure emocje. Może nieświadomy. Nieuformowany, niekompletny.

Było w tym jednak coś zamierzonego, w tej jego ignorancji. Może nie zamierzonego: ustalonego. Dorastał w zamkniętych przestrzeniach, a potem sam zaczął je przypominać. Odgrodził się od pewnych rzeczy.

Retoryka stosowana

Pod koniec wakacji Derkacz odjechał do Watsona-Cricka, a Jimmy do Marthy Graham. Uścisnęli sobie dłonie na stacji kolei szybkiej.

– Do zobaczenia – powiedział Jimmy.

– Będziemy pisać maile – oznajmił Derkacz. Po chwili, na widok przygnębienia Jimmy’ego, dodał: – Daj spokój, dobrze sobie poradziłeś, to miejsce jest sławne.

– Było sławne – poprawił go Jimmy.

– Nie będzie tak źle.

Ten jeden jedyny raz Derkacz się pomylił. Marthę Graham toczył rozkład. Otaczały ją – Jimmy dostrzegł to, gdy pociąg wjechał na stację – najlichsze plebsopolie: puste magazyny, spalone kamienice czynszowe, puste parkingi. Co pewien czas wyskakiwały szopy i chaty sklecone z odpadów; kawałków blachy, płyt ze sklejki, bez wątpienia zamieszkałe przez dzikich lokatorów. Jak ci ludzie egzystowali? Jimmy nie miał pojęcia. A jednak tu byli, po drugiej stronie drutu kolczastego. Dwójka z nich na widok pociągu pokazała środkowe palce, wrzeszcząc coś, co wytłumiły kuloodporne szyby.

Ochrona przy bramie Marthy Graham była zwykłą kpina. Strażnicy niemal drzemali, mur – pokryty wypłowiałym graffiti – ustąpiłby pod siłą ciosu karła bez nogi. Wewnątrz betonowe niechlujne budynki przeciekały, trawniki kryły się pod warstwą błota, albo stwardniałego, albo płynnego, w zależności od pory roku, i nie było żadnych udogodnień rekreacyjnych poza basenem, który wyglądał i śmierdział jak gigantyczna puszka sardynek. Klimatyzacja w akademiku albo działała, albo nie; ograniczano zużycie energii elektrycznej. Jedzenie w stołówce było zazwyczaj beżowe i wyglądało jak gówno szopunksa. W sypialniach królowały stawonogi, z rozmaitych rodzin i rodzajów, ale połowę z nich stanowiły karaluchy. Jimmy uznał to miejsce za wyjątkowo przygnębiające, podobnie – jak się wydawało – reszta osób z nieco bardziej rozwiniętym systemem nerwowym niż u tulipana. Ale to właśnie ofiarowało mu życie, jak oznajmił tata podczas ich niezręcznego pożegnania, więc Jimmy musiał to rozegrać najlepiej, jak potrafił.

Tak, tato, pomyślał. Zawsze wiedziałem, że mogę liczyć na naprawdę mądrą radę.

Akademię nazwano na cześć Marthy Graham, jakiejś straszliwej starej królowej tańca z dwudziestego wieku, która w swoim czasie najwyraźniej robiła furorę wśród

współczesnych. Przed budynkiem administracji stał jej obrzydliwy posąg, w roli – jak napisano na tabliczce z brązu – Judyty obcinającej głowę ubranemu w historyczną szatę facetowi o imieniu Holofernes. Retrofeministyczne bzdury, brzmiała opinia studentów. Co jakiś czas dekorowano cycki posągu albo zaklejano watą stalową okolicę jego krocza – Jimmy też od tego nie stronił – a zarząd był tak ospały, że ozdoby często wisały całymi miesiącami, zanim je w ogóle zauważono. Rodzice od zawsze protestowali przeciwko posągowi – kiepski wzór do naśladowania, mówili, zbyt agresywny, zbyt krwawy, ple ple ple – jednak studenci stawali murem za patronką. Stara Martha jest naszą maskotką, powtarzali, ten grymas, ta ociekająca krwią głowa i w ogóle. Reprezentowała życie, sztukę czy coś tam. Ręce precz od Marthy. Dajcie jej spokój.

Akademię założyła pod koniec dwudziestego wieku gromada już nieżyjących, bogatych i politycznie poprawnych socjaliberałów ze Starego Nowego Jorku jako Kolegium Sztuki i Nauk Humanistycznych. Nacisk położono na sztukę widowiskową – grę aktorską, śpiew, taniec i tak dalej. W latach osiemdziesiątych doszło do tego kręcenie filmów, a jeszcze później – sztuka wideo. Nadal uczyli tego w Marcie Graham, z naciskiem na sztuki teatralne, a kiedy Jimmy obejrzał na żywo *Makbeta*, uznał, że Anna K. z internetu bardziej przekonująco przedstawiała lady Makbet, siedząc na sedesie.

Studenci śpiewu i tańca nadal śpiewali i tańczyli, mimo że z tych zajęć dawno wyparowała energia i grupy były niewielkie. Performance ucierpiały przez akty sabotażu na początku dwudziestego pierwszego wieku – w tamtych czasach nikt nie chciał się znaleźć w dużej grupie podczas publicznych występów w ciemnych, łatwych do zniszczenia pomieszczeniach, przynajmniej nikt liczący się w towarzystwie. Wydarzenia teatralne zredukowały się do czegoś w rodzaju biesiad albo wojny na pomidory lub konkursów mokrego podkoszulka. Choć dawniejsze formy – telewizyjne sitcomy, teledyski – przetrwały, ich widownia była stara i kierowała się przede wszystkim sentymentem.

Tak oto większość tego, co się działo w Marcie Graham, przypominała studiowanie łaciny albo oprawę książek: przyjemne na swój sposób, ale już zupełnie nieprzydatne, choć co pewien czas rektor uczelni zmuszał studentów do wysłuchiwanie nudów o niezbędnych człowiekowi formach sztuki i ich na stałe zarezerwowanym miejscu w wielkim, obitym czerwonym aksamitem, amfiteatrze wrażliwego ludzkiego serca.

Co do kręcenia filmów oraz sztuk wideo, komu to było potrzebne? Każdy użytkownik komputera mógł zmontować, co mu się żywnie podoba, zmienić stare materiały albo stworzyć nową animację. Można było załadować jeden ze standardowych wątków bazowych i dodać dowolne fakty, a także dowolne ciała. Jimmy połączył nagą wersję *Dumy i uprzedzenia* z nagą wersją *Do latarni morskiej*, dla jaj, a jeszcze w drugiej klasie na sztukach wizualnych w ZdrowoTechu zrobił *Sokoła maltańskiego*

w kostiumach Kate Greenaway i ze światłocieniem à la Rembrandt. To było niezłe, ciemna tonacja, wspaniałe *chiaroscuro*.

Ze względu na tę posuchę – ograniczenie dawniejszego terytorium intelektualnego – Martha Graham nie miała zbyt wiele do zaoferowania. Gdy jej założyciele wymarli, a entuzjazm bogatych miłośników sztuki zmalał i ich dary trafiły w bardziej przyziemne rejony, skoncentrowano się na innych zagadnieniach. Współczesnych, jak je nazywano. Na dynamice gier sieciowych na przykład; to wciąż przynosiło zysk. Podobnie jak prezentacja graficzna, oznaczona w kalendarzu jako podgałąź sztuk obrazowych i plastycznych. Z dyplomem Opla, jak nazywali to studenci, można było bez trudu znaleźć pracę w reklamie.

Albo problematyka. Problematyka była dla ludzi słów, dlatego Jimmy się tym zajął. Studenci nazywali to „Płacz i mąć”. Jak wszystko w Marcie Graham, miała swoje użyteczne cele. „Nasi absolwenci dysponują praktycznymi umiejętnościami”, głosił napis pod łacińską maksymą *Ars longa, vita brevis*.

Jimmy nie miał złudzeń. Wiedział, co go czeka, kiedy ze swoim śmiechu wartym dyplomem wyłoni się po drugiej stronie problematyki. Dekoracje witryn, oto, czym mógł się zająć w najlepszym wypadku – ozdabiać zimny, nieczuły prawdziwy świat liczb ozdobnym dwuwymiarowym słownictwem. W zależności od tego, jak sobie poradzi na kursach problematyki – w logice stosowanej, retoryce stosowanej, etyce i terminologii medycznej, semantyce stosowanej, relatywistyce i zaawansowanej nadinterpretacji, porównawczej psychologii kulturalnej i całej reszcie – będzie miał wybór między dobrze płatną dekoracją witryn dla wielkiej korporacji albo byle jaką robotą przy przecenach. Perspektywa przyszłego życia rozciągała się przed nim niczym wyrok; długie, wielokrotnie złożone zdanie z mnóstwem niepotrzebnych zdań podrzędnych, którymi zaczął się chętnie posługiwać podczas podrywania dziewczyn w trakcie *happy hour* w barach i pubach studenckiego miasteczka. Raczej nie czekał na to z drżeniem serca, na tę resztę swojego życia.

Zabunkrował się w Marcie Graham niczym w okopie i tak tkwił. W akademiku dzielił studio – małeńki pokój po każdej stronie, pełna rybików łazienka w środku – z ortodoksyjną weganką o imieniu Bernice. Spinała kręcone włosy drewnianą klamerką w kształcie tukana i nosiła ozdobione logo Bożych Ogrodników podkoszulki, które – ze względu na jej awersję do środków chemicznych takich jak dezodoranty – śmierdziały nawet po praniu.

Bernice dała mu do zrozumienia, jak bardzo nie pochwała jego mięsożernych zwyczajów, kradnąc mu skórzane sandały i paląc je na trawniku. Kiedy ją poinformował, że nie były z prawdziwej skóry, powiedziała, że ją imitowały i tym samym zasłużyły na swój los. Po tym, jak sprowadził kilka dziewczyn do swojego pokoju – jego sprawa, nie Bernice, zachowywali się cicho, poza wywołanym substancjami farmakologicznymi chichotem i mnóstwem adekwatnych do sytuacji

jęków – zmanifestowała swoje poglądy na beztrojski seks, wzniecając ognisko z bokserem Jimmy’ego.

Poskarżył się Obsłudze Studenckiej i po kilku próbach – Obsługa Studencka w Marcie Graham była notorycznie zrzedliwa, obsadzona wypalonymi aktorami z telewizyjnych seriali, którzy nie mogli wybaczyć światu utraty szczątkowej sławy – dostał jedynekę. („Najpierw sandały, potem bielizna. Ja będę następny. Ta kobieta to piromanka, ujmę to inaczej, jest poważnie nieprzystosowana życiowo. Chcecie dowodów jej *autodafe*? Zerknijcie do tej maleńkiej koperty. Jeśli zobaczycie mnie w urnie, w postaci prochów i paru zębów, weźmiecie za to odpowiedzialność? Hej, jestem studentem, a wy obsługą. Tak tu napisali, prawda? Wysłałem ten mail do dyrektora”).

(Oczywiście, wcale tak nie powiedział. Na to miał za dużo oleju w głowie. Uśmiechał się, zaprezentował jako rozsądna istota ludzka, wzbudził ich współczucie).

Potem, gdy dostał nowy pokój, sytuacja się nieco poprawiła. Przynajmniej bez problemów mógł prowadzić życie towarzyskie. Odkrył, że emanuje specyficzną melancholią, atrakcyjną dla pewnego rodzaju kobiet, przeciętnie uzdolnionych i nierozsądnych, których nie brakowało w Marcie Graham. Hojne, troskliwe, idealistyczne kobiety, tak Yeti myśli o nich teraz. Miały kilka ran, pragnęły je wygoić. Na początku Jimmy spieszył im z pomocą: był czuły, jak mu mówiono, wręcz rycerski. Wyciągał od nich historie ich okaleczeń, oferował siebie jako kataplazm. Szybko jednak zamieniał się z pielęgniarza w pielęgnowanego. Widząc, jaki jest pokiereszowany, kobiety pragnęły, żeby ujrzał perspektywy i pozytywne aspekty własnej duchowości. Postrzegały go jako proces twórczy: surowiec – Jimmy w swojej obecnej ponurej formie, produkt końcowy – szczęśliwy Jimmy.

Jimmy pozwalał im przy tym harować. To je podnosiło na duchu, czuły się potrzebne. Zadawały sobie wzruszająco dużo trudu. Czy to go uszczęśliwi? A tamto? Może jednak to? Pamiętał, żeby nie wykorzystywać swojej melancholii zbyt długo. Gdyby to robił, oczekiwałyby jakiejś nagrody albo przynajmniej rezultatów; zażądałyby kolejnego etapu, a następnie zobowiązania. Nie był jednak na tyle głupi, żeby zrezygnować ze swojego uroku deszczowego dnia – esencji zmierzchu i aureoli mgły, które je tak pociągały.

– Jestem beznadziejnym przypadkiem – mówił im. – Jestem emocjonalnym dyslektykiem.

Mówił im także, że są piękne i że go podniecają. Była to prawda, nie kłamał, zawsze mówił szczerze. Dodawał także, że jakiegokolwiek głębsze zaangażowanie z ich strony trafiłoby w próżnię, że jest emocjonalnym wysypiskiem śmieci i że powinny się cieszyć chwilą.

Prędzej czy później zaczynały narzekać, że niczego nie traktuje poważnie. I to już po oświadczeniu, że powinien się rozpogodzić. Kiedy w końcu zaczynało brakować im

energii i popłakiwały, tłumaczył im, że je kocha. Pamiętał, by mówić głosem odbierającym nadzieję na lepszą przyszłość – jego miłość jest niczym trująca tabletką, on sam ma toksyczną duszę, pociągnie je w ponure głębiny, w których ugrzązł, a ponieważ tak bardzo je kocha, za nic nie chce, żeby stała się im krzywda, więc niech lepiej znikną z jego okropnego życia. Niektóre z nich potrafiły przejrzeć go na wylot – dorośnij, Jimmy! – ale najczęściej było to niezwykle skuteczne.

Zawsze czuł smutek, kiedy odchodziły. Nie lubił tego momentu, w którym się na niego wściekały, przygnębiał go kobiecy gniew, ale kiedy traciły cierpliwość, wiedział, że już po wszystkim. Nie cierpiał być porzucany, chociaż manipulował, by sprowokować taką sytuację. Wkrótce jednak pojawiała się następna, intrygująco bezbronna kobieta. Było ich pod dostatkiem.

Jednak nie kłamał, nie przez cały czas. Naprawdę kochał te kobiety, tak jakby. Naprawdę chciał, żeby czuły się lepiej. Po prostu miał problem z utrzymaniem swojego zainteresowania.

– Ty łajdaku – mówi głośno Yeti. Ładne słowo, „łajdak”, jedno z tych złotych przebojów.

Rzecz jasna, te kobiety wiedziały o jego bulwersującej matce. Złe wieści szybko się roznoszą i chętnie znajdują posłuch. Yeti czuje wstyd na wspomnienie tego, jak wykorzystywał tę historię – tu aluzja, tam zawahanie. Wkrótce kobiety go pocieszały, a on tarzał się w ich współczuciu, nasiąkał i masował się nim. Fundował sobie zabieg pielęgnacyjny.

Do tego czasu jego matka zyskała sobie status mitycznej istoty, kogoś, kto wykracza poza człowieczeństwo, z ciemnymi skrzydłami i oczyma palącymi jak Iusticia, i z mieczem. Kiedy docierał do części, w której zabierała mu szopunksa Killera, zazwyczaj spływała łza albo dwie, nie jego, lecz słuchaczek.

„Co zrobiłeś?” (Szeroko otwarte oczy, klepięcie w ramię, współczujące spojrzenie).

„No wiesz”. (Wzruszenie ramionami, spojrzenie w bok, zmiana tematu).

Nie grał przez cały czas.

Tylko na Oryks ta surowa, uskrzydłona matka nie zrobiła żadnego wrażenia. „A więc, Jimmy, twoja matka poszła sobie? Niedobrze. Może miała jakiś ważny powód. Przyszło ci to do głowy?”. Oryks nie rozczulała się ani nad nim, ani nad sobą. Nie była niewrażliwa, wręcz przeciwnie, jednak nie chciała czuć tego, co on próbował jej narzucić. Czy o to właśnie chodziło – że nigdy nie mógł dostać od niej tego, co inne dawały mu tak chętnie? Czy w tym krył się jej sekret?

Uniwersytet Aspergera

Derkacz i Jimmy utrzymywali kontakty mailowe. Jimmy użalał się na Marthę Graham w – jak miał nadzieję – żartobliwy sposób, używając niezwykłych i lekceważących przymiotników do opisanego profesorów i pozostałych studentów. Przedstawiał notoryczne przypadki zatrucia jadem kiełbasianym i salmonellą, wysyłał opisy rozmaitych wielonożnych stworzeń, które znalazł w swoim pokoju. Ze względu na instynkt samozachowawczy ukrywał zawiłości swojego życia seksualnego poza tym, co uważał za dyskretne aluzje. („Może i te dziewczyny nie potrafią zliczyć do dziesięciu, ale po co komu matematyka w łóżku? Dopóki myślą, że to więcej niż dziesięć, ha ha ha, żart 😊”).

Nie mógł się trochę nie chwalić, bo najwyraźniej było to – wniosując z tego, co do tej pory widział – jedyne pole, na którym miał przewagę nad Derkaczem. W ZdrowoTechu Derkacz nie był szczególnie aktywny seksualnie. Onieśmiał dziewczyny. Co prawda, zainteresował parę wariatek, które uważały, że potrafi chodzić po wodzie, łąziły za nim, słały mu ckliwe, pełne żalu maile, grożąc, że podetną sobie dla niego żyły. Może nawet czasem z nimi sypiał, ale nigdy nie zбочzył z kursu. Jego zdaniem zakochanie się, choć zmieniało chemię organizmu, co niewątpliwie świadczyło o autentyczności przeżyć, było również wywołanym hormonami stanem iluzji. W dodatku upokarzającym, bo człowiek stawiał się w niekorzystnej pozycji, oferował obiektowi uczuć zbyt wielką władzę. Jeśli zaś chodzi o seks *per se*, brak mu było zarówno emocji, jak i świeżości, i ogólnie rzecz biorąc, stanowił dalece niedoskonałe rozwiązanie problemu międzypokoleniowego transferu genetycznego.

Dziewczyny, które pociągał Jimmy, uważały, że Derkacz jest bardziej niż trochę przerażający, dzięki czemu Jimmy czuł się lepszy, broniąc przyjaciela.

– Jest w porządku, po prostu przebywa na innej planecie – mawiał zwykle.

Skąd jednak miał wiedzieć, jak wygląda obecna sytuacja Derkacza? Derkacz niewiele mówił o sobie. Miał współlokatora albo dziewczynę? Nigdy nie wspominał ani o jednym, ani o drugim, ale to o niczym nie świadczyło. W mailach opisywał udogodnienia i obiekty na terenie kampusu, zresztą zdumiewające – sezam biogadżetów – i, no cóż, co jeszcze? Co Derkacz pisywał w swoich lakonicznych wstępnych komunikatach z Instytutu Watsona-Cricka? Yeti nie pamięta.

Rozgrywali przeciągające się w nieskończoność mecze szachowe, dwa ruchy

dziennie. Teraz Jimmy już lepiej grał w szachy; łatwiej mu szło bez rozpraszącej obecności Derkacza, jego bębnienia palcami i pomruków, jak gdyby przewidział trzydzieści ruchów naprzód i czekał cierpliwie, aż żółwi umysł Jimmy'ego lada moment poświęci kolejną wieżę. Poza tym Jimmy mógł przejrzeć w sieci słynne dawne partie szachowe. Być może Derkacz robił to samo.

Po pięciu czy sześciu miesiącach Derkacz trochę się rozluźnił. Napisał, że musi pracować ciężiej niż w liceum ZdrowoTechu, bo ma tu większą konkurencję. Watson-Crick słynął wśród tamtejszych studentów jako uniwersytet Aspergera, ze względu na wysoki odsetek genialnych dziwaków, którzy podskakiwali, wlekli się i toczyli po jego korytarzach. Genetycznie rzecz ujmując, byli to półautycy; jednotorowe umysły z kłapkami na oczach, o znaczącym stopniu nieprzystosowania społecznego – trudno było liczyć na błyskotliwe fajerwerki w ich towarzystwie – i na szczęście dla wszystkich tam przebywających, z wysoką tolerancją dla nieco dziwnego publicznego zachowania.

„Trudniej niż w ZdrowoTechu?”, spytał Jimmy.

„W porównaniu z tym miejscem ZdrowoTech to plebsopolia”, odpisał Derkacz. „Pełen NT”.

„NT?”

„Neurotypowych”.

„Czyli?”

„Pozbawionych genu geniuszu”.

„Jestem neurotypowy?”, spytał w następnym tygodniu Jimmy, po pewnym czasie poświęconym przemyśleniom na ten temat. I martwieniu się tym, czy również on jest neurotypowy, a jeśli tak, czy to źle, w gestaltyzmie Derkacza? Podejrzewał, że jest neurotypowy i że to niedobrze.

Derkacz jednak nigdy mu na to nie odpowiedział. Tak właśnie postępował: kiedy jakieś pytanie mu nie leżało, zachowywał się tak, jakby nie zostało zadane.

„Powinieneś przyjechać i zobaczyć to miejsce”, napisał Jimmy'emu pod koniec października na drugim roku. „Podarować sobie życiowe doświadczenie. Udamy, że jesteś moim tępawym normalnym kuzynem. Przyjedź na Święto Dziękczynienia”.

Alternatywą dla Jimmy'ego był indyk z parą dwóch indyków z podstawowej komórki społecznej, żart, ha ha ha ☺, napisał Jimmy, a na to nie miał ochoty; z przyjemnością przyjął zaproszenie. Wmawiał sobie, że jest dobrym kumplem i oddaje Derkaczowi przysługę, no bo kogo miałby odwiedzić samotny Derkacz podczas świąt poza nudnym, starym, australopitekowym, nie-do-końca-wujkiem Pete'em? Odkrył również, że tęskni za Derkaczem. Nie widział go już od ponad roku. Był ciekaw, czy Derkacz się zmienił.

Przed końcem semestru Jimmy musiał skończyć dwie prace semestralne. Mógł je kupić w sieci, rzecz jasna – Martha Graham słynęła z notorycznie zaniedbywanego rejestru prac, plagiatorstwo kwitło – ale postawił sobie za punkt honoru napisanie ich samodzielnie, choć wydawało się to ekscentryczne. Ekscentryczność robiła wrażenie na kobietach w Marcie Graham. Lubiły odrobinę oryginalności, ryzykanctwa i intelektualnej dyscypliny.

Z tego samego powodu chętnie spędzał długie godziny w mroczniejszych zakątkach biblioteki, poznając tajemne tradycje. Lepsze biblioteki, w bogatszych instytucjach, już przed laty spaliły książki i trzymały wszystko na płytach CD, jednak pod tym względem – jak i pod każdym innym – Martha Graham nie nadążała. Z nosem zabezpieczonym filtrem strzegącym go przed pleśnią Jimmy buszował między półkami pełnymi butwiejących papierów i wyciągał je na chybił trafił.

Częściowo napędzał go upór, wręcz niechęć. System zaklasyfikował go jako odrzut, a to, co studiował Jimmy, uważano – na poziomach decyzyjnych, poziomach prawdziwej władzy – za archaiczną stratę czasu. No cóż, wobec tego uznał, że szukanie zbędnych informacji potraktuje jako cel sam w sobie. Będzie jego orędownikiem, obrońcą i strażnikiem. Kto powiedział, że cała sztuka jest kompletnie bezużyteczna? Jimmy nie mógł sobie przypomnieć, ale brawa dla tego kogoś, kimkolwiek był. Im bardziej przestarzała wydawała się jakaś książka, tym chętniej Jimmy dodawał ją do swojej prywatnej kolekcji.

Tworzył także listy starych słów – słów precyzji i sugestywności, które nie miały już istotnego zastosowania w obecnym świecie, czy też w obcym nam świecie, jak czasem specjalnie przekręcał Jimmy w swoich pracach. („Literówka”, zapisywali profesorowie, co dowodziło ich czujności). Uczył się na pamięć tych wiekowych lokucji, wrzucał je od niechcienia do rozmowy: kołodziej, magnetyt, posepny. Żywił wobec tych słów dziwną czułość, jakby były dziećmi zagubionymi w lesie, a on miał obowiązek je ocalić.

Jedna z jego prac semestralnych – na kurs retoryki stosowanej – zatytułowana była *Poradniki dwudziestego wieku: zerowanie na strachu i nadziei*, i zapewniła mu znakomite pole do popisów w studenckich pubach. Cytował fragmenty tego czy owego – *Popraw swój wizerunek we własnych oczach; Dwanaście kroków do wspomaganego samobójstwa; Jak się zaprzyjaźniać i wpływać na ludzi; Płaski brzuch w pięć tygodni; Możesz mieć wszystko; Zabawa bez służby; Żałoba dla opornych* – a tłum wokół niego wybuchał śmiechem.

Znowu otaczał go tłum słuchaczy: na nowo odkrył tę rozkosz. Jimmy, zrób *Chirurgię kosmetyczną dla każdego! Zrób Dotrzyj do swojego wewnętrznego dziecka! Zrób Podręcznik randkowania i seksu!* I Jimmy, zawsze skory do tańca i do różańca, spełniał ich prośby. Czasem wymyślał książki, które nie istniały – *Leczenie zapalenia uchyłka jelita grubego modlitwą i śpiewem* było jednym z jego najlepszych utworów –

i nikt nie zauważył oszustwa.

Wykorzystał ten temat pracy semestralnej i na ostatnim roku napisał rozprawkę. Dostał ocenę celującą.

Marthę Graham i Watsona-Cricka łączyło połączenie kolejowe, z tylko jedną przesiadką. Przez większość trzygodzinnej podróży Jimmy spoglądał na plebsopolie, które mijali. Rzędy obskurnych domów, bloki z maleńkimi balkonami, pranie wywieszane na sznurach; fabryki, z których kominów wydobywał się dym; zwirownie. Olbrzymia góra śmieci obok czegoś, co uznał za spalarnię. Centrum handlowe, jak te w ZdrowoTechu, tyle że na parkingach stały samochody, a nie elektryczne wózki golfowe. Rząd neonów, pod nimi bary, lokale z dziewczynkami i coś, co wyglądało na przedpotopowe kino. Zauważył ze dwa niewielkie osiedla pełne przyczep i zastanawiał się, jak by się tam żyło: na myśl o tym kręciło mu się w głowie, pewnie podobnie czułby się na pustyni albo nad morzem. Wszystko w plebsopoliach wydawało się takie nieograniczone, dostępne i nieskończone. Takie gotowe na zmiany.

Powszechnie przyjęta zasada w Kompleksach głosiła, że poza sprzedawaniem i kupowaniem w plebsopoliach nie dzieje się nic interesującego: nie istniało tam życie duchowe – tylko kupowanie i sprzedawanie plus działalność przestępcza. Jimmy’emu jednak wydawało się to tajemnicze i ekscytujące, tam, po drugiej stronie zabezpieczeń. I groźne. Nie wiedziałyby, co robić ani jak się zachować. Nie wiedziałyby nawet, jak podrywać dziewczyny. Spławiłyby go w mgnieniu oka, wybiły mu to z głowy. Wyśmiałyby go. Rozdeptały na miazgę.

Ochrona w Watsonie-Cricku była bardzo skrupulatna, w przeciwieństwie do farsy w Marcie Graham; musieli się obawiać, że jakiś fanatyk wysadzi w powietrze najlepsze umysły pokolenia, dramatycznie upośledzając taką czy inną dziedzinę życia. Kręciły się tu dziesiątki korpusowców uzbrojonych w miotacze i gumowe pałki; mieli emblematy Watsona-Cricka, ale od razu rzucało się w oczy, kim naprawdę są. Zeskanowali obraz tęczówki Jimmy’ego i wrzucili do systemu, a potem dwóch ponurych ciężarowców odciągnęło go na bok na przesłuchanie. Od razu się domyślił dlaczego:

– Widziałeś ostatnio swoją zbiegłą matkę?

– Nie – odparł zgodnie z prawdą.

– Miałeś od niej jakieś wiadomości? Telefon, jeszcze jedną pocztówkę?

A więc nadal czytali jego tradycyjną pocztę. Musieli gromadzić wszystkie pocztówki w swoich komputerach, podobnie jak informację o jego obecnym miejscu pobytu, dlatego nie zapytali, skąd przyjechał.

Znowu zaprzeczył. Podłączyli go do urządzenia kontrolującego impulsy nerwowe,

zatem wiedzieli, że nie kłamie; musieli też wiedzieć, że to pytanie go przygnębiło. Niemal wykrzyknął: „I tak bym ci nie powiedział, mało jedna!”, ale był wystarczająco dorosły, by zdawać sobie sprawę z tego, że nic to nie da i najprawdopodobniej wylądowałby w pociągu powrotnym do Marthy Graham albo jeszcze gorzej.

– Wiesz, co porabia? Z kim się zadaje?

Jimmy nie wiedział, ale czuł, że oni mogą mieć o tym jakieś pojęcie. Nie wspomnieli jednak o demonstracji przeciwko PychaKawie w Marylandzie, więc może byli gorzej poinformowani, niż się obawiał.

– Po co tu przyjechałeś, synu? – Już się znudzili. Najważniejsza część dobiegła końca.

– Przyjechałem do dawnego przyjaciela na Tydzień Dziękczynienia – odparł Jimmy.

– Do przyjaciela z liceum ZdrowoTechu. Studiuje tutaj. Zaprosił mnie. – Podał nazwisko i autoryzowany numer gościa, dostarczony mu mailem przez Derkacza.

– Którego studenta? Czym się zajmuje?

– Transgeniką – wyjaśnił im Jimmy.

Otworzyli plik, żeby to sprawdzić. Marszczyli brwi, nawet chyba byli pod wrażeniem. Następnie zatelefonowali, jakby jeszcze nie do końca ich przekonał. Co taki chłop pańszczyźniany robi z wizytą u szlachty, zdawało się sugerować ich zachowanie. W końcu jednak go wpuścili i zobaczył Derkacza w jego niemarkowym ciemnym ubraniu. Wyglądał starzej i szczuplej, a także bystrzej, oparty o barierkę i uśmiechnięty.

– Cześć, głupino – powiedział Derkacz, a Jimmy’ego dopadła tęsknota niczym nagły głód. Tak się ucieszył na widok Derkacza, że niemal zaszlochał.

Wilksy

Watson-Crick był pałacem w porównaniu z Marthą Graham. Przy wejściu stała rzeźba z brązu przedstawiająca maskotkę Instytutu, pajazę/kozojaka – jedną z pierwszych uwiecznionych powodzeniem krzyżówek, dokonanych w Montrealu na przełomie wieków, kozę skrzyżowaną z pajakiem, żeby produkowała rozciągliwą nić pajęczą w mleku. Teraz służyła przede wszystkim do produkcji kamizelek kuloodpornych. KorpuSOKorp gwarantował ich jakość.

Rozległe tereny za murami były pięknie utrzymane: robota wydziału transformacji krajobrazu, jak powiedział Derkacz. Studenci transgeniki botanicznej (wydział dekoracyjny) stworzyli cały zastęp odpornych na suszę i powódź tropikalnych gatunków, z kwiatami i liśćmi w krzykliwych odcieniach chromowanej żółci i wspaniałej ognistej czerwieni, fluorescencyjnego błękitu oraz neonowego fioleto. Ścieżki, w przeciwieństwie do popękanych betonowych drózek w Marcie Graham, były gładkie i szerokie. Studenci i wykładowcy jeździli po nich elektrycznymi wózkami golfowymi.

Tu i tam widzieli olbrzymie sztuczne skały z kombomiksu, odzyskanych butelek plastikowych i roślinnego materiału z olbrzymich kaktusów oraz rozmaitych żywych skał z rodzaju *lit hops*, rodziny *mesembryanthemum*. Derkacz powiedział, że to opatentowany proces, pierwotnie opracowany w Watsonie-Cricku, obecnie bardzo intratny. Sztuczne skały wyglądały jak prawdziwe, ale mniej ważyły, poza tym absorbowały wodę w okresach wilgotności i uwalniały ją podczas suszy, działając jak naturalne zraszacze trawników. Skałolatory, tak brzmiała ich oficjalna nazwa. Należało jednak uważać podczas potężnych opadów deszczu, gdyż skałolatory czasem eksplodowały.

Derkacz powiedział, że większość błędów wyeliminowano, w każdym miesiącu pojawiały się nowe wynalazki. Zespół studentów pracował teraz nad wymyśleniem czegoś o nazwie Model Mojżesza, by w czasach kryzysu zapewnić ludzkości stałe zapasy świeżej wody do picia. „Uderz tu różdżką”, tak brzmiało proponowane hasło reklamowe.

- Jak to działa? – spytał Jimmy, próbując ukryć podziw.
- Daj spokój – odparł Derkacz. – Nie studiuję neogeologii.
- A motyle: to coś nowego? – spytał po chwili Jimmy.

Te, które obserwował, miały skrzydła wielkości naleśników i szokująco różowy kolor, łoczyły się nad jednym z fioletowych krzewów.

– Chodzi ci o to, czy pojawiły się w naturze, czy też stworzyła je ręka człowieka? Innymi słowy, czy są prawdziwe, czy też sztuczne?

– Uhm – mruknął Jimmy.

Nie chciał się wdawać w polemikę na temat tego, co jest prawdziwe.

– Wiesz, że ludzie farbują włosy albo robią korony na zębach? A kobiety powiększają sobie cycki?

– No i?

– Wyglądają później jak prawdziwe. Proces już się nie liczy.

– Mowy nie ma, żeby sztuczne cycki były takie same jak prawdziwe – odparł Jimmy, który uważał, że wie co nieco na ten temat.

– Jeśli widzisz, że są sztuczne, ktoś spartaczył robotę – powiedział Derkacz. – Te motyle potrafią latać, odbywają gody, potem składają jaja, wychodzą gąsienice.

– Uhm – powtórzył Jimmy.

Derkacz nie miał współlokatora. Mieszkał w apartamencie o naturalnym wystroju, z automatycznymi żaluzjami i dobrze funkcjonującą klimatyzacją. Apartament składał się z dużej sypialni z pomieszczeniem łazienkowym, wyposażonym w prysznic i parownik, oraz salonu z rozkładaną sofą – tam miał spać Jimmy, jak oznajmił Derkacz – a także pracowni z wbudowanym systemem dźwiękowym i całym zastępem komputerowych gadżetów. Miał też służbę, poza tym ktoś zawoził i odbierał jego pranie. (Jimmy’ego przygnębiła ta informacja, jako że w Marcie Graham musiał prać swoje rzeczy w hałaśliwych, rżących pralkach i korzystać z suszarek, które przypalały ubrania. Trzeba było wrzucać plastikowe żetony, bo regularnie ograbiano automaty, jeśli były pełne monet).

Derkacz miał także miłą małą kuchnię.

– Niewiele przygotowuję w kuchence mikrofalowej – wyjaśnił. – Tylko przekąski. Większość jada w stołówce. Każdy wydział ma swoją.

– A jedzenie? – spytał Jimmy. Z każdą chwilą czuł się coraz bardziej jak troglodyta z jaskini, pełen pasożytów, żujący byle kość.

– Jak to jedzenie – odparł obojętnie Derkacz.

Pierwszego dnia obejrzeni niektóre cuda w Watsonie-Cricku. Derkacza interesowało dosłownie wszystko – wszystkie projekty w toku. Powtarzał ciągle „fala przyszłości”, co po trzecim razie irytowało.

Najpierw poszli do grupy dekoracji botanicznych, gdzie zespół pięciu studentów ostatniego roku pracował nad inteligentną tapetą, która miała zmieniać kolory na

ścianie w zależności od nastroju właściciela. Ta tapeta – jak powiedzieli Jimmy’emu – jest wyposażona w zmodyfikowaną formę glonów wyczuwających promieniowanie kirlianowskie oraz wewnętrzną warstwę substancji odżywczych, jednak wciąż nie funkcjonuje jak należy. Tapeta nie sprawdziła się w wilgotnym klimacie, bo po pożarciu wszystkich składników szarzała. Nie potrafiła też odróżnić dzikiego pożądania od morderczej wściekłości i przybierała kolor erotycznego rózu, kiedy tak naprawdę aż się prosiło o mroczną, rozsadzającą naczynia krwionośne zielonkawą czerwień.

Ten sam zespół pracował nad ręcznikami kąpielowymi, które zachowywałyby się w podobny sposób, ale jeszcze nie rozwiązał tajemnicy morskich stworzeń: mokre glony zaczynały rosnać, a dotychczasowym ochotnikom niezbyt się podobało, że ich wczorajsze ręczniki puchną niczym cukierki piankowe i pełzną po podłodze łazienki.

– Fala przyszłości – powiedział Derkacz.

Następnie poszli na wydział neoagrokultury, nazywanej agrocouture. Zanim wkroczyli na teren wydziału, musieli włożyć skafandry, wyszorować ręce i wsunąć filtry do nosa, bo to, co mieli oglądać, nie było odporne na bioformy, w każdym razie nie do końca. Kobieta o śmiechu Woody’ego Woodpeckera poprowadziła ich korytarzami.

– To zupełna nowość – oznajmił Derkacz.

Wpatrywali się w wielki, przypominający żarówkę przedmiot, który wydawał się pokryty chropowatą biało-żółtą skórą. Sterczało z niej dwadzieścia grubych mięsistych tub, a na końcu każdej z nich rosła mniejsza żarówka.

– Co to jest, do diabła? – spytał Jimmy.

– Kurczaki – odparł Derkacz. – Fragmenty kurczaków. Mają też takie wyspecjalizowane w skrzydełkach, dwanaście na jednostce.

– Ale tu nie ma głów – powiedział Jimmy.

Pojął koncepcję (w końcu dorastał wśród wieloorganowników), ale tego było już za wiele. Świniony w czasach jego dzieciństwa miały głowy.

– To w środku to łeb – wyjaśniła kobieta. – Na górze znajduje się otwór gębowy, tam wrzucamy substancje odżywcze. Nie ma oczu, dzioba ani niczego takiego, po prostu nie potrzebuje.

– To okropne – wybełkotał Jimmy.

To coś było koszmarem. Przypominało bulwę z białkiem zwierzęcym.

– Wyobraź sobie ukwiał – zaproponował Derkacz. – To pomaga.

– Ale co ono myśli? – spytał Jimmy.

Kobieta zaprezentowała przypominający jodłowanie śmiech i wyjaśniła, że usunęli wszystkie funkcje mózgu nie związane z trawieniem, przyswajaniem i wzrostem.

– To jak kurczaczy tęgoryjec – mruknął Derkacz.

– Nie ma potrzeby podawać hormonów wzrostu – oświadczyła kobieta. – Dodaliśmy

gen szybkiego wzrostu. Mamy piersi kurczaka w dwa tygodnie. To o trzy tygodnie krócej niż na najbardziej wydajnych, przemysłowych kurzych farmach. A ci stuknięci bojownicy o prawa zwierząt nie będą mogli nic powiedzieć, bo to coś nie czuje bólu.

– Te dzieciaki zbiją na tym majątek – zauważył Derkacz po wyjściu. Studenci w Watsonie-Cricku dostawali połowę tantiem od wszystkiego, co wynaleźli. Derkacz powiedział, że to doskonały bodziec. – Kurczakiś, tak chcą to nazwać.

– Trafiło już na rynek? – spytał cicho Jimmy.

Nie mógłby zjeść kurczakiś. To przypominałoby konsumowanie wielkiej brodawki. Ale podobnie jak z implantami piersi – dobrymi implantami – może nie zauważyłby żadnej różnicy.

– Już rozpoczęli procedurę franchisingu na potrzeby barów szybkiej obsługi – wyjaśnił Derkacz. – Inwestorzy pchają się drzwiami i oknami. Mamy konkurencyjne ceny.

Jimmy’ego zaczynał denerwować sposób, w jaki przedstawiał go Derkacz. – „To Jimmy, neurotypowy” – ale wiedział, co robi, nie okazując złości. Czuł się jednak tak, jakby nazywano go kromaniończykiem. Zaraz wsadzą go do klatki, nakarmią bananami i potraktują pałkami elektrycznymi.

Podobnie niespecjalnie sobie cenił dostępne kobiety z Watsona-Cricka. Może zresztą wcale nie były dostępne: wydawało się, że mają inne sprawy na głowie. Kilka prób flirtu ściągnęło na Jimmy’ego zdumione spojrzenia – zdumione i zdecydowanie nieprzychylnie, jakby obsikał dywany tych kobiet.

Biorąc pod uwagę ich niechlujstwo, ich swobodny stosunek do higieny osobistej i ozdób, powinny mdleć z zachwytu, że ktoś zwrócił na nie uwagę. Zazwyczaj wkładały kraciaste koszule, fryzury też nie były ich mocną stroną: większość wyglądała jak po bliskich spotkaniach z kuchennymi nożycami. Jako grupa przypominały mu Bernice, wegankę-piromankę z Bożych Ogrodników. Bernice była wyjątkiem w Marcie Graham, gdzie dziewczęta usiłowały robić wrażenie byłych, obecnych lub przyszłych tancerek, aktorek, piosenkarek albo performerek, lub też konceptualnych fotografek – w każdym razie artystek. Chciały być wiotkie, usiłowały mieć swój styl, grały w tę grę lepiej lub gorzej. Jednak tu wygląd Bernice był regułą, minus religijne podkoszulki. Królowały T-shirty pełne skomplikowanych równań matematycznych, budzące wesołość tych, którzy potrafili je odcyfrować.

– O co chodzi w tym podkoszulku? – dopytywał się Jimmy, kiedy uznał, że ma już dosyć tych doświadczeń.

Inni przybijali piątki, on stał z głupią miną kogoś, kto właśnie odkrył, że złodziej opróżnił mu kieszenie.

– Ta dziewczyna to fizyk – oznajmił Derkacz, jakby to wszystko wyjaśniało.

– No i?

– No i jej podkoszulek dotyczy jedenastego wymiaru.
– Na czym polega dowcip?
– To skomplikowane – powiedział Derkacz.
– Wal.
– Trzeba znać się na wymiarach i tym, że podobno są zwinięte w wymiarach, które znamy.

– I?
– To znaczy, mógłbym cię zabrać z tego świata, ale zajęłoby to tylko kilka nanosekund, a sposób odmierzenia tych nanosekund nie istnieje w naszych ramach przestrzennych.

– I to wszystko w tych symbolach i liczbach?
– Nie w tylu słowach.
– Och.
– Nie mówiłem, że to zabawne – zauważył Derkacz. – To fizycy. To zabawne tylko dla nich. Ale pytałeś.

– Czyli ona tak jakby chciała powiedzieć, że mogłoby im się udać, gdyby tylko on miał odpowiedniego kutasa, którego mu brak? – dopytywał się Jimmy po głębokim namyśle.

– Jimmy, geniusz z ciebie. – Odparł, wzdychając, Derkacz.

– To bioObrona – oznajmił Derkacz. – Ostatni przystanek, obiecuję.

Widział, że Jimmy słabnie. Prawda była taka, że wszystko za bardzo mu się kojarzyło. Laboratoria, szczególnie bioformy, społeczni paralitycy: za bardzo przypominało mu to dawne życie, dzieciństwo. Było to ostatnie miejsce, do którego chciał wracać. Już wolał Marthę Graham.

Stali teraz przed rzędem klatek. W każdej siedział pies. Psy były różnych ras i rozmiarów, ale wszystkie wpatrywały się w Jimmy'ego oczyma pełnymi miłości, wszystkie machały ogonami.

– To schronisko dla psów – powiedział Jimmy.

– Niezupełnie – poprawił go Derkacz. – Nie wychylaj się za poręcz, nie wkładaj tam ręki.

– Wydają się przyjazne. – Jimmy poczuł nawrót dawnej tęsknoty za domowym zwierzęciem. – Są na sprzedaż?

– To nie psy, one tylko wyglądają jak psy. To wilksy: podstępna rasa. Wyciągnij rękę, żeby je poklepać, to ci ją odgryzą. Mają w sobie dużo z pitbuli.

– Po co robić takiego psa? – Jimmy cofnął się o krok. – Na co on komu?

– To sprawka KorpuSOKorpu – odparł Derkacz. – Zlecenie. Spore fundusze. Chcą je umieścić w fosach.

– W fosach?

– Tak. To lepsze niż system alarmowy: nie ma ich jak rozbroić. I nie da się z nimi zaprzyjaźnić, bo to nie są prawdziwe psy.

– A jeśli się wydostaną? Znajdą na wolności? Rozmnożą, a potem ich populacja wymknie się spod kontroli? Jak te wielkie zielone króliki?

– To byłby problem – przyznał Derkacz. – Ale nie uciekną. Natura tak się ma do zoo jak Bóg do kościołów.

– Co masz na myśli? – spytał Jimmy. Nieszczególnie uważał, przejmował się kurczakiścią i wilksami. Dlaczego miał wrażenie, że przekroczone jakąś granicę? Kiedy jest za dużo, kiedy za daleko?

– Te mury i kraty są tu z jakiegoś powodu – powiedział Derkacz. – Nie po to, żeby nas odizolować, ale żeby trzymać ich w środku. Ludzkość potrzebuje barier w obu wypadkach.

– Jakich ich?

– Naturę i Boga.

– Myślałem, że nie wierzysz w Boga – powiedział Jimmy.

– Nie wierzę też w Naturę – odparł Derkacz. – W każdym razie nie taką pisaną dużą literą.

Hipoteza

– Masz dziewczynę? – zapytał Jimmy czwartego dnia. Zachował to pytanie na odpowiednią chwilę. – W końcu jest tu cały zastęp dziewczyn do wyboru.

Chciał, żeby zabrzmiało to ironicznie. Nie mógł sobie wyobrazić siebie z dziewczyną o śmiechu Woody’ego Woodpeckera ani z żadną inną z cyframi na biuście, ale Derkacza też. Derkacz był na to zbyt wyrafinowany.

– Jako takiej nie – odparł krótko Derkacz.

– Co to znaczy: „jako takiej nie”? Masz dziewczynę, ale nie jest ludzką istotą?

– Na tym etapie łączenie się w pary nie jest dobrze widziane. – Derkacz mówił jak przewodnik. – Mamy skupić się na pracy.

– To szkodzi – powiedział Jimmy. – Możesz popaść w pracoholizm.

– Łatwo ci mówić – zauważył Derkacz. – Ty jesteś konikiem polnym, ja mrówką. Nie mogę tracić czasu na bezproduktywne skakanie z kwiatka na kwiatek.

Po raz pierwszy w życiu Jimmy zaczął się zastanawiać – jak to możliwe? – czy Derkacz mu zazdrości. Może jedynie zachowywał się jak pompatyczny sztywniak; może Watson-Crick tak na niego działał. A więc jaka jest ta twoja ultrażyciowa, supermóźdzkowa misja?, miał ochotę zapytać Jimmy. Raczysz mi to wyjaśnić?

– Nie nazwałbym tego stratą czasu – powiedział jednak, usiłując poprawić Derkaczowi humor. – Chyba że nic ci z tego nie wychodzi.

– Jeśli naprawdę człowieka przypili, można to załatwić przez Obsługę Studencką – oznajmił Derkacz dosyć sztywno. – Odliczają koszt ze stypendium, podobnie jak opłaty za mieszkanie i wyżywienie. Pracownicy pochodzą z plebsopolii, to wyszkoleni profesjonaliści. Oczywiście przechodzą badanie lekarskie.

– Obsługa Studencka? Nie wierzę! Co takiego robią?

– To ma sens – ciągnął Derkacz. – Dzięki systemowi unika się złego samopoczucia i kierowania energii na nieproduktywne tory. Studentki też mają do tego prawo, rzecz jasna. Można poprosić o dowolny kolor skóry, dowolny wiek – no, prawie. I typ. Zapewniają wszystko. Jeśli jesteś gejem albo fetyszystą, też się tym zajmą.

Jimmy początkowo myślał, że Derkacz żartuje, ale on mówił serio. Jimmy chciał go zapytać, czego sobie zażyczył – może na przykład kaleki bez obu nóg? Nagle jednak takie pytanie wydało mu się wścibskie. Mogło zresztą zostać odebrane jak szyderstwo.

Jedzenie w wydziałowej stołówce Derkacza było fantastyczne – prawdziwe krewetki zamiast chruposojków, które dostawali w Marcie Graham, prawdziwy kurczak, jak podejrzewał Jimmy, chociaż go nie zjadł, bo nie mógł zapomnieć o kurczakiści; i coś, co bardzo przypominało prawdziwy ser, choć Derkacz twierdził, że to produkt roślinny, nowy rodzaj cukinii, którą poddawano testom.

Desery były pełne czekolady, prawdziwej czekolady. Kawa pełna była kawy, nie spalonych ziarnopodobnych produktów, nie melasy. Pili psychakawę, ale co z tego? I prawdziwe piwo. Piwo z całą pewnością było prawdziwe.

Jimmy uznał, że to miła odmiana po Marcie Graham, choć inni studenci mieli tendencje do ignorowania sztucców, jedzenia rękoma i ocierania ust rękawem. Jimmy nie był czepialski, ale to wydawało mu się dość obrzydliwe. Poza tym bez przerwy gadali, bez względu na to, czy ktoś ich słuchał, czy nie, ciągle o swoich pomysłach w trakcie realizacji. Kiedy odkryli, że Jimmy nie pracuje nad przestrzenią i że do tego uczęszcza do instytucji, którą uważają za bagno, przestali się nim interesować. Innych studentów swojego wydziału określali jako współgatunkowych, a wszystkich innych ludzi – jako bezgatunkowych. Był to najświeższy dowcip.

Jimmy też nie miał zamiaru się z nimi zaprzyjaźniać. Wystarczyło mu przesiadywanie u Derkacza, przegrywanie z nim w szachy albo Trójwymiarowe Waco, albo próby rozszyfrowania magnesów na lodówce Derkacza, tych bez cyfr i symboli. Watson-Crick był kulturą magnesów na lodówkę: ludzie je kupowali, handlowali nimi, sami je robili.

Umysł precz – niezła rzecz (z zielonym hologramem mózgu)

Krzemoświadomość

Wędruję z przestrzeni w przestrzeń

Masz ochotę na bliskie spotkanie z maszyną do mięsa?

Nie spiesz się, dasz innym więcej czasu

Kto cię stworzył, moja pajazo/kozojaku?

Życie eksperymentuje niczym szopunks podczas zabawy

Myślę, więc jeżdżę

Prawdziwe badania nad Ludzkością obejmują Wszystko

Czasem oglądali telewizję albo rozmaite rzeczy w internecie, jak za dawnych czasów. Nagie Fakty, mózgospiek, alibubu, tym paśli oczy. Przyrządzali popcorn w mikrofalówce, palili niektóre z ulepszonych ziół, które studenci botanicznej transgeniki uprawiali w jednej z cieplarni; wtedy Jimmy odlatywał na kanapie. Kiedy przywykł do swojego statusu w tej kuźni umysłów, statusu porównywalnego z pozycją rośliny doniczkowej, nie było tak źle. Musiał jedynie się odprężyć i oddychać głęboko,

jak podczas ćwiczeń. Za parę dni miał stąd wyjechać. Poza tym zawsze z zainteresowaniem słuchał Derkacza, gdy Derkacz był sam i chciało mu się otwierać usta.

Wieczorem, dwa dni przed wyjazdem Jimmy'ego, Derkacz powiedział:

– Zademonstruję ci hipotezę.

– Zamieniam się w słuch – odparł Jimmy.

Tak naprawdę był śpiący (za dużo popcornu i piwa), ale usiadł z uważnym wyrazem twarzy, który udoskonalił w szkole średniej. Hipotezy były ulubioną rozrywką Derkacza.

– Aksjomat: choroba nie jest produktywna. Sama w sobie nie wytwarza towarów i nie przynosi pieniędzy. Choć stanowi pretekst do wielu rodzajów aktywności, jej jedyny związek z pieniędzmi jest taki, że umożliwia przepływ majątku od chorych do studni. Od pacjentów do lekarzy, od klientów do handlarzy lekarstwami. Osmoza pieniędzy, tak mógłbyś to nazwać.

– Zgadza się – przytaknął Jimmy.

– Załóżmy, że jesteś jednostką zwaną ZdrowoTechem. Załóżmy, że zbijasz majątek na lekarstwach i procedurach, które leczą chorych albo, nawet lepiej, nie dopuszczają do choroby.

– Tak? – spytał Jimmy.

Nie było w tym nic hipotetycznego: właśnie tym zajmował się ZdrowoTech.

– Czego będziesz potrzebował wcześniej czy później?

– Więcej lekarstw?

– Jeszcze później.

– Jak to „jeszcze później”?

– Kiedy już wszystko wyleczysz.

Jimmy udawał, że się zastanawia. Prawdziwe rozmyślanie nad tym problemem nie miało sensu – było pewne, że Derkacz zawczasu przygotował odpowiedź na własne pytanie.

– Pamiętasz, w jakich tarapatach znaleźli się dentyści, kiedy wprowadzono nowy płyn do płukania zębów? Ten zastępujący bakterie próchnicy przyjaznymi bakteriami, które wypełniały tę samą ekologiczną niszę, czyli jamę gębową? Plomby przestały być potrzebne, mnóstwo dentystów splajtowało.

– No i?

– No i potrzebowałbyś więcej chorych. Czy też – może to zresztą to samo – więcej chorób. Nowych i innych. Prawda?

– Brzmi rozsądnie – oznajmił po chwili Jimmy. Faktycznie tak było. – Czyżby odkrywali nowe choroby?

– Nie odkrywają ich – powiedział Derkacz. – Oni je tworzą.

– Kto? – spytał Jimmy.

Sabotażyści, terroryści, czy to ich miał na myśli Derkacz? Wszyscy wiedzieli, że są w to zaangażowani albo przynajmniej próbują. Na razie bez szczególnego powodzenia: ich mizerne choróbki były bardzo naiwne, w terminologii Kompleksu, i łatwe do opanowania.

– ZdrowoTech – odparł Derkacz. – Robią to od wielu lat. Cały specjalny zespół zajmuje się tylko tym. Zaangażowany jest także system dystrybucji. Posłuchaj, bo to genialne. Dokładają wrogie bioformy do tabletek z witaminami – swojego sztandarowego produktu bez recepty. Mają bardzo inteligentny system dystrybucji – umieszczają wirus we wnętrzu bakterii-nosiciela, formy *Escherichia coli*, która nie zostaje strawiona, wybucha w odźwierniku i gotowe! Całą procedurę przeprowadza się wyrywkowo i nie trzeba jej stale powtarzać – gdyby firma tak postąpiła, sprawa wyszłaby na jaw, bo nawet w plebsopoliach niektórzy potrafią rozgryźć takie zagadki. Kiedy jednak wroga bioforma pojawia się w populacji zamieszkującej plebsopole, ludzie zaczynają ją przenosić i ingerencja jest właściwie niepotrzebna. Rzecz jasna, jednocześnie z tworzeniem wirusa opracowuje się antidota, lecz trzymane są w rezerwie, zgodnie z zasadą, że mniej towaru na rynku gwarantuje większe zyski.

– Wymyśliłeś to wszystko? – spytał Jimmy.

– Najlepsze choroby, z punktu widzenia interesu – ciągnął Derkacz – to te, które mają długotrwały charakter. Idealnie – to znaczy, by wyciągnąć z tego maksymalny zysk – pacjent powinien albo wyzdrowieć, albo umrzeć, tuż zanim skończą mu się pieniądze. Inteligentna kalkulacja.

– To byłoby naprawdę obrzydliwe – powiedział Jimmy.

– Tak uważał mój ojciec – oświadczył Derkacz.

– Wiedział? – Teraz Jimmy naprawdę zaczął słuchać.

– Dowiedział się. Dlatego zepchnęli go z mostu.

– Kto?

– Pod koła nadjeżdżających samochodów.

– Popadasz w paranoję czy co?

– Ani trochę – odparł Derkacz. – To nagie fakty. Włamałem się do maili taty, tuż zanim wyczyścili mu komputer. Tam zbierał wszystkie dowody. Wyniki badań, które przeprowadzał na preparatach witaminowych. Wszystko.

Dreszcz przeszedł Jimmy'ego.

– Kto wie, że ty wiesz?

– Zgadnij komu to powiedział? – spytał Derkacz. – Mojej matce i wujkowi Pete'owi. Zamierzał to ujawnić na jakiejś nielegalnej stronie internetowej, bo mają mnóstwo odwiedzających. Rozwaliłby sprzedaż preparatów witaminowych ZdrowoTechu w plebsopoliach, a do tego ich plan ległby w gruzach. Rozpętałoby się finansowe piekło. Pomyśl o utraconych miejscach pracy. Chciał ich najpierw uprzędzić. –

Derkacz umilkł. – Myślał, że wuj Pete nic nie wie.

– O rany – westchnął Jimmy. – Czyli jedno z nich...

– Albo oboje – przerwał mu Derkacz. – Wujek Pete nie chciał dopuścić do zagrożenia stanu finansów firmy. Matka mogła się zwyczajnie przestraszyć, uznać, że skoro ojciec zginął, ona będzie następną. A może to KorpuSOKorp. Może ojciec dziwnie zachowywał się w pracy, może go sprawdzali. Wszystko szyfrował, ale skoro ja zdołałem się włamać, to oni z pewnością też.

– To dziwaczne – powiedział Jimmy. – Czyli zamordowali twojego ojca?

– Wykonali na nim wyrok – poprawił go Derkacz. – Tak by to nazwali. Twierdziliby, że zamierzał zniszczyć elegancką koncepcję, i że działali w imię dobra ludzkości.

Obaj umilkli. Derkacz spoglądał na sufit, jakby go podziwiał. Jimmy nie miał pojęcia, co powiedzieć. Słowa pociechy byłyby takie powierzchowne.

W końcu Derkacz przerwał milczenie.

– Dlaczego twoja matka uciekła?

– Nie wiem – odparł Jimmy. – Z rozmaitych powodów. Nie chcę o tym gadać.

– Założę się, że twój tata pracował przy czymś w tym rodzaju. Przy jakimś syfie, takim jak ten w ZdrowoTechu. Na pewno to do niej dotarło.

– Och, wątpię – rzekł Jimmy. – Myślę, że zadała się z jakąś organizacją typu Boży Ogrodnicy. Z jakimiś dziwakami. Poza tym mój ojciec nie mógłby...

– Na pewno się domyśliła, że zaczynają się domyślać, że się domyśliła.

– Jestem bardzo zmęczony – powiedział Jimmy. Ziewnął i nagle tak się właśnie poczuł. – Chyba pójdę spać.

Wymaraton

Ostatniego wieczoru Derkacz spytał:

– Chcesz zagrać w Wymaraton?

– Wymaraton? – powtórzył Jimmy. Chwilę to trwało, ale w końcu sobie przypomniał: nudna interaktywna gra internetowa z tymi wszystkimi wymarłymi zwierzętami i roślinami. – Kiedy myśmy w to grywali? Niemożliwe, żeby jeszcze istniała.

– Nigdy jej nie przerwano – odparł Derkacz.

Jimmy zrozumiał: Derkacz nigdy nie przestał w nią grać. Pewnie przez te wszystkie lata grywał sam. Cóż, miewał obsesje, nic nowego.

– Ile punktów zebrałeś? – spytał, żeby okazać uprzejmość.

– Kiedy przekroczysz trzy tysiące, zostajesz Wielkim Mistrzem – odparł Derkacz.

Co oznaczało, że nim był, w przeciwnym razie by o tym nie wspominał.

– O, jak miło – mruknął Jimmy. – Dostałeś nagrodę? Ogon i uszy?

– Coś ci pokażę – powiedział Derkacz.

Wszedł do sieci, znalazł witrynę, uruchomił ją. Pojawił się znajomy komunikat. „Wymaraton, nadzorowany przez MaddAddama, Adam nazwał wszystkie żywe zwierzęta, MaddAddam nazywa martwe. Chcesz zagrać?”.

Derkacz kliknął „Tak” i wpisał swój nick: „Derkacz Zwyczajny”. Nad jego imieniem wyskoczyła maleńka latimeria oznaczająca Wielkiego Mistrza. Następnie pojawiło się coś nowego, komunikat, którego dotychczas Jimmy nie widział: „Witaj, Wielki Mistrzu Derkaczu Zwyczajny. Chcesz zagrać w grę ogólną czy z innym Mistrzem?”.

Derkacz wybrał drugą opcję. „Dobrze. Znajdź swój pokój gry. Spotka się tam z tobą MaddAddam”.

– MaddAddam to człowiek? – zapytał Jimmy.

– Grupa ludzi – wyjaśnił Derkacz. – Albo grupy.

– Czym się zajmują, ten MaddAddam? – Jimmy czuł się niezręcznie, zupełnie jakby oglądał jakiś banalny film akcji z przeszłości, Jamesa Bonda czy coś. – Poza liczeniem czaszek i skór?

– Popatrz.

Derkacz wyszedł z Wymaratonu. Po chwili włączył się do miejscowego plebsobanku, a stamtąd skoczył do czegoś, co wyglądało na wytwórnię części do samochodów na energię słoneczną. Wszedł na obrazek kołpaka, który otwierał się na folder

zatytułowany Seksolatki. Katalogi były datowane, nie nazwane; wybrał jeden z nich i przeniósł na jeden ze swoich liści liliowych, stamtąd przeskoczył na inny, zatarł ślady i dopiero wtedy otworzył plik i załadował obraz.

Było to zdjęcie Oryks, siedmio- albo ośmioletniej, nagiej (miała tylko wstążki i kwiaty). Było to tamto spojrzenie, bezpośrednie, pogardliwe, wszechwiedzące spojrzenie, które tak na niego podziało, kiedy miał – ile? – czternaście lat? Nadal trzymał wydruk tego zdjęcia, złożony i głęboko ukryty. To zdjęcie stanowiło jego prywatną własność. Jego własność: jego winę, jego wstyd, jego pożądanie. Cemu Derkacz je trzymał? Ukradł je.

Jimmy poczuł się zwabiony w zasadzkę. Co ona tu robi?, miał ochotę wrzasnąć. To moje! Oddawaj! Znalazł się w środku awantury: wyciągnięte ku niemu palce, grymasy na twarzy, jakiś wściekły klon Bernice podpałał jego bokserki. Kara wydawała się nieunikniona, ale za co? Co takiego zrobił? Nic. Tylko patrzył.

Derkacz przeszedł do lewego oka dziewczyny, kliknął na tęczę. Było to przejście: otworzył się pokój gry.

„Witaj, Wielki Mistrzu Derkaczu. Podaj swój numer”.

Derkacz podał. Pojawiło się nowe zdanie. „Adam nazwał zwierzęta. MaddAddam je przerabia”.

Pojawił się rząd e-biuletynów, z miejscami i datami – pism KorpuSOKorpu, sądząc z wyglądu, z napisem: „Tylko bezpieczne adresy”.

Małeńka pasożytnicza osa zaatakowała kilka farm kurczakiści, przenosząc zmodyfikowaną formę ospy wietrznej, atakującej jedynie kurczakiści i śmiertelnej. Farmy trzeba było spalić, zanim epidemia wymknęła się spod kontroli.

Nowa mutacja zwykłej myszy domowej, uzależniona od izolacji kabli elektrycznych, zaatakowała Cleveland, powodując bezprecedensowe pożary domów. Testowano nadal urządzenia kontrolne.

Plantacje należące do PychaKawy zniszczyła nowa odmiana chrząszcza ryjkowca, odpornego na wszystkie pestycydy.

Małeńkie gryzonie z genami jeżozwierza i bobra grasowały na Północnym Zachodzie, zakradając się pod maski zaparkowanych samochodów i niszcząc paski klinowe i przekładnie.

Mikrob, który zjadał smołę w asfalcie, zamienił kilka autostrad międzystanowych w piasek. Cała służba drogowa na autostradach była w gotowości, wytyczono pas oddzielający obszar kwarantanny.

– Co się dzieje? – zapytał Jimmy. – Kto podrzuca tam te stworzenia?

Biuletyny zniknęły, pojawił się napis. „MaddAddam potrzebuje nowej inicjatywy. Masz świetny pomysł? Podziel się z nami”.

Derkacz wystukał: „Przepraszam, zakłócenia. Muszę iść”.

„Dobrze, Wielki Mistrzu Derkaczu. Później pogadamy”. Derkacz się wylogował.

Jimmy'emu zrobiło się zimno, co przypomniało mu czasy, gdy matka opuściła dom: to samo poczucie zapomnienia, otwarte drzwi, które powinny być zamknięte, strumień sekretnych istnień gdzieś w podziemiu, w ciemności pod jego stopami.

– O co w tym chodzi? – zapytał.

Może o nic, pomyślał. Może Derkacz się popisuje. Może to wyrefinowana pułapka, wynalazek Derkacza, dowcip, który miał go przestraszyć.

– Nie jestem pewien – odparł Derkacz. – Na początku myślałem, że to kolejna nawiedzona organizacja walcząca o prawa zwierząt, ale to coś więcej. Myślę, że tropią cały mechanizm. Moim zdaniem polują na system, chcą go rozwalić. Dotychczas nie zaatakowali ludzi, ale to oczywiste, że prędzej czy później to zrobią.

– Nie powinieneś się wtrącać – powiedział Jimmy. – Chyba nie chcesz, żeby cię z nimi skojarzyli? Ktoś mógłby pomyśleć, że do nich należysz. A jak cię złapią? Skończysz na mózgospieku! – Teraz był przestraszony.

– Nie złapią mnie – oświadczył Derkacz. – Tylko krązę. Mimo to zrób mi przysługę i nie wspominaj o tym w mailach.

– Jasne – mruknął Jimmy. – Ale po co w ogóle ryzykujesz?

– Jestem ciekaw i tyle – odrzekł Derkacz. – Wpuszczają mnie do poczekalni i ani kroku dalej. Muszą być z Kompleksu albo tam się szkolili. Tworzą wyrefinowane bioformy. Wątpię, żeby jakiś plebsopolita mógł wymyślić coś takiego. – Obrzucił Jimmy'ego tym swoim zielonookim spojrzeniem; spojrzeniem, które (myśli teraz Yeti) oznaczało zaufanie. Derkacz mu ufał. Inaczej nie pokazałby mu ukrytej komnaty gry.

– A może to pułapka KorpuSOKorpu – zasugerował Jimmy. Korpusowcy mieli zwyczaj robić tego typu rzeczy, żeby złapać wywrotowców na gorącym uczynku. Nazywali to odchwaszczaniem. Kompleksy były podobno pełne takich potencjalnie śmiertelnie niebezpiecznych tuneli. – Musisz uważać na to, co robisz.

– Jasne – powiedział Derkacz.

Tak naprawdę Jimmy chciał wiedzieć jedno – ze wszystkich możliwości, ze wszystkich wejść, dlaczego wybrałeś właśnie ją?

Nie mógł jednak zapytać. Nie mógł się zdradzić.

Podczas tej wizyty zaszło coś jeszcze – coś ważnego, chociaż wtedy Jimmy sobie tego nie uświadamiał.

Pierwszej nocy, kiedy spał na rozkładanej sofie Derkacza, usłyszał krzyk. Myślał, że z zewnątrz – w Marcie Graham byłiby to dowcipnisie z akademika – ale krzyk dochodził z pokoju Derkacza. Z ust Derkacza.

Nie krzyk – wrzask. Nie było słów. Działo się to każdej nocy.

– Pewnie miałeś zły sen – powiedział Jimmy rano, za pierwszym razem, gdy to się zdarzyło.

– Nigdy nie śnię – odparł Derkacz.

Miał pełne usta i wyglądał przez okna. Jak na takiego szczupłego mężczyznę sporo jadł. Pewnie chodziło o szybkość, o błyskawiczny metabolizm: Derkacz wszystko spalał.

– Każde stworzenie śni – powiedział Jimmy. – Pamiętasz badania nad fazą REM w liceum w ZdrowoTechu?

– Kiedy torturowaliśmy koty?

– Wirtualne koty, ale tak, wtedy. A koty, które nie mogły śnić, wariowały.

– Ja nigdy nie pamiętam swoich snów – mruknął Derkacz. – Zjedz jeszcze tosta.

– Ale musisz je mieć.

– Dobra, punkt dla ciebie, zły dobór słów. Nie chodziło mi o to, że nigdy nie śnię. Nie jestem wariatem, więc muszę śnić. Hipoteza, dowód, konkluzja, jeśli A, to nie B. Wystarczy? – Derkacz z uśmiechem nalał sobie kawy.

Tak więc Derkacz nie pamiętał swoich snów. Za to Yeti je pamięta. Gorzej niż pamięta – jest w nich zatopiony, brnie przez nie, grzęźnie w nich. Każda chwila jego kilku ostatnich miesięcy najpierw śniła się Derkaczowi. Nic dziwnego, że tak wrzeszczał.

Wędrówka

Po godzinie wędrówki Yeti wychodzi z dawnego parku. Idzie w głąb lądu, wzdłuż zniszczonych bulwarów, alei, ulic i jezdni w plebsopolii. Mnóstwo tu wraków aut na energię słoneczną, niektóre kłębią się w stertach po karambolach, niektóre są spalone, inne nietknięte, jakby zaparkowały tylko na chwilę. Nie brak wśród nich ciężarówek ani furgonetek, modeli z ogniwami paliwowymi i starych, na benzynę albo olej napędowy, są też auta terenowe. Kilka rowerów, kilka motocykli – nie najgorszy pomysł, zważywszy na zamęt na drogach, który musiał trwać przez wiele dni. Na dwuśladzie dało się wymijać większe pojazdy, zanim ktoś cię zastrzelił albo przejechał, i tym samym zrzucił z siodła.

Była tu kiedyś dzielnica mieszkaniowo-handlowa – sklepy na parterze, teraz zniszczone; nad nimi małe mroczne mieszkania. Większość znaków nadal stoi na swoim miejscu, mimo dziur po pociskach. Ludzie trzymali ołowiane kule z czasów przed miotaczami, chociaż w plebsopoliach posiadanie broni było nielegalne. Yeti nie zdołał znaleźć żadnych kul; zresztą i tak nie miał zardzewiałej starej broni, żeby ją załadować.

Budynki, które nie spłonęły ani nie eksplodowały, nadal stoją, choć przyroda wciska się w każdą szparę. Po latach czas rozkruszy asfalt, przebije mury, rozwali dachy. Wszędzie rośnie winorośl, ozdabia parapety, wpycha się przez wybite okna, pnie po kratkach i kratownicach. Wkrótce dzielnica zamieni się w dżunglę. Gdyby odkładał na później tę podróż, nie zdołałby wrócić. Niedługo znikną stąd wszelkie ślady ludzkiej działalności.

Przypuśćmy jednak – tylko przypuśćmy, myśli Yeti – że nie jest ostatni. Że przetrwali też inni. Zmusza ich, by zaistnieli, tych ewentualnych rozbitków, którzy mogli przeżyć w odosobnionych enklawach, odcięci od sieci komunikacyjnych. Mnisi w opuszczonych pustelniach, z dala od zarazy; pasterze z gór, którzy nigdy nie utrzymywali stosunków z ludźmi w dolinach; zaginione plemiona w dżungli. Rozbitkowie, którzy szybko zrozumieli, co jest grane, i po zabiciu wszystkich nowo przybyłych zaszyli się w podziemnych bunkrach. Prości farmerzy, odludki; lunatycy spacerujący we śnie, spowici ochronnymi halucynacjami. Grupy nomadów wędrujące po dawnych ścieżkach.

„Jak do tego doszło?”, zapytają ich potomkowie, natykając się na dowody, na ruiny.

Na rujnąjące dowody. „Kto to stworzył? Kto tu mieszkał? Kto to zniszczył?”. Tadz Mahal, Luwr, piramidy, Empire State Building – budowle, które widział w telewizji, w starych książkach, na pocztówkach, w Krwi i Różach. Obrazy na ich drodze, trójwymiarowe, naturalnej wielkości, bez żadnego przygotowania – można się przerazić, uciec, a po wszystkim zażądać wyjaśnień. Na początku myśleliby, że to robota olbrzymów lub bogów, ale prędzej czy później zechcieliby poznać prawdę. Jak on, mieliby mózg ciekawskiej małpy.

Może powiedzą: „Te rzeczy nie są prawdziwe. To fantasmagorie. Powstały w snach, a teraz, kiedy już nikt o nich nie śni, walą się w gruzy”.

– Przypuśćmy, czysto teoretycznie – powiedział pewnego wieczoru Derkacz – że cywilizacja taka, jaką znamy, ulega zniszczeniu. Chcesz trochę popcornu?

– To prawdziwe masło? – spytał Jimmy.

– W Watsonie-Cricku mają wszystko, co najlepsze – odparł Derkacz. – Jeśli by padła, nigdy by jej nie odbudowano.

– Niby dlaczego? Masz sól?

– Dlatego, że wcześniej zużyto by wszystkie dostępne metale powierzchniowe – wyjaśnił Derkacz. – A bez tego nie byłoby epoki żelaza, epoki brązu, epoki stali i całej reszty. Głębiej jeszcze są metale, ale zniknęłaby cała zaawansowana technologia służąca do ich wydobywania.

– Można by ją odtworzyć – odparł Jimmy, przeżuując. Już od dawna nie jadł równie dobrego popcornu. – Nadal mieliby instrukcje.

– Raczej nie – powiedział Derkacz. – To nie koło, to zbyt skomplikowane. Przypuśćmy, że instrukcje pozostały, przypuśćmy, że ocaleli ludzie, którzy potrafią je odczytać. Tych ludzi, rozproszonych, byłoby niewielu, nie mieliby narzędzi. Pamiętaj, brakowałoby elektryczności. Po śmierci tych ludzi nastąpiłby koniec. Nie mieliby czeladników ani spadkobierców. Chcesz piwa?

– Zimne?

– Wystarczy wyeliminować jedno pokolenie – ciągnął Derkacz. – Jedno pokolenie czegokolwiek. Pszczół, drzew, mikrobów, naukowców, ludzi ze znajomością francuskiego, obojętnie. Przerwać łączność między jedną generacją a następną, i gra dobiega końca.

– Skoro o grach mowa, twój ruch – powiedział Jimmy.

Wędrówka zamieniła się w ścieżkę z przeszkodami: w kilku miejscach Yeti musi zboczyć z trasy. Teraz kroczy wąską boczną uliczką porośniętą winoroślą: przystroiła sobą całą ulicę, od dachu do dachu. Przez szpary w zieleni nad głową dostrzega stado sępów krążących leniwie po niebie. One także go widzą, mają wzrok jak dziesięć

szkieł powiększających, mogą nawet policzyć drobniaki w kieszeni. Yeti trochę się zna na sępach.

– Jeszcze nie! – woła do nich.

Dlaczego jednak je rozczarowywać? Jeśli upadnie, zrani się, straci przytomność, rozszarpia go wilksy albo świniory, komu – poza nim samym – zrobi to jakąkolwiek różnicę? Derkaczanie dobrze sobie radzą, już go nie potrzebują. Przez pewien czas będą się zastanawiali, gdzie zniknął, ale sam dostarczył im odpowiedzi na to pytanie: poszedł do Derkacza. Zostanie drugorzędnym pionkiem w ich mitologii, takiej jaka jest – demiurgiem drugiej kategorii. Zapamiętają postać, którą stworzyli w swoich umysłach. Nikt po nim nie zapłacze.

Słońce wspina się wyżej, grzeje coraz mocniej. Yeti ma zawroty głowy. Gruby konar nagle się odsuwa, błyskając językiem, gdy wyrasta przed nim stopa Yeti. Musi bardziej uważać. Czy te węże są jadowite? Czy ten długi ogon, na który niemal nastąpił, jest doczepiony do pokrytego futrem ciała? Nie widział zbyt dobrze, jednak ma nadzieję, że nie jest. Wężury podobno wytępiono, ale wystarczyłoby przecież tylko para. Jedna para, Adam i Ewa węzurów i jakiś niezadowolony dziwak, który nakazał im iść i się rozmnażać, zachwycony perspektywą obecności tych stworzeń w rurach. Szczurów o długich, zielonych, pokrytych łuską ogonach i z jadowitymi kłami. Odsuwa od siebie tę myśl.

Zaczyna nucić, żeby poprawić sobie humor. Co to za melodia? *Zimowa Kraina Czarów*. Na każdą Gwiazdkę grywali to w centrach handlowych, długo po tym, jak przestał padać śnieg. Jakaś melodia o psikusach robionych człowiekowi ze śniegu, zanim się rozpuści.

Może jednak wcale nie jest Yeti. Może jest innym rodzajem człowieka śniegu, szczerzącym zęby bałwanem, ulepionym w ramach dowcipu i zniszczonym dla zabawy, z uśmiechem z kamyków, marchewkowym nosem, aż proszącym się o szyderstwa i obelgi. Może to prawdziwy on, ostatni *Homo sapiens* – blade złudzenie człowieka, dziś jest, jutro go nie ma, łatwo go przewrócić, samotnie topnieje w słońcu, coraz chudszy i chudszy, aż całkiem się rozpuści i spłynie. Jak Yeti teraz. Przystaje, ociera pot z twarzy, wypija pół butelki wody. Ma nadzieję, że wkrótce gdzieś jakąś znajdzie.

Przed nim domy rzędą i zanikają. Teraz mija ciąg parkingów i magazynów, za którymi jest drut kolczasty rozciągnięty między betonowymi słupkami, misterna brama zdjęta z zawiasów. Koniec miejskiej zabudowy, granica plebsopolii, początek darni Kompleksu. Tu znajduje się ostatnia stacja zamkniętego tunelu kolei szybkobieżnej, w kolorystyce rodem z placu zabaw dla dzieci. Nie ma ryzyka, mówią te kolory. To taka dziecięca zabawa.

To jednak niebezpieczna część. Do tego miejsca zawsze było coś, na co mógł się wspiąć, wskoczyć lub za co się schować w razie ataku z boku, teraz jednak pojawiła się otwarta przestrzeń bez żadnej kryjówki i z kilkoma pionowymi elementami krajobrazu. Naciąga prześcieradło na czapkę baseballową, żeby się schronić przed blaskiem słońca, opatulony niczym Arab, i idzie przed siebie jak najszybciej. Wie, że nie uniknie poparzeń nawet w prześcieradle, jeśli pozostanie tu zbyt długo: cała nadzieja w tempie. Musi znaleźć schronienie przed południem, zanim asfalt rozgrzeje się tak bardzo, że Yeti nie zdoła po nim chodzić.

W końcu dociera do Kompleksu. Mija skręt do KrioGeniusza, jednego z mniejszych ośrodków. Żałuje, że nie był muchą na ścianie, kiedy zgasły światła, a dwa tysiące zamrożonych głów milionerów czekających na zmartwychwstanie rozpuściło się w ciemności. Obok wybudowano Gnomdżiny, z maskotką elfa, który wystawia z probówki głowę o spiczastych uszach i ją chowa. Zauważył, że neon się pali; najwyraźniej bateria słoneczna nadal działa, choć nie idealnie. Te napisy miały świecić tylko w nocy.

Wreszcie doszedł do OdmłodNowy. Tam, gdzie popełnił tyle błędów, tylu spraw nie zrozumiał, udał się na ostatnią radosną przejażdżkę. Kompleks jest większy niż Farmy OrganSA, większy niż ZdrowoTech. Największy ze wszystkich.

Mija pierwszą barykadę z rozwalonych lamp radaroskopowych i zepsutych reflektorów, potem punkt kontrolny. W budce wisi ciało mężczyzny w mundurze. Yeti nie jest specjalnie zdziwiony brakiem głowy – w czasach kryzysu emocje wymykają się spod kontroli. Sprawdza, czy strażnik ma miotacz; nic z tego.

Potem pojawia się niezabudowana przestrzeń. Ziemia niczyja, tak ją nazywał Derkacz. Brak tu drzew: ścięli wszystko, co mogło służyć za schronienie, podzielili teren na kwadraty za pomocą wykrywaczy ciepła i ruchu. Szachownica już dawno zarosła, chwasty wystają niczym wąsy na całej powierzchni. Yeti przez parę minut patrzy na pole, ale poza gromadą ciemnych ptaków dziobiących coś na ziemi nic się nie porusza. Wtedy podejmuje wędrówkę.

Teraz zmierza we właściwym kierunku. Na drodze leżą rozmaite przedmioty, które ludzie musieli porzucić podczas ucieczki. To jak odwrotność poszukiwania skarbów. Walizka, plecak pełen ubrań i błyskotek; otwarta torba, obok różowa szczoteczka do zębów. Bransoletka; ozdoba do włosów w kształcie motyla; notatnik z przemoczonymi kartkami zapisanymi nieczytelnym charakterem pisma.

Na początku uciekinierzy musieli mieć nadzieję. Na pewno myśleli, że te rzeczy przydadzą się później. Potem zmienili zdanie.

OdmłodNowa

Brak mu tchu i bardzo się poci, kiedy dociera do muru obronnego Kompleksu OdmłodNowa, ściany o wysokości przeszło czterech metrów, ale już nie pod napięciem, zwieńczonej zardzewiałymi metalowymi kolcami. Wchodzi przez zewnętrzną bramę, która wygląda tak, jakby ktoś ją rozsadził, a potem przystaje w jej cieniu, by zjeść czekoladowy baton energetyczny i wypić resztkę wody. Później rusza przed siebie, nad fosą, obok wartowni, w której niegdyś urzędowali uzbrojeni strażnicy z KorpuSOKorpu, i oszklonych boksów, gdzie monitorowali sprzęt podsłuchowy, a następnie mijają wieżę obserwacyjną ze stalowymi drzwiami – obecnie otwartymi – gdzie kiedyś musiał pokazać odcisk kciuka i skan tęczówki oka.

Za nią rozciąga się widok, który tak dobrze pamięta: rezydencje typowe dla zielonych przedmieść, wielkie domy w pseudogeorgiańskim, pseudotudorowskim stylu, a także te naśladujące francuską prowincję; kręte uliczki prowadzące na pole golfowe dla pracowników i do przeznaczonych dla nich restauracji, nocnych klubów, klinik medycznych, centrów handlowych, zadaszonych kortów do tenisa i do szpitali. Po prawej znajdują się izolatki dla agresywnych bioform, jaskrawopomarańczowe i czarne, oraz wstrząsoodporne fortece w kształcie sześcianu, w których znajdowały się biura kompleksu. W oddali widzi swój cel, centralny park i czubek fascynującej kopuły Derkacza, nad drzewami, okrągły, biały i lśniący niczym lodowa bańka. Patrząc na niego, Yeti drży.

Nie ma jednak czasu na bezcelowe smutki. Zmierza pospiesznie do głównej ulicy, omija stosy odzieży i poskręcane ludzkie trupy. Niewiele z nich zostało poza kośćmi: padlinożercy nie próżnowali. Kiedy stąd wychodził, Kompleks wyglądał jak miejsce zamieszek i śmierdział rzeźnią, ale teraz jest tu zupełnie cicho, odór prawie całkiem zniknął. Świniony zryły trawniki; wszędzie widać ślady ich racic, na szczęście niezbyt świeże.

Yeti szuka przede wszystkim żywności. Warto byłoby pójść drogą aż do centrów handlowych – tam ma większe szanse na porządny posiłek – ale jest na to zbyt głodny. Poza tym musi zejść ze słońca, natychmiast.

Skreca więc w drugą przecnicę w lewo, do dzielnicy mieszkaniowej. Wzdłuż chodników już rosną gęste chwasty. Ulica jest półokrągła, na wysepce pośrodku wyrósł pęk krzaków, nieprzycinanych i zaniedbanych, lśniących od czerwonych

i fioletowych kwiatów. Jakaś egzotyczna kombinacja – za parę lat nic z nich nie zostanie albo się rozrosną, utworzą odnogi, wypłenią okoliczną roślinność. Kto wie? Cały świat jest teraz jednym wielkim niekontrolowanym eksperymentem – zawsze był, powiedziała by Derkacz – a triumfy święci doktryna niezamierzonych konsekwencji.

Wybiera dom średnich rozmiarów, w osiemnastowiecznym stylu. Frontowe drzwi są zamknięte, ale okno w kształcie karo rozbito – najwyraźniej jakiś biedny grabieżca był od niego szybszy. Yeti zachodzi w głowę, czego szukał ten nieszczęśnik: jedzenia, bezużytecznych pieniędzy czy noclegu? Cokolwiek to było, zapewne niewiele mu dało.

Pije kilka łyków wody z kamiennego poidła dla ptaków, zdobionego podobiznami żab o bezmyślnym wyglądzie. Jest wciąż pełne po wczorajszej ulewie i niezbyt zanieczyszczone ptasimi odchodami. Jakie choroby roznoszą ptaki? Czy przez guano? Będzie musiał zaryzykować. Po obmyciu twarzy i szyi napełnia butelkę, potem spogląda na dom w poszukiwaniu oznak życia, ruchu. Nie potrafi pozbyć się wrażenia, że ktoś – ktoś taki jak on – czeka za któryśmś rogiem, za uchylonymi drzwiami.

Zdejmuje okulary przeciwsłoneczne. Zawiązuje je w prześcieradle. Potem wchodzi na rozbite okno, jedna noga, później druga, najpierw rzuca kij. Znalazł się w półmroku, czuje, że włosy na rękach stają mu dęba: klaustrofobia i zła energia już go dopadły. Powietrze jest gęste, jakby od skondensowanej paniki, która jeszcze nie miała czasu się ulotnić. Śmierdzi tutaj niczym z tysiąca zatłoczonych odpływów.

– Halo? – woła Yeti. – Jest tu kto?

Nic nie może na to poradzić – każdy dom informuje go o potencjalnych mieszkańcach. Ma ochotę wyjść, zbiera mu się na mdłości, jednak przykłada do nosa rąbek swojego śmierdzącego prześcieradła – przynajmniej to jego zapach – rusza po pleśniejących dywanach, obok zamazanych kształtów mebli-kopii. Słyszy pisk, szelest: zagościły tu szczury. Ostrożnie stawia kroki. Wie, czym jest dla szczurów: padliną na kopytach. To chyba jednak prawdziwe szczury, nie węzury. Węzury nie piszczą, tylko syczą.

Nie piszczały, tylko syczały, poprawia się. Zlikwidowano je, musi w to wierzyć.

Po kolei. Natrafia na barek z alkoholem w jadalni i szybko przegląda zawartość. Pół butelki burbona, nic poza tym, same puste butelki. Żadnych papierosów. Pewnie nikt w tym domu nie palił albo łupieżca przed nim zabrał papierosy.

– Pieprz się – mówi do kredensu w kolorze patynowanego dębu.

Potem na palcach wchodzi po wyściełanych dywanem schodach na pierwsze piętro. Czemu tak cicho niczym prawdziwy włamywacz? Nic nie może na to poradzić. Na pewno są tu ludzie, śpią. Na pewno go usłyszą i się przebudzą. Wie jednak, że to głupie.

W łazience jest mężczyzna, rozciągnięty na kafelkach w kolorach ziemi, ubrany – to, co z niego zostało – w pizamę w niebiesko-bordowe paski. Dziwne, myśli Yeti, że w nagłych wypadkach mnóstwo ludzi ucieka do łazienki. W tych domach łazienki

stanowiły odpowiednik azylu, miejsca, w którym można było pomedytować w samotności. A także rzygać, krwawić z oczodołów, wysrywać bebechy albo desperacko szukać w apteczce jakiejś tabletki, która mogłaby przynieść ratunek.

To ładna łazienka. Jacuzzi, ceramiczne meksykańskie syrenki na ścianach: głowy w kwiatach, blond loki i jaskraworóżowe sutki małych, lecz kształtnych piersi. Chętnie wziąłby prysznic – na pewno jest tu grawitacyjny zbiornik na wodę deszczową – ale wannę pokrywa coś na kształt stwardniałej mazi. Chowa kostkę mydła na później, szuka w szafce kremu z filtrem, bez powodzenia. Znajduje pojemnik tabletek BłogoPlus, do połowy pełny; butelkę aspiryny, którą natychmiast chwytą. Waha się, czy dorzucić do tego szczoteczkę do zębów, ale brzydzi go szczotka po trupie, więc bierze tylko pastę. „Bielszy uśmiech”, czyta. I dobrze, przyda mu się bielszy uśmiech, choć w tej chwili w zasadzie nie wie po co.

Lusterko w apteczce jest rozbite, w ostatnim akcie bezsilnej wściekłości, kosmicznego protestu – „Dlaczego? Dlaczego ja?”. Może to zrozumieć, zrobiłby to samo. Zbiłby coś; zamienił ostatni rzut oka na siebie w okruchy. Większość szkła wylądowała w umywalce, ale Yeti uważa, gdzie stawia stopy, zupełnie jak koń, teraz od tego zależy jego życie. Jeśli nie będzie mógł chodzić, skończy jako karma dla szczurów.

Wędruje korytarzem. Pani domu leży w sypialni pod różowo-złotą kołdrą królewskich rozmiarów. Spod kołdry wystaje ręka i łopatka, kości i ścięgna w koszulce nocnej w cętki jaguara. Ukryła twarz, i dobrze, ale jej włosy są zupełnie nietknięte, wyglądają jak peruka: ciemne odrosty, srebrzyste pasemka, przypomina to trochę fryzurę na chłopczycę. Nawet atrakcyjnej na odpowiedniej kobiecie.

Kiedyś miał zwyczaj przy lada okazji przeglądać szuflady innych ludzi, ale w tym pokoju nie chce tego robić. I tak znalazłby to, co zawsze. Bieliznę, gadzety erotyczne, wymyślną biżuterię, a także ogryzki ołówków, drobniaki, pineski i pamiętnik, gdyby mu się poszczęściło. Kiedy był w liceum, lubił czytać dziewczęce dzienniki, z tymi ich dużymi literami, pełne wykrzykników, powtórzeń – „kocham kocham kocham, nienawidzę nienawidzę nienawidzę” – i kolorowych podkreśleń, jak w nawiedzonych listach, które dostawał później, w pracy. Czekał, aż dziewczyna pójdzie pod prysznic, a następnie szybko jak błyskawica przeglądał jej rzeczy. Rzecz jasna, szukał własnego imienia, choć nie zawsze podobało mu się to, co znajdował.

Kiedyś przeczytał: „Jimmy, ty wścibski sukinsynu, wiem, że to czytasz, nie cierpię tego, to, że cię wypieprzyłam, nie znaczy, że cię lubię, więc ŁAPY PRZY SOBIE!”. Miała na imię Brenda. Bystra miłośniczka gumy do żucia, siedziała przed nim na lekcjach praktycznych umiejętności. W szufladzie kryła robopsa na baterie słoneczne, który warczał, przynosił plastikowe kości, a podnosząc nogę, wysikiwał żółty płyn. Zawsze go zdumiewało, że najtwardsze i najzłośliwsze dziewczyny trzymały w sypialniach najbardziej tandetne, najbardziej sentymentalne gadzety.

Na toaletce stoi standardowa kolekcja: kremy ujędrniające, terapia hormonalna, ampułki i strzykawki, kosmetyki, wody zapachowe. W półmroku sączącym się przez żaluzje wszystkie te rzeczy lśnią ponuro niczym martwa natura wytłumiona werniksem. Yeti spryskuje się zawartością jednej z butelek, piżmowym zapachem, który – ma nadzieję – zagłuszy inne zapachy w domu. „Kokainowy crack”, głosi złoty napis na butelce. Przez moment kusi go, żeby to wypić, ale przypomina sobie o burbonie.

Potem pochyla głowę, żeby zerknąć na siebie w owalnym lustrze. Zawsze ulega lustrom w miejscach, do których się włamuje, zawsze przelotnie w nie zerka. Jest coraz bardziej zaszokowany. Nieznajomy odwzajemnia jego spojrzenie, nieznajomy o przekrwionych oczach, zapadniętych policzkach, pokrytych ranami po ukąszeniach owadów. Wygląda na starszego o dwadzieścia lat. Yeti mruga, uśmiecha się do siebie, wywala język – efekt jest naprawdę ponury. Za nim w lustrze łuska po pani domu w łóżku wygląda niemal jak prawdziwa kobieta; w każdej chwili mogłaby się do niego odwrócić, rozłożyć ramiona, wyszeptać, by przyszedł i ją wziął. Ją i jej chłopiące włosy.

Oryks też miała taką perukę. Lubiła przebieranki, zmiany, udawanie innej kobiety. Kroczyła dumnie po pokoju, urządziła mały striptiz, wiła się i przybierała rozmaite pozy. Twierdziła, że mężczyźni lubią odmianę.

– Kto ci to powiedział? – spytał ją Jimmy.

– Och, ktoś. – Po chwili się roześmiała. Tuż zanim ją chwycił, a jej peruka spadła...

– Jimmee!

Teraz jednak nie może sobie pozwolić na myślenie o Oryks.

Uświadamia sobie, że stoi pośrodku pokoju ze zwieszonymi rękoma i otwartymi ustami.

– Byłem nieinteligentny – mówi głośno.

Następne drzwi prowadzą do pokoju dziecięcego, w którym jest komputer w obudowie z wesołego czerwonego plastiku, półka misiów, bordiura w żyrafy i zbiorów CD pełnych – sądząc po obrazkach na okładkach – jakichś niesłychanie krwawych gier. Nie ma tu jednak dziecka, trupa dziecka. Może umarło i zostało skremowane w tych pierwszych kilku dniach, kiedy jeszcze urządzano kremacje; a może wpadło w popłoch, kiedy jego rodzice runęli na ziemię i zaczęli krztusić się krwią, i gdzieś uciekło. Może to jedna z kupek ubrań i kości, które mijał na ulicy. Niektóre były niewielkie.

W korytarzu znajduje szafkę z pościelą i zmienia swoje brudne prześcieradło na świeże, tym razem nie gładkie, lecz w ślimaki i kwiatki. To robi wrażenie na derkaczowych dzieciakach. „Patrzcie”, powiedzą. „Yeti wypuszcza liście!” Uznają, że

to potrafi. W szafce jest cały zapas czystych prześcieradeł, starannie poskładanych, ale on bierze tylko to jedno. Nie chce obciążać się rzeczami, których tak naprawdę nie potrzebuje. Jeśli zapragnie, zawsze może wrócić po więcej.

Słyszy głos matki powtarzającej, żeby odłożył stare prześcieradło do kosza z brudną bielizną – trudno wyplenić stare nawyki – ale on rzuca je na podłogę i idzie na dół, do kuchni. Ma nadzieję, że znajdzie jakieś jedzenie w puszkach, stek sojowy albo fasolkę, albo dietetyczne parówki, cokolwiek białkowego – nawet warzywa byłyby mile widziane, choćby erzac, wzięłby wszystko – ale ten, kto stłukł okno, wyczyścił też szafki. W plastikowym pojemniku natrafia na garść płatków, więc je zjada; to zwykłe śmieciowe żarcie – musi dużo żuć i popijać wodą. Znajduje trzy paczki orzechów nerkowca, takich rozdawanych w pociągu, i natychmiast pożera jedną. Jest tam też puszka sardynek SojaMoja i w połowie pusta butelka ketchupu, ciemnobrązowego i sfermentowanego.

Nie decyduje się otworzyć lodówki. Smród częściowo dochodzi właśnie stamtąd.

W jednej z szuflad pod kuchenną ladą leży sprawna latarka. Bierze ją, dwa ogarki niedopalonych świec i trochę zapalek. Znajduje plastikowy worek na śmieci (tam, gdzie powinno się trzymać takie worki) i wkłada do niego wszystko, także sardynki i pozostałe dwie paczki nerkowca, burbon, mydło i aspirynę. W kuchni jest kilka noży, niezbyt ostrych; wybiera dwa i mały rondel. Przyda się, jeśli będzie miał coś do ugotowania.

Dalej w korytarzu, między kuchnią a pomieszczeniem gospodarczym, urządzono maleńki gabinet. Biurko z nieczynnym komputerem. Faks, drukarka, a także pojemnik z plastikowymi długopisami, półka książek do pracy: słownik, tezaurus, Bartlett, antologia poezji współczesnej Nortona. Facet w piżamie w paski musiał zatem być człowiekiem słów: autorem przemówień z OdmłodNowy, ideologicznym hydraulikiem, rzecznikiem prasowym, szczegółarzem do wynajęcia. Biedy głupek, myśli Yeti.

Za wazonem z uschniętymi kwiatami oraz zdjęciem ojca i syna w ramce – a więc dziecko było chłopcem, siedmio- albo ośmioletnim – Yeti znajduje notatnik telefoniczny. Na górze strony napisano: „SKOŚ TRAWNIK”. I mniejszymi, cieńszymi literami: „Zadzwoń do kliniki...”. Długopis nadal leży na kartce, jakby wypadł ze słabnącej ręki. Czyli to przyszło nagle, błyskawicznie, jednocześnie choroba i zrozumienie. Yeti może sobie wyobrazić faceta, który zaczyna pojmwować, patrząc na swoją poruszającą się dłoń. Musiał być wczesnym przypadkiem, w przeciwnym razie nie troszczyłby się o trawnik.

Znowu czuje, jak włosy na karku stają mu dęba. Dlaczego ma wrażenie, że włamał się do własnego domu? Do własnego domu sprzed ćwierćwiecza, że on sam jest tym zaginionym dzieckiem?

Tornado

Yeti idzie przez półmrok salonu do wyjścia, planując dalszą trasę. Będzie musiał poszukać domu bogatszego w żywność w puszkach albo sklepu. Mógłby tam nawet przenocować na jednej z górnych półek, wtedy nie musiałby się spieszyć, miałby czas wybrać najlepsze towary. Kto wie, może zostały jakieś batony czekoladowe. Odpowiednio zabezpieczywszy wyżywienie, poszedłby do kopuły, ukradł arsenał. Ze sprawnym miotaczem w dłoni czułby się o wiele bezpieczniej.

Wyrzuca kij przez potłuczoną szybę, potem wchodzi na okno, uważając, żeby nie podrzeć nowego kwiecistego prześcieradła, nie poranić się ani nie zahaczyć plastikowym workiem o ostre odłamki szkła. Dokładnie naprzeciwko niego na zarośniętym trawniku, skróciwszy sobie drogę na ulicę, truchta kwintet świniaków. Grzebią w niedużej stercie śmieci, w której – Yeti ma przynajmniej taką nadzieję – są tylko ubrania. Knur, dwie lochy, dwójka młodych. Kiedy go słyszą, zamierają i unoszą pyski: widzą go, no cóż. Unosi kij, potrząsa nim. Zazwyczaj uciekają, kiedy to robi – świniaki mają dobrą pamięć, a kij wygląda jak pałki elektryczne – tym razem jednak nawet nie drgnęły. Węszą, jakby w zdumieniu; może to przez te perfumy, którymi się spryskał. Czyżby zawierały działające na zwierzęta feromony? Miałyby pecha. Śmierć pod racicami oszalałych z pożądania świniaków. Co za kretyński koniec.

Co robi, jeśli zaatakują? Jest tylko jedno wyjście – wdrapie się z powrotem do domu. Ma na to czas? Mimo krótkich nówek zakończonych olbrzymim cielskiem to draństwo bardzo szybko biega. Noże kuchenne tkwią w jego worku na śmieci: tak czy owak są zbyt krótkie i liche, żeby wyrządzić krzywdę dorosłemu świniakowi. To przypominałoby przebijanie opony ciężarówki obieraczką do warzyw.

Knur pochyla łeb, garbi masywną szyję i łopatki. Chwiejąc się niespokojnie, próbuje podjąć decyzję. Inne zwierzęta jednak już rozpoczęły odwrót, więc po zastanowieniu samiec podąża za nimi. Demonstrując pogardę i wrogość, opróżnia jelita. Yeti stoi nieruchomo, dopóki nie zniknął mu z pola widzenia, a później ostrożnie rusza przed siebie. Często się ogląda. Za dużo tu śladów świniaków. Te stworzenia są dość inteligentne, by udać odwrót, a potem zaatakować zza węgła. Powalą go, stratują i później rozszarpiają; najpierw zjedzą organy. Zna ich gust. Bystre i wszystkożerne zwierzę z takiego świniaka. Niektóre miewają nawet ludzką korę nową w swoich zdolnych, niegodziwych łbach.

Tak: są tam, przed nim. Wychodzą zza krzaka, cała piątka, nie, cała siódemka. Ruszają w jego kierunku. Gdyby się odwrócił albo zaczął biec, popełniłby błąd. Unosi kij, schodzi na bok, tam, skąd przyszedł. W razie konieczności schroni się w punkcie kontrolnym i poczeka, aż odejdą. Potem będzie musiał znaleźć jakąś okreśną drogę do kopuły, bocznymi uliczkami, gdzie łatwo uciec.

Kiedy jednak pokonuje tę odległość, potykając się jak w trakcie jakiegoś groteskowego tańca, a świniony ciągle patrzą, z południa napływają ciemne chmury. To nie zwykła popołudniowa burza: jest za wcześnie, niebo ma złowieszczy zielonkawożółty odcień. To tornado, w dodatku potężne. Świniony już zniknęły w poszukiwaniu kryjówki.

Yeti stoi przed punktem kontrolnym i patrzy, jak nadciąga burza. Wspaniały spektakl. Kiedyś widział amatora nagrywającego tornado kamerą, wessało go. Zastanawia się, jak sobie poradzą Dzieci Derkacza na wybrzeżu. Kiepsko by było, gdyby żywe dowody teorii Derkacza porwał wichur albo zmiotła wielka fala. Tak się jednak nie stanie: w razie wysokiej fali mają falochrony z rumowisk. Co do tornada, jedno już przeżyli. Uciekną do pieczary, która powstała wśród betonowych bloków, nazywanej domem grzmotu, i przeczekają.

Uderza wiatr, porusza śmieciami na otwartej przestrzeni. Błyskawice pomiędzy chmurami. Widzi nadchodzący zygzakiem cienki ciemny stożek; po chwili zapada ciemność. Na szczęście punkt kontrolny łączy się z budynkiem ochrony, a te budowle przypominają bunkry, mury są grube i solidne. Nurkuje tam, gdy nadchodzi pierwszy deszcz.

Słychać pisk wiatru, trzask pioruna, wibrujący dźwięk, kiedy wszystko, co jeszcze tkwi na swoim miejscu, pomrukuje niczym przekładnia w wielkim silniku. Jakiś duży przedmiot uderza o mur. Yeti się cofa, mija jedne drzwi, a potem następne, grzebiąc w worku na śmieci w poszukiwaniu latarki. Wyciąga ją i usiłuje zapalić, kiedy słychać koszmarny łomot i światła nad jego głową rozbłyskują. Na pewno nastąpiło ponowne spięcie w obwodach połączonych z bateriami słonecznymi.

Niemal żałuje, że światło się zapaliło – w kącie leżą dwa bioskafandry, a w nich coś w kiepskim stanie. Obok otwarte szafki na akta, porozrzucane papiery. Wygląda na to, że strażników obezwładniono. Może usiłowali uniemożliwić ludziom ucieczkę; z tego, co pamięta, próbowano narzucić kwarantannę. Elementy społeczne, czyli w tamtym czasie niemal wszyscy, musiały się jednak włamać i zniszczyć tajne akta. Jakże optymistycznie zakładano, że jakiegokolwiek papiery i schowki mogą się jeszcze kiedyś przydać.

Wbrew sobie podchodzi do skafandrów; potrąca je kijem, przewraca na drugą stronę. Nie jest tak źle, jak myślał, niezbyt śmierdzą, żuków też niewiele; wszystkie miękkie tkanki już właściwie zniknęły. Nie może jednak znaleźć żadnej broni. Aspołeczni pewnie ją zabrali, on by tak postąpił na ich miejscu. Tak postąpił.

Opuszcza schowek, wraca do recepcji, części z biurkiem i ladą. Nagle ogarnia go olbrzymie zmęczenie. Siada na ergonomicznym krześle. Już od dawna nie siedział na żadnym krześle, dziwnie się czuje. Postanawia wyciągnąć zapałki i ogarki, na wypadek gdyby światła znowu zgasły; przy okazji wypija trochę wody zlanej z poidła dla ptaków i zjada drugą paczkę orzechów nerkowca. Słyszy wycie wiatru, nieziemski huk brzmi tak, jakby olbrzymie zwierzę zerwało się z łańcucha i zaczęło szaleć. Podmuchy docierają do wnętrza, mimo drzwi oddzielających go od huraganu, wiatr wznieca kurz; wszystko grzechocze. Ręce mu drżą. To robi na nim wrażenie, większe, niż jest skłonny przyznać sam przed sobą.

A jeśli są tu szczury? Na pewno są. A jeśli woda zaleje podłogę? Będą mu łązić po łydkach! Podwija nogi, przerzuca je przez jeden z ergonomicznych podłokietników, otula się kwiecistym prześcieradłem. Nie usłyszy żadnych charakterystycznych pisków, grzmoty są zbyt donośne.

„Wielki człowiek musi stawić czoło wyzwaniom, jakie podsuwa mu życie”, mówi głos. Kto tym razem? Motywacyjny wykładowca z MłodTV, jakiś nedorzeczny truteń w garniturze. Gaduła do wynajęcia. „Tego nauczyła nas historia. Im wyższa przeszkoda, tym wspanialszy skok. W obliczu kryzysu musisz dorosnąć”.

– Nie dorosłem, kretynie! – krzyczy Yeti. – Spójrz na mnie! Skurczyłem się! Mam mózg wielkości winogrona!

Ale nie wie, czy jest większy, czy mniejszy, nie ma się do kogo porównać. Zabłądził we mgle. Brak mu kryteriów.

Światła gasną. Teraz siedzi samotnie w ciemności.

– No i co z tego? – mówi do siebie. – Dotąd siedziałeś sam w świetle. Niewielka różnica.

Nieprawda.

Jest jednak gotowy. Bierze się w garść. Ustawia latarkę, w jej słabym świetle rozpala zapałkę, z trudem przytyka ją do knota świecy. Światelko drży w przeciągu, ale płonie, rzuca na biurko mały jasny krąg ciepłej żółtej poświaty, zamieniając pomieszczenie w jaskinię, ciemną, lecz bezpieczną.

Yeti szpera w plastikowym worku, znajduje trzecią paczkę orzeszków, rozrywa ją, zjada zawartość. Wyjmuje butelkę burbona, waha się, po chwili odkręca korek i pije. Gul gul gul, wyskakuje napis z komiksów w jego głowie. Woda ognista.

„Och, skarbie”, odzywa się kobiecy głos z kąta pokoju. „Dobrze sobie radzisz”.

– Nie, nieprawda – mówi.

Podmuch powietrza – huuf! – uderza go w uszy, gasi płomień. Nie chce mu się zapalać go raz jeszcze, burbon zrobił swoje. Woli siedzieć w ciemności. Może wyczuć napływającą ku niemu Oryks, na miękkich pierzastych skrzydłach. Lada moment tu z nim będzie. Yeti siedzi z podkurczonymi na krześle nogami, z głową opartą o blat

biurka i zamkniętymi oczyma, nieszczęśliwy i spokojny.

10

Sępiecie

Po czterech latach chaosu Jimmy skończył Marthę Graham z marnym dyplomem z problematyki. Nie oczekiwał, że od razu znajdzie pracę, więc pod tym względem nie był rozczarowany. Przez wiele tygodni rozsyłał swoje skromne referencje i szybko otrzymywał je z powrotem, czasem pełne tłustych plam i odcisków palców wyjątkowo podrzędnego trybiku, który przeglądał je podczas lanczu. Wtedy Jimmy wymieniał brudne strony i ponownie wysyłał ofertę.

Podłapał fuchę w bibliotece Marthy Graham, polegającą na przeglądaniu starych książek i wybieraniu tych do zniszczenia, a także decydowaniu, które pozostaną na świecie w cyfrowej formie. Stracił tę pracę w połowie semestru, gdyż za nic nie mógł niczego wyrzucić. Potem zamieszkał na kocia łąkę ze swoją dziewczyną, konceptualną artystką i długowłosą brunetką Amandą Payne. Wymyśliła sobie ten pseudonim, jak wiele innych rzeczy: naprawdę nazywała się Barb Jones. Powiedziała Jimmy'emu, że musi określić się na nowo, gdyż prawdziwą Barb tak stłamsiła jej toksyczna, uzależniona od cukru i prymitywna rodzina, że został po niej tylko odrzut z wyprzedaży rzeczy używanych, coś jak dzwonek wietrzny z pogiętych widelców albo krzesło o trzech nogach.

To pociągało w niej Jimmy'ego, dla którego „wyprzedaż rzeczy używanych” sama w sobie była egzotycznym konceptem: chciał poskładać Amandę, dokonać niezbędnych napraw, odświeżyć farbę. Sprawić, by była jak nowa.

– Masz dobre serce – powiedziała mu za pierwszym razem, kiedy wpuściła go za swoje mury obronne. Poprawka: w swoje ogrodniczki.

Amanda dysponowała zapuszczonym mieszkaniem w jednym z Modułów, dzieliła je z dwoma artystami płci męskiej. Wszyscy troje byli z plebsopolii, mieli stypendium Marthy Graham i uważali się za lepszych niż uprzywilejowane, pozbawione kręgosłupa, zdegenerowane potomstwo mieszkańców Kompleksów, ludzie tacy jak Jimmy. Oni musieli być twardzi, znosić swój los po męsku, walczyć o swoje. Twierdzili, że cechuje ich jasność spojrzenia, którą uzyskali dzięki zetknięciu z ciemną stroną życia. Jeden z mężczyzn próbował popełnić samobójstwo, co zapewniło mu – jak sugerował – wyjątkowy punkt widzenia. Drugi wstrzykiwał sobie mnóstwo heroiny, a także nią handlował, zanim przerzucił się na sztukę, czy też dołożył ją do swojego repertuaru. Po kilku pierwszych tygodniach, w których Jimmy uznał ich za

charyzmatycznych, doszedł do wniosku, że obaj to zwykli gówniani wyrobnicy, a na dodatek zarozumiałe snoby.

Ci dwaj, którzy nie byli Amandą, tolerowali Jimmy'ego, choć z trudem. Usiłując się im podlizać, od czasu do czasu brał dyżury w kuchni – cała trójka artystów gardziła kuchenkami mikrofalowymi i wołała gotować sobie spaghetti – ale nie był najlepszym kucharzem. Popęłnił błąd, przynosząc pewnego wieczoru kubek skrzydełek kurczakiści – za rogiem otworzyli filię sieciówki, jedzenie nie było najgorsze, jeśli się zapomniało, skąd pochodzi – i po tym ci dwaj, którzy nie byli Amandą, w zasadzie przestali się do niego odzywać.

Co nie przeszkadzało im rozmawiać ze sobą. Mieli mnóstwo do powiedzenia na temat rozmaitych bzdur, na których rzekomo świetnie się znali, i jeden podjudzał drugiego, prawiąc kazania i wygłaszając przemowy, w rzeczywistości – jak podejrzewał Jimmy – przeznaczone dla jego uszu. Ich zdaniem zabawa skończyła się w chwili, gdy powstało rolnictwo, sześć czy siedem tysięcy lat temu. Po tym ludzki eksperyment był już skazany na porażkę: najpierw na gigantyzm spowodowany maksymalizacją produkcji żywności, a potem na wyginięcie, kiedy już wszystkie dostępne składniki odżywcze znikną.

– Znacie rozwiązanie? – spytał Jimmy.

Spodobało mu się wbijanie im szpilek, no bo kim byli, żeby wszystko oceniać? Artyści, odporni na ironię, odparli, że prawidłowa analiza to jedno, a prawidłowe rozwiązanie co innego, i brak tego drugiego nie podważa pierwszego.

Tak czy owak, być może rozwiązania nie istniały. Społeczeństwo ludzkie, jak twierdzili, jest czymś w rodzaju potwora, jego główne produkty uboczne to trupy i gruzy. Niczego się nie uczy, wciąż popełnia te same kretyńskie błędy, prehandlowuje długotrwałą pracę za krótkotrwałe kołaczki. Przypomina gigantycznego ślimaka niezmordowanie wgryzającego się we wszystkie inne bioformy na planecie, mordującego życie na Ziemi i wysrywającego je w formie wyprodukowanych i szybko odchodzących w zapomnienie plastikowych śmieci.

– Takich jak wasze komputery? – mruknął Jimmy. – Te, na których powstaje wasza sztuka?

Wkrótce, ciągnęli artyści, ignorując go, nie zostanie nic prócz mnóstwa długich podziemnych rur, oplatających całą powierzchnię planety. Powietrze i światło wewnątrz nich będą sztuczne, gdyż warstwy ozonu i tlenu na Ziemi ulegną całkowitemu zniszczeniu. W tych tunelach będą pełzali ludzie, pojedynczo, zupełnie nadzy, z widokiem na dupę osoby przed sobą, a ich uryna i ekskrementy będą krążyły w otworach wentylacyjnych w podłodze, aż zostaną na chybił trafił przechwycone przez cyfrowe mechanizmy i wessane do bocznych tuneli, a po zmieleniu podane innym do jedzenia przez rozliczne wypustki w kształcie sutków umieszczone po wewnętrznej stronie tych tuneli. System, samowystarczalny i wieczny, obsłuży wszystkich.

– Czyli problem wojen mamy z głowy – oświadczył Jimmy. – Poza tym wzmocnią nam się rzepki. A co z seksem? Chyba trudno się go uprawia w takiej rurze?

Amanda rzuciła mu pełne złości spojrzenie. Pełne złości, ale i konsternacji: widać było, że przyszło jej do głowy to samo pytanie.

Amanda niewiele mówiła. Była człowiekiem obrazów, nie słów, jak twierdziła: utrzymywała, że myśli obrazami. To odpowiadało Jimmy’emu, nie widział nic złego w odrobinie synestezji.

– Co widzisz, kiedy to robie? – spytał ją w początkowym, najbardziej namiętym okresie.

– Kwiaty – odparła. – Dwa albo trzy. Różowe.

– A teraz? Co widzisz?

– Czerwone kwiaty. Czerwone i fioletowe. Pięć albo sześć.

– A teraz? Skarbie, kocham cię!

– Neon! – Już po wszystkim wzdychała, informując go: – To był cały bukiet.

Działy na niego te jej niewidzialne kwiaty: stanowiły hołd składany jego talentom. Poza tym miała bardzo ładny tyłek i prawdziwe cycki, ale – zauważył to dość wcześnie – nieco silikonu wokół oczu.

Amanda pochodziła z Teksasu; utrzymywała, że pamięta ten stan, nim jeszcze wysechł i wymarł, wobec tego, jak wydedukował Jimmy, miała o dziesięć lat więcej, niż twierdziła. Jakiś czas wcześniej zajęła się projektem zwanym „Sępimi rzeźbami”. Pomysł polegał na tym, żeby sprowadzić ciężarówkę pełną dużych części martwych zwierząt na puste pola albo parkingi opuszczonych fabryk i ułożyć zwłoki na kształt słów, a następnie poczekać, aż sępy zaczną je rozszarpywać, po czym sfotografować całą scenę z helikoptera. Na początku zwróciła na siebie uwagę niemal wszystkich, dostała kilka worków nienawistnych listów i pogroźek od Bożych Ogrodników i od niezrzeszonych wariatów. Jeden z listów wysłała dawna współlokatorka Jimmy’ego, Bernice, której nawiedzenie znacząco się posunęło.

Później jakiś pomarszczony, zepsuty mecenas sztuki, który zbił fortunę na sieci farm z częściami zamiennymi do serc, obdarował ją hojnym grantem, gdyż był przekonany, że działalność Amandy jest niezwykłym przełomem. I dobrze, oznajmiła Amanda, bo bez tej kasy musiałyby porzucić sztukę: helikoptery kosztowały mnóstwo pieniędzy, no i w grę wchodziło jeszcze załatwianie pozwoleń od służb bezpieczeństwa. Jej zdaniem korpusowcy mieli prawdziwą obsesję na punkcie przestrzeni powietrznej, podejrzewali wszystkich, że zamierzają załatwić Ziemię z góry, i niemal trzeba było ich wpuścić do majtek, zanim pozwolili człowiekowi dokądkolwiek lecieć w wynajętym helikopterze, chyba że się było jakimś szastającym łapówkami księciem z Kompleksu, rzecz jasna.

Słowa, które sępiła – jej określenie – musiały mieć cztery litery. Długo się nad nimi

zastanawiała: każda litera alfabetu ma swoje wibracje, dodatni lub ujemny ładunek, więc należy z uwagą dobierać słowa. Sępienie powoływało je do życia, taką miała koncepcję, a następnie je zabijało. Był to poruszający proces – „Jak przyglądanie się myślącemu Bogu”, napisała na internetowej stronie „Pytania i odpowiedzi”. Na razie zrobiła BOLI – aluzję do swojego nazwiska⁶, jak zauważyła w wywiadzie na czacie – i KOMU, i jeszcze ROPA. Ciężko jej szło podczas lata z Jimmym, bo miała blokadę na następne słowo.

W końcu, gdy Jimmy doszedł do wniosku, że dłużej nie zniesie spaghetti, a na widok Amandy zapatrzonej w przestrzeń i ssącej pasmo włosów nie dostawał ataku pożądania ani zachwyty, znalazł pracę w niewielkim Kompleksie NowyTy, umiejscowionym tak blisko jednej z bardziej podupadłych plebsopolii, że równie dobrze mógł stanowić jej część. W dniu, w którym przyszedł na rozmowę kwalifikacyjną, poczuł, że niewielu ludzi wybrałoby pracę tutaj, gdyby miało inną możliwość; stąd zapewne nieco unижone zachowanie osób, które z nim rozmawiały. Gotów był się założyć, że wcześniej parę dziesiątków poszukiwaczy pracy odrzuciło ich ofertę. Cóż, rozpromienił się do nich telepatycznie, może nie mnie sobie wymarzyliście, ale przynajmniej jestem tani.

Jego rozmówcy – było ich dwoje, kobieta i mężczyzna – oświadczyli, że jego praca kończąca na temat dwudziestowiecznych poradników wywarła na nich wielkie wrażenie. Jednym z ich zasadniczych produktów były usprawniacze: już nie książki, rzecz jasna, ale DVD, CD-ROM-y, witryny internetowe i tak dalej. To nie te instrumenty jako takie przynosiły nadwyżki pieniędzy, wyjaśnili mu: tylko sprzęt i alternatywne leki niezbędne do uzyskania optymalnego efektu. Ciało i umysł ściśle ze sobą współpracowały, a praca Jimmy’ego miała polegać na zajęciu się umysłem. Innymi słowy, promocją.

- Ludzie pragną doskonałości – oznajmił mężczyzna. – W sobie.
- Ale trzeba im wskazać, jak ją osiągnąć – dodała kobieta.
- W prosty sposób – powiedział mężczyzna.
- Zachęcić – oświadczyła kobieta. – Pozytywnie nastawić.
- Lubią hasła typu przed i po – zauważył mężczyzna. – To sztuka możliwości. Ale bez żadnej gwarancji, rzecz jasna.
- Wykazał się pan wielkim zrozumieniem tego procesu – pochwaliła Jimmy’ego kobieta. – W swojej pracy. Uznaliśmy, że to bardzo dojrzałe.
- Jeśli znasz jedno stulecie, znasz wszystkie – powiedział mężczyzna.
- Ale przymiotniki się zmieniają – przypomniał mu Jimmy. – Nie ma nic gorszego niż zeszloroczne przymiotniki.
- Właśnie! – przytaknął mężczyzna, jakby Jimmy w jednej chwili rozwiązał zagadkę wszechświata.

Omiał nie połamał mu palców podczas uścisku dłoni; kobieta obdarzyło go ciepłym, lecz bezbronnym uśmiechem, po którym zaczął się zastanawiać, czy jest wolna, czy też

zameżna. Płaca w Kompleksie NowyTy nie była zbyt wysoka, ale mogły pojawić się inne korzyści.

Tego wieczoru powiedział Amandzie Payne o tym, że dopisało mu szczęście. Ostatnimi czasy narzekała na brak pieniędzy – może nie narzekała, ale przerwała typowe dla siebie długie i intensywne milczenie kilkoma aluzjami do dzielenia się odpowiedzialnością – więc myślał, że będzie zadowolona. Ostatnio nie układało im się najlepiej w łóżku, właściwie od czasu wpadki z kurczakiścią. Może teraz ich relacje miały szansę się poprawić, w samą porę na czuły, żałośliwy, pełen akcji finał. Już ćwiczył końcową przemowę: „Nie potrzebujesz mnie, zasłużyłaś na coś lepszego, zrujnuję ci życie” i tak dalej. Najlepiej jednak było robić wszystko po kolei, więc zaczął opowiadać o nowej pracy.

– Będę mógł przynosić mięso do domu – zakończył kuszącym, jak sądził, lecz odpowiedzialnym tonem.

Na Amandzie nie zrobiło to wrażenia.

– Gdzie będziesz pracował? – Tak brzmiał jej komentarz.

Jak się okazało, chodziło o to, że NowyTy jest szambem pełnym osobników istniejących jedynie po to, by żerować na fobiach oraz czyścić konta bankowe niespokojnych i łatwowiernych ludzi. Wyszło na jaw, że Amanda do niedawna miała przyjaciółkę, która zapłaciła za pięciomiesięczny plan NowyTy – obiecywał jednocześnie wyleczyć jej depresję, zlikwidować zmarszczki i bezsenność – i która posunęła się o jeden krok za daleko, dosłownie, bo rzuciła się z parapetu swojego mieszkania na dziewiątym piętrze i wylądowała na pieńku po południowoamerykańskim drzewie.

– Zawsze mogę ich spławić – powiedział Jimmy po wysłuchaniu tej historii. – Mogę wstąpić w szeregi wiecznie bezrobotnych. Hej, mogę nawet wciąż być utrzymankiem, jak teraz. Żart! Żart! Nie zabij mnie!

Przez kilka następnych dni Amanda milczała częściej niż zwykle. W końcu oznajmiła mu, że odblokowała się artystycznie: przyszło do niej następne słowo na „Sępią rzeźbę”.

– Jakie słowo? – spytał Jimmy, udając zainteresowanie.

Popatrzyła na niego z zadumą.

– WIEŻ – powiedziała.

⁶ *Pain* (ang.) – ból wymawia się podobnie jak nazwisko Payne.

NowyTy

Jimmy wprowadził się do mieszkania dla młodszych pracowników w Kompleksie NowyTy. Miał teraz sypialnię we wnęce, małą kuchenkę, kopie mebli z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Mieszkanie było jedynie odrobinę bardziej komfortowe od pokoju w akademiku Marthy Graham, ale przynajmniej panoszyło się tu mniej robaków. Jimmy dość szybko odkrył, że – w języku korporacji – jest wołem roboczym i niewolnikiem. Miał łamać sobie głowę i przez dziesięć godzin dziennie wędrować po labiryntach tezaursa, kłęcząc werbalizmy. Wtedy ci nad nim oceniali jego propozycje, wręczali mu je z powrotem do poprawki, znowu je brali. „Chcemy czegoś bardziej... to za mało... to niezupełnie to”. Z czasem jednak się poprawił, cokolwiek to znaczyło.

Kremy kosmetyczne, przyrządy do ćwiczeń, energatony, by zmienić mięśnie w zapierające dech w piersiach cudo z granitu. Tabletki do tycia, chudnięcia, porostania włosami, łysienia, rozjaśniania skóry, przyciemniania skóry, przyczerniania skóry, zażółcania skóry, bycia seksownym, bycia szczęśliwym. On miał za zadanie opisywać i wychwalać to, co – och, tak łatwo – mogło się ziścić. Nadzieja i strach, pożądanie i odraza, oto był jego chleb powszedni, na tym opierał swoje pomysły. Co pewien czas wymyślał słowo – napięciowanie, stkankowaciały, feromonimalny – ale nigdy go nie przyłapano. Jego właścicielom podobały się takie wyrazy wydrukowane małą czcionką na opakowaniach, bo brzmiały naukowo i przekonywały klientów.

Powinien cieszyć się sukcesem tych werbalnych tworów, ale czuł przygnębienie. Notatki, które przychodziły z góry z adnotacją, że dobrze sobie poradził, nic dla niego nie znaczyły, bo dyktowali je półanalfabeci; dowodziły jedynie, że nikt w Kompleksie nie potrafi docenić jego inteligencji. Zaczynał rozumieć, dlaczego seryjni mordercy podsuwają wskazówki policji.

Jego życie towarzyskie – po raz pierwszy od wielu lat – zredukowało się do zera: nie trafił na taką seksualną pustynię od ósmego roku życia. Amanda Payne migotała w przeszłości niczym utracona laguna, na moment zapomniał o grasujących tam krokodylach. Dlaczego porzucił ją z taką łatwością? Bo już czekał na następną z serii. Jednak kobieta, która przeprowadzała z nim rozmowę kwalifikacyjną i z którą wiązał wielkie nadzieje, zniknęła, a inne, na które wpadał, w biurze czy w barach Kompleksu NowyTy, albo były zafiksowanymi na pracy piraniami, albo okazywały się tak

emocjonalnie wygłodniałe, że Jimmy unikał ich jak ognia. Musiał zadowolić się flirtowaniem z kelnerkami, ale nawet one nie były nim zainteresowane. Widywały już takich wyszczekanych młodzików, wiedziały, że Jimmy nie ma tu nic do gadania.

W zakładowym bufecie był nowym chłopcem, znowu samotnym, zaczynał od początku. Przywykł do jedzenia sojamojaburgerów w centrum handlowym Kompleksu albo brał na wynos tłusty zestaw skrzydełek kurczakiści, żeby je przeżuwać podczas pracy po godzinach przy komputerze. Co tydzień odbywał się towarzyski grill Kompleksu, wielki spęd, na którym oczekiwano wszystkich pracowników. Były to ciężkie przejścia dla Jimmy'ego. Brakowało mu energii na zadawanie się z tłumem, był nieszkodliwym nowicjuszem; plątał się po obrzeżach, podgryzając przypalonego sojowego hot doga i w milczeniu poniewierał wszystkimi w zasięgu wzroku. „Obwisłe cycki”, głosił dymek w jego głowie. „Tofumózg o króliczej gębie. Chłopiec z plakatu z kciukiem w gębie. Królowa śniegu. Sprzedałby swoją matkę. Krowa z trzęsącym się tyłkiem. Pęcherzogłowy palant”.

Od czasu do czasu dostawał maile od ojca: e-kartkę urodzinową, kilka dni po urodzinach, coś z tańczącymi świniönami, jakby ciągle miał jedenaście lat. *Wszystkiego najlepszego Jimmy, niech się spełnią wszystkie Twoje marzenia.* Ramona przysyłała mu plotkarskie, sumienne informacje: nadal nie miał braciszka, ale wciąż „nad tym pracowali”. Wolał sobie nie wyobrażać hormonalnie nabuzowanych, podlanych płynami i lepkich od żelu szczegółów tej pracy. „Jeśli wkrótce nie uda się naturalnie”, pisała, spróbują „czegoś innego” z jednej z agencji – Infantyda, Zarodność, Supermaluch, Noworocja, jednej z tych. Mnóstwo się zmieniło, odkąd Jimmy przyszedł na świat! („Przyszedł na świat”, jakby tak naprawdę się nie urodził, tylko wpadł z wizytą). Przeprowadzała „rekonesans”, gdyż rzecz jasna chcieli czegoś naprawdę dobrego za swoje pieniądze.

Wspaniale, pomyślał Jimmy. Najpierw będzie parę prób, a jeśli dzieci ich nie zadowolą, zutylizują je na części, aż w końcu dostaną coś, co usatysfakcjonuje ich pod każdym względem – doskonałe dziecko, nie tylko genialnego matematyka, ale i pięknego jak jutrzeńka. Potem obciążą to hipotetyczne cudowne dziecko swoimi rozdętymi oczekiwaniami, aż biedny gówniarz się załamie. Jimmy mu nie zazdrościł.

(Zazdrościł mu).

Ramona zaprosiła Jimmy'ego na wakacje, ale nie miał ochoty jechać, więc wykreślił się nadmiarem obowiązków. Pod pewnymi względami była to prawda, gdyż zaczął traktować swoją nową pracę jako wyzwanie: na jak wiele jeszcze może sobie pozwolić na polu niedorzecznych neologizmów i nadal zbierać pochwały?

Po pewnym czasie awansował. Mógł sobie kupić nowe zabawki: lepszy odtwarzacz DVD, strój gimnastyczny, który oczyszczał się z dnia na dzień dzięki zjadającym pot bakteriom, koszulę, która wyświetlała maile na rękawie, trącając właściciela za

każdym razem, gdy otrzymywał nową wiadomość, buty zmieniające kolor w zależności od stroju, mówiący toster. Zyskał towarzysko. Jimmy, twój tost jest gotowy. Przeniesiono go do lepszego mieszkania.

Teraz, gdy piął się po szczeblach kariery, znalazł sobie kobietę, potem następną i jeszcze jedną. Już nie myślał o tych kobietach jak o dziewczynach: obecnie były kochankami.

Wszystkie miały mężów albo partnerów, szukały okazji, by ich zdradzić, udowodnić sobie, że nadal są młode, lub żeby się zemścić. Czasem były zranione i pragnęły pociechy albo zwyczajnie czuły się ignorowane.

Nie było powodu, by nie miał kilku kochanek w tym samym czasie, musiał tylko rozsądnie to zaplanować. Na początku podobały mu się te pospieszne, spontaniczne wizyty, tajemnica, odgłos niecierpliwie rozpinanych rzepów, powolne osuwanie się na podłogę. Wkrótce jednak zrozumiał, że dla kochanek jest tylko statystą – nie traktowanym poważnie, lecz raczej hołubionym jak niespodzianka gratis wygrzebana z pudełka z płatkami śniadaniowymi, kolorowa i urocza, ale bezużyteczna: był jokerem pomiędzy dwójkami i trójkami, które przypadły im w udziale po rozdaniu w codziennym życiu. Stanowił dla nich jedynie rozrywkę, jak one dla niego, ale kobiety więcej ryzykowały: rozwód albo przejaw nietypowej brutalności lub choćby karczemną awanturę, gdyby je przyłapano.

Przynajmniej nigdy nie kazały mu dorosnąć. Podejrzewał, że chyba wolą, aby nie dorastał.

Żadna z nich nie chciała zostawić męża i zamieszkać z Jimmym ani uciec z nim do plebsopolii, zresztą nie było to już możliwe. Podobno plebsopolie stały się niesłychanie niebezpieczne dla tych, którzy nie umieli się po nich poruszać, a poza tym kontrole KorpuSOKorpu przy bramach Kompleksu były bardziej skrupulatne niż dotychczas.

Garaż

Taka właśnie była reszta jego życia. Przypominała przyjęcie, na które go zaproszono, lecz na które nie mógł trafić. Ktoś dobrze się bawił w tym jego życiu, tyle że nie on był tym kimś.

Nigdy nie miał kłopotów z ciałem, teraz jednak musiał nad nim pracować. Jeśli rezygnował z siłowni, od razu flaczał, z dnia na dzień, inaczej niż kiedyś. Brakowało mu energii, musiał uważać na to, ile energatonów przyjmuje: za dużo sterydów kurczyło kutasa, i choć na opakowaniu napisano, że problem rozwiązano dzięki dodatkowi jakiegoś niewymawialnego opatentowanego związku, Jimmy stworzył wystarczająco dużo tego rodzaju informacji, by im nie ufać. Rzedły mu włosy na skroniach mimo sześciotygodniowej kuracji NowyTy, podczas której miały wyrosnąć nowe mieszki włosowe. Mógł się domyślić, że to oszustwo – sam przygotowywał reklamy tego środka – ale reklamy były tak dobre, że dał się nabrać. Ciekawiło go, jak teraz wyglądają włosy Derkacza.

Derkacz skończył studia przed czasem, zrobił doktorat, a potem sam wybrał sobie przyszłość. Teraz przebywał w OdmłodNowie – jednym z najpotężniejszych Kompleksów – i szybko awansował. Na początku utrzymywali kontakty mailowe. Derkacz przebąkiwał o wyjątkowym projekcie, nad którym pracuje, było to coś niesamowitego. Dostał *carte blanche*, jak pisał: jeśli chodzi o dyrekcję, traktują go niczym idola. Jimmy powinien wpaść kiedyś z wizytą, a on mu pokaże, co i jak. No to czym się w końcu zajmował Jimmy?

Jimmy zasugerował w odpowiedzi, że powinni zagrać w szachy.

Następna informacja od Derkacza dotyczyła nagłej śmierci wujka Pete'a. Jakiś wirus. Cokolwiek to było, przeleciało przez niego jako gówno przez gęs. Wujek przypominał różowy sorbet na grillu – natychmiast się rozpuścił. Podejrzewano sabotaż, ale niczego nie udowodniono.

„Byłeś tam?”, spytał Jimmy.

„W pewnym sensie”, odpisał Derkacz.

Jimmy zastanowił się nad tym, po czym zapytał, czy ktoś jeszcze zaraził się tym wirusem. Derkacz zaprzeczył.

Czas mijał, przerwy między kolejnymi wiadomościami się wydłużały, więc między Jimmym i Derkaczem słabła. Cóż mieli sobie do powiedzenia? Derkacz z pewnością

pogardzałby słowno-niewolniczą pracą Jimmy'ego, chociaż nie bez życzliwości, a dokonania Derkacza zapewne były już całkiem niezrozumiałe dla Jimmy'ego. Uświadomił sobie, że myśli o Derkaczu jak o dawnym znajomym.

Coraz częściej czuł niepokój. Nawet seks nie cieszył go tak jak dawniej, choć nadal był od niego uzależniony. Miał wrażenie, że steruje nim kutas, jakby reszta ciała była jedynie nic nie znaczącą wypustką, przypadkowo doczepioną do tego organu. Może kutas byłby szczęśliwszy, gdyby rozrabiał na własną rękę.

W te wieczory, gdy żadna z jego kochanek nie zdołała oszukać męża albo partnera i spędzić trochę czasu z Jimmym, chodził do kina w centrum handlowym, tylko po to, by udowodnić sobie, że nadal jest częścią grupy innych ludzi. Albo oglądał informacje: więcej chorób, więcej głodu, więcej powodzi, więcej epidemii, robactwa, mikrobów lub małych ssaków, więcej suszy, więcej zaszranych wojen w odległych krajach. Dlaczego to wszystko było takie podobne do siebie?

W plebsopoliach zdarzały się zwyczajowe morderstwa polityczne, zwyczajowe dziwne wypadki, niewytłumaczone zniknięcia. Albo skandale na tle seksu, te zawsze podniecały reporterów. Przez pewien czas chodziło o trenerów sportowych i małych chłopców, potem przeszła fala nastoletnich dziewcząt odnalezionych w zamkniętych garażach. Te dziewczęta miały podobno – jak utrzymywali ci, którzy je zamknęli – pracować jako pokojówki. Trafiły tutaj ze swoich biednych krajów ojczystych dla własnego dobra. Zamykanie w garażu służyło bezpieczeństwu tych dziewcząt, mówili mężczyźni – szanowani mężczyźni, księgowi, prawnicy, importerzy mebli ogrodowych – których zaciągnięto przed oblicze sądu, by się bronili. Dziewczęta, jak twierdziły żony owych ludzi, były w zasadzie adoptowane i traktowano je niemal jak członków rodziny. Jimmy uwielbiał te słowa: w zasadzie i niemal.

Same dziewczęta zeznawały inaczej, wszystkie przekonująco. Część utrzymywała, że dostawały narkotyki. Zmuszano je do obscenicznych wygibasów w nieprawdopodobnych miejscach, takich jak sklepy ze zwierzętami. Były przerzucane przez Ocean Spokojny na gumowych tratwach, szmuglowane na kontenerowcach, ukryte między stosami produktów z soi. Kazano im wyprawiać bezbożne sztuczki z gadami. Mimo to niektóre z dziewcząt wydawały się zadowolone ze swojej sytuacji. Twierdziły, że garaże są przyjemne, lepsze niż to, co miały w ojczyźnie. Dostawały regularne posiłki, a praca nie była zbyt ciężka. To prawda, że im nie płacono i nie mogły nigdzie wyjść, ale nie widziały w tym nic dziwnego ani zdumiewającego.

Jedna z dziewczynek – znaleziona w zamkniętym garażu w San Francisco, w domu bogatego farmaceuty – powiedziała, że kiedyś występowała w filmach, ale na szczęście sprzedano ją jej panu, który ujrzał ją w internecie i zlitował się nad nią, po czym przyjechał po nią osobiście i zapłacił mnóstwo pieniędzy, by ją uratować, i przelecieli samolotem nad oceanem, i obiecał posłać ją do szkoły, gdy wystarczająco podszkoli angielski. Nie powiedziała złego słowa o tym człowieku: wydawała się

prosta, bezpośrednia i szczerą. Zapytana, dlaczego garaż był zamknięty, odparła, że po to, aby nie wszedł tam nikt zły. Zapytana, co tam robiła, odparła, że uczyła się angielskiego i oglądała telewizję. Zapytana, co czuje do swojego porywacza, odparła, że zawsze będzie mu wdzięczna. Oskarżenie nie znalazło podstaw do obalenia jej zeznania i facet wymigał się od wszystkiego, chociaż nakazano mu bezzwłocznie posłać ją do szkoły. Powiedziała, że chce studiować psychologię dziecięcą.

Pokazali jej zbliżenie, zbliżenie pięknej kocie twarzy, delikatnego uśmiechu. Jimmy odniósł wrażenie, że ją rozpoznaje. Zatrzymał obraz, następnie wyciągnął starą odbitkę, tę wydrukowaną, kiedy miał czternaście lat – przez cały czas ją trzymał w ukryciu, wsuniętą między zapiski z Marthy Graham. Porównał twarze, tyle że minęło mnóstwo czasu. Tamta dziewczynka, ośmioletnia na odbitce, musiała mieć teraz siedemnaście, osiemnaście albo i dziewiętnaście lat, a ta w wiadomościach wydawała się o wiele młodsza. Spojrzenie było jednak takie samo: ta sama mieszanka niewinności, pogardy i zrozumienia. Przez to dostał zawrotów głowy, niebezpiecznie się zachwiał, jakby stał na krawędzi nad wypełnionym kamieniami wąwozem i groziło mu niebezpieczeństwo od samego patrzenia.

Bez celu

Kropusowcy nigdy nie stracili Jimmy'ego z oczu. Gdy studiował w Marcie Graham, regularnie składali mu wizyty, cztery razy do roku wpadając na tak zwane pogawędki. Zestaw pytań się nie zmienił, chcieli sprawdzić, czy otrzymają takie same odpowiedzi. „Nie wiem” było najbezpieczniejszą odzywką, jaką potrafił wymyślić, i w większości wypadków wystarczała.

Po pewnym czasie zaczęli pokazywać mu zdjęcia – odbitki z ukrytych kamer albo inne, czarno-białe, wyglądające na wyciągnięte z kamer ochrony w bankomatach plebsopolii, lub też fragmenty z wiadomości: demonstracje, zamieszki, egzekucje. Chodziło o to, żeby rozpoznał twarze. Podłączali go do maszyny, więc nawet gdyby udawał ignorancję, wyłapałiby przejawy elektrycznej aktywności neuronów, których nie mógł kontrolować. Czekał, aż pokażą mu zamieszki przeciwko PychaKawie w Marylandzie, te, w których brała udział jego matka – tego się obawiał – ale do tego nie doszło.

Od bardzo dawna nie otrzymywał żadnych zagranicznych pocztówek.

Kiedy zaczął pracę w Kompleksie NowyTy, wyglądało na to, że kropusowcy o nim zapomnieli. Jednak nie, po prostu popuścili smycz – sprawdzali, czy on albo druga strona, czyli matka Jimmy'ego, wykorzystają jego nową sytuację, przydział dodatkowej wolności, do ponownego nawiązania kontaktu. Po mniej więcej roku usłyszał znajome pukanie do drzwi. Zawsze wiedział, że to oni, bo nigdy nie używali domofonu, musieli mieć jakąś przepustkę, nie mówiąc już o kodzie do drzwi. „Witaj, Jimmy, się masz, przyszliśmy zadać ci kilka pytań, sprawdzić, czy mógłbyś nam pomóc”.

„Jasne, chętnie”.

„Dobry chłopak”.

I zaczęli.

W – kiedy to było? – jego piątym roku w Kompleksie NowyTy w końcu dopięli swego. Wtedy przyglądał się zdjęciom już od dwóch godzin. Fotografiami odległych wojen w jakiejś surowej górskiej okolicy za oceanem, zbliżeniom martwych najemników, mężczyzn i kobiet; gromadzie robotników poturbowanych przez głodujących podczas jednej z susz będących przyczyną głodu daleko stąd; rzędowi głów na kijach – to w byłej Argentynie, powiedzieli faceci z KorpuSOKorpu, choć nie wyjaśnili, czyje to głowy ani jak trafiły na kije. Kilku kobietom, wszystkim

w okularach, rewidowanym w supermarkecie. Tuzinowi ciał rozciągniętych na podłodze po najeździe na kryjówkę Bożych Ogrodników – ta grupa została zdelegalizowana – jedno z nich wyglądało jak jego dawna współlokatorka, podpalaczka Bernice. Powiedział im to, jak grzeczny chłopiec, i dostał nagrodę w postaci klepnięcia w plecy, ale zapewne już wiedzieli, bo nie wykazali żadnego zainteresowania. Zrobiło mu się przykro z powodu Bernice: była wariatką i to kłopotliwą, ale nie zasłużyła na taką śmierć.

Ciąg fotografii policyjnych z więzienia w Sacramento. Zdjęcie z prawa jazdy samobójcy, który wysadził samochód. (Skoro jednak auto wyleciało w powietrze, skąd mieli to prawo jazdy?). Trzy gołe kelnerki z baru go-go bez macanek w plebsopolii – dorzucili to w ramach dowcipu, co rzeczywiście wywołało falę na ekranie urządzenia monitorującego; byłoby dziwne, gdyby do tego nie doszło, wokół rozległy się śmiech i chichoty. Scena zamieszek, którą Jimmy rozpoznał z remake’u *Frankensteina*. Zawsze dokładali parę trików, żeby nie tracił czujności.

Znowu zdjęcia policyjne. „Nic”, powiedział Jimmy. „Nic, nic, nic”.

Następnie pojawiło się coś, co wyglądało na rutynową egzekucję. Żadnych harców, żadnych uciekających na wolność więźniów, żadnego wulgarnego języka: dzięki temu Jimmy od razu się zorientował, że likwidują kobietę. Potem wyszła osoba w luźnym szarym więziennym stroju, ze związanymi włosami, w kajdankach i przepasce na oczy, ze strażniczką po każdej stronie. Miało to być rozstrzelanie miotaczem. Pluton egzekucyjny był niepotrzebny, wystarczyłby jeden miotacz, ale utrzymali dawny zwyczaj, pięciu w rzędzie, żeby żaden z rozstrzeliwujących nie musiał zastanawiać się podczas bezsennej nocy, czyja wirtualna kula pierwsza dosięgła więźnia.

Rozstrzelanie groziło tylko zdrajcom. Pozostałych skazanych gazowano, wieszano albo smażono na krześle elektrycznym.

Męski głos, słowa zza kadru: korpusowcy ściszyli dźwięk, bo chcieli, żeby Jimmy skoncentrował się na obrazie, ale zapewne był to rozkaz, bo teraz strażniczki zdejmowały więźniarce przepaskę. Zbliżenie: kobieta spoglądała wprost na niego, z obrazu: błękitnookie spojrzenie, bezpośrednie, wrogie, cierpliwe, zranione. Żadnych łez. Nagle pojawił się dźwięk. „Żegnaj. Pamiętaj o Killerze. Kocham cię. Nie zawieź mnie”.

Bez wątpienia była to jego matka. Jimmy poczuł się zaszokowany, że jest taka stara: miała pomarszczoną skórę, spierzchnięte usta. Czy to przez trudy życia po ucieczce, czy też przez złe traktowanie? Jak długo przebywała w więzieniu, w ich rękach? Co oni jej robili?

Czekajcie, chciał krzyknąć, ale było już po wszystkim, ujęcie z oddali, znowu zakryte oczy, trzask, trzask, trzask. Pudło, czerwone smugi, niemal odstrzelili jej głowę. Długie ujęcie matki osuwającej się na podłogę.

– Masz coś, Jimmy?

– Nie. Przepraszam. Nic. – Jak mogła przewidzieć, że będzie na to patrzył?

Musieli zauważyć bicie jego serca, nagły skok energii. Po kilku neutralnych pytaniach – „Chcesz kawy? Musisz się odlać?” – jeden z nich powiedział: „Kim był ten Killer?”

– Killer – powtórzył Jimmy. Zaczął się śmiać. – Killer był skunksem.

Zrobił to, znowu zdradził. Nic nie mógł na to poradzić.

– Niezbyt miły facet, co? Jakiś gangster?

– Nie. – Jimmy śmiał się jeszcze głośniej. – Niczego nie rozumiecie. To skunks. Szopunks. Zwierzę. – Oparł głowę na pięściach, szlochał ze śmiechu. Dlaczego musiała wciągnąć w to Killera? Żeby wiedział, że to naprawdę ona, dlatego. Żeby jej uwierzył. Ale o co jej chodziło z tym zawrotem głowy?

– Przykro mi, synu – powiedział starszy z dwóch korpusowców. – Musieliśmy się upewnić.

Jimmy’emu nie przyszło do głowy zapytać, kiedy odbyła się egzekucja. Już po wszystkim uświadomił sobie, że być może wiele lat wcześniej. A jeśli ją ukartowano? Może nawet zmontowano cyfrowo, przynajmniej strzały, krew i upadek. Może matka nadal żyła, może nawet jej nie złapali. A jeśli tak, to co takiego wygadał?

Zapamiętał, że następne tygodnie były najgorsze w jego życiu. Powróciło zbyt wiele, zbyt wiele tego, co utracił albo – co jeszcze smutniejsze – czego nawet nigdy nie miał. Tyle zmarnowanego czasu, a on nie wiedział, kto go zmarnował.

Przez większość czasu czuł złość. Początkowo szukał towarzystwa rozmaitych kochanek, ale zachowywał się przy nich kapryśnie, nie był zabawny, a co gorsza, stracił zainteresowanie seksem. Przestał odpowiadać na ich maile – „Czy coś się stało, czy to przeze mnie, co mogę zrobić” – i nie oddzwaniał do nich: nie chciało mu się wyjaśniać. Kiedyś, w przeszłości, zamieniłby śmierć matki w psychodramę, zgarnął trochę współczucia, ale teraz wcale tego nie pragnął.

A czego pragnął?

Chodził do okolicznych barów dla samotnych. Nie szukał w nich radości, znał większość tamtejszych kobiet i na nic mu była ich gotowość. Powrócił do internetowego porno. Odkrył, że wiele straciło w jego oczach: było powtarzalne, mechaniczne, pozbawione wcześniejszego uroku. Szukał w sieci witryny Seksolatek, mając nadzieję, że dzięki czemuś znajomemu poczuje się mniej wyobcowany, ale nie działała.

Teraz popijał samotnie, wieczorami, zły znak. Nie powinien tego robić, tylko go to przygnębiało, ale musiał stępić ból. Ból czego? Ból świeżych głębokich ran, zniszczonych błon tam, gdzie przywalił w Wielką Obojętność Wszechświata. Jedna wielka paszcza rekina, wszechświat. Rząd za rządem ostrych jak brzytwa zębów.

Wiedział, że się chwieje, traci grunt pod nogami. Wszystko w jego życiu było chwilowe, ulotne. Nawet język utracił solidność, stał się cienką, niepewną, gładką

bloną, na której Jimmy ślizgał się jak gałka oczna na talerzu. Gałka oczna, która wciąż widzi. Na tym polegał problem.

Przypominał sobie, jaki był wcześniej beztroski, w młodości. Beztroski, gruboskórny, radośnie skakał z kwiatka na kwiatek, pogwizdywał w ciemnościach, gotów zmierzyć się z przeciwnościami. Na wiele spraw przymykał oko. Teraz odkrył, że wszystko mu przeszkadza. Najdrobniejsze przykrości urastały do rangi nieszczęść: zgubiona skarpeta, zablokowana elektryczna szczoteczka do zębów. Nawet wschód słońca go oślepiał. Czuł się tak, jakby ktoś go tarł papierem ściernym.

– Weź się w garść – powtarzał sobie. – Zapanuj nad tym. Zostaw to za sobą. Idź do przodu. Stwórz nowego siebie.

Takie pozytywne hasła. Takie mdłe, inspiracyjne, promocyjne rzygi. Tak naprawdę pragnął zemsty, ale na kim i za co? Nawet gdyby wystarczyło mu energii, nawet gdyby potrafił się skupić i znaleźć cel, nic by mu to nie dało.

W najgorsze noce przywoływał papugę Alex, już dawno martwą, lecz nadal żywą w sieci, i patrzył, jak ptak pokazuje, co potrafi. Treser: „Jakiego koloru jest okrągła piłka, Alex? Okrągła piłka?”. Alex, z przekrzywionym łebkiem, myśli: „Niebieska”. Treser: „Dobry chłopak!”. Alex: „Głupina, głupina, głupina!”. Treser: „Proszę bardzo!”. I Alex dostawał kolbę miniaturowej kukurydzy, o co wcale nie prosił, prosił o migdała. Ten widok zupełnie rozklejał Jimmy’ego.

Siedział zbyt długo, a już w łóżku wpatrywał się w sufit, powtarzając sobie listę zapomnianych słów, gdyż znajdował w nich pociechę. Dołkować. Afazja. Torować. Enigma. Gnat. Gdyby papuga Alex należała do niego, byłiby przyjaciółmi, byłiby braćmi. Nauczyłby ptaka nowych słów. Podzwonne. Gbur. Pohybel.

Jednak słowa nie niosły pociechy. Nic w nich nie było. Jimmy już się nie cieszył, że ma te niewielkie zbiory liter, o których zapomnieli inni ludzie. Czuł się tak, jakby trzymał własne mleczne zęby w pudełku.

Na krawędzi snu, za powiekami, widział całą procesję, wychodziła z cienia po lewej stronie i pojawiała się w jego polu widzenia. Młode szczupłe dziewczęta o małych dłoniach, wstążki we włosach, girlandy wielobarwnych kwiatów. Mimo zielonego pola scena wcale nie wyglądała sielankowo: dziewczęta były w niebezpieczeństwie, należało je uratować. Coś – coś, co im zagrażało, kryło się za drzewami.

A może niebezpieczeństwo kryło się w nim? Może to on był niebezpieczny, uzbrojone w kły zwierzę wyglądało z cieniejszej jaskini mieszczącej się w jego własnej czaszce?

A może to same dziewczęta były niebezpieczne? Nie dało się tego wykluczyć. Mogły być pułapką, zasadzką. Wiedział, że są o wiele starsze, niż się wydaje, i o wiele potężniejsze. W przeciwieństwie do niego posiadały bezlitosną mądrość.

Dziewczęta były spokojne, poważne i uroczyście. Patrzyły na niego, w niego, rozpoznawały go i akceptowały, akceptowały jego mrok. Potem mówiły z uśmiechem:

„Skarbie, znam cię. Widzę cię. Wiem, czego pragniesz”.

Świniony

Jimmy jest w kuchni domu, w którym mieszkał z rodziną, gdy miał pięć lat, siedzi przy stole. Pora lanczu. Przed nim na talerzu kromka chleba – płaska buźka z masła orzechowego z lśniącym dżemowym uśmiechem i rodzynekami zamiast zębów. Ta kromka napełnia go przerażeniem. Za chwilę do pokoju wejdzie matka. Nie, nie wejdzie: jej krzesło jest puste. Na pewno przygotowała lancz i zostawiła dla niego. Ale dokąd poszła, gdzie jest?

Słysząc skrobanie, dochodzi od ściany. Ktoś po drugiej stronie robi podkop, usiłuje się włamać. Jimmy patrzy na fragment ściany za zegarem z różnymi ptakami oznajmijącymi godziny. Hu, hu, mówi rudzik. On to zrobił, on przestawił zegar – sowa mówi kra, kra, wrona ćwir, ćwir. Jednak tego zegara nie było w domu, gdy Jimmy miał pięć lat, kupili go później. Coś jest nie tak, czas się nie zgadza, Jimmy nie potrafi powiedzieć, o co chodzi, paraliżuje go strach. Tynk zaczyna odpadać, a on się budzi.

Nienawidzi tych snów. Teraźniejszość jest wystarczająco okropna bez mieszania do niej przeszłości. Żyj chwilą. Kiedyś umieścił to hasło w kalendarzu promocyjnym, reklamującym jakiś oszukańczy, rzekomo zwiększający seksapil produkt dla kobiet. Po co uwiązywać ciało do zegara, możesz skruszyć okowy czasu i tak dalej, i tak dalej. Obrazek przedstawiał kobietę ze skrzydłami, zrywającą się do lotu znad sterty brudnych pogniecionych łachów, a może ludzkiej skóry.

A więc ta chwila jest tu teraz, właśnie ta, ta, w której ma żyć. Jego głowa spoczywa na twardej powierzchni, ciało kuli się na krześle, jest jednym wielkim skurczem. Yeti się przeciąga, jęczy z bólu.

Dopiero po chwili dociera do niego, gdzie jest. No tak, tornado, punkt kontrolny. Wszędzie cisza, nie słychać pomruków wiatru, nie słychać wycia. Czy jest to samo popołudnie, noc czy też następny poranek? W pomieszczeniu pojawiło się światło, światło dnia; wpada przez okno nad ladą, kuloodporne okno z interkomem, gdzie kiedyś, dawno, dawno temu, nie, wcale nie tak dawno, trzeba było podać cel wizyty. Otwór na mikroszyfrowane dokumenty, dwudziestoczworgodzinna kamera wideo, mówiące uśmiechnięte pudełko, które prowadziło człowieka przez procedurę pytań i odpowiedzi: cały ten mechanizm się posypał, dosłownie. Pewnie użyli granatów. Mnóstwo tu gruzu.

Skrobanie trwa: coś siedzi w kącie pokoju. Na początku Yeti nie potrafi tego

rozpoznać: wygląda jak czaszka. Potem jednak dostrzega, że to krab lądowy o okrągłej żółto-białej skorupie wielkości skurczonej czaszki i jednej parze olbrzymich szczypiec. Powiększa otwór w gruzie.

– Co ty tu robisz, do cholery? – pyta go Yeti. – Powinieneś być na zewnątrz, niszczyć ogrody.

Rzuca w kraba pustą butelką po burbonie, chyba; butelka się rozpryskuje. Głupio zrobił, teraz wszędzie leży potłuczone szkło. Krab odwraca się i staje przodem do niego, z uniesionymi szczypcami, a następnie cofa do na wpół wykopanej dziury, gdzie przykuca i nadal go obserwuje. Pewnie szukał tu schronienia przed tornadem, tak jak Yeti, i teraz nie może znaleźć wyjścia.

Yeti podnosi się z krzesła, rozgląda w poszukiwaniu węży, szcurków i innych stworzeń, na które nie chciałby nadebrać. Potem wrzuca ogarek i zapalki do plastikowej torby i ostrożnie podchodzi do drzwi prowadzących do pierwszej recepcji. Starannie zamyka je za sobą, nie chce, żeby jakiś krab zaatakował go od tyłu.

Przy zewnętrznych drzwiach nieruchomieje, by się rozejrzeć. Żadnych zwierząt, poza trzem wron siedzących na wale obronnym. Niebo ma szaroróżowy perłowy odcień wczesnego poranka, bez żadnych chmur. Krajobraz zmienił się od wczoraj: wokół leży więcej kawałków metalu, więcej wyrwanych z korzeniami drzew. Liście zaśmiecają miękką ziemię.

Jeśli teraz wyruszy, ma szansę dotrzeć do głównego centrum handlowego jeszcze przed południem. Mimo burczenia w brzuchu będzie musiał poczekać ze śniadaniem, aż znajdzie się na miejscu. Żałuje, że nie zostały mu żadne orzeszki, ale ma tylko sardynki SojaMoja, które oszczędza na ciężkie czasy.

Powietrze jest chłodne i świeże, zapach zmiażdżonych liści wydaje się luksusem po wilgotnym, cuchnącym rozkładem smrodzie budki strażników. Yeti oddycha z rozkoszą, zmierza w stronę centrum handlowego. Trzy przecznice dalej przystaje – siedem świniaków wyrosło zupełnie znikąd. Wpatrują się w niego, z uszami do przodu. Czy to te wczorajsze? Kiedy patrzy, ruszają w jego kierunku.

O coś im chodzi, fakt. Yeti się odwraca, idzie z powrotem do punktu kontrolnego, przyspiesza. Są daleko, więc może biec, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ogląda się przez ramię: teraz już truchtają. Yeti rzuca się pędem przed siebie. Nagle zauważa drugą grupę za bramą w oddali, osiem albo dziewięć, też zmierzają ku niemu przez Ziemię Niczyją. Niemal dotarły już do głównej bramy, odcinając mu tam drogę. Zupełnie jakby obie grupy zaplanowały to między sobą; jakby od pewnego czasu miały świadomość, że siedział w punkcie kontrolnym, i czekały, aż wyjdzie i znajdzie się na tyle daleko, by zdążyły go otoczyć.

Dociera do budki, wbiega, zamyka drzwi. Nie zatrząskują się. Elektroniczny zamek nie działa, rzecz jasna.

– Rzecz jasna! – wrzeszczy.

Otworzą sobie drzwi, wetkną tam racice albo pyski. Świniony to prawdziwi sztukmistrze: gdyby miały palce, rządziłyby światem. Yeti wbiega do recepcji, zamyka za sobą drzwi. Ten zamek też nie działa, naturalnie. Rygluje drzwi biurkiem, na którym przed chwilą spał, wygląda przez kuloodporne okienko. Już sobie otworzyły, są w pierwszym pomieszczeniu, dwadzieścia albo trzydzieści sztuk, knury i lochy, ale przede wszystkim knury, tłoczą się, chrząkają niespokojnie, wachają jego ślady. Nagle jeden zauważa go w oknie. Jeszcze więcej chrząknięć: teraz wszystkie na niego patrzą. Widzą tylko jego głowę, przyczepioną do tego, co uważają za smakowity mięsny przysmak, gotów do spożycia. Dwa największe samce, o – no tak – ostrych kłach, truchtają ramię w ramię do drzwi i uderzają o nie barkiem. Grają w zespole, te świniony. Sporo tu mięśni.

Jeśli nie uda się im wcisnąć drzwiami, zaczekają na niego. Będą czuwać na zmianę, jedne popilnują, inne coś zjedzą. Mogą czekać w nieskończoność – zagłodzą go. Czują go, czują jego zapach.

Nagle przypomina sobie o krabie lądowym, sprawdza, gdzie jest. Krab zniknął, pewnie okopał się w swojej norze. Właśnie tego potrzeba Yeti, własnej nory. Nory, skorupy, szczypiec.

– No i? – mówi głośno. – Co dalej?

„Skarbie, masz przesrane”.

Radio

Po chwili pustki, w której nic nie przychodzi mu do głowy, Yeti wstaje z krzesła. Nie przypomina sobie, żeby na nim siadał. Ma skurcz jelit, musi się naprawdę bać, choć tego nie odczuwa; jest całkiem spokojny. Drzwi drgają w rytmie popychania i uderzeń z drugiej strony; niedługo świniony się włamią. Yeti wyjmuje latarkę z plastikowej torby, zapala ją, idzie do pomieszczenia, w którym leżą dwaj faceci w bioskafandrach. Oświetla wszystko. Jest tam troje zamkniętych drzwi; musiał je widzieć ubiegłej nocy, ale ubiegłej nocy nie próbował uciec.

Dwoje drzwi nie ustępuje, gdy je popycha; na pewno są zamknięte albo zablokowane z przeciwnej strony. Trzecie otwierają się z łatwością. Tam czuje przypływ nadziei na widok schodów. Stromych schodów. Uświadamia sobie, że świniony mają krótkie nogi i tłuste brzuchy. On nie.

Wbiega po schodach tak szybko, że potyka się o swoje kwieciste prześcieradło. Za sobą słyszy podniecone chrząkanie i piski, a następnie trzask przewróconego biurka.

Wchodzi do jaskrawo oświetlonego podłużnego pomieszczenia. Cóż to takiego? Wieża obserwacyjna. No jasne, mógł się domyślić. Po obu stronach głównej bramy znajdują się wieże, pozostałe stoją wzdłuż wałów obronnych. W wieżach są reflektory, wideokamery, megafony, przełączniki do zamykania bram, dysze do rozpylania gazu łzawiącego, miotacze dalekiego zasięgu. Tak, tu są ekrany, tu przełączniki: znajdź cel, nakieruj na niego, naciśnij guzik. Nie trzeba było oglądać rezultatów, trupów i zgliszczy, nie na własne oczy. W czasie chaosu strażnicy prawdopodobnie do końca strzelali stąd do tłumu, dopóki nie zabrakło tłumu.

Rzecz jasna, żaden z tych cudów techniki teraz nie działa. Yeti szuka ręcznie obsługiwanej broni – przyjemnie byłoby wykosić świniony – ale nie, nic tu nie ma.

Za ścianą nieczynnych monitorów znajduje się małe okienko: stąd jest widok z góry na świniony, na grupę warującą przed drzwiami do budki strażników. Wydają się rozluźnione. Gdyby były ludźmi, popalałyby i wstrzykiwały sobie jakieś świństwa. A jednak nie brak im czujności, stróżują. Cofa się. Nie chce, żeby go zobaczyły, wiedziały, że tu jest, chociaż może i tak wiedzą. Z pewnością już się domyśliły, że wszedł po schodach. Czy rozumieją, że zagoniły go w pułapkę? Bo nie widać stąd żadnego wyjścia.

Nie grozi mu bezpośrednio niebezpieczeństwo – nie mogą się wspiąć po schodach,

w przeciwnym wypadku już by to zrobili. Ma czas zbadać otoczenie i przegrupować siły. Przegrupować siły, co za pomysł. Przecież jest sam.

Strażnicy zapewne ucinali tu sobie drzemki, na zmianę: w pokoju obok stoją dwa zwykłe łóżka polowe. Nie ma w nich nikogo, nie ma ciał. Może strażnicy usiłowali uciec z OdmłodNowy jak wszyscy inni. Może i oni liczyli na to, że prześcigną zarazę.

Jedno łóżko jest posłane, drugie nie. Błyska za nim cyfrowy gadający budzik.

– Która godzina? – pyta Yeti, ale nie doczeka się odpowiedzi.

Będzie musiał przeprogramować urządzenie, nastawić je na własny głos.

Faceci byli nieźle wyposażeni: dwa centra rozrywki z ekranami, graczami, dołączone słuchawki. Ubrania na wieszakach, standardowe pozasłużbowe cienkie ciuchy; używany ręcznik na podłodze, obok skarpetka. Tuzin ściągniętych z sieci odbitek na jednym z nocnych stolików. Chuda dziewczyna, która ma na sobie jedynie sandały na wysokich obcasach, stoi na głowie; blondynka zwiesza się z haka w suficie, w czymś w rodzaju podziurawionego pasa przepuklinowego z czarnej skóry, w przepasce na oczach, ale z otwartymi oślinionymi ustami i miną „Uderz mnie raz jeszcze”; duża kobieta z olbrzymimi implantami piersi i ustami pomalowanymi lśniącą czerwoną szminką, pochylona, wyciąga zakolczykowany język. To co zwykle.

Ci faceci musieli uciekać w pośpiechu. Może to ci na dole, ci w bioskafandrach. To miałoby sens. Po ich wyjściu nikt tu chyba nie wchodził; a jeśli nawet, to niczego nie chciał zabrać.

W jednej z szuflad w nocnym stoliku znajduje paczkę papierosów, brakuje tylko dwóch. Yeti wyciąga papierosa – wilgotny, ale teraz ucieszyłby go nawet kurz w paczce – i rozgląda się w poszukiwaniu czegoś, czym go przypali. Ma zapalki w worku na śmieci, ale gdzie on jest? Pewnie upuścił go na schodach, spiesząc tutaj. Wraca na klatkę schodową, spogląda w dół. Wszystko w porządku, worek tam leży, na czwartym stopniu od dołu. Ostrożnie rusza w jego kierunku. Kiedy wyciąga rękę, coś rzuca się na nią. Uskakując, Yeti patrzy, jak świnion ześlizguje się po schodach, a następnie znowu ciska. Jego oczy lśnią w półmroku; Yeti ma wrażenie, że zwierzę się uśmiecha.

Czekały na niego, wykorzystały worek na śmieci jako przynętę. Musiały się domyślić, że jest w nim coś, czego on pragnie, po co zejdzie. Bystre, takie bystre. Nogi mu drżą, kiedy dociera do schodka na samej górze.

Obok pokoju do drzemek jest mała łazienka z prawdziwą ubikacją. W samą porę: strach homogenizował mu jelita. Wypróżnia się – jest papier, chwala Bogu, nie musi używać liści – i już ma nacisnąć spłuczkę, kiedy nagle dochodzi do wniosku, że zbiornik na pewno jest pełen wody, a woda mu się przyda. Unosi pokrywę: jasne, minioaza. Woda jest czerwona, ale pachnie przyzwoicie, więc Yeti wsadza w nią głowę i chłopcze jak pies. Przez całą tę adrenalinę jest odwodniony.

Teraz mu lepiej. Nie ma powodów do paniki, jeszcze nie. W kuchence znajduje

zapalki i przypala papierosa. Po kilku machach czuje, że kręci mu się w głowie, ale i tak jest cudownie.

– Gdybyś był dziewięćdziesięcioletkiem i miał okazję rznąć po raz ostatni, ale wiedziałbyś, że to cię zabije, zdecydowałbyś się? – spytał go kiedyś Derkacz.

– No pewnie – odparł Jimmy.

– Narkoman – zawyrokował Derkacz.

Yeti uświadamia sobie, że nuci podczas przeglądu zawartości kuchennych szuflad. Czekolada w tabliczkach, prawdziwa czekolada. Słoik rozpuszczalnej kawy, podobnie słoik śmietanki w proszku i cukru. Pasta krewetkowa do smarowania, erzac, ale jadalny. Ser w tubie, majonez w tubie. Zupa warzywna z makaronem, o smaku kurczaka. Krakersy w plastikowym opakowaniu. Stosik energatonów. Prawdziwa bonanza.

Zbiera się na odwagę, po czym otwiera lodówkę w nadziei, że ci faceci nie trzymali tu zbyt dużo świeżego jedzenia i smród nie będzie szczególnie odrażający. Najgorsze jest zepsute mięso w rozmrożonym zamrażalniku: sporo tego napotkał, kiedy początkowo krążył po plebsopoliach.

Nic tu szczególnie nie cuchnie; jest tylko pomarszczone jabłko, pomarańcza zarośnięta zielonym futerkiem. Dwie butelki piwa, pełne – prawdziwego piwa! Butelki są brązowe, o cienkich staroświeckich szybkach.

Otwiera piwo, wypija połowę. Ciepłe, ale co za różnica? Potem, przy stole, zjada krewetkową pastę, krakersy, ser i majonez, kończąc łyżeczką rozpuszczalnej kawy zmieszanej ze śmietanką i cukrem. Zupę z makaronem, czekoladę i energatony zachowuje na później.

W jednej z szuflad leży nakręcane radio. Yeti pamięta, jak zaczęli rozdawać te urządzenia, na wypadek tornad, powodzi i czegośkolwiek, co mogłoby spowodować problemy z elektroniką. Jego rodzice dostali takie radio, gdy jeszcze byli jego rodzicami; czasem bawił się nim po kryjomu. Miało korbkę do ładowania akumulatora i działało przez pół godziny.

Radio wydaje się sprawne, więc je nakręca. Nie spodziewał się, że cokolwiek usłyszy, ale oczekiwanie to nie to samo co pragnienie.

Biały szum, jeszcze więcej białego szumu, biały szum. Najpierw sprawdza fale długie, średnie i krótkie, potem UKF. Nic. Tylko dźwięk, jak dźwięk światła gwiazd przeciskającego się przez kosmos: kkkkkkk. Później bada krótkie fale. Porusza pokrętełkiem bardzo powoli i ostrożnie. Może są jakieś inne kraje, odległe kraje, gdzie ludziom udało się przetrwać. Nowa Zelandia. Madagaskar, Patagonia, takie miejsca.

Nie udałoby im się uciec. Przynajmniej większości z nich. Kiedy to wybuchło,

przeniosło się drogą powietrzną. Pożądanie i strach są uniwersalne, między nimi grabarze.

Kkkk. Kkkk. Kkkk.

Odezwiń się do mnie, modli się. Powiedz coś. Cokolwiek.

Nagle słyszy odpowiedź. To głos, ludzki głos. Niestety, mówi w jakimś języku, który brzmi jak rosyjski.

Yeti nie wierzy własnym uszom. Nie jest zatem jedyny – ktoś inny też sobie poradził, ktoś z jego gatunku. Ktoś, kto potrafi obsługiwać nadajnik krótkofalowy. Jeśli został jeden, to pewnie i inni. Ten jednak na niewiele zda się Yeti, jest zbyt daleko.

Debil! Zapomniał o funkcji CB. Tego właśnie kazali używać w nagłych wypadkach. Jeśli ktoś znajdował się w pobliżu, należało wykorzystać CB.

Przekręca pokrętło. Odbiór, tego spróbuje.

Kkkk.

Nagle, słabo, męski głos:

– Czy ktoś mnie słyszy? Czy ktoś tam jest? Słyszysz mnie?

Odbiór.

Yeti szarpie się z pokrętłami. Jak wysłać wiadomość? Zapomniał. Gdzie jest ten sukinsyn?

– Tu jestem! Tu jestem! – wrzeszczy.

Wraca do odbioru. Nic.

Już zaczyna się zastanawiać. Czy działa zbyt szybko? Skąd ma wiedzieć, kto jest po drugiej stronie? Zapewne ktoś, z kim nie miałyby ochoty zjeść lanczu. Mimo to czuje się zadowolony, wręcz rozradowany. Teraz jest więcej możliwości.

Wał obronny

Yeti był tak oczarowany – podnieceniem, żywnością, głosami w radio – że zapomniał o skaleczeniu na stopie. Teraz mu o sobie przypomniało: boleśnie go zakłuło, niczym cierń. Siada przy kuchennym stole, jak najwyżej wyciąga nogę, by jej się przyjrzeć. Wygląda na to, że nadal tkwi w niej okruch szkła po butelce od burbona. Yeti skubie i wyciska, żałuje, że nie ma szczypiec ani choćby dłuższych paznokci. W końcu łapie maleńki okruch, ciągnie. Boli, ale nie leci zbyt wiele krwi.

Po wydobyciu szkła przemywa ranę odrobiną piwa, a następnie kuśtyka do łazienki i grzebie w apteczce. Nic do użytku, poza tubą środka z filtrem przeciwsłonecznym – nie nadaje się do ran – i jakąś przeterminowaną maścią z antybiotykiem, którą smaruje ranę, i mętym płynem do golenia pachnącym sztucznymi cytrynami. Yeti wylewa go na ranę, bo na pewno jest w nim alkohol. Może powinien poszukać preparatu do czyszczenia rur albo czegoś w tym rodzaju, ale nie chce posuwać się zbyt daleko, przypalić całej podeszwy. Będzie musiał trzymać kciuki i liczyć na odrobinę szczęścia: zainfekowana stopa go spowolni. Nie należało tak długo zaniedbywać rany, podłoga na dole z pewnością roi się od zarazków.

Wieczorem patrzy na zachód słońca przez wąską szparę w oknie wieży. Jak wspaniale musiał się prezentować, gdy kierowano na niego dziesięć wideokamer i można było obejrzeć panoramę, wzmocnić kolor, wydobyć czerwone tony. Wystarczyło zapalić skręta, oprzeć się wygodnie i doznać pełni szczęścia. Ekran patrzy na Yeti pustymi oczodołami, więc musi mu wystarczyć oryginał, a właściwie jego wycinek, najpierw pomarańczowy, potem różowy, później jak rozwodniona krew i na końcu truskawkowowanilinowy, z boku tego, gdzie na pewno jest słońce.

W blednym różowym świetle świnioty czekające na Yeti wyglądają jak miniaturowe figurki z plastiku, bukoliczne kopie z zabawkowej farmy. Przybrały różowy odcień niewinności, jak wiele rzeczy z oddali. Trudno sobie wyobrazić, że źle mu życzą.

Zapada noc. Yeti leży na jednym z łóżek w sypialni, na tym posłanym. Tu, gdzie teraz leżą, kiedyś spał trup, myśli. Nie przewidział przyszłości. Nie miał pojęcia. W przeciwieństwie do Jimmy'ego, który miał pojęcie, który powinien na to wpaść, ale

nie wpadł. Czy gdybym wcześniej zabił Derkacza, myśli Yeti, wydarzenia potoczyłyby się inaczej?

Jest zbyt duszno i gorąco, chociaż zdołał wypchnąć awaryjne pokrywy wentylatorów. Nie może od razu zasnąć, więc zapala jedną ze świec – jest w blaszanym pudełku z pokrywką, wyposażenie survivalowe, podobno można na tym ugotować zupę – i zaciąga się następnym papierosem. Tym razem nie ma zawrotów głowy. Każdy nawyk nadal tkwi w jego ciele w uśpieniu, niczym kwiaty na pustyni. W odpowiednich warunkach wszystkie dawne uzależnienia rozkwitłyby z całą mocą.

Wodzi kciukiem po odbitkach z pornograficznych stron. Te kobiety nie są w jego typie – zbyt pękate, zbyt zmienione, zbyt oczywiste. Za dużo lubieżności i mascary, za dużo krowiego języka. Czuje niesmak, nie pożądanie.

Poprawka: pełne niesmaku pożądanie.

– Jak możesz – mamrocze do siebie, nie pierwszy raz, kiedy kopuluje w swojej głowie z dziwką do wynajęcia, w bluzce bez rękawów z czerwonego chińskiego jedwabiu i butach na kilkunastocentymetrowych obcasach, ze smokiem wytatuowanym na tyłku.

„Och, skarbie”.

W małym dusznym pokoju śni, znowu o matce. Nie, nigdy nie śni o matce, tylko o jej nieobecności. Jest w kuchni. Pufff, huczy mu w ucho wiatr, zamykają się drzwi. Na wieszaku wisi jej szlafrok, karmazynowy, pusty, przerażający.

Budzi się z sercem walącym jak młotem. Pamięta, jak często po jej odejściu wkładał ten szlafrok. Nadal nią pachniał, tymi jaśminowymi perfumami, których używała. Yeti wpatrywał się w siebie w lustrze, w swoją chłopięcą głowę z wyćwiczonym rybim spojrzeniem i szyję, która wyrastała z tkaniny w damskim kolorze. Jak bardzo nienawidził matki w tamtej chwili. Ledwie mógł oddychać, dławiła go nienawiść, lzy nienawiści spływały po policzkach. Ale i tak obejmował się ramionami.

Jej ramionami.

Nastawił sterowany głosem budzik na godzinę przed świtem, zgadując, kiedy on nastąpi.

– Wstawaj, szkoda dnia – mówi zegar uwodzicielskim damskim głosem. – Wstawaj, szkoda dnia.

– Dość – mówi Yeti i zegar milknie.

– Chcesz muzykę?

– Nie – odpowiada, choć kusi go, żeby zostać w łóżku i poobcować z kobietą w zegarze (byłaby to niemal rozmowa), ale dziś musi ruszyć przed siebie. Jak długo jest już z dala od wybrzeża, od Derkaczan? Liczy na palcach, pierwszy dzień, wyprawa

do OdmłodNowy, tornado, dzień drugi, w pułapce świniów. Zatem to musi być trzeci dzień.

Za oknem widać mysioszare światło. Yeti sika do zlewu, ochlapuje twarz wodą z rezerwuaru. Nie powinien jej pić bez przegotowania. Teraz gotuje ją w rondlu – w kuchence gazowej nadal jest gaz – i obmywa nogę, trochę zaczerwienioną wokół rany, ale nic specjalnego, robi sobie rozpuszczalną kawę z mnóstwem cukru i śmietanki. Żuje trójwocowy energaton, rozkoszując się znajomym smakiem bananowego oleju i słodzonego lukru, i czuje przyływ energii.

Gdzieś podczas tej wczorajszej bieganiny stracił butelkę z wodą, no i dobrze, jeśli się weźmie pod uwagę to, co w niej było. Ptasie gówno, larwy komarów i glisty. Napełnia przegotowaną wodą pustą butelkę po piwie, potem zabiera z sypialni standardową, zrobioną z mikrofibry torbę na bieliznę, do której pakuje wodę, cały cukier, jaki znajduje, i pół tuzina energatonów. Wciera w siebie krem z filtrem przeciwsłonecznym i ciska do torby tubę, a następnie wkłada lekką bluzę khaki. Znajduje też okulary, więc wyrzuca te stare, z jednym szkłem. Zastanawia się nad parą szortów, ale są za luźne w pasie i nie chroniłyby jego nóg z tyłu, więc zostaje przy kwiecistym prześcieradle, składa je na pół i wiąże jak sarong. Po przemyśleniu zdejmuje je i chowa do torby; może o coś zahaczyć, gdy będzie się przemieszczał, włoży je później. Uzupełnia zużytą aspirynę i świeczki i dorzuca sześć małych pudełek zapalek, obieraczkę do warzyw i swoją autentyczną replikę czapki baseballowej Red Soxów. Nie chciałby, żeby mu spadła podczas wielkiej ucieczki.

I już. Niezbyt ciężko. Teraz do wyjścia.

Usiłuje zbić kuchenne okno – mógłby się opuścić po wale obronnym Kompleksu na prześcieradle pociętym i powiązanym supłami – ale nic z tego: szkło pokryte folią antywłamaniową. Wąskie okienko wychodzące na budkę odpada; nawet gdyby się tamtędy wydostał, wpadłby w stado śliniących się świniów. W łazience też jest małe okno, wysoko, ale również od strony świniów.

Po trzech godzinach bolesnych prób i za pomocą – początkowo – kuchennej drabinki, korkociągu i kuchennego noża, a ostatecznie – młotka i śrubokrętu na baterie, który znalazł z tyłu szafki na przybory domowe, udaje mu się wymontować awaryjną pokrywę przewodu wentylacyjnego i odblokować ukryty za nią mechanizm. Przewód wznosi się jak komin, z boku gdzieś zakręca. Yeti sądzi, że jest dostatecznie chudy, by się tam zmieścić – głodowanie ma swoje zalety – chociaż jeśli utknie, umrze bolesną, a także idiotyczną śmiercią. Ugotowany w przewodzie wentylacyjnym, bardzo śmieszne. Przywiązuje jeden koniec prowizorycznej liny do nogi kuchennego stołu – na szczęście przyśrubowanego do podłogi – a drugi wiąże w talii. Wstrzymując oddech, wciska się, obraca, wije. Na szczęście nie jest kobietą, szeroki tyłek by tu ugrzązł. Nie ma wolnego miejsca, ale jego głowa jest już na zewnątrz, a następnie, po

szarpnięciu, ramiona. Do wału ma prawie trzy metry. Będzie musiał zanurkować głową naprzód, z nadzieją, że prowizoryczny sznur wytrzyma.

Ostatnie pchnięcie, szarpie, nagle nieruchomieje i krzywo wisi. Łapie sznur, wypręża się, rozwiązuje szur, opuszcza się na rękach. Potem przeciska worek. Nic się nie stało.

Jasna cholera. Zapomniał o radiu. Trudno, nie wróci po nie.

Wał ma prawie dwa metry szerokości, z obu stron otacza go mur. Co trzy metry znajduje się tam para szczelin, nie naprzeciwko, ale przesuniętych względem siebie, w zamierzeniu dla obserwacji, ale przydaje się to także przy rozmieszczaniu broni ostatniej szansy. Wał ma siedem metrów wysokości; dziewięć, licząc mury. Otacza cały Kompleks, w równych odstępach wyrastają z niego wieże, takie jak ta, którą właśnie opuścił.

Kompleks ma kształt prostokąta, jest pięć innych bram. Yeti zna plan, oglądał go dokładnie podczas dni w WyRaju, dokąd właśnie zmierza. Widzi kopułę wznoszącą się między drzewami, lśniąca niczym półksiężyc. Zamierza wziąć stamtąd, czego mu potrzeba, a następnie znowu okrążyć OdmłodNowę po wale – albo, jeśli będą odpowiednie warunki, przejść na skróty przez teren Kompleksu – i wyjść boczną bramą.

Słońce stoi już wysoko na niebie. Powinien iść szybciej, bo się usmaży. Chciałby pokazać się świniom, wyszydzić je, ale zwalcza pokusę: pójdą za nim pod wałem, nie pozwolą mu zejść. Dlatego za każdym razem, gdy dociera do szczeliny obserwacyjnej, przykuca, żeby go nie zauważyły.

Przy trzeciej wieży przystaje. Nad wałem widzi coś białego – szarobiałego i podobnego do chmury – ale to jest zbyt nisko jak na chmurę. I ma nieodpowiedni kształt. Jest cienkie, jak chwiejący się filar. Musi znajdować się blisko brzegu, kilka kilometrów na północ od obozowiska Derkaczan. Na początku Yeti myśli, że to mgła, ale mgła nie miewa kształtu długiej łodygi i nie wznosi się w kłębach. Bez wątplenia widzi dym.

Derkaczanie często rozpalają ogień, ale nigdy nie jest wielki, nie udałoby im się coś takiego. Może to rezultat wczorajszej burzy, może to spowodowany uderzeniem pioruna pożar, który przygasł na deszczu, a teraz znowu dymi? A może Derkaczanie nie posłuchali jego rozkazów i zaczęli go szukać, i zapalili ognisko sygnałowe, żeby sprowadzić go do domu? To nieprawdopodobne – nie myślą w ten sposób – ale jeśli tak, to solidnie zбочyli.

Zjada pół energatona, popija odrobiną wody, nadal idzie wałem. Teraz trochę kuleje, świadom bólu w stopie, ale nie czas na to, musi zejść najdalej jak się da. Potrzebuje tego miotacza, i to nie tylko ze względu na wilksy i świniom. Od czasu do czasu ogląda się przez ramię. Dym wciąż tam jest, samotna kolumna. Nie zniknął, nadal się wznosi.

W plebsopolii

Yeti kuleje na wale, zmierza ku białej kopule ze szkła, która znika mu z oczu niczym fatamorgana. Rana przeszkadza w wędrówce, a koło jedenastej rozgrzany beton uniemożliwia dalszy marsz. Yeti naciągnął prześcieradło na głowę, otulił się nim szczelnie, zasłonił czapką baseballową i tropikalną koszulą, ale nadal może się poparzyć, mimo filtra przeciwsłonecznego i dwóch warstw odzieży. Cieszy się, że ma nowe okulary.

Kuli się w cieniu następnej wieży, żeby przeczekać południe, popija wodę z butelki. Kiedy minie najgorszy upał, kiedy przejdzie codzienna burza, czekają go jeszcze ze trzy godziny wędrówki. Jeśli wszystko pójdzie sprawnie, dotrze na miejsce przed zmierzchem.

Żar leje się z nieba, odbija od betonu. Yeti się relaksuje, oddycha gorącym powietrzem, pot spływa mu po skórze, jakby wędrowały po nim krocionogi. Jego zamknięte powieki drżą, stare filmy wirują i trzeszczą w jego głowie.

– Do czego mu, kurwa, byłem potrzebny? – pyta. – Dlaczego nie dał mi spokoju?

Nie ma sensu o tym myśleć, nie w tym upale, nie, gdy jego mózg zamienia się w roztopiony ser. Nie, nie w roztopiony ser: lepiej unikać skojarzeń z jedzeniem. Jest jak kit, jak klej, jak produkt do układania włosów w formie kremu w tubie. Kiedyś tego używał. Wyobraża go sobie na półce tuż obok brzytwy: lubił porządek. Nagle wyraźnie widzi samego siebie, świeżo spod prysznic, przejeżdżającego dłońmi pełnymi kremu przez wilgotne włosy. W WyRaju, gdy czekał na Oryks.

Miał dobre intencje, a przynajmniej nie miał złych intencji. Nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić, nie na poważnie, nie w prawdziwym życiu. Fantazje się nie liczyły.

Była sobota, Jimmy leżał w łóżku. W tamtych czasach z trudem wstawał: w ubiegłym tygodniu parę razy nie zdążył do pracy, a jeśli dodać do tego spóźnienia z poprzedniego tygodnia i jeszcze wcześniejsze, wkrótce mógł oczekiwać kłopotów. Wcale nie balował, wręcz przeciwnie. Unikał kontaktu z ludźmi. Przełożeni z Kompleksu NowyTy nie zdołali go jeszcze rozgryźć: być może wiedzieli o jego matce i jej niechlubnej śmierci. Cóż, jasne, że wiedzieli, choć był to ten mroczny sekret, o którym nigdy nie wspomiano w Kompleksach – pech, zły los, może to zaraźliwe, lepiej udawać głupiego. Pewnie przymykali oko na jego wykroczenia.

Jedno było dobre – może w końcu skreślili matkę z listy i korpusowcy zostawią go w spokoju.

– Wstawaj, wstawaj, wstawaj – powiedział mówiący budzik. Był różowy, w kształcie fallusa: budzikutas, подарowany mu w ramach żartu przez jedną z kochanek. Wtedy myślał, że to zabawne, tego ranka jednak poczuł się urażony. Tylko tyle dla niej znaczył, dla nich wszystkich: mechaniczny dowcip. „Nikt nie chce być aseksualny, ale i nikt nie chce być zredukowany do seksu”, powiedział kiedyś Derkacz. O tak, mój drogi, pomyślał Jimmy. Jeszcze jedna ludzka zagadka.

– Która godzina? – spytał głośno.

Urządzenie opuściło czubek, po chwili znów się wyprostowało.

– Południe. Południe, południe, po...

– Zamknij się – przerwał Jimmy.

Budzik sflaczał. Zaprogramowano go tak, żeby reagował na nieprzyjemny ton głosu.

Jimmy się zastanawiał, czy wstać z łóżka, iść do kuchni, otworzyć piwo. To był niezły pomysł. Późno się położył. Jedna z kochanek, ta od budzika, zdołała przebić mur jego milczenia. Pojawiła się około dziesiątej z jakimś jedzeniem na wynos – skrzydełka kurczakiści i frytki, wiedziała, co lubił – i z butelką szkockiej.

– Martwiłam się o ciebie – powiedziała.

Tak naprawdę zależało jej na szybkim numerku, więc zrobił co w jego mocy i dobrze się bawiła, jednak tym razem nie włożył w to serca, co nie uszło jej uwagi. Następnie musieli przebrnąć przez: „O co chodzi, jesteś mną znudzony, naprawdę mi na tobie zależy i tak dalej, i tak dalej, ple ple”.

– Zostaw męża – powiedział Jimmy, żeby jej przerwać. – Ucieknijmy do plebsopolii i zamieszkajmy w przyczepie.

– O, nie sądzę... Nie mówisz poważnie.

– A jeśli tak?

– Wiesz, jak mi na tobie zależy. Na nim jednak też mi zależy i...

– Od pasa w dół.

– Słucham? – Była dobrze wychowaną kobietą, mówiła „Słucham?”, zamiast: „Co?”.

– Powiedziałem, od pasa w dół. Tak ci właśnie na mnie zależy. Chcesz, żebym ci to przeliterował?

– Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ostatnio jesteś taki nieprzyjemny.

– I wcale nie zabawny.

– Szczerze mówiąc, nie.

– No to spieprzaj.

Potem się pokłócili, ona płakała, co, o dziwo, poprawiło nastrój Jimmy’ego. Potem wypili szkocką. Potem znowu uprawiali seks i tym razem Jimmy dobrze się bawił, ale jego kochanka nie, bo był zbyt brutalny i szybki i nie mówił jej żadnych pochlebstw, jak zazwyczaj. Świetna dupa i tak dalej, i tak dalej.

Nie powinien okazywać złośliwości. Była miłą kobietą, miała prawdziwe cycki i własne problemy. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy. Zapewne tak, bo gdy wychodziła, jej oczy mówiły: „Mogę cię uzdrowić”.

Jimmy się wysikał i właśnie wyjmował piwo z lodówki, gdy zadzwonił domofon. Przyszła jak na zawołanie. Natychmiast znowu poczuł rozdrażnienie. Podszedł do głośnika.

– Odejdź – powiedział.

– Tu Derkacz. Jestem na dole.

– Nie wierzę – odparł Jimmy.

Wcisnął kod wideokamery w recepcji. Faktycznie, to był Derkacz, demonstrował mu wyciągnięty palec i uśmiech.

– Wpuść mnie – powiedział.

I Jimmy go wpuścił, bo w tamtej chwili Derkacz był chyba jedyną osobą, którą miał ochotę widzieć.

Derkacz niewiele się zmienił. Miał takie samo ciemne ubranie. Nawet nie wyłysiał.

– Co ty tu, kurwa, robisz? – spytał Jimmy. Po początkowym przypływie radości czuł zażenowanie, że jeszcze się nie ubrał i że jego mieszkanie tonie po kolana w kotach z kurzu, niedopałkach, brudnych szklankach i pustych pojemnikach po kurczakiści, ale Derkacz zdawał się tego nie zauważać.

– Cieszę się, że tak miło mnie witasz – powiedział Derkacz.

– Przepraszam. Ostatnio niezbyt mi się układa – odparł Jimmy.

– Tak. Widziałem. Twoja matka. Napisałem mail, ale nie odpowiedziałeś.

– Nie odbieram poczty – wyjaśnił Jimmy.

– Zrozumiałe. Było na mózgospieku: podburzanie do brutalności, przynależność do nielegalnej organizacji, utrudnianie dystrybucji towarów handlowych, zdrada społeczeństwa. Pewnie chodzi o demonstracje, w których brała udział. Rzucanie cegłami albo coś. Kiepsko, miła z niej była dama.

Zdaniem Jimmy’ego, ani „miła”, ani „dama” nie pasowały do jego matki, ale nie zamierzał o tym dyskutować, nie o tak wczesnej porze.

– Chcesz piwo? – zapytał.

– Nie, dzięki – powiedział Derkacz. – Przyszedłem się z tobą zobaczyć. Sprawdzić, czy nic ci nie jest.

– Nic mi nie jest – oświadczył Jimmy.

Derkacz popatrzył na niego.

– Wybierzmy się do plebsopolii – zaproponował. – Wpadniemy do kilku barów.

– Żartujesz, tak? – spytał Jimmy.

– Nie, skąd. Mam przepustki. Swoją stałą i jedną dla ciebie.

Po tym Jimmy się domyślił, że Derkacz to naprawdę ktoś ważny. Był pod wrażeniem. Co więcej, wzruszyło go, że Derkacz wykazuje troskę o niego, że przejechał taki szmat drogi, by go odszukać. Choć ostatnio ich kontakty się rozluźniły – z winy Jimmy’ego – Derkacz nadal był jego przyjacielem.

Pięć godzin później szli przez plebsopolię na północ od Nowego Nowego Jorku. Dotarli tam w zaledwie dwie godziny – pociągiem szybkobieżnym do najbliższego Kompleksu, potem służbowym autem Korpusu z uzbrojonym kierowcą, przysłanym przez kogoś, kto wypełniał rozkazy Derkacza. Samochód zawiózł ich do serca tego, co Derkacz nazywał akcją, i tam wyrzucił. Derkacz twierdził jednak, że będą kryci. Chronieni. Nie spotka ich nic złego.

Przed wyruszeniem w drogę Derkacz wbił igłę w ramię Jimmy’ego – błyskawiczną, uniwersalną szczepionkę, którą sam przygotował. Twierdził, że plebsopolie to gigantyczna płytką Petriego: wala się tam mnóstwo oślizgłej i pełnej zarazków plazmy. Jeśli dorastałeś w takim otoczeniu, byłeś mniej lub bardziej odporny, chyba że szalała jakaś nowa bioforma; jednak jeśli pochodziłeś z Kompleksów i postawiłeś stopę w plebsopolii, już było po tobie. Zupełnie jakbyś nosił na czole wielki napis: „Zjedz mnie”.

Derkacz miał też dla nich filtry do nosa, najnowszy model, nie tylko do odsiewania mikrobów, ale także do eliminowania zanieczyszczeń. W plebsopolii jest gorsze powietrze, powiedział. Więcej śmieci lata w powietrzu, mniej wirowych wież oczyszczających w okolicy.

Jimmy nigdy dotąd nie był w plebsopolii, tylko spoglądał zza muru. Czuł podniecenie, że w końcu tu trafił, choć nie był przygotowany na takie tłumy: szły, rozmawiały, dokądś pędziły. Osobiście wolał unikać plucia na chodnik. Bogaci plebsopolici w luksusowych autach, biedniejsi na solarnych motocyklach, dziwki we fluorescencyjnych ubraniach ze spandeksu albo krótkich szortach, albo – bardziej sportowo, popisując się muskularnymi udami – na skuterach śmigwały wśród innych pojazdów. Wszystkie kolory skóry, wszystkie rozmiary. Jednak nie wszystkie ceny, powiedział Derkacz: to były te tanie. Jimmy mógł się przyglądać, ale nie powinien korzystać. Powinien zostawić to na później.

Mieszkańcy plebsopolii nie wyglądali jak mentalne niedoróbki, którymi tak lubili pogardzać ludzie z Kompleksów, przynajmniej większość z nich tak nie wyglądała. Po pewnym czasie Jimmy zaczął się relaksować, cieszyć nowym doświadczeniem. Tyle tu było: tyle wciskano, tyle oferowano. Wszędzie hasła na neonach, billboardy, ogłoszenia. Prawdziwi włóczędzy, prawdziwe żebraczki, jak w starych musicalach na DVD: Jimmy oczekiwał, że strzelą zniszczonymi obcasami i zaczną śpiewać piosenki. Prawdziwi muzycy na rogach ulic, prawdziwe gangi uliczników. Asymetrie,

deformacje: twarze inne od regularnych rysów z Kompleksów. Nawet zepsute zęby. Gapił się na to z otwartymi ustami.

– Uważaj na portfel – ostrzegł go Derkacz. – Chociaż nie będziesz potrzebował gotówki.

– Dlaczego nie?

– Ja stawiam – oświadczył Derkacz.

– Nie mogę się zgodzić.

– Postawisz następnym razem.

– Nie ma sprawy – powiedział Jimmy.

– Jesteśmy na miejscu. Nazywają to Ulicą Marzeń.

Sklepy były dobre i ekskluzywne, wystawy wyszukane. „Dzień smutnych genów?”, przeczytał Jimmy. „Spróbuj »Tnij i żyj«!”. „Tu pozbędziesz się chorób”. „Nie bądź niski, zostań goliatem!”. „Śniątka”. „Wykuruj sobie obrąbek”. „Coś do kołyski, Sp. z o.o.”. „Jesteś maluchem? Longfellow cię wydłuży!”.

– Właśnie tu nasze produkty zamieniają się w złoto – oznajmił Derkacz.

– Nasze produkty?

– To, co wymyślamy w OdmłodNowie. My i inne zorientowane na ciało Kompleksy.

– Czy to wszystko działa? – Jimmy był pod wrażeniem, nie tyle z powodu obietnic, ile samych haseł: pracowały nad nimi umysły takie jak on. Jego parszywe poranne samopoczucie zniknęło, teraz był całkiem radosny. Tyle się pojawiło, taka mnogość informacji: zajęły mu całą przestrzeń w głowie.

– Całkiem sporo – odparł Derkacz. – Oczywiście, nie doskonale. Ale konkurencja jest dzika, zwłaszcza to, co robią Rosjanie i Japończycy, i rzecz jasna Niemcy. I Szwedzi. My czekamy, nasze produkty cieszą się opinią niezawodnych. Przyjeżdżają tu ludzie z całego świata i robią zakupy. Płeć, orientacja seksualna, wzrost, barwa skóry i oczu – wszystko na zamówienie, można to zrobić i przerobić. Nie masz pojęcia, ile pieniędzy zmienia właściciela tylko na tej jednej ulicy.

– Napijmy się – powiedział Jimmy. Myślał o swoim hipotetycznym bracie, tym, który jeszcze nie przyszedł na świat. Czy właśnie tutaj ojciec i Ramona wybrali się na zakupy?

Napili się i coś zjedli – prawdziwe ostrygi, jak twierdził Derkacz, prawdziwą japońską wołowinę, równie rzadką jak brylanty. Musiała kosztować majątek. Następnie poszli do paru innych miejsc i wylądowali w barze, gdzie prezentowano seks oralny na trapezach, a Jimmy wypił coś pomarańczowego, coś, co świeciło w ciemnościach, a potem jeszcze dwa razy to samo. Później opowiedział Derkaczowi historię swojego życia – nie, historię życia matki – w jednym bełkotliwym zdaniu, przypominającym pasmo gumy do żucia, która nie przestawała wychodzić mu z ust. Później byli w jakimś innym miejscu, na gigantycznym łóżku przykrytym zielonym ałtarem, i zajmowały się nimi dwie dziewczyny pokryte od stóp do głów cekinami

przyklejonymi do skóry i lśnącymi jak łuski wirtualnych ryb. Jimmy nigdy nie widział kobiety, która potrafiłaby się do tego stopnia prężyć i wyginać.

Czy to tam, czy też wcześniej, w jednym z barów, wyskoczył temat pracy? Następnego ranka nie potrafił sobie przypomnieć. Derkacz powiedział: „Praca, ty, OdmłodNowa”, a Jimmy: „Co miałbym robić, czyścić ubikacje?”, a Derkacz wybuchnął śmiechem i oświadczył: „Coś lepszego”. Jimmy nie pamiętał, żeby się zgodził, ale z pewnością tak było. Wziąłby każdą pracę, obojętnie jaką. Chciał się ruszyć, chciał ruszyć przed siebie. Był gotów na całkiem nowy rozdział.

BłogoPlus

W poniedziałkowy ranek po weekendzie z Derkaczem Jimmy zjawił się w pracy na kolejny dzień kupczenia słowami. Czuł się bardzo wyczerpany, ale miał nadzieję, że tego nie widać. Choć NowyTy zachęcał swoją klientelę do rozmaitych chemicznych eksperymentów, wśród pracowników było to źle widziane. Zgadza się, pomyślał Jimmy: w dawnych czasach przemysłowcy alkoholu rzadko bywali pijakami. Tak przynajmniej czytał.

Nim zasiadł za biurkiem, odwiedził męską toaletę i przyjrzał się sobie w lustrze: wyglądał jak zwymiotowana pizza. I na dodatek był spóźniony, ale tym razem nikt tego nie zauważył. Nagle pojawił się jego szef i inni szefowie, tak wysoko postawieni, że Jimmy nigdy wcześniej ich nie widział. Potrząsali jego dłonią, klepali go po plecach, wciśnięto mu w dłoń napój szampanopodobny. „O Boże! Klin! Gul, gul, gul”, wyrósł dymek, ale Jimmy pamiętał, by pociągnąć tylko łyczek.

Następnie usłyszał, jaka to była przyjemność pracować z nim w Kompleksie NowyTy i jakim okazał się cennym nabytkiem, i jak życzą mu wszystkiego najlepszego tam, dokąd jedzie, a przy okazji gratulacje! Jego odprawa zostanie natychmiast wysłana na konto w Korpbanku. Będzie hojna, hojniejsza, niż wynika to z jego stażu pracy, gdyż, bądźmy szczerzy, przyjaciele z Kompleksu chcieli, by Jimmy życzliwie ich wspominał na swoim nowym znakomitym stanowisku.

Cokolwiek będzie, myślał Jimmy, siedząc w strzeżonym pociągu szybkobieżnym. Pociąg przyjechał specjalnie po niego. Wcześniej pojawiła się ekipa od przeprowadzek – wszystko spakowali, zawodowcy, bez obaw. Ledwie starczyło mu czasu, żeby skontaktować się z licznymi kochankami, a kiedy to zrobił, odkrył, że każdą z nich dyskretnie poinformował już sam Derkacz, którego macki – jak się wydawało – sięgały wszędzie. Skąd o nich wiedział? Mógł włamywać się do poczty elektronicznej Jimmy’ego, to była dla niego pestka. Tylko po co?

„Będę za tobą tęskniła, Jimmy”, brzmiała wiadomość od jednej z kochanek.

„Och, Jimmy, byłeś taki zabawny”, pisała inna.

„Byłeś”, nieźle powiedziane. Zupełnie jakby umarł czy coś.

Jimmy spędził pierwszą noc w OdmłodNowie w hotelu dla VIP-ów. Nalał sobie drinka z minibarku, czystą szkocką, najprawdziwszą, a potem przez pewien czas

spoglądał na widok za oknem, chociaż niewiele widział poza światłami. Dostrzegał kopułę WyRaju, olbrzymią odległą półkulę, oświetloną od dołu, ale jeszcze nie wiedział, co to takiego. Uznał, że lodowisko.

Następnego ranka Derkacz zabrał go na wycieczkę po Kompleksie OdmłodNowa w podrasowanym elektrycznym wózku golfowym. Jimmy musiał przyznać, że Kompleks prezentuje się spektakularnie pod każdym względem. Wszystko lśniło czystością, wyglądało na zadbane, ekologiczne i wyjątkowo kosztowne. Powietrze było wolne od pyłu dzięki wielu słonecznym wirowym wieżom oczyszczającym, dyskretnie rozmieszczonym i imitującym sztukę współczesną. Skałolatory dbały o mikroklimat, motyle wielkie jak talerze krążyły między krzakami o żywych kolorach. Przy tym wszystkie inne Kompleksy, w których był Jimmy, w tym Watson-Crick, wyglądały licho i staroświecko.

– Kto za to wszystko płaci? – spytał Derkacza, kiedy mijali najnowsze wystawne centrum handlowe – wszędzie marmury, kolumny, kawiarnie, paprocie, budki z jedzeniem na wynos, tory dla rolników, bary z sokami, samonapędzająca się siłownia, gdzie ćwiczący na bieżniach podtrzymywali prąd w żarówkach, fontanny w stylu rzymskim z nimfami i bóstwami morza.

– Smutek w obliczu nieuniknionej śmierci – powiedział Derkacz. – Marzenie o zatrzymaniu czasu. Ludzka natura.

Niezbyt wyczerpująca informacja, uznał Jimmy.

– Zobaczysz – oznajmił Derkacz.

Zjedli lunch w jednej z pięciogwiazdkowych restauracji w OdmłodNowie, na klimatyzowanym pseudobalkonie wychodzącym na główną organiczno-botaniczną cieplarnię Kompleksu. Derkacz zamówił kangujagnię, nową australijską kombinację, która łączyła łagodny smak i wysoką zawartość białka w mięsie owcy z kangurzą odpornością na choroby i brakiem skłonności do wzdęć, nadmiernej produkcji metanu i niszczenia warstwy ozonowej w atmosferze. Jimmy zamówił kapłona nadziewanego rodzynekami – prawdziwego, hodowanego w naturalnych warunkach kapłona, prawdziwe suszone rodzyнки, zapewnił go Derkacz. Jimmy tak zdążył przywyknąć do kurczakiści, do ich mdłego, przypominającego tofu smaku i łagodnego zapachu, że kapłon wydał mu się dość dziwny.

– Mój dom nazywa się WyRaj – oświadczył Derkacz nad płonącym deserem bananowo-sojowym. – Tam pracujemy nad nieśmiertelnością.

– Jak wszyscy inni – mruknął Jimmy. – Prawie im się udało ze szczurami.

– „Prawie” to zasadnicze słowo.

– A faceci od kriogeniki? – zauważył Jimmy. – Zamrażają ci głowę, zrekonstruuja ciało, kiedy już się nauczą, jak to robić. To szybko rozwijający się przemysł, mają dużo zleceń.

– Pewnie, za parę lat wyrzucą cię tylnymi drzwiami, a krewnym powiedzą, że

nastąpiła awaria elektryczności. Tak czy owak, wyeliminowaliśmy mrożenie.

- Jak to?
- W naszym wypadku nie musisz najpierw umierać – powiedział Derkacz.
- Naprawdę się wam udało?
- Jeszcze nie – odparł Derkacz. – Ale pomyśl o budżecie działu badań i rozwoju.
- Miliony?
- Miliardy.
- Mogę się jeszcze napić? – spytał Jimmy. Musiał sporo przyswoić.
- Nie. Chęć, żebyś mnie uważnie słuchał.
- Mogę pić i słuchać.
- Niezbyt uważnie.
- Sprawdź mnie – zaproponował Jimmy.

W WyRaju, mówił Derkacz – mieli odwiedzić ten obiekt po lanczu – opracowywano dwa główne projekty. Pierwszy, tabletka o nazwie BłogoPlus, była z natury profilaktyczna, a kryła się za nią prosta logika: wyeliminuj zewnętrzne przyczyny śmierci i już jesteś w połowie drogi.

– Zewnętrzne przyczyny? – powtórzył Jimmy.

– Wojnę, która jest źle ukierunkowaną energią seksualną, uważaną przez nas za potężniejszy czynnik od ekonomicznych, rasowych czy religijnych przyczyn, tak często wymienianych. Choroby zakaźne, zwłaszcza te przenoszone drogą płciową. Przeludnienie, które – jak widzieliśmy już nieraz – prowadzi do degradacji środowiska i pogorszenia sposobu odżywiania się.

Jimmy doszedł do wniosku, że to karkołomne zadanie: tyle razy już próbowano, tyle razy się nie udało. Derkacz uśmiechnął się do niego.

- Jeśli na początku nie odnosisz sukcesów, przeczytaj instrukcję – powiedział.
- Co masz na myśli?
- Właściwe studia nad człowieczeństwem to człowiek.
- Co masz na myśli?
- Pracuj nad tym, co jest pod ręką.

BłogoPlus skomponowano tak, by oddziaływał na określoną grupę czynników związanych z ludzką naturą i kierował nimi lepiej niż dotychczas. Opiera się na badaniach obecnie niestety wymarłych pigmejów i szympansów bonobo, bliskich krewnych *Homo sapiens*. W przeciwieństwie do człowieka, bonobo nie były częściowo monogamiczne z tendencjami do poligamii lub poliandrii. Były masowo rozpustne, nie łączyły się w pary i kiedy nie jadły, spędzały czas na kopulacji. Miały bardzo niski wewnątrzgatunkowy poziom agresji.

To doprowadziło do koncepcji tabletki BłogoPlus. Celem była produkcja środka, który jednocześnie:

a) ochroni użytkownika przed wszystkimi znanymi chorobami przenoszonymi drogą płciową, śmiertelnymi, nieprzyjemnymi czy też zwyczajnie szpetnymi;

b) zapewni nieograniczony przypływ libido i seksualnej sprawności plus ogólne dobre samopoczucie i energię, a tym samym zredukuje frustrację i zablokuje testosteron, powodujące zazdrość i brutalność, wyeliminuje też poczucie niskiej wartości;

c) przedłuży młodość.

Te trzy cechy zadecydują o atrakcyjności tabletki, mówił Derkacz, ale dojdzie też czwarta, nie reklamowana. BłogoPlus również zadziała jako absolutnie pewna, wszechstronna pigułka antykoncepcyjna, zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn, automatycznie redukując populację. Efekt będzie odwracalny, choć nie w indywidualnych wypadkach, po prostu w razie potrzeby. Czyli na przykład podczas spadku populacji w pewnym regionie zmieni się składniki tabletki.

– Więc zasadniczo rzecz biorąc, chcesz wysterylizować ludzi bez ich wiedzy, pod pozorem podarowania im możliwości udziału w orgiach?

– To dość szorstkie ujęcie problemu – odparł Derkacz.

Taka tabletką, mówił, zapewni korzyści na wielką skalę, nie tylko jednostkom – chociaż trzeba im trafić do wyobraźni, inaczej produkt padnie pod względem handlowym – ale i społeczeństwu jako takiemu; nie tylko społeczeństwu, lecz też całej planecie. Inwestorom bardzo na niej zależy, więc planowano globalną sprzedaż. Same zalety. Nie było wad. On, Derkacz, bardzo się tym podniecał.

– Nie wiedziałem, że taki z ciebie altruista – powiedział Jimmy. Kiedy Derkacz stał się admiratorem ludzkiej rasy?

– To niezupełnie altruizm – wyjaśnił Derkacz. – Raczej zasada: płyn albo toń. Widziałem ostatnio poufne badania demograficzne KorpuSOKorpu. Jako gatunek mamy poważne kłopoty, gorsze niż powszechnie wiadomo. Boją się opublikować statystyki, bo ludzie mogliby się załamać, ale uwierz mi, kończy nam się czas i przestrzeń. Popyt na zasoby od dziesiątków lat przewyższał podaż w marginalnych regionach geopolitycznych, stąd głód i susze; wkrótce popyt wszędzie przewyższy podaż. Z BłogoPlusem rasa ludzka ma większe szanse na ocalenie.

– Skąd wiesz? – Może nie powinien pić tego dodatkowego drinka. Trochę się pogubił.

– Mniej ludzi oznacza więcej do rozdzielenia.

– A jeśli będą bardzo chciwi i rozrzutni? – spytał Jimmy. – Nie można tego wykluczyć.

– Nie będą – odparł Derkacz.

– Macie już to coś? – chciał wiedzieć Jimmy. Zaczynał dostrzegać nowe możliwości. Nie kończący się seks najwyższej jakości, bez konsekwencji. Jak by się nad tym zastanowić, jego libido też mogłoby na tym skorzystać. – Odrastają po tym włosy?

Już miał zapytać: „Dasz mi trochę?”, ale się powstrzymał.

To elegancka koncepcja, mówił Derkacz, ale wymaga retuszu. Nie potrafili jeszcze współpracować bez zgrzytów, nie na wszystkich frontach; projekt utkwiał w fazie badawczej. Para ochotników do badań dosłownie zapieprzyła się na śmierć, kilku innych zaatakowało staruszki i zwierzęta domowe, nastąpiło też parę niefortunnych przypadków priapizmu i pęknięcia kutasa. Początkowo także ochrona przed chorobami przenoszonymi drogą płciową zawiodła na całej linii. Jedna z badanych nabawiła się genitalnej opryszczki na ciele, co wyglądało okropnie; na szczęście pozbyli się tego za pomocą laserów i eksfoliacji, przynajmniej na pewien czas. Reasumując: dochodziło do pomyłek, podejmowano błędne decyzje, ale rozwiązanie było już blisko.

Nie trzeba dodawać, ciągnął Derkacz, że tabletką przyniesie mnóstwo pieniędzy. Będzie niezbędna w każdym kraju, w każdym społeczeństwie na świecie. Oczywiście nawiedzonym religiom nie przypadnie to do gustu, jako że ich *raison d'être* opiera się na biedzie, odsuwanej w nieskończoność gratyfikacji i seksualnych frustracjach, ale w końcu ustąpią. Pokona je fala ludzkich namiętności, pragnienia, by dostać więcej i lepiej. Przejmie kontrolę i pokieruje wypadkami, tak jak w trakcie każdego wielkiego przełomu w historii.

Jimmy powiedział, że brzmi to bardzo interesująco, pod warunkiem że przewycięży się problem, rzecz jasna. Dobra nazwa – BłogoPlus. Szept, uwodzicielski dźwięk. Podobał mu się. Nie zamierzał jednak wypróbować specyfiku na sobie; miał wystarczająco wiele problemów bez wybuchającego penisa.

– Skąd bierzecie ochotników? – spytał. – Do badań klinicznych.

– Z biednych krajów. – Derkacz się uśmiechnął. – Płacimy im po parę dolarów, nawet nie wiedzą, co biorą. Z seksualnych klinik, rzecz jasna, z radością nam pomagają. Z burdeli. Więzień. I z szeregów desperatów, jak zawsze.

– Gdzie tu miejsce dla mnie?

– Ty zajmiesz się kampanią reklamową – powiedział Derkacz.

MaddAddam

Po lanczu udali się do WyRaju.

Teren, na którym zbudowano kopułę, znajdował się w odległej prawej części Kompleksu OdmłodNowa. Otaczał go prywatny park, gęsta kontrolowana klimatycznie plantacja rozmaitych tropikalnych mutacji, nad którymi wznosiła się kopuła niczym ślepa gałka oczna. Wokół parku biegła instalacja alarmowa, bardzo szczelna, powiedział Derkacz; do środka nie wpuszczano nawet korpusowców. Projekt WyRaj był jego projektem, zastrzegł to sobie, kiedy zgodził się wprowadzić go w życie: nie chciał, żeby jacyś prymitywni ignoranci wtrącali się w rzeczy, których nie potrafią zrozumieć.

Przepustka Derkacza była ważna dla nich obu, rzecz jasna. Minęli pierwszą bramę i pojechali drogą wzdłuż drzew. Potem był drugi punkt kontrolny, ze strażnikami – z WyRaju, nie z Korpusu, wyjaśnił Derkacz – którzy nagle zmaterializowali się wśród krzaków. Znowu drzewa. Następnie zaokrąglony mur samej kopuły. Mógł się wydawać delikatny, powiedział Derkacz, ale zrobiono go z mieszanki nowego kleju z małży, silikonu i kryształków dendrytycznych. Trzeba by dysponować bardzo zaawansowanymi narzędziami, żeby go sforsować, gdyż poddany naciskowi powraca do pierwotnej formy i automatycznie naprawia wszelkie usterki. Co więcej, potrafił jednocześnie filtrować i oddychać, niczym skorupka, chociaż potrzebował do tego energii słonecznej.

Zostawili wózek golfowy jednemu ze strażników i po wybraniu kodu weszli przez zewnętrzne drzwi, które zamknęły się za nimi ze świstem.

– Skąd ten dźwięk? – spytał nerwowo Jimmy.

– To śluza – wyjaśnił Derkacz. – Jak na statkach kosmicznych.

– Po co ?

– W razie gdyby trzeba było odizolować to miejsce – odparł Derkacz. – Wrogie bioformy, atak chemiczny, fanatycy. To, co zawsze.

Jimmy zaczynał czuć lekki niepokój. Derkacz właściwie nie mówił mu, co się tutaj dzieje, nie konkretnie.

– Poczekaj, a zobaczysz – powiedział tylko.

Po przejściu zewnętrznymi drzwiami znaleźli się w dość typowym centrum badawczym. Korytarze, drzwi, plakietki na fartuchach personelu, część ludzi zgarbiona

przed monitorami; było tu jak na Farmach OrganSA, jak w ZdrowoTechu, jak w Watsonie-Cricku, tylko nowocześniej. Nowoczesność to jedynie powłoka, powiedział Derkacz: tak naprawdę w ośrodku badawczym liczy się jakość mózgów.

– Tu są najlepsi – oświadczył, kiwając głową na prawo i lewo.

Odpowiedziało mu mnóstwo pełnych szacunku uśmiechów i – autentycznie – pełnych uwielbienia spojrzeń. Jimmy nie miał pojęcia, jaką pozycję zajmuje tu Derkacz, ale niezależnie od tytułu – niewiele o tym mówił – najwyraźniej był najważniejszą mrówką w mrowisku.

Każda osoba z personelu miała plakietkę z nazwiskiem wypisanym drukowanymi literami – tylko jedno lub dwa słowa. CZARNY NOSOROŻEC. BIAŁA TURZYCA. DZIĘCIOŁ WIELKODZIOBY. NIEDŹWIEDŹ POLARNY. TYGRYS AZJATYCKI. MODRASZEK. LIS PŁOWY.

– Te nazwy – odezwał się do Derkacza. – Ukradłeś je z Wymaratonu!

– To coś więcej niż nazwy – odparł Derkacz. – Ci ludzie to Wymaraton. To wszystko Wielcy Mistrzowie. Patrzysz na MaddAddama, samą śmietankę.

– Żartujesz chyba! Skąd się tu wzięli?

– To geniusze splicingu – wyjaśnił Derkacz. – Ci, którzy robili wszystkie te dowcipy. Mikroby jedzące asfalt, wybuch epidemii neonowej opryszczki na Zachodnim Wybrzeżu, plagi os wśród kurczakiści i tak dalej.

– Neonowa opryszczka? Nic o tym nie wiem – powiedział Jimmy. Całkiem zabawne.

– Jak ich wyśledziłeś?

– Nie tylko ja ich szukałem. W pewnych miejscach stali się ogromnie niepopularni. Po prostu dotarłem do nich przed korpusowcami i tyle. Czy też do większości.

Jimmy już miał zapytać: „A co spotkało innych?”, ale się powstrzymał.

– Porwałłeś ich czy jak? – To by nie zdziwiło Jimmy’ego, porywanie mózgowców było popularną praktyką, choć zazwyczaj porywano ich z kraju do kraju, nie w granicach jednego państwa.

– Nie, jedynie ich przekonałem, że będą tu o wiele szczęśliwsi i bezpieczniejsi niż tam.

– Bezpieczniejsi? Na terytorium Korpusu?

– Zdobyłem dla nich solidne papiery. Większość z nich mi przyklasnęła, zwłaszcza gdy zobowiązałem się zniszczyć ich tak zwaną prawdziwą tożsamość i wszelkie dowody na ich wcześniejsze istnienie.

– Myślałem, że ci faceci są antykompleksowi – powiedział Jimmy. – To, co wyrabiał MaddAddam, było dość wrogie systemowi, przynajmniej to, co mi pokazałeś.

– Byli antykompleksowi. Pewnie nadal są. Ale po drugiej wojnie światowej w dwudziestym wieku alianci zaproponowali wielu niemieckim inżynierom raketowym współpracę i nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek odmówił. Kiedy kończy się najważniejsza gra, zawsze możesz zabrać ze sobą szachownicę i iść gdzie

indziej.

– A jeśli spróbują sabotażu albo...

– Uciezki? No tak – przytaknął Derkacz. – Było tu takich dwoje. Nie potrafili grać w zespole. Uznali, że zabiorą to, czego tu dokonali, na wybrzeże. Zejdą do podziemia albo założą jakąś organizację.

– I co zrobiłeś?

– Spadli z estakady w plebsopolii – odparł Derkacz.

– To żart?

– W pewnym sensie. Potrzeba ci innego imienia – oznajmił Derkacz. – Imienia MaddAddama, żebyś tu pasował. Skoro ja jestem Derkaczem, to możesz wrócić do bycia Głuptakiem, jak wtedy, kiedy miałeś... ile lat?

– Czternaście.

– To były czasy. – Derkacz westchnął.

Jimmy chciał się tu jeszcze powłóczyć, ale Derkacz już go ponaglał. Chętnie porozmawiałby z tymi ludźmi, wysłuchał ich opowieści – może któreś z nich znało jego matkę? – ale w końcu mógł to zrobić później. A może lepiej nie: widzieli go z Derkaczem, wielkim alfa, gorylem srebrnogrzbietym, lwem-przywódcą stada. Nikt nie chciałby się zaprzyjaźnić z Jimmym. Uznaliby go za szakala.

WyRaj

Wpadli do biura Derkacza, żeby Jimmy trochę się rozeznał w sytuacji, jak powiedział Derkacz. Było to duże pomieszczenie pełne najrozmaitszych gadżetów, jak się można było spodziewać. Na ścianie wisiał obraz: bakłażan na pomarańczowym talerzu. Wcześniej Jimmy nigdy nie widział żadnego obrazu u Derkacza. Miał zamiar zapytać żartem, czy to jego dziewczyna, ale się rozmyślił. Ruszył do minibarku.

– Masz tu coś?

– Później – odparł Derkacz.

Derkacz nadal miał kolekcję magnesów na lodówkę, ale te były inne. Już bez zagadek naukowych.

Gdzie jest Bóg, nie ma Człowieka.

Są dwa księżycy, jeden widzisz, drugiego nie.

Du musz dein Leben andern.

Rozumiemy więcej, niż wiemy.

Myślę, więc.

Pozostać człowiekiem, to pokonać ograniczenia.

Sen przekrada się z legowiska ku swojej ofierze.

- Co ty tu tak naprawdę knujesz? – spytał Jimmy.
- Co to znaczy „tak naprawdę”? – Derkacz się uśmiechnął.
- Farmazony – oświadczył Jimmy. Czuł się jednak wyprowadzony z równowagi.

Teraz, uznał Derkacz, czas spoważnieć. Zamierzał pokazać Jimmy’emu drugą rzecz, którą się tu zajmowali – najważniejszą rzecz w WyRaju. To, co Jimmy miał zobaczyć, było... Cóż, nie dało się tego opisać. Było to, krótko mówiąc, życiowe dzieło Derkacza.

Jimmy przybrał poważny wyraz twarzy. Co teraz? Jakaś makabryczna nowa żywność, bez wątpienia. Drzewo wątrobiane, kiełbasiana winorośl. Albo porośnięta wełną cukinia. Przygotował się na to w duchu.

Derkacz zaprowadził Jimmy’ego dalej; teraz stali przed wielkim oknem. Nie, to było lustro weneckie. Jimmy w nie zajrzał. Ujrzał otwartą przestrzeń pełną drzew i roślin, nad nimi błękitne niebo. (Tak naprawdę nie błękitne niebo, tylko sklepienie kopuły, ze sprytnym rzutnikiem, który symulował poranek, światło słoneczne, wieczór, noc. Później odkrył, że był tam też sztuczny księżyc, który zmieniał fazy. I sztuczny deszcz).

Wtedy po raz pierwszy ujrzał Derkaczan. Byli nadzy, ale nie tak, jak w Nagich Faktach; nie krępowali się, ani trochę. Na początku nie mógł w nich uwierzyć, byli tacy piękni. Czarni, żółci, biali, brązowi, we wszystkich możliwych kolorach. Każdy wyglądał wyjątkowo.

- To roboty czy co? – spytał.
- Wiesz, co to są egzemplarze wystawowe w sklepach meblowych?
- Tak.
- To egzemplarze wystawowe.

Oto rezultat logicznego łańcucha postępu, powiedział Derkacz tego wieczoru nad drinkiem w barze WyRaju (sztuczne palmy, muzyka z głośników, prawdziwe campari, prawdziwa woda sodowa). Po przeprowadzeniu pełnej analizy proteomu i opanowaniu umiejętności składania RNA sfinalizowanie projektu WyRaj lub czegoś w tym rodzaju było tylko kwestią czasu. To, co ujrzał Jimmy, to niemal końcowy rezultat siedmioletnich badań, pełnych prób i błędów.

– Na początku – ciągnął Derkacz – musieliśmy zmieniać zwykłe ludzkie embriony, które dostawaliśmy... Nieważne skąd. Jednak ci ludzie to inny gatunek. Teraz sami się rozmnażają.

- Wyglądają na starszych niż siedmiolatki – zauważył Jimmy.

Derkacz opisał mu dołączone przez siebie czynniki szybkiego wzrostu.

– Poza tym – dodał – zaprogramowano ich tak, żeby padli trupem w wieku trzydziestu lat, nagle, bez żadnej choroby. Nie ma starości, nie ma związanych z nią niepokojów.

Po prostu wyciągają kopyta. Oczywiście o tym nie wiedzą, żadne jeszcze nie umarło.

– Myślałem, że pracujecie nad nieśmiertelnością.

– Nieśmiertelność to koncepcja – powiedział Derkacz. – Jeśli potraktujesz śmiertelność jako byt – nie śmierć, ale jej przeczucie i strach przed nią – wtedy nieśmiertelność jest brakiem takiego strachu. Niemowlęta są nieśmiertelne. Pozbądź się strachu, a będziesz...

– Brzmi to jak podstawy retoryki stosowanej – wtrącił Jimmy.

– Co?

– Nieważne. Coś z Marthy Graham.

– A. W porządku.

Inne Kompleksy w innych krajach rozumowały w podobny sposób, powiedział Derkacz, tworzyły własne prototypy, dlatego populacja w kopule była ściśle tajna. Przysięga milczenia, zamknięty obieg poczty elektronicznej, którą można było przesyłać w świat tylko za specjalnym zezwoleniem, mieszkania w strefie bezpieczeństwa, ale poza służą. To redukowało możliwość infekcji w razie choroby personelu. Egzemplarze wystawowe miały wzmocniony system odpornościowy, więc możliwość rozprzestrzenienia się wśród nich chorób zakaźnych była niewielka.

Nikt nie mógł opuszczać WyRaju. Prawie nikt. Rzecz jasna, Derkacz wychodził. Funkcjonował jako łącznik między WyRajem a zarządem OdmłodNowy, mimo że dotychczas ich jeszcze nie wpuścił, kazał im czekać. Byli bandą chytrusów, przejmowali się swoją inwestycją; byli w gorącej wodzie kąpani, chcieli rozpocząć zbyt wczesną kampanię marketingową. Poza tym za dużo by gadali, dali cynk konkurencji. Ci faceci lubili się przechwalać.

– A więc skoro już tu jestem, nie będę mógł wyjść? – spytał Jimmy. – O tym mi nie mówiłeś.

– Będiesz wyjątkiem – odparł Derkacz. – Nikt cię nie porwie ze względu na to, co masz w głowie. Zajmujesz się tylko kampanią reklamową, zapomniałeś?

Jednak reszta zespołu – MaddAddamowy kontyngent – musiała przez pewien czas trwać na posterunku.

– Przez pewien czas?

– Dopóki tego nie upublicznimy – wyjaśnił Derkacz.

Wkrótce OdmłodNowa miała nadzieję trafić na rynek z różnorodnym towarem na sprzedaż. Będą potrafili stworzyć całkowicie dowolne niemowlęta, z dowolną cechą fizyczną, duchową czy psychiczną, której może zażyczyć sobie kupujący. Obecne metody są bardzo nieprecyzyjne, oświadczył Derkacz; pewne dziedziczne choroby dało się wyeliminować, to prawda, ale poza tym powstaje mnóstwo uszkodzonych egzemplarzy, mnóstwo śmieci. Klienci nigdy nie mogli mieć pewności, czy dostają dokładnie to, za co zapłacili; w dodatku pojawiało się zbyt wiele nie zamierzonych skutków ubocznych.

Metody z WyRaju charakteryzowały się natomiast dziewięćdziesięciodziewięcioprocentową dokładnością. Można by stworzyć całe populacje o wcześniej określonych cechach. Uroda, rzecz jasna: na to będzie ogromne zapotrzebowanie. I potulność: kilku światowych przywódców już się tym zainteresowało. W WyRaju powstała odporna na promienie ultrafioletowe skóra, naturalny odstraszacz owadów, bezprecedensowa umiejętność trawienia nieprzetworzonego materiału roślinnego. Co do odporności na mikroby – to, co teraz załatwiano się za pomocą lekarstw, wkrótce będzie wrodzone.

W porównaniu z Projektem WyRaj nawet tabletką BłogoPlus była prymitywnym narzędziem, chociaż stanowiła luksusowe rozwiązanie w okresie przejściowym. Na dłuższą metę jednak przyszła ludzka rasa mogła czerpać olbrzymie korzyści płynące z obu tych projektów. Były ze sobą nierozdzielnie powiązane: tabletką i Projekt WyRaj. Tabletką miała powstrzymać przypadkowe rozmnażanie, projekt – zastąpić je lepszą metodą. Były to dwie fazy jednego planu, można tak powiedzieć.

– Zdumiewające – mówił Derkacz – jak niegdyś niewyobrażalne rzeczy osiągnął zebrany tu zespół. Zmieniono ni mniej, ni więcej, tylko stary mózg naczelnych. Wyeliminowano cechy destrukcyjne, cechy odpowiedzialne za obecne choroby świata. Na przykład rasizm – czy, jak to nazywano w WyRaju, pseudospecjację – wyeliminowano w grupie wystawowej jedynie poprzez uruchomienie mechanizmu tworzenia więzi: ludzie z WyRaju po prostu nie zauważali koloru skóry. Nie mogła zaistnieć pomiędzy nimi hierarchia, gdyż brak im było tworzących ją kompleksów. Ponieważ nie byli ani myśliwymi, ani rolnikami pragnącymi ziemi, nie istniała terytorialność: wyeliminowano tkwiącą w człowieku tendencję do rywalizacji o przestrzeń. Jedli wyłącznie trawę, liście, korzenie oraz parę gatunków jagód; mieli zatem pod dostatkiem dostępnej w każdej chwili żywności. Ich seksualność nie stanowiła dla nich ciągłego problemu, nie kotłowały się w nich hormony: miewali ruję w regularnych odstępach, jak większość ssaków – poza człowiekiem.

Jako że ci ludzie nie mieli czego dziedziczyć, żadne drzewa genealogiczne, żadne małżeństwa, żadne rozwody nie wchodziły w grę. Byli idealnie przystosowani do środowiska, nie musieli budować domów, strugać narzędzi ani broni, ani – skoro już o tym mowa – nosić ubrań. Nie musieli także tworzyć szkodliwego symbolizmu, takiego jak królestwa, idole, bogowie czy pieniądze. Co najlepsze, potrafili utylizować własne ekskrementy. Dzięki genialnemu splicingowi, czyli wkomponowaniu materiału genetycznego...

– Bardzo przepraszam – przerwał Jimmy – ale wiele tego, o czym mówisz, to niezupełnie to, czego przeciętny rodzic oczekuje od potomka. Nie za bardzo cię poniosło?

– Tłumaczyłem ci – odparł cierpliwie Derkacz. – To są egzemplarze wystawowe. Reprezentują cały wachlarz możliwości. Możemy stworzyć listę indywidualnych cech

dla ewentualnych kupców, a następnie je dostosować. Doskonale wiemy, że nie wszyscy będą potrzebowali kompletu wyposażenia. Chociaż zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ilu ludzi życzy sobie bardzo pięknego bystrego dzieciaka, który będzie jadł wyłącznie trawę. Zwłaszcza weganie są zainteresowani tym aspektem. Przeprowadziliśmy badania marketingowe.

Świetnie, pomyślał Jimmy. Dziecko może też służyć za kosiarkę.

– Potrafią mówić? – spytał.

– Jasne, że tak – powiedział Derkacz. – Kiedy chcą coś powiedzieć.

– Robią dowcipy?

– Nie jako takie – odparł. – Żeby żartować, potrzebna jest pewna wyrazistość, szczypta niegodziwości. Metodą prób i błędów chyba nareszcie wyeliminowaliśmy dowcipy, chociaż nadal znajdujemy się w fazie testów. – Uniósł kieliszek i obdarzył Jimmy’ego uśmiechem. – Cieszę się, że tu jesteś, głupino – powiedział. – Brakowało mi kogoś, z kim mógłbym pogadać.

Jimmy dostał własny apartament na terenie kopuły. Jego rzeczy trafiły tam jeszcze przed nim, wszystkie na swoje miejsce – bielizna do szuflady z bielizną, koszule starannie ułożono w szafie, elektryczną szczoteczkę do zębów podłączono i naładowano – tyle że tych rzeczy było więcej, niż zapamiętał. Więcej koszul, więcej bielizny, więcej elektrycznych szczoteczek. Klimatyzację nastawiono na temperaturę, która mu najbardziej odpowiadała, a smaczne przekąski (melon, szynka włoska, francuski ser brie z etykietką, która wyglądała na prawdziwą) znalazł na stole w jadalni. Stół w jadalni! Nigdy dotąd nie miał stołu w jadalni.

Zakochany Derkacz

Błyskawica przesywa niebo, grzmi, pada deszcz, tak mocno, że powietrze bieleje, wszędzie biało, gęsta mgła; przypomina to ruchome szkło. Yeti – głupek, bufon, tchórz – przykuca na wale ochronnym, z rękoma na głowie, chłostany z góry niczym obiekt powszechnej drwiny. Jest humanoidem, hominidem, jest aberacją, jest odrażający; byłby legendą, gdyby pozostał ktokolwiek, kto opowiadałby legendy.

Gdyby tylko miał słuchacza poza sobą, ile opowieści mógłby snuć, jakimi jękami mógłby jęczeć. Skarga kochanka do swej pani albo coś w tym rodzaju. Miałby spory wybór.

Bo teraz dotarł do sedna sprawy, do miejsca w tragedii, w którym napisano by: „Wchodzi Oryks”. Do fatalnej chwili. Ale której fatalnej chwili? „Wchodzi Oryks jako mała dziewczynka z internetowej witryny z dziecięcą pornografią, ma kwiaty we włosach, bitą śmietaną na brodzie”; czy też „wchodzi Oryks jako nastolatka w wiadomościach, uratowana z garażu zbrojeńca”; albo „wchodzi Oryks, naga nauczycielka w azylu Derkacza”; czy „wchodzi Oryks prosto spod prysznic, z wilgotnymi włosami”; wreszcie „wchodzi Oryks w metalicznoszarym jedwabnym spodniem, na skromnych półobcasach, z tęczką: ucieleśnienie profesjonalnej, otraskanej akwizytorki z Kompleksu”? Która z tych pięciu by to była i jak może mieć pewność, że istnieje jakikolwiek związek między pierwszą a ostatnią? Czy była tylko jedna Oryks, czy też cały ich legion?

Każda się nadaje, myśli Yeti, kiedy deszcz spływa mu po twarzy. Wszystkie wciąż istnieją, bo są tu teraz ze mną.

„Och, Jimmy, to takie optymistyczne. Cieszę się, że to rozumiesz. WyRaj jest utracony, ale masz WyRaj w sobie, o wiele szczęśliwszy”. I srebrzysty śmiech, wprost w jego ucho.

Jimmy nie od razu dostrzegł Oryks, choć musiał ją widzieć tamtego pierwszego popołudnia, kiedy zaglądał w weneckie lustro. Podobnie jak Derkaczanie, nie miała na sobie ubrania, jak oni była piękna, więc z pewnej odległości niczym się nie wyróżniała. Nosiła długie rozpuszczone włosy bez żadnej ozdoby, stała odwrócona plecami i otoczona grupą innych ludzi; taki fragment scenki rodzajowej.

Kilka dni później, kiedy Derkacz pokazywał mu, jak obsługiwać monitory

wyświetlające obraz z ukrytych w drzewach minikamer, Jimmy spostrzegł jej twarz. Odwróciła głowę do kamery i znowu je ujrzał, to spojrzenie, spojrzenie, które docierało do jego głębi i widziało go takim, jaki był. Różniła się jedynie kolorem oczu, były tak samo fosforyzująco zielone jak oczy Derkaczan.

Zaglądając w te oczy, Jimmy przeżył moment czystej rozkoszy, czystego przerażenia, bo teraz nie była już obrazkiem – zdjęciem, spoczywającym w sekrecie i ciemności między materacem a trzecią poziomą deską jego nowego łóżka w tutejszej kwaterze. Nagle stała się prawdziwa, trójwymiarowa. Miał wrażenie, że mu się śni. Jak można w ten sposób oczarować człowieka, w jednej chwili, spojrzeniem, uniesieniem brwi, krzywizną ramienia? Jego oczarowała.

– Kto to? – spytał Derkacza. Miała ze sobą młodego szopunksa, pokazywała zwierzę tym, którzy ją otaczali; dotykali go łagodnie. – Nie jest jedną z nich. Co ona tam robi?

– Jest nauczycielką – wyjaśnił Derkacz. – Potrzebowaliśmy pośrednika, kogoś, kto będzie się z nimi porozumiewał na ich poziomie. Proste pojęcia, żadnej metafizyki.

– Czego uczy? – Zadał to pytanie obojętnym tonem; w obecności Derkacza nie powinien okazywać zbyt wiele zainteresowania żadnej kobiecie: narażał się na zawołane szyderstwa.

– Botaniki i zoologii – odparł Derkacz z uśmiechem. – Innymi słowy, czego nie jeść i co gryzie. I czemu nie robić krzywdy – dodał.

– I do tego musi być naga?

– Nigdy nie widzieli ubrań. Tylko by ich zakłopotaly.

Lekcje udzielane przez Oryks były krótkie: jedna rzecz na raz, powiedział Derkacz. Modele z WyRaju nie były głupie, ale zaczynały od podstaw, więc często lubiły powtórki. Inny członek personelu, jakiś specjalista na danym polu, omawiał z Oryks temat dnia – liść, owad, ssak albo gad, którego miała pokazywać. Potem dziewczyna spryskiwała się chemicznym związkami na bazie cytrusów, by zamaskować ludzkie feromony: gdyby tego nie robiła, mogłaby się znaleźć w tarapatkach, mężczyźni by ją wyczuli i uznali, że nadszedł czas na gody. Gotowa, wchodziła drzwiami dyskretnie ukrytymi za gęstym listowiem. Dzięki temu mogła się pojawiać w królestwie Derkaczan i z niego zniknąć bez wzbudzania niepotrzebnych wątpliwości w ich umysłach.

– Ufają jej – powiedział Derkacz. – Ma świetne podejście.

Jimmy poczuł, jak ściska mu się serce. Derkacz był zakochany, po raz pierwszy w życiu. Nie chodziło o pochwałę, i tak rzadkie wydarzenie. Chodziło o ton głosu.

– Skąd ją wytrzasnąłeś? – spytał.

– Znam ją od pewnego czasu. Od asystentury w Watsonie-Cricku.

– Studiowała tam? – A jeśli tak, pomyślał Jimmy, to co?

– Niezupełnie – odparł Derkacz. – Zetknąłem się z nią przez Obsługę Studencką.

– Ty byłeś studentem, ona obsługa? – Nadal usiłował mówić beztroskim tonem.

– Właśnie. Powiedziałem im, czego szukam – można było bardzo dokładnie określić swoje preferencje, dać im zdjęcie albo symulację wideo, takie tam, a oni robili, co w ich mocy, żeby cię zadowolili. Chciałem czegoś, co wyglądałoby jak... Pamiętasz tamten film w internecie?

– Jaki film?

– Dałem ci odblisk. Z Seksolatek – no wiesz.

– Nie przypominam sobie – powiedział Jimmy.

– Ten film, który oglądaliśmy. Pamiętasz?

– Chyba tak – odparł Jimmy. – Tak mi się wydaje.

– Wykorzystałem tę dziewczynę do wejścia w Wymaraton. Tamtą.

– No tak – mruknął Jimmy. – Co kto lubi. Chciałeś seksownego dzieciaka?

– Ta, którą przyprowadzili, nie była nieletnia.

– Jasne.

– Potem umówiłem się z nią prywatnie. Nie wolno tego robić, ale trochę nagięliśmy reguły.

– Po to są reguły – zauważył Jimmy.

Czuł się coraz gorzej.

– Kiedy przyjechałem tu prowadzić ten ośrodek, mogłem jej zaproponować oficjalne stanowisko. Z radością się zgodziła. Dostała potrójną pensję, z mnóstwem profitów. Powiedziała także, że praca ją intryguje. Muszę przyznać, że oddany z niej pracownik.

– Derkacz uśmiechnął się chytrze, uśmiechem samca alfa, a Jimmy miał ochotę go walnąć.

– Świetnie – oznajmił.

Czuł, jak przeszywają go noże. Odnalazł ją i na nowo utracił. Derkacz był jego najlepszym przyjacielem. Poprawka: jego jedynym przyjacielem. Jimmy wiedział, że nawet jej nie tknie. Jak mógłby?

Czekali, aż Oryks wyjdzie spod prysznic, pod którym usuwała ochronną powłokę i – dodał Derkacz – pokryte fosforyzującym żelem zielone szkła kontaktowe: Derkaczanie uznaliby jej brązowe oczy za niepokojące. Wyszła w końcu, z włosami związanymi w warkocz, nadal wilgotnymi, a przy prezentacji uścisnęła rękę Jimmy'ego swoją małą dłonią. (Dotknąłem jej, pomyślał Jimmy jak dziesięciolatek. Naprawdę jej dotknąłem!).

Teraz miała na sobie ubranie, standardowy strój laboratoryjny, marynarkę i spodnie. Wyglądało to na niej jak elegancka piżama. W kieszeń wpięła plaketkę: ORYX GAZELLA BEISA. Sama wybrała to imię z listy Derkacza. Podobała się jej perspektywa bycia łagodnym, wschodnioafrykańskim, odpornym na suszę roślinożercą, ale mniej się jej spodobała informacja, że wybrane przez nią zwierzę wymarło przed wielu laty. Derkacz musiał jej wyjaśnić, że takie zasady panują w WyRaju.

Cała trójka wypila kawę w kawiarni dla personelu ośrodka. Rozmawiali

o Derkaczanach – tak nazywała ich Oryks – i o tym, jak sobie radzą. Każdego dnia jest tak samo, oświadczyła. Zawsze są łagodnie zadowoleni. Już potrafili rozpalać ogień. Mały szopunks przypadł im do gustu. Uważała, że można się przyjemnie zrelaksować w ich towarzystwie.

– Czy czasem pytają, skąd się wzięli? – chciał wiedzieć Jimmy. – Co tutaj robią?

W tym momencie nie mogło go to mniej obchodzić, ale chciał uczestniczyć w rozmowie, by patrzeć na Oryks i jednocześnie nie rzucać się w oczy.

– Nie rozumiesz – powiedział Derkacz tonem sugerującym, że ma do czynienia z kretynem. – Te sprawy wyeliminowaliśmy.

– Cóż, szczerze mówiąc, pytali – przyznała Oryks. – Dziś zapytali, kto ich stworzył.

– I?

– I powiedziała im prawdę. Powiedziałam, że Derkacz. – Pełen podziwu uśmiech pod adresem Derkacza: mogłaby to sobie darować. – Mówiłam im, że jest bardzo mądry i dobry.

– Dociekali, kim jest Derkacz? – spytał Derkacz. – Chcieli go zobaczyć?

– Nie wydawali się zainteresowani.

Dniami i nocami Jimmy cierpiał. Pragnął dotknąć Oryks, wielbić ją, otworzyć niczym pięknie opakowane pudełko, mimo podejrzeń, że w środku coś się kryje: jadowity wąż albo ręcznie skonstruowana bomba, albo trujący proszek. Nie w niej, rzecz jasna. W tej sytuacji. Ona jest poza zasięgiem, powtarzał sobie raz za razem.

Zachowywał się tak szlachetnie, jak umiał: nie okazywał jej zainteresowania, czy też raczej próbował nie okazywać. Zaczął odwiedzać plebsopolie, płacić za dziewczyny w barach. Dziewczyny we frędzelkach, w cekinach, z koronką, za cokolwiek, co było na sprzedaż. Wstrzykiwał sobie błyskawiczną szczepionkę Derkacza i miał teraz własnego ochroniarza, więc był całkiem bezpieczny. Pierwsze dwa razy napełniły go dreszczykiem emocji; potem traktował to jako rozrywkę; jeszcze później jako nawyk. Nie znalazł antidotum na Oryks.

Nie przemęczał się pracą; nie stawiano przed nim szczególnych wyzwań. Tabletki BłogoPlus i tak będzie się sprzedawała bez jego pomocy. Zbliżała się jednak data oficjalnego wprowadzenia jej do obiegu, więc nakazał swojemu personelowi przygotowanie kilku reklam i chwytliwych haseł: „Odrzućcie prezerwatywy! BłogoPlus dla Ciebie i dla ciała! Nie żyj po trochu, żyj pełnią życia!”. Symulacje mężczyzny i kobiety, zdzierających z siebie ubrania, szczerzących się jak szaleńcy. Potem mężczyzny z mężczyzną. Potem kobiety z kobietą, tu nie wykorzystano hasła o prezerwatywach. Potem trójkąta. Potrafił wyrecytować te bzdury nawet przez sen.

Jeśli zdołał zasnąć. Nocami leżał rozbudzony, złorzecząc sobie, oplakując swój los. Złorzeczyć, oplakiwać, użyteczne słowa. Chandra. Odtrącony. Fatygant. Przeklęty. Osobliwy.

To Oryks go uwiodła. Jak inaczej nazwać jej postępowanie? Przyszła do jego kwatery celowo i błyskawicznie wyciągnęła go ze skorupy. Czuł się jak dwunastolatek. Była doświadczona i tak swobodna podczas tego pierwszego razu, że aż go zatkało.

– Nie chciałam patrzeć, jak chodzisz taki nieszczęśliwy, Jimmy – wyjaśniła mu. – Nie przeze mnie.

– Skąd wiedziałaś, że jestem nieszczęśliwy?

– Och, ja zawsze wiem.

– Co z Derkaczem? – zapytał po tym, kiedy go poderwała, ujarzmiła, pozbawiła tchu.

– Jesteś przyjacielem Derkacza. Nie chciałby, żebyś czuł się nieszczęśliwy.

Jimmy nie był tego taki pewien, ale powiedział:

– Nie jest mi z tym łatwo.

– Co masz na myśli, Jimmy?

– Nie jesteś... Czy on... – Co za dureń!

– Derkacz żyje w wyższym świecie, Jimmy – odparła. – W świecie idei. Robi ważne rzeczy. Nie ma czasu na rozrywki. Poza tym Derkacz to mój szef. Ty jesteś do zabawy.

– Tak, ale...

– Derkacz się nie dowie.

I wydawało się, że Derkacz naprawdę nic nie wie. Może był nią zbyt zafascynowany, by cokolwiek zauważyć; a może, myślał Jimmy, miłość naprawdę jest ślepa. Albo oślepiająca. Derkacz kochał Oryks, bez wątpienia; zachowywał się niemal służalczo. Nawet dotykał jej publicznie. Nigdy nie był entuzjastą dotykania, fizycznie trzymał się na dystans, ale teraz lubił kłaść dłoń na Oryks – na jej ramieniu, ręce, szczupłej talii, idealnej pupie. Moja, moja, mówiła jego ręka.

Co więcej, najwyraźniej jej ufał, może nawet bardziej niż Jimmy'emu. Była doświadczoną bizneswoman, twierdził. Dał jej część próbnych tabletek BłogoPlus; miała użyteczne kontakty w plebsopoliach, dzięki dawnym koleżankom, również pracownikom Obsługi Studenckiej. Właśnie dlatego musiała dużo podróżować, tu i tam, po całym świecie. Sekskliniki, mówił Derkacz. Burdele, mówiła Oryks: któż to lepiej przetestuje?

– Tylko nie testuj na sobie – poprosił Jimmy.

– O nie, Jimmy. Derkacz mi zabronił.

– Zawsze robisz to, co ci każe Derkacz?

– To mój szef.

– Każe ci to robić?

Wielkie oczy.

– Co robić, Jimmy?

– To, co właśnie robisz.

– Och, Jimmy. Ciągłe sobie żartujesz.

Gdy wyjeżdżała, Jimmy'emu było bardzo ciężko. Martwił się o nią, tęsknił, czuł do niej niechęć za to, że mu jej brakuje. Po powrocie ze swoich wypraw materializowała się w jego pokoju w środku nocy, bez względu na plany Derkacza. Najpierw pojawiała się u niego, by złożyć sprawozdanie ze swojej działalności i sukcesów: ile tabletek BłogoPlus, gdzie, jakie rezultaty: dokładne sprawozdanie, gdyż miał obsesję. Następnie przechodziła do tego, co nazywała sprawami osobistymi.

Zdaniem Oryks, potrzeby seksualne Derkacza były proste i zwyczajne; nie intrygujące, jak seks z Jimmym. Żadnej zabawy, wyłącznie praca. Jednak go szanowała, naprawdę szanowała, bo był niezwykłym geniuszem. Jeśli Derkacz chciał, żeby którejś nocy została dłużej albo żeby zrobili to raz jeszcze, zawsze potrafiła się wykręcić – zmęczenie po podróży, ból głowy, coś prawdopodobnego. Kłamała wybornie, była najlepszą, obdarzoną pokerową twarzą kłamczuchą na świecie, zatem całus na pożegnanie dla głupiego Derkacza, uśmiech, machnięcie ręką, zamknięte drzwi, a po chwili była tutaj, z Jimmym.

Jakie to potężne słowo. Z.

Nie mógł się nią nasycić, zawsze była świeża, była kopalnią sekretów. W każdej chwili mogła się otworzyć, wyjawić mu istotną tajemnicę, coś ukrytego u podstaw życia, jej życia, albo jego – to, co pragnął wiedzieć. Czego zawsze pragnął. Cóż to było?

– Co się działo w tamtym garażu? – spytał Jimmy. Nie potrafił przestać wypytywać jej o dawne życie, uparł się, żeby wiedzieć. W tamtych dniach żadne szczegóły nie były zbyt nieważne, żaden bolesny okrucieństwo jej przeszłości zbyt małe. Może szukał jej gniewu, ale nigdy go nie znalazł. Albo zakopała go zbyt głęboko, albo w ogóle go nie było. Nie mógł w to jednak uwierzyć. Nie była masochistką ani nie była świętą.

Leżeli razem na łóżku w sypialni Jimmy'ego, przy cyfrowym telewizorze podłączonym do jego komputera, wyświetlał jakiś pornograficzny film z udziałem zwierząt: dwa wyszkolone owczarki niemieckie i wyjątkowo gibka wygolona albinoska, cała wytatuowana w jaszczurki. Dźwięk był wyłączony, został tylko obraz: erotyczna tapeta.

Jedli skrzydełka z jednej z budek sprzedających na wynos w najbliższym centrum handlowym, z frytkami z soi i sałatką ze szpinaku z ciepłarni OdmłodNowy: żadnych pestycydów, przynajmniej do żadnych się nie przyznawali. Inne liście w potrawie były zmodyfikowaną kapustą – olbrzymie drzewa kapuściane, wiecznie zielone, bardzo wydajne. Roślinę trochę było czuć ściekami, ale specjalny sos zabijał fetor.

– W jakim garażu, Jimmy? – spytała Oryks.

Nie słuchała. Jadła palcami, nienawidziła sztucców. Po co wkładać wielki kawał ostrego metalu do ust? Uważała, że przez to jedzenie smakuje jak blacha.

– Wiesz, w którym garażu – odparł. – Tym w San Francisco. Ten oblech. Ten

zbocheniec, który cię kupił, przywiózł tu i kazał żonie mówić, że jesteś pokojówką.

– Jimmy, po co wymyślasz takie rzeczy? Nigdy nie byłam w żadnym garażu.

Oblizała palce, rozszarpała skrzydełko, podała fragment Jimmy'emu. Oblizał jej palce, przejechał językiem po drobnym owalu paznokci. Tylko tak mogła trafić do niego, nie stając się pożywieniem: była w nim, czy też część niej była w części niego. Seks załatwiał to w drugą stronę: podczas tego aktu on był w niej. Będziesz moja, mawiali kochankowie w starych książkach. Nigdy nie mówili, zrobię z ciebie siebie.

– Wiem, że to byłaś ty – powiedział Jimmy. – Widziałem zdjęcia.

– Jakie zdjęcia?

– Z tak zwanego skandalu z pokojówkami. W San Francisco. Tam, gdzie ten obleśny starzec zmuszał cię do seksu.

– Jimmy. – Westchnienie. – A więc o to ci chodzi. Też to widziałam w telewizji. Dlaczego przejmujesz się takim człowiekiem? Był tak stary, że już prawie nie żył.

– Ale zmuszał cię?

– Nikt mnie nie zmuszał do seksu w garażu. Mówiłam ci.

– Dobra, poprawka: nikt cię nie zmuszał, ale robiłaś to?

– Nie rozumiesz mnie, Jimmy.

– Próbuję.

– Naprawdę? – Milczenie. – Jakie dobre frytki z soi. Wyobraź sobie tylko, Jimmy: miliony ludzi na świecie nigdy nie jadło takich frytek. Ale mamy szczęście!

– Powiedz mi. – To musiała być ona. – Nie będę się wściekał.

Westchnienie.

– Był dobrym człowiekiem – powiedziała Oryks, co zabrzmiało jak początek opowieści. Czasem podejrzewał, że improwizowała, by sprawić mu przyjemność: czasem czuł, że jej cała przeszłość – wszystko, co mu opowiada – to jego własna inwencja. – Ratował młode dziewczęta. Zapłacił za mój bilet na samolot, tak jak mówili. Gdyby nie on, w ogóle bym się tu nie znalazła. Powinieneś go lubić!

– Dlaczego miałbym lubić takiego hipokrytę, takiego obłudnego sukinsyna? Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Tak, robiłam to, Jimmy. A teraz daj mi spokój.

– Jak długo trzymał cię w garażu?

– To bardziej przypominało mieszkanie – powiedziała Oryks. – Brakowało im miejsca w domu. Nie byłam jedyną dziewczyną, którą przyjęli.

– Oni?

– On i jego żona. Usiłowali pomagać.

– A ona nienawidziła seksu, tak? Dlatego zgodziła się na ciebie? Ściągnęłaś z niej tego starego capa?

Oryks westchnęła.

– Zawsze myślisz o ludziach jak najgorzej, Jimmy. Była bardzo uduchowioną osobą.

– Pierdolenie.

– Nie klnij, Jimmy. Chcę się cieszyć twoim towarzystwem. Nie mam zbyt wiele czasu, zaraz muszę iść, załatwić pewne sprawy. Dlaczego interesuje cię to, co się wydarzyło tak dawno temu?

Pochyliła się nad nim, pocałowała go upačkanymi kurczakiem wargami. „Mazidło, oleisty, szklisty, ognisty, chutliwy, gorliwy, leniwy”, rozległo się w głowie Jimmy’ego. Zatonął w słowach, w uczuciach.

Po chwili zapytał:

– Dokąd się wybierasz?

– Och, w pewne miejsce. Zadzwońię do ciebie, kiedy tam dotrę. – Nigdy mu nie mówiła.

Na wynos

Teraz czas na część, którą Yeti odgrywa w swojej głowie raz za razem. Prześladowuje go „gdyby tylko”. Gdyby tylko co? Co mógł powiedzieć czy zrobić inaczej? Co zmieniłoby bieg wydarzeń? Na wielką skalę, nic. Na małą skalę, bardzo wiele.

„Nie idź. Zostań”. Przynajmniej byliby razem. Może by nawet przeżyła – dlaczego nie? I wtedy byłaby tu z nim, teraz.

„Chcę kupić coś na wynos. Idę do centrum. Muszę się przewietrzyć. Chcę się przejść”.

„Pójdę z tobą. Nie jest bezpiecznie”.

„Nie bądź głupi! Wszędzie stoją straże. Wszyscy wiedzą, kim jestem. Kto może być bezpieczniejszy ode mnie?”.

„Mam złe przeczucia”.

Ale Jimmy nie miał żadnych przeczuc. Był szczęśliwy tego wieczoru, szczęśliwy i rozleniwiony. Przyszła do niego godzinę wcześniej, tuż po powrocie ze spotkania z Derkaczanami, uczyła ich nazw kilku nowych liści i traw, była wilgotna po prysznicu. Miała na sobie coś w rodzaju kimona w czerwone i pomarańczowe motyle; ciemne włosy związała różową wstążką i luźno upięła na czubku głowy. Gdy pojawiła się na jego progu, pospiesznie, bez tchu, pełna radosnego podniecenia albo jego idealnej imitacji, od razu odpiął jej spinkę. Warkocz owinał się trzykrotnie wokół jego dłoni.

– Gdzie Derkacz? – wyszeptał. Pachniała cytrynami i zmiądzonymi liśćmi.

– Nie przejmuj się, Jimmy.

– Ale gdzie?

– Jest poza WyRajem, wyszedł. Miał zebranie. Nie chce mnie widzieć po powrocie, powiedział, że dziś wieczorem będzie myślał. Nigdy nie pragnie seksu, kiedy myśli.

– Kochasz mnie?

Ten jej śmiech. Co oznaczał? „Głupie pytanie. Po co pytać? Za dużo mówisz”. Albo: „Czym jest miłość?”. Albo na przykład: „Chciałoby się”.

Minęło trochę czasu. Znowu spięła włosy, wśliznęła się w kimono, przewiązała je paskiem. Stał za nią, obserwował ją w lustrze. Miał ochotę ją objąć, zdjąć strój, który właśnie włożyła, zacząć od początku.

– Nie idź jeszcze – powiedział, ale mówienie jej „nie idź jeszcze” nie miało sensu.

Kiedy coś postanowiła, robiła, co chciała. Czasem czuł, że jest zaledwie przystankiem w jej podróży, że Oryks ma do załatwienia całą listę innych mężczyzn przed upływem nocy. Niegodne myśli, ale niewykluczone. Nigdy nie wiedział, co robi, gdy nie jest razem z nim.

– Zaraz wrócę – powiedziała, wsuwając stopy w maleńkie różowo-czerwone sandały. – Przyniosę pizzę. Chcesz jakieś dodatki, Jimmy?

– Może zostawimy całe to gówno, gdzieś wyjedziemy? – odezwał się nagle pod wpływem impulsu.

– Wyjedziemy? Z WyRaju? Dlaczego?

– Moglibyśmy być razem.

– Jimmy, dziwny jesteś! Przecież jesteśmy razem!

– Moglibyśmy uciec od Derkacza – powiedział Jimmy. – Nie musielibyśmy tak się ukrywać, moglibyśmy...

– Ale, Jimmy. – Szeroko otwarte oczy. – Derkacz nas potrzebuje!

– Myślę, że on wie – powiedział Jimmy. – O nas.

Nie wierzył w to; albo wierzył i nie wierzył jednocześnie. Na pewno ostatnio byli coraz mniej ostrożni. Jak Derkacz mógłby tego nie zauważyć? Czy to możliwe, żeby człowiek tak inteligentny pod wieloma względami wykazywał objawy uszkodzenia mózgu pod innymi? A może diaboliczność Derkacza przewyższała diaboliczność Jimmy'ego? Jeśli tak, w żaden sposób tego nie okazywał.

Jimmy zaczął przetrząsać pokój w poszukiwaniu pluskiew: ukrytych mikrofonów, kamer. Wiedział, czego szukać, albo przynajmniej tak sądził. Niczego jednak nie znalazł.

Były sygnały, myśli Yeti. Były sygnały, a ja je przegapiłem.

Na przykład Derkacz spytał kiedyś:

– Zabiłbyś kogoś, kogo kochasz, żeby oszczędzić mu bólu?

– Masz na myśli eutanazję? – chciał wiedzieć Jimmy. – Jak uspienie ulubionego żółwia?

– Odpowiedz mi – zażądał Derkacz.

– Nie wiem. O jaką miłość chodzi, o jaki ból?

Wtedy Derkacz zmienił temat.

Kiedyś w czasie lanczu oświadczył:

– Jeśli cokolwiek mi się stanie, liczę na to, że zadbasz o Projekt WyRaj. Kiedy mnie tu nie ma, chcę, żebyś kierował wszystkim. Wydałem takie polecenie.

– Jak to, cokolwiek? – spytał Jimmy. – Co mogłoby się stać?

– No wiesz.

Jimmy uznał, że Derkacz ma na myśli porwanie albo wykończenie przez konkurencję – było to stałe zagrożenie dla mózgowców z Kompleksu.

– Pewnie – odparł – ale, po pierwsze, masz świetną ochronę, a po drugie, są tu ludzie, którzy nadają się do tego o wiele lepiej niż ja. Nie potrafiłbym nadzorować takiego projektu, nie mam odpowiedniej wiedzy.

– Ci ludzie to specjaliści – powiedział Derkacz. – Brak im empatii, żeby zadawać się z egzemplarzami wystawowymi, nie daliby sobie rady, są niecierpliwi. Nawet ja bym nie dał. Nie potrafiłbym nadawać na takich falach jak oni. Ty jednak jesteś generalistą.

– To znaczy?

– Dysponujesz bardzo przydatną umiejętnością: potrafisz siedzieć i nic nie robić. Jak oni.

– Dzięki – powiedział Jimmy.

– Nie, poważnie. Chcę... Chcę, żebyś to był ty.

– A Oryks? – spytał Jimmy. – Zna Derkaczan o wiele lepiej niż ja. – Jimmy i Oryks nazywali modele Derkaczanami, Derkacz nigdy.

– Jeśli mnie tu nie będzie, to Oryks także nie – powiedział Derkacz.

– Popełni samobójstwo? Bez jaj! Złoży z siebie ofiarę na twoim stosie pogrzebowym?

– Coś w tym rodzaju – odparł Derkacz z uśmiechem.

Wtedy Jimmy potraktował to jako żart oraz jako przejaw nieprawdopodobnej próżności Derkacza.

– Myślę, że Derkacz coś wywęszył – powiedział Jimmy tego ostatniego wieczoru.

Gdy tylko to z siebie wyrzucił, uświadomił sobie, że może to prawda, chociaż chyba mówił tak jedynie po to, by nastraszyć Oryks. Pewnie chciał ją przerazić; nie miał konkretnych planów. Powiedzmy, że uciekną, ale gdzie będą mieszkali, jak się ukryją przed Derkaczem, jak zarobią na życie? Czy Jimmy będzie musiał zostać alfonsem, wykorzystywać Oryks? Nie dysponował przydatnymi na rynku pracy umiejętnościami, nie umiał nic, co dałoby się wykorzystać w plebsopoliach, w podziemiu. A musieliby żyć w podziemiu.

– Myślę, że jest zazdrosny.

– Och, Jimmy. Dlaczego Derkacz miałby być zazdrosny? Nie pochwała zazdrości. Uważa, że jest niesłuszna.

– Jest człowiekiem – zauważył Jimmy. – To, co pochwała, nie ma nic do rzeczy.

– Jimmy, myślę, że to ty jesteś zazdrosny. – Oryks z uśmiechem wspięła się na palce i pocałowała go w czubek nosa. – Ale dobry z ciebie chłopiec. Jednak nigdy nie zostawiłabym Derkacza. Wierzę w Derkacza, wierzę w jego... – zastanawiała się nad odpowiednim słowem – wizję. On chce uczynić ze świata lepsze miejsce. Zawsze to powtarza. Myślę, że to piękne, prawda, Jimmy?

– Ja mu nie wierzę – odparł Jimmy. – Wiem, co mówi, ale nigdy tego nie kupiłem. Zawsze miał w dupie takie sprawy. Interesuje go jedynie...

– Mylisz się, Jimmy. Odkrył problemy i myślę, że ma rację. Jest zbyt wielu ludzi, przez to są źli. Wiem to z własnego doświadczenia, Jimmy. Derkacz to bardzo mądry człowiek!

Jimmy powinien się domyślić, że nie należy obgadywać Derkacza. Derkacz był jej bohaterem, pod pewnymi względami. Pod ważnymi względami. On, Jimmy, nim nie był.

– Dobrze. Zrozumiałem. – Przynajmniej nie zawalił sprawy: nie pogniewała się na niego. To było najważniejsze.

Ależ byłem cikliwy, myśli Yet. Oczarowany. Opętany. Nie byłem, jestem.

– Jimmy, chcę, żebyś mi coś obiecał.

– Jasne, co?

– Jeśli Derkacza tu nie będzie, jeśli dokądś pójdzie, i jeśli mnie też nie będzie, obiecaj, że zajmiesz się Derkaczanami.

– Nie będzie cię tutaj? Dlaczego miałyby cię nie być? – Znowu niepokój, podejrzliwość: czy planowali odjechać i go zostawić? O to chodziło? Czy był jedynie zabawką Oryks, błazenkiem Derkacza? – Jedziecie w podróż poślubną czy co?

– Nie bądź niemądry, Jimmy. Są jak dzieci, potrzebują kogoś. Musisz być dla nich dobry.

– Zwracasz się do nieodpowiedniej osoby – oznajmił Jimmy. – Gdybym miał spędzić z nimi więcej niż dwie minuty, doprowadziliby mnie do szaleństwa.

– Wiem, że sobie poradzisz. Mówię poważnie, Jimmy. Powiedz, że to zrobisz, nie zawieź mnie. Obiecujesz?

Pieściła go teraz, obsypywała jego rękę pocałunkami.

– No dobrze. Daję słowo honoru. Zadowolona? – Nic go to nie kosztowało, była to czysta teoria.

– Tak, teraz jestem zadowolona. Pospieszę się, Jimmy, a wtedy coś zjemy. Chcesz anchois?

Co miała na myśli?, zastanawia się Yeti po raz milionowy. Ile odgadła?

Śluza

Czekał na nią, początkowo niecierpliwie, potem z niepokojem, jeszcze później w panice. Przyrządzenie dwóch pizz nie trwa aż tak długo.

Pierwsza informacja pojawiła się o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. Ponieważ Derkacza nie było na terenie, a ustanowił Jimmy'ego swoim zastępcą, wysłali po niego członka personelu z pomieszczenia kontrolnego.

Początkowo Jimmy myślał, że to rutynowa sprawa, jeszcze jedna niewielka epidemia albo atak terrorystyczny, jakaś kolejna wiadomość. Chłopcy i dziewczynki w bioskafandrach, z miotaczami ognia i namiotami izolacyjnymi, a także skrzynie środka dezynfekującego oraz doły z wapnem załatwią sprawę, jak zawsze. Poza tym to było w Brazylii. Wystarczająco daleko. Jednak Derkacz rozkazał donosić o każdym wybuchu, o wszystkim, gdziekolwiek, więc Jimmy poszedł popatrzeć.

Potem pojawiła się następna i następna, następna, następna, następna, jak ogień maszynowy. Tajwan, Bangkok, Arabia Saudyjska, Bombaj, Paryż, Berlin. Plebsopolie na zachód od Chicago. Mapy na ekranach monitorów rozjaśniały się, zapaćkane czerwienią, jakby ktoś wystrzelił do nich z paintballowej broni. To nie było kilka wyizolowanych miejsc zarazy. To było coś ważnego.

Jimmy próbował się dodzwonić na komórkę Derkacza, ale bez skutku. Kazał obsłudze monitorów przełączyć się na kanały informacyjne. Komentatorzy twierdzili, że chodzi o rozległy krwotok. Symptomy to wysoka gorączka, krwawienie z oczu i skóry, konwulsje, następnie niewydolność organów wewnętrznych i śmierć. Czas, który mijał od wystąpienia pierwszych objawów do chwili zgonu, był zastraszająco krótki. Wirus najprawdopodobniej przenosił się przez powietrze, ale być może znajdował się w wodzie.

Komórka Jimmy'ego zadzwoniła. To była Oryks.

– Gdzie jesteś?! – krzyknął. – Wracaj tutaj. Widziałaś...

Orysk płakała. Było to tak niezwykle, że Jimmy poczuł się wstrząśnięty.

– Och, Jimmy – załkała. – Tak mi przykro. Nie wiedziałam.

– Nic się nie stało – powiedział, żeby ją pocieszyć. A po chwili: – O co ci chodzi?

– To było w tabletkach. Tych tabletkach, które rozwiozłam, tych, które sprzedawałam. To te same miasta, byłam tam. Te tabletki miały pomagać ludziom! Derkacz mówił...

Połączenie zostało przerwane. Usiłował oddzwonić: sygnał, sygnał, sygnał. Następnie trzask. Potem już nic.

A jeśli to coś już się przedarło do OdmłodNowy? Jeśli Oryks była zarażona? Gdyby pojawiła się pod drzwiami, nie mógłby jej tam zostawić. Nie dałby rady tego zrobić, nawet gdyby krwawiła z każdego pora skóry.

Do północy zaraza pojawiła się niemal wszędzie. Dallas. Seattle. Nowy Nowy Jork. Najwyraźniej nie przenosiła się z miasta do miasta: wybuchła jednocześnie w wielu z nich.

W pokoju znajdowało się teraz troje członków zespołu: Nosorożec, Bieługa i Biała Turzyca. Jedno nuciło, drugie gwizdało. Trzecie – Biała Turzyca – płakała. „To coś wielkiego”. Dwoje z nich powiedziało to już wcześniej.

– Gdzie się wycofać?

– Co powinniśmy zrobić?

– Nic. – Jimmy usiłował nie wpaść w panikę. – Tu jesteśmy bezpieczni. Możemy to przeczekać. Mamy wystarczająco dużo zapasów w spiżarni. – Popatrzył na trzy zdenerwowane twarze. – Musimy chronić egzemplarze wystawowe. Nie wiemy, ile trwa okres inkubacji ani kto jest nosicielem. Nie wolno nam nikogo wpuszczać.

To ich trochę pokrzepiło. Wyszedł z pomieszczenia kontrolnego, zresetował kody w drzwiach wewnętrznych, a także w drzwiach prowadzących do śluzy powietrznej. Kiedy to zrobił, zadzwoniła jego wideokomórka. To był Derkacz. Jego twarz na małym ekranie wyglądała zwyczajnie; chyba siedział w barze.

– Gdzie jesteś?! – wrzasnął Jimmy. – Nie wiesz, co się dzieje?!

– Nie ma się czym martwić – oznajmił Derkacz. – Wszystko jest pod kontrolą.

Wydawał się pijany, co zdarzało mu się wyjątkowo rzadko.

– Jakże kurwa wszystko?! To ogólnoświatowa zaraza! Czerwona Śmierć! Czy to faktycznie było w tabletkach?

– Kto ci to powiedział? – spytał Derkacz. – Ptaszki ćwierkały?

Z pewnością był urżnięty albo na jakichś prochach.

– Nieważne. Tak jest, prawda?

– Jestem w centrum handlowym, w pizzerii. Przyjdę za chwilę – powiedział Derkacz.

– Zostań na gospodarstwie.

Przerwał połączenie. Może znalazł Oryks, pomyślał Jimmy. Może sprowadzi ją bezpiecznie z powrotem. A potem pomyślał, ty półgłówku.

Poszedł sprawdzić, co z Projektem. Włączyła się symulacja nocnego nieba, świecił sztuczny księżyc, a Derkaczanie, jak mu się wydawało, spokojnie spali.

– Słodkich snów – wyszeptał do nich przez szybę. – Śpijcie dobrze. Teraz tylko wy możecie spać.

To, co się zdarzyło później, przypominało film w zwolnionym tempie. To było to porno ze ściszym dźwiękiem, to był mózgospiek bez reklam. To był melodramat tak przerysowany, że on i Derkacz pękliby ze śmiechu, gdyby mieli po czternaście lat i oglądali go na DVD.

Najpierw oczekiwanie. Siedział na krześle w swoim biurze, powtarzał sobie, że musi się uspokoić. Dawne słowa krążyły mu w głowie: zamienny, plenić się, cny, całun, nierządnicza. Po chwili wstał. Bajdurzenie, autodydakta. Włączył swój komputer, przejrzał informacje. Na zewnątrz było mnóstwo zamieszania i za mało karettek pogotowia. Pojawiły się już apele o zachowanie spokoju, megafony, przez które kazano wszystkim zostać w domu, krążyły po ulicach. Nadszedł czas modlitw.

Koincydencja. Uraza. Abominacja.

Poszedł do magazynu, wziął miotacz, przewiesił go przez ramię, na to narzucił tropikalną kurtkę. Wrócił do pomieszczenia kontrolnego i powiedział trzem członkom personelu, że rozmawiał z KorpuSOKorpem Kompleksu – kłamał – i że tutaj nie grozi im bezpośrednio niebezpieczeństwo; też kłamał, najprawdopodobniej. Dodał, że kontaktował się z Derkaczem, mają wrócić do swoich kwater i trochę się zdrzemnąć, bo w najbliższych dniach wszystkim będzie potrzebne mnóstwo energii. Chyba im ulżyło i chętnie się podporządkowali.

Przy śluzie wpuścił ich na korytarz, który prowadził do ich kwater. Wpatrywał się w plecy tych ludzi, gdy szli przed nim; już traktował ich jak trupy. Było mu przykro, ale nie mógł ryzykować. Było ich troje na niego jednego: jeśli wpadną w histerię, jeśli spróbują uciec z ośrodka albo wpuszczą na teren przyjaciół, nie zdoła nad nimi zapanować. Kiedy zniknęli mu z oczu, odciął ich, zamknął się w środku. W wewnętrznej bańce nie było teraz nikogo poza nim i Derkaczanami.

Znowu oglądał wiadomości, popijał szkocką, żeby się wzmocnić, ale ją limitował. Ździebełko. Laryngalny. Widziadło. Urzet. Czekał na Oryks, ale bez nadziei. Coś musiało się jej stać, inaczej już by wróciła.

Nagle zadzwonił wideointerkom.

– Co ty wyprawiasz? – spytał Derkacz. Wyglądał na zirytowanego. – Otwieraj.

– Postępuję zgodnie z planem B – odparł Jimmy. – W razie ataku biologicznego nikogo nie wpuszczają. Twój rozkaz. Zamknąłem służę.

– Mówiąc nikogo, nie miałem na myśli siebie – wyjaśnił Derkacz. – Nie bądź głupiną.

– Skąd wiesz, że nie jesteś nosicielem?

– Nie jestem.

– Skąd ja mam wiedzieć?

– Przypuśćmy tylko – zaczął ze znużeniem Derkacz – że przewidziałem to zdarzenie i przedsięwziąłem niezbędne środki ostrożności. Tak czy owak, ty jesteś uodporniony.

– Niby dlaczego? – zdziwił się Jimmy.

Dziś nie był w stanie myśleć logicznie. Coś mu nie pasowało w tym, co mówił Derkacz, ale nie potrafił dokładnie wskazać co.

– Serum z przeciwciałami było w szczepionce. Pamiętasz, ile razy robiłeś sobie zastrzyk? Za każdym razem, kiedy szedłeś do plebsopolii tarzać się w błocie i topić miłosne rozterki w alkoholu.

– Skąd wiesz? – zapytał. – Skąd wiesz, gdzie byłem, czego chciałem? – Serce waliło mu jak młotem; nie potrafił zebrać myśli.

– Nie bądź kretynem. Wpuść mnie.

Jimmy otworzył drzwi do śluzu. Teraz Derkacz stał przed wewnętrznymi drzwiami. Jimmy włączył wideokamerę w śluzie: przed jego oczyma pojawiła się głowa Derkacza naturalnej wielkości. Wydawał się wyczerpany. Miał coś – krew? – na kołnierzyku koszuli.

– Gdzie byłeś? – spytał Jimmy. – Biłeś się?

– Nawet nie pytaj – odparł Derkacz. – A teraz mnie wpuść.

– Gdzie Oryks?

– Jest tu ze mną. Dostała w kość.

– Co jej się stało? Co się tam dzieje? Pozwól mi z nią porozmawiać!

– Teraz nie może mówić. Nie dam rady jej podnieść. Mam kilka obrażeń. Przestań, kurwa, oglądać pieprzące się psy i wpuść nas.

Jimmy wyjął miotacz. Następnie wstukał kod i odsunął się na bok. Wszystkie włosy na rękach stanęły mu na baczność. „Rozumiemy więcej, niż wiemy”.

Drzwi się otworzyły.

Beżowe tropikalne ubranie Derkacza oplamione było czymś rdzawym. W prawej ręce trzymał zwykły scyzoryk, taki z dwoma ostrzami, pilnikiem do paznokci, korkociągiem i małymi nożyczkami. Drugą ręką podtrzymywał Oryks, która wyglądała tak, jakby spała. Głowę oparła na ramieniu Derkacza, długi ozdobiony różową wstążką warkocz zwisał jej z pleców.

Gdy Jimmy patrzył, zdrętwiały z niedowierzania, Derkacz puścił Oryks, opadła przez jego lewą rękę. Popatrzył na Jimmy’ego, wprost, bez uśmiechu.

– Liczę na ciebie – powiedział. Potem poderżnął jej gardło.

Jimmy go zastrzelił.

Kopuła

Po burzy jest chłodniej. Mgła unosi się nad drzewami, słońce zachodzi, ptaki rozpoczynają wieczorne pieśni. Po niebie lecą trzy wrony, skrzydła jak czarne płomienie, niemal słyszalne słowa. Derkacz! Derkacz!, mówią. Świerszcze cykają, Oryks. Mam halucynacje, myśli Yeti.

Idzie wałem, krok za wymęczonym krokiem. Jego stopa przypomina olbrzymią gotowaną parówkę wypełnioną gorącym zmielonym mięsem, pozbawioną kości i gotową lada chwila wybuchnąć. Zarazek, który ją toczy, jest najwyraźniej odporny na antybiotyki w maści z wieży. Może w WyRaju, w chaosie splądrowanego magazynu Derkacza – wie, jak jest splądrowany, bo sam go plądrował – zdoła znaleźć coś skuteczniejszego.

Magazyn Derkacza. Wspaniały plan Derkacza. Przełomowe pomysły Derkacza. Derkacz, Król Derkaczostwa, bo Derkacz nadal tu jest, nadal ma wszystko, nadal rządzi swoim królestwem. Niezależnie od tego, jak pociemniała teraz ta bańka światła. Bardziej pociemniała, część tej ciemności jest w Yeti. On w tym pomagał.

– Nie chodźmy tam – mówi Yeti.

„Słoneczko, już tu jesteś. Nigdy nie odszedłeś”.

Przy ósmej wieży, tej wychodzącej na park wokół WyRaju, sprawdza, czy któreś z drzwi prowadzących do pomieszczenia na górze są otwarte – wolałby zejść schodami, gdyby to było możliwe – ale nie. Ostrożnie przygląda się terenowi przez jedną ze szczelin obserwacyjnych: na dole nie dostrzega żadnych dużych ani średnich żywych istot, choć widać ruch w podszyciu; ma nadzieję, że to tylko wiewiórka. Po rozpakowaniu skręconego prześcieradła przywiązuje je do rury wentylacyjnej – marne zabezpieczenie, ale jedyne – i zrzuca drugi koniec na krawędź wału. Brakuje ponad dwóch metrów, jednak powinien wytrzymać upadek, chyba że wyląduje na chorej stopie. Opuszcza się, ręką za ręką, po naprędcie skręconym sznurze. Zwisa na końcu niczym pająk, waha się – czy należy to zrobić w jakiś specjalny sposób? Na przykład zginając kolana? Po chwili puszcza.

Ląduje na obu nogach. Ból jest silny, ale po wytarzaniu się w błotnistej ziemi i po zwierzęcych rykach Yeti w końcu staje na nogach, pochlipując. Poprawka, na nodze. Nic chyba nie złamał. Rozgląda się w poszukiwaniu kija, który mógłby posłużyć za

kulę, coś znajduje. Dobrze, że kije rosną na drzewach.

Teraz chce mu się pić.

Mija bujną roślinność i chwasty, hops hopsa hop, zaciskając zęby. Po drodze staje na wielkim nagim ślimaku, niemal się przewraca. Nienawidzi tych stworzeń: zimne, lepkie, jak obrany i zamrożony mięsień. Paskudny glut. Gdyby był Derkaczaninem, musiałby za to przeprosić – przepraszam, że na ciebie nastąpiłem, Dziecię Oryks, wybacz moją niezręczność.

– Przepraszam – próbuje.

Czy coś usłyszał? Odpowiedź?

Kiedy ślimaki zaczynają gadać, nie ma czasu do stracenia.

Dociera do kopuły, okrąża białą, rozpaloną, lodową bańkę, aż staje przed wejściem. Śluza jest otwarta, jak zapamiętał. Głęboki oddech, wchodzi.

Są tu Derkacz i Oryks czy też to, co z nich zostało. Rozsepiono ich, rozrzucono tu i tam, małe i duże kości przemieszały się bezładnie jak gigantyczna układanka.

Jest tu Yeti, młotek, debil, niepoważny naiwniak, woda spływa mu po twarzy, gigantyczna ręka ściska go za serce, a on wpatruje się w swoją jedyną miłość i najlepszego przyjaciela na całym świecie. Puste oczodoły Derkacza patrzą na Yeti, jak kiedyś jego puste oczy. Trup szczerzy w uśmiechu zęby. Oryks leży twarzą do ziemi, odwróciła głowę, jakby płakała. Wstążka w jej włosach jest tak samo różowa jak dawniej.

Jak opłakiwać? Nawet to mu się nie udaje.

Yeti wchodzi wewnętrznymi drzwiami, mija strefę bezpieczeństwa, idzie do kwater personelu. Ciepłe powietrze, wilgotne, nieświeże. Najpierw musi się dostać do magazynu, znajduje go bez trudu. Ciemno, światło wpada tylko przez kilka świetlików, ale Yeti ma własną latarkę. Czuje pleśń, szczury albo myszy, ale w zasadzie to miejsce się nie zmieniło, odkąd był tu po raz ostatni.

Znajduje półki z lekarstwami, przegląda je. Szpatułki, bandaże, maści na oparzenia. Pudełko termometrów doodbytniczych. Yeti nie musi sobie niczego wpychać do tyłka, żeby wiedzieć, że ma gorączkę. Trzy albo cztery rodzaje antybiotyków, w formie tabletek, czyli wolno działających. I ostatnia butelka superbakteriobójczego, krótkotrwałego plebsopolitalnego koktajlu autorstwa Derkacza. „Dzięki niemu pójdziesz tam i wrócisz, ale uciekaj, kiedy zegar wybije dwunastą, bo zmienisz się w dynię”, mawiał Derkacz. Yeti czyta etykietkę, dokładne wskazówki Derkacza, ustala dawkę. Jest teraz tak słaby, że ledwie może podnieść butelkę; dopiero po chwili udaje mu się ją otworzyć.

„Gul, gul gul”, mówi dymek w jego głowie. „Do dna”.

Nie, nie powinien tego pić. Znajduje pudełko czystych strzykawek, robi sobie zastrzyk.

– Zdychać, zarazki – mówi.

Następnie kuśtyka do swojej kwatery, do tego, co było jego kwaterą, i opada na wilgotne nieposłane łóżko, a potem odpływa.

We śnie przychodzi do niego papuga Alex. Wleciała przez okno, ląduje blisko niego na podłodze, tym razem jaskrawozielona z fioletowymi skrzydłami i żółtym dziobem, lśni jak radiolatarnia, a Yeti przepęnia szczęście i miłość. Papuga przekrzywia głowę, patrzy na niego najpierw jednym, potem drugim okiem.

– Niebieski trójkąt – mówi. Następnie zaczyna się rumienić, czerwienić, począwszy od oczu. Ta zmiana jest przerażająca, jakby żarówka w kształcie papugi wypełniała się krwią.

– Teraz odfruwam – mówi ptak.

– Nie, poczekaj! – woła, czy też chce zawołać Yeti. Jego usta się nie ruszają. – Nie leć jeszcze! Powiedz mi...

Słychać podmuch wiatru, pufff, i Alex znika, a Yeti siedzi na swoim dawnym łóżku, w ciemności, zlany potem.

Notatka

Następnego ranka noga ma się nieco lepiej. Opuchlizna zniknęła, ból zelżał. Po zapadnięciu wieczoru zaaplikuje sobie następny zastrzyk z superlekarstwem Derkacza. Wie, że nie może przedawkować: to bardzo mocny środek. Przyjmie za dużo i jego komórki pękają jak winogrona.

Światło dnia sączy się przez izolacyjne szklane cegły. Yeti łązi po miejscach, w których niegdyś żył, czuje się jak bezcielesny receptor. To jego szafa, tu wiszą jego dawne ubrania, tropikalne koszule i szorty, starannie rozwieszane na wieszakach i już nieco zapleśniałe. Buty też, ale nie może znieść samej myśli o butach. Czułby się jak podkuty koń, poza tym jego chora noga mogłaby tego nie wytrzymać. Bielizna w stosikach na półkach. Dlaczego nosił takie stroje? Teraz wyglądają jak jakieś dziwne sadomasochistyczne przebrania.

W magazynie znajduje paczki i puszki. Na śniadanie zjada zimne ravioli w sosie pomidorowym i pół energatona, popija ciepłą colą. Nie zostały już żadne mocne alkohole ani piwo, zużył to wszystko podczas tygodni spędzonych w zamknięciu. I dobrze. I tak wypiłby to wszystko naraz, zamienił wszystkie wspomnienia w biały szum.

Nie ma na to nadziei. Utkwił w przeszłości, wilgotny piasek się podnosi. Yeti tonie.

Po zastrzeleniu Derkacza zmienił kod w wewnętrznych drzwiach, zamknął je na dobre. Derkacz i Oryks zostali, spleceni w uścisku, w śluzie. Nie mógł się zmusić do tego, żeby ich dotknąć, więc ich tam zostawił. Kusilo go przez moment, żeby odciąć fragment ciemnego warkocza Oryks, ale zrezygnował.

Wrócił do swojego pokoju i wypił trochę szkockiej, a potem jeszcze tyle, ile musiał, żeby się urznąć. Obudził go brzęczyk w zewnętrznych drzwiach: Biała Turzyca i Czarny Nosorożec usiłowali dostać się z powrotem do środka. Inni też, bez wątpienia. Jimmy ich zignorował.

Następnego dnia przygotował sobie cztery kromki chleba sojowego i zmusił się do jedzenia. Wypił butelkę wody. Całe jego ciało było jak palec u nogi po mocnym uderzeniu: drętwe, lecz pełne bólu.

Za dnia zadzwoniła jego komórka. Był to wysoki rangą korpusowiec, szukał

Derkacza.

– Powiedz temu pierdolcowi, żeby przywłókł tu kurwa swój mózg i pomógł rozwiązać problem.

– Nie ma go – odparł Jimmy.

– A kto mówi?

– Nie mogę powiedzieć. Ze względów bezpieczeństwa.

– Słuchaj no, kimkolwiek jesteś. Domyślam się, co planuje ta szumowina. Kiedy go dorwę w swoje łapy, skręcę mu kark. Założę się, że ma szczepionkę i w zamian za nią zamierza nas oskubać na gigantyczną kasę.

– Poważnie? Tak myślicie? – spytał Jimmy.

– Wiem, że sukinsyn tam jest. Przyjdę i wyważę drzwi.

– Nie robiłbym tego – powiedział Jimmy. – Zaobserwowaliśmy wzmożoną aktywność mikrobów. Bardzo nietypową. Tu jest niebezpieczniej niż w piekle. Ja chodzę w bioskafandrze, ale tak naprawdę nie wiem, czy się zaraziłem. Coś naprawdę wymknęło się spod kontroli.

– O kurwa. Tu? W OdmłodNowie? Myślałem, że jesteśmy odizolowani.

– Tak, to przykra wiadomość – odrzekł Jimmy. – Radzę poszukać go na Bermudach. Myślę, że poleciał tam z większą gotówką.

– A więc nas sprzedał, cholerny gnój. Celowo przekazał wszystko konkurencji. To prawdopodobne. Bardzo prawdopodobne. Słuchaj, dzięki za podpowiedź.

– Powodzenia – powiedział Jimmy.

– Tak, pewnie, tobie też.

Więcej już nikt nie dzwonił do zewnętrznych drzwi, nikt nie usiłował się włamać. Faceci z OdmłodNowy musieli załapać. Co do personelu, kiedy zdał sobie sprawę, że strażnicy zniknęli, najpewniej wybiegł na zewnątrz i ruszył do bram Kompleksu. Ku temu, co pomylił z wolnością.

Trzy razy dziennie Jimmy sprawdzał Derkaczan, zerkał na nich jak podglądacz. Wywalić porównanie – był podglądaczem. Wydawali się dość szczęśliwi, a przynajmniej zadowoleni. Skubali trawę, spali, siedzieli całymi godzinami, najprawdopodobniej nic nie robiąc. Kobiety karmiły niemowlaki, dzieci spędzały czas na zabawie. Mężczyźni sikali w kręgu. Jedna z kobiet weszła w niebieską fazę i samce odprawiały zaloty, wśród śpiewów, z kwiatami w dłoniach, machając unisono lazurowymi penisami. Potem kwintet odbył ucztę płodności, na uboczu, w krzakach.

Może powinienem nawiązać z nimi jakieś stosunki towarzyskie, pomyślał Jimmy. Pomóc im wynaleźć koło. Nieść kaganek oświaty. Przekazać wszystkie zapomniane słowa.

Nie, nie mógł tego zrobić. Nie było nadziei.

Czasem okazywali niepokój – zbierali się w grupkach, mamrotali. Ukryte mikrofony

wychwytywały ich słowa.

– Gdzie Oryks? Kiedy wróci?

– Zawsze wraca.

– Powinna tu być i nas uczyć.

– Zawsze nas uczy. Uczy nas teraz.

– Jest tutaj?

– Tutaj i nie tutaj to to samo, dla Oryks. Mówiła tak.

– Tak. Tak mówiła.

– Co to znaczy?

To przypominało jakąś obłąkańczą dysputę teologiczną w bardziej bełkotliwych zakątkach otchłani czatów. Jimmy nie mógł tego słuchać zbyt długo.

Kiedy nie podglądał Derkaczan, sam coś podskubywał, spał, siedział i nic nie robił przez wiele godzin. Przez pierwsze dwa tygodnie śledził wydarzenia na świecie w sieci albo w telewizyjnych wiadomościach: zamieszki w miastach, gdy załamał się system transportu i zaatakowano supermarkety; eksplozje po ogólnej awarii elektryczności, pożary, których nikt nie gasił. Tłumy wypełniały kościoły, meczety, synagogi i świątynie, by się modlić i żałować za grzechy, a uciekały z nich w popłochu, gdy pokutnicy uświadamiali sobie zwiększone ryzyko zarażenia. Nastąpił exodus do małych miasteczek i na obszary wiejskie, których mieszkańcy zaciekle walczyli z uciekinierami za pomocą nielegalnych strzelb, pałek i wideł.

Na początku reporterzy telewizyjni pilnie śledzili wydarzenia, filmowali akcję z helikopterów, krzycząc jak na meczu piłki nożnej: „Widzieliście? Niewiarygodne! Brad, nikt nie może w to uwierzyć. Właśnie widzieliśmy oszalały tłum Bożych Ogrodników wyzwalający fermę kurczakiści. Brad, to niesamowite, przecież te kurczakiście nawet nie umieją chodzić! (*Śmiech*). A teraz wracamy do studia”.

To się musiało wydarzyć podczas początkowego zamieszania, myśli Yeti, to wtedy jakiś geniusz wypuścił świniomy i wilksy. Wielkie dzięki.

Uliczni kaznodzieje namawiali do samobiczowania i wrzeszczeli o apokalipsie, choć chyba czuli rozczarowanie: gdzie trąby i anioły, dlaczego księżyc nie spłynął krwią? Na ekranie gościli hinduscy mędracy w garniturach; eksperci medyczni, wykresy ukazujące rozprzestrzenianie się infekcji, mapy śledzące rozmiar epidemii. Używali ciemnego różu, jak kiedyś imperium brytyjskie. Jimmy wolałby jakiś inny kolor.

Komentatorzy nie potrafili ukryć strachu. „Kto następny, Brad? Kiedy wymyślą szczepionkę? No cóż, Simon, słyszałem, że pracują nad nią dniem i nocą, ale do tej pory nikt jeszcze nie znalazł skutecznego środka. To coś bardzo poważnego, Brad.

Simon, jesteśmy pod wrażeniem, ale przecież nie z takich chorób już się wylizywaliśmy”. Zachęcający uśmiech, kciuki do góry, rozbiegane oczy, blada twarz.

Szybko montowano dokumentalne programy ze zdjęciami wirusa – w końcu go wyizolowali, wyglądał jak zwykły rozpuszczalny żelek z kolcami – i komentarze dotyczące sposobu jego funkcjonowania. „Najwyraźniej mamy do czynienia z wyjątkowo niebezpieczną modyfikacją. Można tylko zgadywać, czy jest to mutacja międzygatunkowa, czy też celowo stworzona odmiana”. Zawsządmądrekiwanie głowami. Nadali wirusowi nazwę, żeby wydawał się łatwiejszy do opanowania. Nazwali go NOWA – Natychmiastowo Oddziałujący Wirus Anomalny. Pewnie teraz już coś wiedzieli, na przykład to, co naprawdę planował Derkacz, bezpiecznie ukryty w najgłębszym zakątku Kompleksu OdmłodNowa. Postanowił osądzić świat, pomyślał Jimmy, tylko kto mu dał takie prawo?

Przeważały teorie spisku: to religijna sprawa, to Boży Ogrodnicy, to spisek mający na celu przejęcie władzy. W pierwszym tygodniu nakazano gotować wodę, ograniczyć podróże, raczej nie podawać rąk. W tym samym czasie wszyscy kupowali lateksowe rękawiczki i filtry do nosa. Było to równie skuteczne jak pomarańcze nabite goździkami podczas Czarnej Śmieci, pomyślał Jimmy.

„Wiadomość z ostatniej chwili. NOWA właśnie wybuchł na Fidżi, dotychczas wolnej od wirusa. Dowódca KorpuSOKorpu ogłasza Nowy Nowy Jork rejonem katastrofy. Główne arterie odcięte od świata.

Brad, to się bardzo szybko rozprzestrzenia. Simon, to niewiarygodne”.

– Każdy system zależny od prędkości może wywołać zmiany – mawiał Derkacz. – Dotknij głową muru, nic się nie stanie, ale jeśli tą samą głową uderzysz w mur z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zalejesz się krwią. Jesteśmy w tunelu, Jimmy. Gdy woda pędzi szybciej niż łódź, nie da się niczego kontrolować.

Słuchałem, pomyślał Jimmy, ale nie słyszałem.

W drugim tygodniu nastąpiła pełna mobilizacja. Pospiesznie zebrany sztab kryzysowy wydał nowe zarządzenia – powstały kliniki polowe, namioty-izolatki; całe miasteczka, a potem większe miasta objęto kwarantanną. Te wysiłki spełzły jednak na niczym, gdyż lekarze i pielęgniarki sami się zarazili albo spanikowali i uciekli.

Anglia zamyka porty i lotniska.

Zerwana komunikacja z Indiami.

Szpitala aż do odwołania nie przyjmują chorych. Jeśli czujecie się źle, pijcie dużo wody i zadzwońcie na gorącą linię.

Nie, powtarzam, nie próbujcie opuszczać miast.

Tego nie mówili Brad ani Simon. Brad i Simon odeszli. Pojawili się inni, a potem jeszcze inni.

Jimmy raz zadzwonił na gorącą linię i usłyszał nagranie, że linia nie działa. Potem

zadzwoił do ojca, czego nie robił od lat. Ta linia także nie działała.

Przeszukał pocztę. Żadnych świeżych wiadomości. Znalazł jedynie starą kartkę urodzinową, którą zapomniał usunąć. „Wszystkiego najlepszego, Jimmy, niech się spełnią wszystkie Twoje marzenia”. Świnie ze skrzydłami.

Na jednej z prywatnych witryn internetowych zamieszczono mapę z oświetlonymi punkcikami w każdym miejscu, które nadal komunikowało się przez satelity. Jimmy obserwował zafascynowany, jak światełka wygasają.

Był w szoku, chyba dlatego nie przyjmował niczego do wiadomości. To wszystko przypominało film. A jednak tu był, a także Oryks i Derkacz, nieżywi, w służbie. Za każdym razem, kiedy myślał, że to wszystko złudzenie, jakiś dowcip, szedł na nich popatrzeć. Przez kuloodporne okno, rzecz jasna: wiedział, że nie może otwierać wewnętrznych drzwi.

Wykańczał zapasy z magazynów Derkacza, najpierw mrożonki: gdyby zawiodły baterie słoneczne kopuły, zamrażarki i mikrofalówki przestałyby działać, więc równie dobrze mógł pozjadać zestawy kurczakiści dla smakoszy, skoro miał taką okazję. Błyskawicznie wypalił zapas trawy Derkacza; dzięki temu uniknął jakichś trzech dni koszmaru. Początkowo racjonował alkohol, ale wkrótce zaczął pić na całego. Musiał być zalany, żeby wysłuchać wiadomości, nie mógł zbyt dużo czuć.

– Nie wierzę, nie wierzę – powtarzał. Zaczął mówić do siebie na głos, zły znak. – To nie dzieje się naprawdę.

Jak mógł istnieć w tym czystym, suchym, zwyczajnym pomieszczeniu, zażerać się karmelowym sojakornem i chrupkami o smaku sera i cukinii, mieszać sobie w głowie alkoholem i zamartwiać się totalnym fiaskiem, jakim było jego życie osobiste, kiedy całą ludzką rasę trafiał szlag?

Najgorsze, że tamci ludzie na zewnątrz – strach, cierpienie, śmierć na masową skalę – szczególnie go wzruszali. Derkacz mawiał, że *Homo sapiens* nie jest przystosowany do indywidualizowania ludzi w liczbie powyżej dwustu, czyli rozmiaru prymitywnego plemienia, a Jimmy zredukował tę liczbę do dwóch osób. Czy Oryks go kochała, czy też nie, czy Derkacz o nich wiedział, ile wiedział, kiedy się dowiedział, czy przez cały czas ich podglądał? Czy zaplanował wielki finał jako wspomagane samobójstwo, czy pragnął, by Jimmy go zastrzelił, gdyż miał świadomość, co się lada chwila wydarzy, i nie chciał oglądać rezultatów swojego postępowania?

Czy wiedział, że nie zdoła ukryć formuły szczepionki, kiedy już KorpuSOKorp go dopadnie? Jak długo to planował? Czy to możliwe, że wuj Pete, a może nawet matka Derkacza, byli pierwszymi królikami doświadczalnymi? Kiedy gra toczyła się o tak wysoką stawkę, czy bał się porażki, zostania jeszcze jednym niekompetentnym nihilistą? A może targała nim zazdrość, zgłupiał z miłości. Czy to była zemsta, czy też chciał, żeby Jimmy położył kres jego cierpieniom? Czy był wariatem, czy intelektualnie

uczciwym człowiekiem, który przemyślał sprawy aż do ich logicznego rozwiązania? Czy to się czymkolwiek różniło?

I tak dalej, i tak dalej, podkręcał się i zalewał alkoholem, aż całkiem tracił świadomość.

Tymczasem na jego oczach następował koniec gatunku. Typ, podtyp, gromada, rząd, rodzina, gatunek. Ile ma nóg? *Homo sapiens* dołączył do niedźwiedzia polarnego, bielegi, onagera, sówki ziemnej, długiej, długiej listy. Brawo, Wielki Mistrzu.

Czasem wyłączał dźwięk i szeptał do siebie słowa. Sukulent. Morfologia. Ociemniały. Kwartet. Ekskrement. To go uspokajało.

Witryna po witrynie, kanał za kanałem znikają. Dwóch prowadzących, reporterów do samego końca, ustawilo kamery, żeby sfilmować własną śmierć – krzyki, zalaną krwią skórę, wywalone gałki oczne i tak dalej. Jakie to teatralne, pomyślał Jimmy. Niektórzy zrobią wszystko, żeby trafić do telewizji.

– Ty cyniczny gnoju – powiedział do siebie. Potem zaszlochał.

– Nie bądź taki kurewsko sentymentalny – mawiał Derkacz.

Dlaczego nie? Dlaczego nie miałby być sentymentalny? Zdaje się, że nie pozostał nikt, kto mógłby krytykować jego zachowanie.

Co pewien czas rozważał samobójstwo – wydawało się nieuchronne – ale jakoś nie miał energii. Poza tym targnięcie się na własne życie wymagało widowni, jak na *slokdichsnow.com*, w zaistniałych okolicznościach takiemu gestowi brakowałyby finezji. Mógł sobie wyobrazić rozbawioną pogardę Derkacza, rozczarowanie Oryks: „Ależ, Jimmy! Dlaczego się poddajesz? Masz przed sobą zadanie! Obiecałeś, pamiętasz?”.

Może nie zdołał poważnie potraktować własnej rozpacz.

W końcu nie było już nic do oglądania poza starymi filmami na DVD. Oglądał Humphreya Bogarta i Edwarda G. Robinsona w *Key Largo*: „On chce więcej, prawda, Rocco? Tak, zgadza się, więcej. Zgadza się, chcę więcej. Czy ty się kiedykolwiek nasycisz?”. Albo oglądał *Ptaki* Alfreda Hitchcocka. Tup, tup, tup, pisk. Kraaa. Albo *Noc żywych trupów*. Guuu, aaaaa, chaps, mniam, gulg. Takie małe paranoje go uspokajały.

Potem wyłączał sprzęt, siedział przed pustym ekranem. Wszystkie kobiety, które kiedykolwiek znał, wędrowały w półmroku przed jego oczyma. Także matka w swoim karmazynowym szlafroku, znowu młoda. Oryks szła ostatnia, z białymi kwiatami. Patrzyła na niego, a następnie znikła mu z pola widzenia, wstępowała w cień, gdzie czekał Derkacz.

Te wspomnienia były niemal przyjemne. Przynajmniej wszyscy w nich żyli.

Wiedział, że taki stan rzeczy nie potrwa długo. W WyRaju Derkaczanie zjadali liście i trawę szybciej, niż się regenerowała, lada moment mogły wyczerpać baterie słoneczne, a Jimmy nie miał pojęcia o naprawie takich urządzeń. Potem siadzie układ wentylacyjny i zamki w drzwiach pozamarzają; zarówno on, jak i Derkaczanie tu uwięzną i się poduszają. Musiał ich wyprowadzić, dopóki wciąż mieli czas, ale nie za prędko, gdyż mogli się natknąć na jakichś zrozpaczonych ludzi, a desperaci bywają niebezpieczni. Nie chciał, by gromada umierających wariatów runęła przed nim na kolana, wczepiając się w niego: „Ulecz nas! Ulecz nas!”. Mógł być odporny na wirus – chyba że Derkacz go okłamał, rzecz jasna – ale nie na wściekłość i rozpacz jego nosicieli.

Poza tym skąd miałby wziąć odwagę, żeby oświadczyć: nic was nie ocali?

W półmroku, w wilgoci, Yeti wędruje od pomieszczenia do pomieszczenia. Tu na przykład jest jego biurko. Komputer stoi na biurku, odwrócony do niego pustym monitorem, niczym porzucona dziewczyna przez przypadek spotkana na jakiejś imprezie. Za komputerem leży kilka kartek papieru, pewnie to ostatnie słowa, jakie napisał. Ostatnie w ogóle napisane. Podnosi je z ciekawością. Co takiego Jimmy uznał za stosowne przekazać, albo przynajmniej zapisać – zostawić po sobie czarno na białym, ze smugami – by oświecić świat, który już nie istniał?

„Do wszystkich zainteresowanych”, napisał Jimmy długopisem, nie na komputerze: komputer już wtedy nie działał, ale on i tak pisał starannie, ręcznie. Musiał mieć nadzieję, musiał jeszcze wierzyć, że sytuację da się opanować, że ktoś zjawi się tutaj w przyszłości, ktoś ważny: że te słowa zyskają znaczenie, kontekst. Jak kiedyś oświadczył Derkacz, Jimmy był romantycznym optymistą.

„Nie mam zbyt wiele czasu”, napisał Jimmy.

Nieżyły początek, myśli Yeti.

Nie mam zbyt wiele czasu, ale spróbuję zapisać to, co uważam za wyjaśnienie ostatniej niezwyklej historii katastrofy. Przejrzałem komputer człowieka znanego tutaj jako Derkacz. Zostawił włączone urządzenie – celowo, jak mniemam – i mogę poświadczyć, że wirus NOWA został stworzony tutaj, w WyRaju, przez Derkacza, i później wyeliminowany, a potem umieszczony w preparacie BłogoPlus. Wirus zawierał czynnik opóźniający chwilę jego aktywacji, żeby umożliwić rozprzestrzenienie się choroby. Pierwsza partia wirusów ujawniła się, dopiero gdy wszystkie wybrane terytoria zostały zainfekowane, zatem wybuch zarazy przybrał formę serii szybko nakładających się na siebie fal. Sukces planu zależał od zgrania go

w czasie. Doprowadzono do nasilenia niepokojów społecznych i skutecznie zablokowano opracowanie preparatów obronnych. Sam Derkacz jednocześnie z wirusem stworzył szczepionkę, ale zniszczył ją tuż przed swoim wspomaganym samobójstwem swoją śmiercią.

Choć rozmaici członkowie personelu uczestniczący w projekcie BłogoPlus częściowo przyczynili się do stworzenia wirusa, wierzę, że żadne z nich, poza Derkaczem, nie miało świadomości, czym to się skończy. Co do motywów Derkacza, mogę jedynie spekulować. Może...

Tu list się urywa. Niezależnie od przypuszczeń Jimmy'ego w kwestii motywów Derkacza, nie zostały one spisane.

Yeti gniecie kartki, rzuca je na podłogę. Przeznaczeniem tych słów jest koniec w paszczy robaków. Powinien zauważyć zmianę w magnesach na lodówkę Derkacza. Takie magnesy sporo mówią o ich właścicielu, chociaż wtedy w ogóle o tym nie myślał.

Resztki

W drugi piątek marca – oznaczał dni w kalendarzu, Bóg wie po co – Jimmy pokazał się Derkaczom po raz pierwszy. Nie zdjął ubrania, stanowczo nie chciał tego robić. Włożył standardowy tropikalny strój khaki, z siatką pod pachami i tysiącem kieszeni, i ulubione sandały ze sztucznej skóry. Derkaczanie otoczyli go, przyglądając mu się z cichym zdumieniem – nigdy dotąd nie widzieli żadnych tkanin. Dzieci szeptały między sobą i pokazywały go palcami.

– Kim jesteś? – spytał ten, którego Derkacz nazwał Abrahamem Lincolnem.

Był to wysoki mężczyzna, śniady i szczupły. Nie powiedział tego napastliwie. Gdyby to pytanie zadał zwykły mężczyzna, Jimmy uznałby je za szorstkie, wręcz agresywne, ale ci ludzie nie znali zbyt wielu pojęć: nie nauczono ich uników i eufemizmów. Posługiwali się prostym, niewyszukanym językiem.

– Nazywam się Yeti – powiedział Jimmy, który wcześniej to przemyślał. Nie chciał być już Jimmym, ani nawet Jimem, a zwłaszcza nie Głuptakiem: jego wcielenie jako Głuptaka zupełnie się nie powiodło. Musiał zapomnieć o przeszłości – o odległej przeszłości, niedawnej przeszłości, przeszłości w każdej formie. Musiał istnieć jedynie w teraźniejszości, bez winy, bez oczekiwań. Jak Derkaczanie. Może inne imię załatwi to za niego.

– Skąd przychodzisz, o Yeti?

– Przychodzę z domu Oryks i Derkacza – wyjaśnił. – Derkacz mnie przysyła. – Prawda, do pewnego stopnia. – I Oryks. – Budował proste zdania z jasnym przesłaniem: nauczył się tego, obserwując przez lustro weneckie Oryks. I słuchając jej, rzecz jasna.

– Dokąd poszła Oryks?

– Miała coś do załatwienia – odparł Yeti.

Tylko tyle potrafił wymyślić: samo wymawianie jej imienia powodowało ucisk w gardle.

– Dlaczego Derkacz i Oryks przysłali cię do nas? – spytała kobieta zwana Madame Curie.

– Żebym was zabrał w nowe miejsce.

– To jest nasze miejsce. Dobrze nam tutaj.

– Oryks i Derkacz chcą, żebyście mieli lepszy dom – powiedział Yeti. – Gdzie

będzie więcej jedzenia.

Kiwanie głową, uśmiechy. Oryks i Derkacz dobrze im życzyli, to oczywiste. To im najwyraźniej wystarczyło.

– Dlaczego masz taką luźną skórę? – spytało jedno z dzieci.

– Bo zrobiono mnie inaczej niż was – odrzekł Yeti. Rozmowa zaczynała go wciągać niczym gra. Ci ludzie przypominali czyste kartki, mógł je zapisać, czym chciał. – Derkacz stworzył mnie z dwóch rodzajów skóry. Jedną się zdejmuję. – Ściągnął tropikalną bluzę, żeby im zademonstrować. Wpatrywali się z zainteresowaniem we włosy na jego piersi.

– Co to takiego?

– Pióra. Piórka. Oryks mi je dała, w nagrodę. Widzicie? Pióra rosną jeszcze na mojej twarzy. – Pozwolił dzieciom dotknąć zarostu. Ostatnio nie chciało mu się golić, uznał to za bezsens, więc urosła mu broda.

– Tak. Widzimy. Ale co to są pióra?

No tak. Nigdy dotąd ich nie widzieli.

– Niektóre Dzieci Oryks mają pióra – wyjaśnił. – Te dzieci to ptaki. Pójdziemy tam, gdzie są. Wtedy dowiedziecie się więcej o piórach.

Yeti dziwił się własnym umiejętnościom – zręcznie tańczył wokół prawdy, stąpił delikatnie, delikatnie manipulował. To było niemal zbyt proste: akceptowali bez żadnych pytań wszystko, co mówił. Jeszcze trochę tego – całe dni, całe tygodnie – i zacznie wrzeszczeć z nudów. Mógłbym ich zostawić, pomyślał. Po prostu zostawić. Niech sami o siebie zadbają. To nie moja sprawa.

Nie mógłby jednak tego zrobić, mimo że Derkaczanie nie byli jego sprawą, teraz czuł się za nich odpowiedzialny. Kto inny im pozostał?

Kto pozostał jemu, skoro o tym mowa?

Yeti z góry obmyślił trasę: magazyn Derkacza był dobrze zaopatrzony w mapy. Zabierze Dzieci Derkacza na wybrzeże, gdzie sam nigdy nie był. Teraz mógł się na to cieszyć, w końcu miał zobaczyć ocean. Będzie chodził po plaży, jak w opowieściach dorosłych, które słyszał w dzieciństwie. Może nawet popływa. Nie będzie tak źle.

Derkaczanie mogą zamieszkać w parku obok arboretum, oznaczonego na mapie zielonym kolorem i symbolem drzewa. Poczują się tam jak w domu, z pewnością znajdą mnóstwo jadalnego listowia. Co do niego, nałapie ryb. Zebrał trochę zapasów – nie za dużo, nie za ciężkich, musiał to wszystko nieść – i załadował miotacz całym magazynkiem wirtualnych pocisków.

Wieczorem, dzień przed odejściem, wygłosił mowę. W drodze do nowego, lepszego miejsca będzie szedł z przodu – powiedział – z dwoma mężczyznami. Wybrał najwyższych. Za nimi pójdą kobiety i dzieci, ubezpieczone po obu stronach przez korowód samców. Reszta mężczyzn pójdzie z tyłu. Muszą to zrobić, bo Derkacz

powiedział, że tak trzeba. (Lepiej nie mówić o możliwym zagrożeniu: zbyt wiele wyjaśnień). Jeśli Derkaczanie zauważą, że coś się rusza – cokolwiek, w jakimkolwiek kształcie czy formie – mają natychmiast go powiadomić. Pewne rzeczy, które ujrzą, mogą się im wydać zdumiewające, ale nie powinni się niepokoić. Jeśli poinformują go na czas, te rzeczy nie zrobią im krzywdy.

– Dlaczego miałyby nam zrobić krzywdę? – spytała Sojourner Truth.

– Mogłyby wam zrobić krzywdę niechcący – odparł Yeti. – Tak jak ziemia robi wam krzywdę, kiedy na nią upadacie.

– Ale ziemia wcale nie chce nam zrobić krzywdy.

– Oryks mówiła, że ziemia jest naszym przyjacielem.

– Daje nam swoje jedzenie.

– Tak – powiedział Yeti. – Ale Derkacz sprawił, że ziemia jest twarda. Inaczej nie moglibyśmy po niej chodzić.

Przetrawienie tego zajęło im tylko chwilę. Potem nastąpiło zbiorowe potakiwanie. Yeti aż miał zawroty głowy: brak logiki w jego ostatnich słowach go oszołomił. Ich to jednak najwyraźniej zadowoliło.

W świetle poranka po raz ostatni wystukał kod na drzwiach i otworzył kopułę, a później wyprowadził Derkaczan z WyRaju. Zauważyli szczątki Derkacza na ziemi, ale nigdy nie widzieli go za życia, więc uwierzyli, gdy Yeti wyjaśnił im, że to rzecz bez znaczenia – jedynie coś w rodzaju łuski, coś w rodzaju łupiny. Mogliby być zaszokowani, gdyby ujrzeli swego stwórcę w jego obecnej postaci.

Co do Oryks, leżała twarzą do podłogi i była owinięta jedwabiem. Nie mogli jej rozpoznać.

Drzewa wokół kopuły były bujne i zielone, wszystko wyglądało na dziewiczo nietknięte, jednak gdy dotarli do właściwego Kompleksu OdmłodNowa, wszędzie dało się zauważyć oznaki zniszczenia i śmierci. Poprzewracane wózki golfowe, przemoczone nieczytelne ulotki, komputery z rozwalonym mechanizmem. Gruzy, rozrzucone ubrania, przeżuta padlina. Połamane zabawki. Sępy zajmowały się tym, co zawsze.

– Powiedz, o Yeti, co to takiego?

„Trup, a co myśleliście?”

– To część chaosu – wyjaśnił Yeti. – Derkacz i Oryks sprzątają chaos, dla was – bo was kochają – ale jeszcze nie skończyli.

Ta odpowiedź najwyraźniej ich zadowoliła.

– Chaos bardzo brzydko pachnie – oświadczyło jedno ze starszych dzieci.

– Tak – zgodził się Yeti, prezentując coś w rodzaju uśmiechu. – Chaos zawsze brzydko pachnie.

Pięć przecznic od głównej bramy Kompleksu jakiś człowiek wytoczył się z bocznej

uliczki. Znajdował się w przedostatnim stadium choroby: na jego czole wykwitł krwisty pot.

– Zabierzcie mnie ze sobą! – krzyknął.

Ledwie go zrozumieli. Wył jak zwierzę, jak rozwścieczone zwierzę.

– Nie ruszaj się! – wrzasnął Yeti. Derkaczanie znieruchomieli ze zdumienia, wpatrzeni w nieznanego, jednak – jak się wydawało – bez strachu. Mężczyzna podszedł, kulejąc, i upadł. Yeti go zastrzelił. Martwił się wirusem – czy Derkaczanie mogli złapać tę chorobę, czy ich materiał genetyczny zbytnio się różnił od ludzkiego? Z pewnością Derkacz wyposażył ich w odporność. Prawda?

Kiedy dotarli do zewnętrznego ogrodzenia, pojawiła się jeszcze jedna osoba, kobieta. Wyskoczyła na nich nagle z punktu kontrolnego, szlochając, i złapała jedno z dzieci.

– Pomóżcie mi! – błagała. – Nie zostawiajcie mnie tutaj.

Ją też zastrzelił.

Derkaczanie przyglądali się mu ze zdumieniem – nie skojarzyli hałasu z małego patyka Yeti z upadkiem tych ludzi.

– Co to upadło, o Yeti? To mężczyzna czy kobieta? Ma dodatkową skórę jak ty.

– To nic. To fragment złego snu Derkacza.

Rozumieli, co to sny, to wiedział: sami je miewali. Derkacz nie zdołał wyeliminować snów. „Jesteśmy zaprogramowani na sny”, mawiał. Nie pozbył się też śpiewu. „Jesteśmy zaprogramowani na śpiew”. Śpiew i sny były ze sobą związane.

– Dlaczego Derkaczowi śni się taki zły sen?

– Żeby wam się nie przyśnił – wyjaśnił Yeti.

– To przykre, że cierpi dla nas.

– Bardzo nam przykro. Dziękujemy mu.

– Czy ten zły sen wkrótce minie?

– Tak – odparł Yeti. – Już niedługo.

Niewiele brakowało, kobieta przypominała wściekłego psa. Drżały mu ręce. Musiał się napić.

– To minie, gdy Derkacz się obudzi?

– Tak. Gdy się obudzi.

– Mamy nadzieję, że szybko się obudzi.

Razem powędrowali przez Ziemię Niczyją, przystając tu i tam, żeby skubnąć trawę, zerwać liście i kwiaty, kobiety i dzieci ramię w ramię, kilkoro śpiewało krystalicznymi głosami, głosami, które brzmiały jak szelest rozwijających się liści paproci. Potem powędrowali ulicami plebsopolii niczym dziwna parada albo procesja radykalnej sekty religijnej. Podczas popołudniowych burz ukrywali się; było to proste, drzwi i okna przestały mieć znaczenie. Później, na świeżym powietrzu, kontynuowali

wędrówkę.

Niektóre z budynków wzdłuż muru nadal dymiły. Pojawiło się wiele pytań, musiał dużo wyjaśniać. „Co to za dym? To sprawa Derkacza. Dlaczego to dziecko leży, dlaczego nie ma oczu? To wola Derkacza”. I tak dalej.

Yeti wymyślał wszystko na poczekaniu, podczas marszu. Wiedział, że niewydarzony z niego pasterz. By ich pokrzepić, starał się za wszelką cenę być dostojny i odpowiedzialny, mądry i uprzejmy. Życie pełne przebiegłości przyszło mu z pomocą.

W końcu trafili na skraj parku. Yeti musiał zastrzelić jeszcze dwie rozpadające się osoby. Oddawał im przysługę, więc nie gnębiły go wyrzuty sumienia. Gorzej czuł się z powodu innych rzeczy.

Późnym wieczorem w końcu dotarli na wybrzeże. Liście na drzewach szeleściły, fale delikatnie szumiały, zachodzące słońce odbijało się w nich na różowo i czerwono. Piaski były białe, okoliczne wieże pełne ptactwa.

- Jak tu pięknie.
- Patrzcie! Czy to pióra?
- Jak się nazywa to miejsce?
- To jest dom – odparł Yeti.

14

Bożek

Yeti przeszukuje magazyn, pakuje, co się da – resztę jedzenia, suszonego i w puszkach, latarkę i baterię, mapy, zapaliki i świece, paczki amunicji, taśmę izolacyjną, dwie butelki wody, tabletki przeciwbólowe, antybiotyk w żelu, dwie koszule z filtrem przeciwsłonecznym i jeden z tych scyzoryków z nożyczkami. Oraz miotacz, rzecz jasna. Unosi kij i wychodzi przez drzwi śluzy, unikając spojrzenia Derkacza, uśmiechu Derkacza; i Oryks, w jej jedwabnym całunie w motyle.

„Och, Jimmy. To nie ja!”.

Zaczynają się ptasie pieśni. Światło tuż przed nadejściem poranka jest szare jak puch, powietrze wilgotne; krople rosy pokrywają pajęczyny. Gdyby był dzieckiem, wydawałoby mu się to świeże i nowe, odwieczna magiczna sztuczka. Teraz wie, że to iluzja – gdy tylko słońce znajdzie się wysoko na niebie, wszystko zniknie. Gdzieś w połowie terenu przystaje, po raz ostatni spogląda na WyRaj, puchnący wśród listowia niczym zagubiony balon.

Ma mapę Kompleksu, już ją przestudiował, obmyślił trasę. Idzie na skróty przez główną arterię do pola golfowego i szkolnego boiska. Przed dotarciem do zewnętrznego muru musi zastrzelić jednego świnią – zwierzak tylko się przyglądał, ale Yeti był pewien, że to zwiadowca, że powiedziała by innym. Przy bocznej bramie znów przystaje. Jest tu wieża i wejście na wał; chciałby się wspiąć, rozejrzeć, sprawdzić, co za ogień widział. Drzwi do punktu kontrolnego są jednak zamknięte, więc rusza przed siebie.

W fosie pusto.

Mija Ziemię Niczyją, to nerwowy marsz – kątem oka ciągle widzi jakiś ruch. Martwi go, że kępy krzaków zmieniają kształt. W końcu jest w plebsopolii; idzie wąskimi uliczkami, uważając na zasadzki, ale nic go nie ściga. Tylko sępy krążą nad nim, czekając, aż zmieni się w padlinę.

Godzinę przed południem wchodzi na drzewo, ukrywa się w cieniu liści. Potem zjada parówki SojaMoja i wykańcza pierwszą butelkę wody. Kiedy przerywa marsz, jego stopa daje znać o sobie; rytmicznie pulsuje, jest gorąca i rwie, jakby ją wepchnął w za ciasny but. Wciera w ranę trochę antybiotyku, ale bez większego przekonania – atakujące go mikroby bez wątplenia nabrały odporności; hasają na całego, zamieniając

jego ciało w owsiankę.

Przygląda się horyzontowi ze swojego nadrzewnego stanowiska, ale nie widzi nic, co przypominałoby dym. Nadrzewny, piękne słowo. „Nasi nadrzewni przodkowie”, mawiał kiedyś Derkacz. Mieli zwyczaj obsrywać nieprzyjaciół z drzew. Wszystkie samoloty, rakiety i bomby to po prostu rozwinięcie tego prymitywnego instynktu.

A jeśli tu umrę, na tym drzewie?, myśli. Dobrze mi będzie służyło? Dlaczego? Kto mnie znajdzie? I co się stanie, kiedy mnie znajdą? „O, patrzcie, jeszcze jeden trup. Ale, kurwa, sensacja. Mnożą się jak króliki. Tak, ale ten jest na drzewie. No i cóż z tego?”.

– Nie jestem zwykłym trupem – mówi głośno.

„Jasne, że nie! Każdy z nas jest unikatowy. Każdy trup jest martwy na swój własny sposób! Kto chce pogadać o byciu trupem własnymi wyjątkowymi słowami? Jimmy, ty chyba masz ochotę, może zaczniesz”.

O torturo. Czy to czyścić? A jeśli tak, dlaczego tak bardzo przypomina pierwszą klasę?

Po kilku godzinach niespokojnego odpoczynku rusza przed siebie, kryjąc się przed popołudniową burzą w ruinach mieszkania w plebsopolii. Nikogo tam nie ma, ani żywych, ani trupów. Następnie znów idzie, kuśtyk, kuśtyk, coraz szybciej, najpierw na południe, potem na wschód, w kierunku wybrzeża.

Czuje ulgę, gdy trafia na Rybią Ścieżkę Yeti. Zamiast skręcić w lewo, ku swojemu drzewu, podskakując, rusza do wioski. Jest zmęczony, chce spać, ale musi pokrzepić Derkaczan – zademonstrować, że bezpiecznie powrócił, wyjaśnić, dlaczego tak długo go nie było, przekazać wiadomość od Derkacza.

Musi wymyślić jakieś kłamstwa. „Jak wygląda Derkacz? Nie widziałem go, krył się w krzaku”. Płonącym krzaku, czemu nie? Najlepiej nie precyzować szczegółów dotyczących rysów twarzy. „Ale przekazał mi polecenia: mam dostawać dwie ryby w tygodniu – nie, lepiej trzy – korzenie i jagody”. Może dorzuci do tego wodorosty. Oni wiedzą, które są smaczne. I kraby: nie te lądowe, tylko inne. Poleci je przyrządzać na parze, tuzin naraz. Z pewnością nie prosi o zbyt wiele.

Po spotkaniu z Derkaczanami schowa nowe pożywienie i trochę zje, a następnie utnie sobie drzemkę na znajomym drzewie. Potem poczuje się odświeżony i mózg mu będzie lepiej funkcjonował, i wtedy pomyśli o tym, co dalej.

Ale co dalej z czym? To zbyt trudne. Przypuśćmy jednak, że wokół są inni ludzie, ludzie tacy jak on – ludzie od rozpalonego ognia. Chciałby być w nie najgorszej formie na ich powitanie. Umyje się – choć raz zaryzykuje wejście do sadzawki – a później nałoży jedną z czystych koszul, które przyniósł, może przytnie brodę nożyczkami w scyzoryku.

Cholera, zapomniał wziąć kieszonkowe lusterko. Pierdoła!

Kiedy dochodzi do wioski, słyszy niezwykły dźwięk – dziwne zawodzenie, wysokie oraz głębokie głosy, zarówno męskie, jak i żeńskie – melodyjne, oparte na dwóch dźwiękach. To nie śpiewanie, raczej przypomina modły. Potem brzęki, seria świstów, bum. Cóż oni wyprawiają? Cokolwiek to jest, dotychczas czegoś takiego nie robili.

Oto linia demarkacyjna, śmierzący chemiczny mur, codziennie odnawiany przez mężczyzn. Mija go, idzie ostrożnie przed siebie, zerka zza krzaka. Tutaj są. Pospiesznie liczy w głowie – większość młodych, wszyscy dorośli minus pięć – pewnie piątka jest w lesie na godach. Siedzą w półkolu wokół groteskowo wyglądającej postaci, która przypomina stracha na wróble. Całkiem się wyłączyli: na początku go nie widzą, gdy wychodzi zza krzewu i kuśtyka ku nim.

Jeeee, zawodzą kobiety.

Yyy, intonują mężczyźni.

Czy to „Jezu”? Z pewnością nie! Nie po środkach ostrożności Derkacza, jego uporze, by ci ludzie pozostali czysti, wolni od tego rodzaju zarazy. Na pewno nie usłyszeli tego słowa od Yeti. To niemożliwe.

Brzęk. Świst-świst-świst-świst. Bum. Jeeee-yyy.

Teraz widzi sekcję perkusyjną. Instrumenty to dekiel i metalowy pręt – to one brzęczą – i kilka pustych butelek zwisających z gałęzi i walonych chochlą. Bum wydobywa się z puszek po oleju, uderzanej czymś, co przypomina kuchenny drewniany tłuczek. Skąd wzięli wszystkie te rzeczy? Z plaży, bez wątpienia. Czuje, jakby przyglądał się swojej przedszkolnej sekcji rytmicznej sprzed wielu lat, ale pełnej dzieci o olbrzymich zielonych oczach.

Co to takiego ta rzeźba czy strach na wróble, czy cokolwiek to jest? Ma głowę i ciało ze szmat. Ma też coś w rodzaju twarzy – jedno oko z kamyka, drugie czarne, wygląda na pokrywkę od słoja. I stary mop w miejsce brody.

Już zobaczyli Yeti. Gramolą się, spieszą, by go powitać, otaczają z radosnym uśmiechem; dzieci podskakują, śmieją się; niektóre kobiety klaszczą w dłonie z podniecenia. Wykazują więcej energii niż zazwyczaj.

– Yeti! Yeti! – Dotykają go łagodnie koniuszkami palców. – Wróciłeś do nas!

– Wiedzieliśmy, że uda nam się cię zawołać, że usłyszysz i wrócisz!

A zatem nie „Jezu”. Yeti.

– Zrobiliśmy twój obraz, żebyś pomógł nam wysłać do ciebie nasze głosy.

„Uważaj na sztukę”, mawiał Derkacz. „Gdy tylko zajmą się tworzeniem sztuki, będziemy mieli kłopoty”. Zdaniem Derkacza symboliczne myślenie oznacza upadek. Potem pojawią się bożki, pogrzeby, wyprawa na tamten świat, życie po śmierci i grzech, i pismo linearne typu B, królowie, a później niewolnictwo i wojny. Yeti chce ich wypytać – kto pierwszy wpadł na pomysł stworzenia jego kopii, kopii Yeti, z zakrętki od słoja i mopa? To jednak będzie musiało poczekać.

– Patrzcie! Yeti ma na sobie kwiaty! (To dzieci, zauważyły jego nowy kwiecisty

sarong).

- Możemy też dostać kwiaty?
- Czy była trudna ta twoja podróż do nieba?
- Kwiaty też, kwiaty też!
- Jaką wiadomość przysłała nam Derkacz?

– Dlaczego myślicie, że byłem w niebie? – pytał Yeti obojętnym tonem.

Przeogląda pliki z legendami w swojej głowie. Kiedy wspomniał niebo? Czy stworzył jakąś baśń o tym, skąd się wziął Derkacz? Tak, teraz sobie przypomina. Uzbroił Derkacza w pioruny i błyskawice. Rzecz jasna uznali, że Derkacz musiał wrócić do swojego królestwa chmur.

– Wiemy, że Derkacz mieszka w niebie. Widzieliśmy też wirujący wiatr – poszedł za tobą.

- Derkacz ci go wysłał – żebyś mógł wznieść się z ziemi.
- Teraz, kiedy byłeś w niebie, jesteś prawie taki jak Derkacz.

Najlepiej im nie zaprzeczać, ale nie powinni wierzyć, że potrafi latać: prędzej czy później zażądam dowodów.

– Ten wir był po to, żeby Derkacz mógł zejść z nieba – mówi. – Stworzył wiatr, żeby sprowadził go z góry. Postanowił tam nie siedzieć, bo słońce zbyt przypieka. Więc nie tam go widziałem.

– Gdzie jest?

– Jest w kopule – odpowiada zgodnie z prawdą. – W miejscu, z którego przyszliśmy. Jest w WyRaju.

– Chodźmy tam go odwiedzić – mówi jedno ze starszych dzieci. – Wiemy, jak tam się dostać. Pamiętamy.

– Nie możecie zobaczyć Derkacza – oznajmia Yeti nieco zbyt ostro. – Nie rozpoznalibyście go. Zmienił się w roślinę. – Skąd mu się to wzięło? Jest bardzo zmęczony, miesza mu się.

– Po co Derkacz miałby zostać rośliną? – pyta Abraham Lincoln.

– To nie taka roślina do jedzenia – wyjaśnia Yeti. – Bardziej przypomina drzewo.

Zdumione spojrzenia.

– Mówi do ciebie. Jak może mówić, skoro jest drzewem?

Trudno będzie to wyjaśnić. Popełnił błąd w narracji. Czuje się tak, jakby stracił równowagę na szczycie schodów. Rozpaczliwie szuka punktu zaczepienia.

– To drzewo z ustami – mówi.

– Drzewa nie mają ust – zauważa jedno z dzieci.

– Patrzcie – odzywa się kobieta: Madame Curie, Sacagawea? – Yeti ma ranę na stopie. – Kobiety zawsze wyczuwają jego złe samopoczucie, usiłują poprawić mu humor, zmieniając temat. – Musimy mu pomóc.

– Dajmy mu rybę. Chciałbyś teraz rybę, Yeti? Poprosimy Oryks o rybę, żeby ryba dla

ciebie umarła.

– Dobrze by było – oświadcza z ulgą.

– Oryks chce, żebyś wydobrał.

Wkrótce leży na ziemi, a oni nad nim mruczą. Ból maleje, lecz chociaż bardzo się starają, opuchlizna nie chce całkiem zejść.

– To musiała być poważna rana.

– Trzeba więcej.

– Później jeszcze spróbujemy.

Przynoszą rybę, ugotowaną i owiniętą liśćmi, i patrzą radośnie, kiedy je. Nie jest szczególnie głodny – przez gorączkę – ale bardzo się stara, bo nie chce ich przestraszyć.

Dzieci już niszczą obraz, który stworzono na jego podobieństwo, rozbierają go na części, pragną je zwrócić plaży. To nauka Oryks, informują go kobiety: po użyciu czegoś, należy odnieść to na miejsce. Obraz Yeti spełnił swoje zadanie – teraz, gdy wrócił do nich prawdziwy Yeti, ten drugi, mniej satysfakcjonujący, nie ma racji bytu. Yeti dziwnie się czuje na widok swojej sztucznej brody, sztucznej głowy, odchodzący w kawałkach w dłoniach dzieci. Zupełnie jakby to jego rozerwano i rozrzucono.

Kazanie

– Przyszli tu inni tacy jak ty – mówi Abraham Lincoln, gdy Yeti poradził sobie z rybą. Teraz Yeti leży oparty o pień drzewa, jego stopa delikatnie mrowi, jakby zasnęła; on też czuje się senny.

Natychmiast przytomnieje.

– Inni tacy jak ja?

– Z inną skórą niż ty – mówi Napoleon. – I jeden z nich miał pióra na twarzy, tak jak ty.

– Drugi też miał pióra, ale niedługie.

– Myśleliśmy, że wysłał ich Derkacz. Jak ciebie.

– Jeden był samicą.

– Musiała ją przysłać Oryks.

– Pachniała na niebiesko.

– Nie widzieliśmy niebieskiego przez jej drugą skórę.

– Ale pachniała bardzo na niebiesko. Mężczyźni zaczęli jej śpiewać.

– Daliśmy jej kwiaty i machaliśmy penisami, ale wcale się nie ucieszyła.

– Mężczyźni z drugą skórą nie byli szczęśliwi. Wydawali się źli.

– Poszliśmy się z nimi przywitać, ale uciekli.

Yeti może to sobie wyobrazić. Ci nienaturalnie spokojni, umięśnieni mężczyźni, sunący *en masse* ku przybyszom, śpiewający niezwykle pieśni, machający unisono niebieskimi penisami, z rękoma wyciągniętymi jak u statystów w filmie o zombi, musieli ich zaniepokoić.

Serce Yeti bije teraz bardzo szybko, z podniecenia albo ze strachu, albo z mieszanki jednego i drugiego.

– Mieli coś ze sobą?

– Jeden miał hałaśliwy patyk, tak jak ty. – Miotacz jest schowany. Musieli zapamiętać broń z czasów, gdy wychodzili z WyRaju. – Ale nie robili żadnych hałasów.

Dzieci Derkacza mówią o tym bardzo swobodnie, nie rozumieją konsekwencji. Zupełnie jakby dyskutowali o królikach.

– Kiedy tu przyszli?

– O, może przedwczoraj.

Nie ma co ich wypytywać o jakieś wydarzenie z przeszłości: nie liczą dni.

– Dokąd poszli?

– Tędy, plażą. Dlaczego od nas uciekli, o Yeti?

– Może usłyszeli Derkacza – mówi Sacagawea. – Może do nich wołał. Mieli lśniące rzeczy na rękach, tak jak ty. Rzeczy do słuchania Derkacza.

– Zapytam ich – mówi Yeti. – Porozmawiam z nimi. Zrobię to jutro. Teraz pójdę spać.

Prostuje się, krzywi z bólu. Nadal nie może się oprzeć całym ciężarem na tej stopie.

– My też pójdziemy – mówi kilku mężczyźn.

– Nie – sprzeciwia się Yeti. – Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Ale ty jeszcze nie czujesz się dobrze – mówi cesarzowa Józefina. – Potrzebujesz więcej mrużenia.

Wydaje się zatroskana: między jej oczyma wykwitła drobna zmarszczka. Niezwykła mina na jednej z ich doskonałych, wolnych od zmarszczek twarzy.

Yeti poddaje się, nowy mrużący zespół – tym razem trzech mężczyźn, jedna kobieta, pewnie uznali, że potrzeba mu mocnego lekarstwa – pochyla się nad jego stopą. Usiłuje wyczuć w sobie wibracyjną reakcję, zastanawia się – nie po raz pierwszy – czy ta metoda działa tylko na nich. Ci, którzy nie mrużą, z bliska obserwują operację; niektórzy rozmawiają ściszymi głosami, a po mniej więcej trzydziestu minutach pojawia się nowa zmiana.

Nie potrafi się zrelaksować, jak powinien, bo martwi go przyszłość, nic nie może na to poradzić. Myśli gorączkowo: za na wpół przymkniętymi powiekami widzi tysiące możliwości. Może wszystko będzie dobrze, może to trio nieznanym jest szlachetne, rozsądne, ma dobre intencje; może Yeti zdoła zaprezentować Derkaczan we właściwym świetle. Ale przecież ci nowi mogli potraktować Dzieci Derkacza jako dziwaczne, dzikie, nieludzkie istoty, a na dodatek stanowiące zagrożenie.

Obrazy z historii przeskakują w jego głowie, fragmenty Krwi i Róż: stos czaszek Czyngis-chana, sterty butów i okularów z Dachau, płonące, wypełnione trupami kościoły w Rwandzie, Jerozolima złupiona przez krzyżowców. Indianie Arawak witający Krzysztofa Kolumba girlandami kwiatów i owocami, radośnie uśmiechnięci, niedługo potem zmasakrowani albo związani pod łózkami, na których gwałcono ich kobiety.

Dlaczego jednak wyobrażać sobie najgorsze? Może ci ludzie się przestraszyli, może poszli gdzie indziej. Może są chorzy i umierający.

A może nie.

Zanim odejdzie, zanim wyruszy w – jak to teraz widzi – misję, powinien wygłosić jakąś mowę do Derkaczan. Coś w rodzaju kazania. Ustanowić kilka przykazań, oznajmić im ostatnie słowa Derkacza. Tyle że oni nie potrzebują zasad: żadne „nie

będiesz” na nic im się nie zda, nawet go nie rozumieją, to u nich wrodzone. Nie ma sensu mówić im, żeby nie kłamali, nie kradli, nie cudzołożyli ani nie pożądali. Nie zrozumieliby tych pojęć.

Jednak powinien coś powiedzieć. Zostawić im parę słów do zapamiętania. Albo kilka praktycznych rad. Powinien powiedzieć, że może nie wrócić. Powinien powiedzieć, że ci inni, inni z dodatkową skórą i piórami, nie przyszli od Derkacza. Powinien powiedzieć, że należy zabrać im te hałaśliwe patyki i wrzucić do morza. Powinien powiedzieć, że jeśli ci ludzie będą brutalni – „O Yeti, powiedz, co to jest brutalni?” – albo jeśli spróbują gwałcić („Co to jest gwałcić?”) kobiety, albo molestować („Co?”) dzieci, albo zmusić innych, żeby dla nich pracowali...

Beznadziejne, beznadziejne. „Co to jest praca?”. Praca jest wtedy, kiedy się coś buduje – „Co to jest buduje?” – albo uprawia – „Co to jest uprawia?” – albo pracujecie dlatego, że inni ludzie mogą was zbić albo zabić, jeśli tego nie zrobicie, albo dlatego, że dadzą wam pieniądze, jeśli to zrobicie.

„Co to jest pieniądze?”.

Nie, nie może tego powiedzieć. Derkacz was strzeże, powie. Oryks was kocha.

Jego powieki opadają i Yeti czuje, że ktoś podnosi go łagodnie, niesie, znowu podnosi, znowu niesie, trzyma.

Odcisk stopy

Yeti budzi się przed świtem. Leży bez ruchu, nasłuchuje zbliżającego się przyływu, fali za falą, słabo, słabiutko, w rytmie uderzeń serca. Tak bardzo chciałby wierzyć, że nadal śpi.

Na wschodzie pojawia się szarawa mgła, teraz zabarwiona różanym martwym blaskiem. Dziwne, że ten kolor nadal wydaje się delikatny. Yeti wpatruje się w niego z zachwytem: nie da się tego inaczej nazwać. Zachwyt. Ściśnięte serce, porywane emocjami, jakby przez jakiegoś wielkiego drapieżnego ptaka. Po tym wszystkim, co się stało, jak świat może nadal być taki piękny? Bo jest piękny. Z wież nad wybrzeżem dochodzą ptasie piski i krzyki, które w niczym nie przypominają ludzkich odgłosów.

Kilka razy oddycha głęboko, rozgląda się w poszukiwaniu zwierząt, schodzi z drzewa, najpierw stawiając na ziemi zdrową stopę. Zagląda do środka czapki, wytrząsa mrówkę. Czy można stwierdzić, że jedna mrówka żyje, w jakimkolwiek znaczącym sensie tego słowa, czy też jej istnienie ma sens tylko w odniesieniu do mrowiska? Stara zagadka Derkacza.

Kuśtyka po plaży do wody, obmywa stopę, czuje pieczenie od soli: pewnie zrobił się czyrak, pękł w nocy i teraz rana wydaje się olbrzymia. Wokół niego lata mucha, próbuje wylądować.

Kulejąc, Yeti wraca z powrotem do drzewa, zdejmuje kwieciste prześcieradło, rozwiesza je na gałęzi – nie chce utrudniać sobie marszu. Pójdzie tylko w czapce baseballowej, żeby słońce nie świeciło mu w oczy. Nawet zostawi okulary; jest tak wcześnie, że nie będzie ich potrzebował. Musi zauważyć każdy najmniejszy ruch.

Sika na koniki polne, patrzy z tęsknotą, gdy odskakują. Ta rutyna już jest niczym powrót do przeszłości, niczym kochanka widziana z okna pociągu, machająca na pożegnanie, wciągnięta nieuchronnie w oddalającą się przestrzeń, czas, tak prędko.

Idzie do swojego schowka, otwiera go, wypija trochę wody. Stopa boli go jak cholera, znowu jest czerwona dookoła rany, a kostka spuchnięta; to, co się w niej znajduje, pokonało koktajl z WyRaju i leczenie Derkaczan. Wciera trochę antybiotyku w żelu, równie skutecznego jak błoto. Na szczęście ma aspirynę, przytępi ból. Połyka cztery tabletki, zjada pół energatona, żeby się wzmocnić. Potem wyjmuje miotacz, sprawdza magazynek wirtualnych pocisków.

Nie jest na to gotowy. Źle się czuje. Boi się.

Mógłby tu zostać, nie zmieniać sytuacji.
„Och, skarbie. Jesteś moją jedyną nadzieją”.

Idzie plażą na północ, podpierając się kijem i kryjąc, kiedy to możliwe, w cieniu drzew. Niebo jaśnieje, trzeba się spieszyć. Już widzi dym wznoszący się niczym prosta kolumna. Dotrze tam za jakąś godzinę. Nie wiedzą o nim, ci ludzie; wiedzą o Derkaczanach, ale nie o nim, jego się nie spodziewają. To jego nadzieja.

Kuśtyka od drzewa do drzewa, nieuchwytny, niewydarzony, pogłoska. W poszukiwaniu swoich.

To ślad ludzkiej stopy w piachu. I następny. Nie mają wyraźnych krawędzi, bo piach tutaj jest suchy, ale ślad bez wątplenia należy do człowieka. Tu jest cały szlak, prowadzi z morza. Kilka różnych rozmiarów. Tam, gdzie piasek będzie wilgotniejszy, Yeti przyjrzy się im lepiej. Co ci ludzie robili? Pływali? Łowili ryby? Myli się?

Mieli na sobie buty albo sandały. Tu je zdjęli, tu włożyli. Stawia zdrową stopę na miękkim piasku, obok największego śladu: to coś w rodzaju podpisu. Gdy tylko cofa stopę, ślad wypełnia się wodą.

Teraz czuje dym, słyszy głosy. Czai się, jakby wędrował po pustym domu, w którym jednak mogą jeszcze przebywać ludzie. A jeśli go zobaczą? Zarośniętego, gołego wariata w czapce baseballowej i z miotaczem? Co zrobią? Zaczną krzyczeć i odbiegną? Zaatakują? Czy z uciechą i braterską miłością powitają go, rozpościerając ramiona?

Wygląda między liśćmi: ludzi jest zaledwie kilkoro, siedzą dookoła ognia. Mają własny miotacz, standardową broń korpusowców, ale leży na ziemi. Są chudzi, wydają się wyczerpani. Dwóch mężczyzn, jeden brązowy, jeden biały, kobieta koloru herbaty, mężczyźni w tropikalnych strojach, zwyczajnych, lecz brudnych, kobieta w strzępach jakiegoś munduru – pielęgniarka, strażniczka? Musiała być kiedyś ładna, zanim tak schudła: teraz jest żylasta, ma wysuszone włosy, jak szczotka. Wydają się zmęczeni.

Coś pieką – jakieś mięso. Szopunksa? Tak, tam leży ogon, na ziemi. Musieli go zastrzelić. Biedne zwierzę.

Yeti od dawna nie czuł zapachu pieczonego mięsa. Czy dlatego oczy mu wilgotnieją?
Teraz drży. Znowu ma gorączkę.

I co dalej? Wyjść z kawałkiem prześcieradła przywiązanego do kija, wymachując nim niczym białą flagą? „Przybywam w pokoju”. Nie ma jednak prześcieradła.

Albo: „Pokażę wam skarby”. Nie, nie ma czym z nimi handlować ani oni z nim. Nie mają niczego z wyjątkiem siebie. Mogliby wysłuchać jego opowieści, a on ich. Oni przynajmniej by zrozumieli, przez co musiał przejść.

Albo: „Wynoście się, do diabła, z mojej ziemi”, jak w jakimś starym westernie. „Ręce do góry. Cofnąć się. Odłóżcie ten miotacz”. Ale to nie byłby koniec. Ich jest troje, on tylko jeden. Zrobiliby to, co on na ich miejscu, odeszliby, ale potem potajemnie szpiegowali. Zaskoczyliby go w ciemności, ogłuszyli kamieniem. Nie miałyby pojęcia, kiedy przyjdą.

Mógłby to teraz skończyć, zanim go ujrzą, dopóki wciąż ma siłę. Dopóki wciąż stoi. Stopa rwie go jak but pełen płynnego ognia. Ale nie zrobili nic złego, nie jemu. Ma ich zabić z zimną krwią? Potrafi. A jeśli zacznie ich zabijać i nagle przestanie, jeden z nich zabije jego. Oczywiście.

– Co mam zrobić? – szepce do pustej przestrzeni.

Trudno powiedzieć.

„Och, Jimmy, byłeś taki zabawny”.

„Nie zawieźdź mnie”.

Z przyzwyczajenia spogląda na zegarek; ten pokazuje mu pustą tarczę.

Godzina zero, myśli Yeti. Czas ruszać w drogę.

Podziękowania

Dziękuję Society of Authors (Anglia), które jest właścicielem praw autorskich do dorobku Virginii Woolf, za wyrażenie zgody na cytaty z *Do latarni morskiej*; Anne Carson za zezwolenie na zamieszczenie cytatu z *The Beauty of the Husband*; oraz John Calder Publications i Grove Atlantic za umożliwienie zacytowania ośmiu słów z powieści Samuela Becketta *Mercier et Camier*. Pełna lista pozostałych cytatów, zamieszczonych w oryginalnej formie lub sparafrazowanych na wspomnianych w niniejszej książce magnesach do lodówki, znajduje się pod adresem oryxandcrake.com. W części dziewiątej znalazła się aluzja do *Winter Wonderland*, autorstwa Felixa Bernarda i Richarda B. Smitha.

Prawami własności do utworu dysponuje Warner Bros.

Nazwisko Amanda Payne zostało życzliwie udostępnione przez jego właścicielkę, zwyciężczynię aukcji, z której dochody zasilają Medical Foundation for the Care of Victims of Torture (Wielka Brytania). Papuga Alex bierze udział w badaniach nad inteligencją zwierząt, prowadzonych przez dr Irene Pepperberg, i stała się bohaterką wielu książek, programów dokumentalnych oraz witryn internetowych. Alex Foundation zawdzięcza swoją nazwę właśnie temu ptakowi. Podziękowania należą się także papudze Tucu, mieszkającej z Sharon Doobenen oraz Brianem Brettem, oraz papudze o imieniu Ricki, pozostającej pod opieką Ruth Atwood i Ralpa Siferda.

Wiele wiadomości czerpałam także z rozmaitych czasopism i gazet, a także publikacji popularnonaukowych, które czytuję od lat. Pełna lista wszystkich tych osób i instytucji znajduje się pod adresem oryxandcrake.com. Na podziękowania zasłużyli też: dr Dave Mossop i Grace Mossop; Norman i Barbara Barricello z Whitehorse na Terytorium Yukon w Kanadzie; Max Davidson i jego zespół z Davidson's Arnheimland Safaris w Australii; mój brat, neurofizjolog, dr Harold Atwood (dziękuję za opracowanie na temat hormonów płciowych u nie narodzonych myszy, a także inne materiały); lic. Gilberto Silva oraz lic. Orlando Garrido, zapaleni biolodzy z Kuby; Matthew Swan i jego zespół z Adventure Canada – na kanwie jednej z ich wypraw arktycznych osnułam część niniejszej książki; pracownicy laboratorium, 1939–1945; a także Philip i Sue Gregory z Cassowary House w australijskim Queensland – w marcu 2002 roku z ich balkonu obserwowałam rzadkiego ptaka, rudokurkę ognistogłową.

Następujące osoby, moi pierwsi czytelnicy, również zasłużyli na wdzięczność: Sarah Cooper, Matthew Poulikakis, Jess Atwood Gibson, Ron Bernstein, Maya Mahvjee,

Luise Dennys, Steve Rubin, Arnulf Conradi i Rosalie Abella; moje agentki: Phoebe Larmore, Vivienne Schuster i Diana Mackay; moi wydawcy: Ellen Seligman z McClelland & Stewart (Kanada), Nan Talese z Doubleday (Stany Zjednoczone) oraz Liz Calder z Bloomsbury (Wielka Brytania); moja nieustraszona adiustatorka, Heather Sangster; a także niezrównana asystentka Jennifer Osti i Surya Bhattacharya, strażniczka złowrogiego Brązowego Pudełka z artykułami naukowymi z gazet. Jestem też zobowiązana wobec Arthura Gelgoota, Michaela Bradleya i Pat Williams, a także Eileen Allan, Melindy Dabaay i Rose Tornato. Na koniec proszę, by podziękowania przyjął Graeme Gibson, mój partner z trzydziestoletnim stażem, który jest również zdeklarowanym wielbicielem przyrody i entuzjastycznym uczestnikiem Pelee Island Bird Race w kanadyjskim Ontario. Graeme rozumie pisarską obsesję.

i e i

1

[Mango](#)
[Szczątki](#)
[Głos](#)

2

[Ognisko](#)
[Farmy OrganSA](#)
[Lancz](#)

3

[Sjesta](#)
[Ulewa](#)

4

[Szopunks](#)
[Młotek](#)
[Derkacz](#)
[Mózgospiek](#)
[Seksolatki](#)

5

[Tost](#)
[Ryba](#)
[Butelka](#)

6

[Oryks](#)
[Ptasi śpiew](#)
[Róże](#)
[Urwisownia jazz](#)

7

[Smuklana](#)
[Mruczenie](#)
[Lazur](#)

8

[MniamMniam](#)
[PychaKawa](#)
[Retoryka stosowana](#)
[Uniwersytet Aspergera](#)
[Wilksy](#)
[Hipoteza](#)
[Wymaraton](#)

[9](#)

[Wędrówka](#)
[OdmłodNowa](#)
[Tornado](#)

[10](#)

[Sępie](#)
[NowyTy](#)
[Garaż](#)
[Bez celu](#)

[11](#)

[Świniony](#)
[Radio](#)
[Wał obronny](#)

[12](#)

[W plebsopolii](#)
[BłogoPlus](#)
[MaddAddam](#)
[Zakochany Derkacz](#)
[Na wynos](#)
[Śluza](#)

[13](#)

[Kopuła](#)
[Notatka](#)
[Resztki](#)

[14](#)

[Bożek](#)
[Kazanie](#)

15

Odcisk stopy

Podziękowania